

DOM
UWAŻAJ,
PO DRUGIEJ
NA KOGO KIERUJESZ
STRONIE
SWÓJ WZROK
JEZIORA



RILEY
SAGER



RILEY SAGER

**DOM
PO DRUGIEJ
STRONIE
JEZIORA**

PRZEŁOŻYŁ
Ryszard Oślizło



*Myślę, że to zrobił,
lecz nie umiem tego dowieść.*

– Taylor Swift, *no body, no crime*

To jezioro jest mroczniejsze niż zamknięta trumna.

Tak mawiała Marnie, kiedy byliśmy dziećmi, a ona ciągle próbowała mnie straszyć. To oczywiście przesada. Ale nie taka znowu wielka. Jezioro Greene jest mroczne, nawet kiedy światło wdziera się w jego toń.

Jak trumna z popękanyim wiekiem.

Stojąc na brzegu, widzisz wyraźnie na jakieś trzydzieści centymetrów w głąb wody, dalej robi się mętna. Potem atramentowa. Potem ciemna jak grób. Gdy się zanurzysz, jest jeszcze gorzej: połyskujące światło dochodzące z góry uderzająco kontrastuje z czarną otchłanią w dole.

Kiedy w dzieciństwie pławiliśmy się na środku jeziora, Marnie często rzucała mi wyzwanie, abym przekroczyła tę granicę widzialności i dotknęła dna. Próbowałam wiele razy, ale nigdy mi się to nie udało. Zagubiona w ciemnościach, traciłam orientację, zawracałam i płynęłam w górę, sądząc, że zmierzam w dół. Wynurzałam się bez tchu, dezorientowana i lekko wytrącona z równowagi różnicą między wodą a niebem.

Nad powierzchnią panował jasny dzień.

Tuż pod nią czaiła się noc.

Na brzegu, nad ciemną tonią jeziora Greene, wznosi się pięć domów zbudowanych w różnych stylach – od swobodnie urokliwego po ostentacyjnie nowoczesny. Latem, kiedy Green Mountain State jest w pełnym rozkwicie, a każdy dom pęka w szwach od przyjaciół, członków rodziny i weekendowiczów, jarzą się niczym latarnie morskie przyzywające do bezpiecznego portu. Przez okna widać rzesiście oświetlone pokoje pełne ludzi, którzy jedzą i piją, śmieją się i kłócą, grają w gry i zdradzają sobie sekrety.

Poza sezonem wszystko się zmienia i domy cichną, najpierw w tygodniu, potem także w weekendy. Nie żeby stały puste. Nic podobnego. Jesień zwabia ludzi do Vermontu równie skutecznie jak lato. Tylko nastrój jest inny. Wyciszony. Poważny.

Już w połowie października zdaje się, że mrok wylewa się z jeziora na brzeg, wkrada do domów i tłumi ich światło.

Szczególnie jeśli mówić o domu stojącym dokładnie po drugiej stronie jeziora.

Zbudowany ze szkła, stali i kamienia, odbija chłodną wodę i szare jesienne niebo, maskując to, co kryje się za jego fasadą. Kiedy palą się światła, można zajrzeć do środka, ale tylko trochę. Pod tym względem przypomina jezioro. Nawet jeśli bardzo wysilasz wzrok, coś tuż pod powierzchnią zawsze pozostaje niewidoczne.

Wiem o tym.

Obserwuję go.

Teraz



Siedzę nad nietkniętą kawą i gapię się na policjantkę po drugiej stronie stołu. Para unosząca się znad kubka zdaje się otaczać ją mgiełką tajemnicy. Nie żeby sama w sobie była mało tajemnicza. Wilma Anson ma spokojną, nieprzeniknioną twarz, której wyraz rzadko się zmienia. Nawet o tak późnej godzinie i przemoknięta po burzy, pozostaje nieporuszona.

– Obserwowała pani dom Royce’ów dziś wieczorem? – pyta.

– Tak. – Nie ma sensu kłamać.

– Zobaczyła pani coś niezwykłego?

– Bardziej niezwykłego, niż widziałam do tej pory?

Skinienie głowy.

– Właśnie o to pytam.

– Nie. – Tym razem kłamstwo jest wskazane. Tego wieczoru widziałam wiele.

Więcej, niżbym chciała. – Dlaczego?

Podmuch wiatru smaga deszczem o drzwi francuskie wychodzące na werandę z tyłu domu. Obie na chwilę milkniemy i patrzymy na kropelki bijące w szybę. Ulewa jest gorsza, niż zapowiadali w telewizji – a zapowiadali potężną. Ogon huraganu czwartej kategorii przekształcił się w burzę tropikalną, gdy gwałtownie niczym bumerang zawrócił z głębi lądu nad północny Atlantyk.

Rzadkie zjawisko jak na połowę października.

Jeszcze radsze jak na wschodni Vermont.

– Bo możliwe, że Tom Royce zaginął – mówi Wilma.

Odrywam wzrok od upstrzonych deszczem drzwi i rzucam Wilmie zaskoczone spojrzenie. Odpowiada mi tym samym, opanowana jak zawsze.

– Jest pani pewna? – pytam.

– Właśnie tam byłam. Drzwi są otwarte. Ten jego luksusowy wóz stoi na podjeździe. W domu raczej niczego nie brakuje. Oprócz niego.

Znowu odwracam się w stronę drzwi francuskich, jakbym mogła zobaczyć za nimi dom Royce’ów mający po drugiej stronie jeziora. Zamiast niego widzę

jedynie ponury mrok i rozświetlane błyskawicami strugi wody, dziko miotane wichurą.

– Myśli pani, że uciekł?

– Jego portfel i kluczyki leżą na blacie kuchennym – odpowiada Wilma. – Trudno uciekać bez gotówki i samochodu. Zwłaszcza w taką pogodę. Więc raczej wątpię.

Zwracam uwagę na jej dobór słów. „Wątpię”.

– Może ktoś mu pomagał – sugeruję.

– A może ktoś się go pozbył. Wie pani coś o tym?

Szczęka opada mi ze zdumienia.

– Pani myśli, że miałam z tym coś wspólnego?

– Włamała się pani do ich domu.

– Zakradłam się – poprawiam z nadzieją, że ta różnica zmniejszy moją winę w oczach Wilmy. – I to wcale nie znaczy, że wiem, gdzie w tej chwili jest Tom.

Wilma milczy, licząc, że powiem coś więcej i może się obciążyć. Mijają sekundy. Wiele sekund. Upływ każdej z nich obwieszcza tykanie zegara szafkowego w salonie, które brzmi niczym towarzyszący pieśni burzy stały rytm. Wilma wsłuchuje się weń bez żadnych emocji. Jest mistrzynią opanowania. Podejrzewam, że jej imię ma z tym wiele wspólnego. Jeśli można się czegoś nauczyć z niezliczonych dowcipów o Flintstone'ach, to wielkiej cierpliwości.

– Proszę posłuchać – odzywa się Wilma po upływie chyba całych trzech minut. – Wiem, że martwi się pani o Katherine Royce. Wiem, że chce ją pani znaleźć. Ja też. Ale jak już mówiłam, branie spraw w swoje ręce w niczym nie pomoże. Niech mi pani pozwoli robić, co do mnie należy, Casey. Tylko tak mamy szansę odnaleźć Katherine żywą. Więc jeśli pani wie albo się domyśla, gdzie jest jej mąż, proszę mi powiedzieć.

– Nie mam zielonego pojęcia, gdzie może być Tom Royce. – Pochyliłam się do przodu, przyciskam dłonie do blatu stołu, próbując wykrzesać z siebie tę samą

mglistą energię, którą emanuje Wilma. – Jeśli mi pani nie wierzy, to proszę przeszukać mój dom.

Wilma poważnie się nad tym zastanawia. Pierwszy raz, odkąd usiadliśmy przy stole, czuję, że jej umysł tyka równie miarowo jak zegar szafkowy.

– Wierzę pani – mówi w końcu. – Na razie. Ale w każdej chwili mogę zmienić zdanie.

Po jej wyjściu stoję w drzwiach i chłostana zacinającym na werandę deszczem, obserwuję, jak się oddala. Wilma przebiega truchtem przez podjazd, wracając do swojego nieoznakowanego sedana, i wślizguje się za kierownicę. Macham jej, kiedy wycofuje, rozchlapując kałużę, której nie było tam jeszcze przed godziną, i pospiesznie odjeżdża.

Zamykam drzwi wejściowe, otrząsam się z deszczu i idę do kuchni, gdzie nalewam sobie superdużego burbona. Ten nowy obrót wydarzeń wymaga kopa, którego nie zapewni mi kawa.

Na zewnątrz kolejny poryw wichury wstrząsa domem. Okapy trzeszczą, a światła migoczą.

Znak, że burza przybiera na sile.

Ogon huraganu, sratatata!

Ze szklaneczką burbona w ręku idę na górę i wchodzę do pierwszego pokoju po prawej.

Leży dokładnie tam, gdzie go zostawiłam.

Rozciągnięty w poprzek łóżka.

Z kostkami i nadgarstkami przywiązanymi do słupków.

Z wepchniętym do ust prowizorycznym kneblem z ręcznika.

Wyjmuję ręcznik, siadam na identycznym łóżku po drugiej stronie pokoju i pociągam długi, powolny łyk burbona.

– Kończy nam się czas – oznajmiam. – Więc mów, co zrobiłeś Katherine.

Wcześniej



Widzę to kątem oka.
Zmącenie tafli wody.

Zmarszczki.

Błysk słońca.

Coś wyłania się w wody i zaraz znów tonie.

Obserwuję jezioro, nieobecna duchem – jak to bywa, kiedy widziało się coś tysiąc razy. Patrzysz, ale jakby jednym okiem. Widzisz wszystko, lecz niczego nie rejestrujesz.

Może to sprawka burbona.

Właśnie sączę trzeciego.

Albo czwartego.

Liczenie drinków – kolejna rzecz, którą robię, gdy odpływam myślami.

Ale ten ruch w wodzie przykuwa całą moją uwagę. Zrywam się z krzesła na biegunach i chwiejąc się po trzech (lub czterech) drinkach, patrzę, jak szklistą powierzchnię jeziora znów mącą nakrapiane słońcem kręgi zmarszczek.

Mrużę oczy, próbując przebić się przez burbonową mgłę na dość długo, żeby dojrzeć, na co właściwie patrzę. Bez skutku. Cokolwiek tam jest, znajduje się na samym środku jeziora – za daleko, żeby zobaczyć to wyraźnie.

Opuszczam werandę na tyłach domu nad jeziorem, wchodzę do środka i powłócząc nogami, idę do ciasnego przedpokoju tuż za drzwiami wejściowymi. Stoi tam wieszak na ubrania, zarzucony anorakami i deszczowcami. Wśród nich wisi lornetka w skórzanym futerale z wystrzępionym paskiem, nietknięta od ponad roku.

Z lornetką w garści wracam na werandę z tyłu domu i stojąc przy balustradzie, uważnie obserwuję jezioro. Znów widzę kręgi zmarszczek, a w samym ich środku z wody wyłania się ręka.

Lornetka spada na podłogę werandy.

Myślę: ktoś się topi.

A potem: muszę go ratować.

I wreszcie: Len.

Ta ostatnia myśl – o moim mężu, o jego śmierci w tej samej topieli – pobudza mnie do działania. Odpycham się od balustrady z takim impetem, że aż porusza się łód w szklance z burbonem stojącej obok krzesła na biegunach. Podzwania cicho, gdy zbiegam po schodkach z werandy i pędem pokonuję kilka metrów mszystego terenu dzielącego dom od brzegu jeziora. Drewniany pomost drży, kiedy na niego wskakuję, i trzęsie się, gdy biegnę do motorówki zacumowanej na jego końcu. Odcumowuję łódź, gramolę się do środka, chwytam za wiosło i odpycham się od pomostu.

Przez chwilę łódź się obraca, wykonując niezbyt elegancki piruet, dopóki nie wyprostowuję jej wiosłem. Kiedy dziób motorówki wskazuje środek jeziora, uruchamiam silnik zaburtowy gwałtownym szarpnięciem linki. Pięć sekund później łódź mknie naprzód, w stronę miejsca, gdzie jeszcze przed chwilą widziałam zmaconą wodę, a teraz nie widzę niczego.

Zaczynam mieć nadzieję, że była to po prostu wyskakująca z wody ryba. Albo nur, który akurat zanurkował pod powierzchnię. Albo że słońce, odbicie nieba w jeziornej tafli, a do tego kilka drinków sprawiły, że zobaczyłam coś, czego tam nie było.

Wszystko to tylko pobożne życzenia.

Bo kiedy łódź dopływa na środek jeziora, jednak dostrzegam coś w wodzie.

Ciało.

Unoszące się na powierzchni.

Nieruchome.

Wyłączam silnik i niezdarnie przełażę do przodu, skąd mam lepszy widok. Nie umiem określić, czy ten człowiek leży twarzą do góry, czy do dołu ani czy żyje. Widzę tylko cienie rozpostartych kończyn w wodzie i kłęb włosów unoszący się niczym gąszcz wodorostów. Wraca do mnie obraz Lena w tej samej pozycji i wtedy krzyczę w kierunku brzegu:

– Ratunku! Ktoś tonie!

Moje słowa odbijają się echem od płomienistych drzew po obu stronach jeziora, najprawdopodobniej nie docierając do niczyich uszu. Jest połowa października i okolice jeziora Greene, nad którym i tak nigdy nie ma tłoku, są jak wymarłe. Jedyнным stałym mieszkańcem jest Eli, ale on wróci do domu dopiero wieczorem. Jeśli w pobliżu przebywa ktoś inny, to nie afiszuje się swoją obecnością.

Jestem zdana na siebie.

Znowu chwytam za wiosło i zaczynam wiosłować, aby podpłynąć do ciała. To kobieta, teraz to widzę. Ma długie włosy. Jednocześnie kostium kąpielowy odsłania opalone plecy, długie nogi, jędrne ramiona. Unosi się na wodzie jak kawałek drewna, kołysząc się na falach wywołanych przez motorówkę.

Znowu obraz Lena wciska się do mojego mózgu, kiedy sięgam po kotwicę przywiązaną do jednej z knag na burcie. Kotwica jest dość lekka – waży zaledwie dziewięć kilo – ale wystarczająco ciężka, aby uniemożliwić łodzi dryfowanie. Wrzucam ją do wody, a lina ociera się z sykiem o burtę i kotwica opada w kierunku dna.

Następnie chwytam kamizelkę ratunkową znajdującą się pod jednym z siedzeń, niepewnym krokiem podchodzę do burty i skaczę w ślad za kotwicą. Mój skok jest niezdamy. Nie ma w nim gracji. Po prostu wpadam z pluskiem do wody. Ale jej chłód otrzeźwia mnie niczym siarczasty policzek. Wyostrza zmysły i kłuje skórę. Lewym ramieniem przyciskam kamizelkę do ciała, a prawym wiosłuję w stronę kobiety.

Jestem silną pływaczką, nawet na wpół pijana. Dorastałam nad jeziorem Greene i więcej letniego czasu spędzałam w wodzie niż na brzegu. Chociaż minęło czternaście miesięcy, odkąd ostatnio pływałam, woda wydaje mi się równie swojska jak własne łóżko. Rześka nawet w najgorętsze dni i kryształowo czysta przez tę krótką chwilę, zanim spowija ją mrok.

Podpływam do unoszącej się na wodzie kobiety i szukam oznak życia.

Nie znajduję żadnych.

Ręce i stopy są nieruchome, głowa ani drgnie.

Kołacze się we mnie jedna myśl. Brzmi trochę jak błaganie, a trochę jak modlitwa.

Proszę, nie bądź martwa. Proszę, proszę, bądź żywa.

Ale kiedy zakładam jej kamizelkę ratunkową na szyję i odwracam, nie wygląda na żywą. Otulona kamizelką i z twarzą skierowaną ku niebu, przypomina zwłoki. Zamknięte oczy. Sine usta. Lodowata skóra. Zawiązuję dolne paski kapoka, dopasowując go do ciała kobiety, i przykładam dłoń do jej klatki piersiowej.

Ani śladu bicia serca.

Kurwa.

Chcę jeszcze raz zawołać pomocy, ale mam za mało tchu, aby wydobyć z siebie głos. Nawet silni pływacy mają ograniczone możliwości, a ja właśnie osiągnęłam szczyt swoich. Zmęczenie daje mi się we znaki i wiem, że jeszcze kilka minut machania nogami w miejscu i kurczowego trzymania się może/zapewne martwej kobiety, a skończę jak ona.

Otoczam ją ramieniem w talii, a drugą ręką wiosłuję, aby wrócić do motorówki. Nie mam pojęcia, co zrobić, kiedy do niej dotrę. Chyba ucześcić się burty. Chwycić mocno, jednocześnie przytrzymując tę prawdopodobnie/na pewno martwą kobietę, i mieć nadzieję, że odzyskam dość siły w płucach, żeby ponownie zacząć krzyczeć.

I że tym razem ktoś mnie usłyszy.

W tej chwili jednak moim głównym zmartwieniem jest powrót do łodzi. Nie przyszło mi do głowy, żeby wyjąć kamizelkę ratunkową także dla siebie, a teraz ruchy mam coraz wolniejsze, za to serce wali mi jak młotem. Już nie czuję nóg, choć myślę, że wciąż robią wykopy. Woda jest bardzo zimna, a ja bardzo zmęczona. Tak strasznie, nieznośnie wyczerpana, że przez chwilę się zastanawiam, czy nie ściągnąć kapoka z tej kobiety i nie włożyć go na siebie, a jej pozwolić pójść na dno.

Włącza się instynkt przetrwania.

Nie uratuję jej, jeśli nie uratuję siebie, a kto wie, czy jej można jeszcze pomóc. Ale wtedy znowu myślę o Lenie, który nie żyje już od ponad roku, o jego zwłokach wyrzuconych na brzeg właśnie tego jeziora. Nie mogę pozwolić, aby to samo stało się z tą kobietą.

Dlatego dalej wiosłuję jednym ramieniem i kopię zdrętwiałymi nogami, holując coś, co – mam już pewność – jest trupem. Nie przestaję, aż w końcu do motorówki zostają mi trzy metry.

Dwa i pół. Dwa.

Nagle ciałem kobiety wstrząsa spazm. Wzdrygam się gwałtownie. Ramię odskakuje mi ze zdumienia i tym razem naprawdę wypuszczam ją z uścisku.

Kobieta otwiera oczy.

Kaszle – następuje seria przeciągłych, głośnych, bulgoczących charkotów. Z jej ust wytryskuje strużka wody i spływa po podbródku, a z lewego nozdrza ciągnie się na policzek długi glut. Ściera go i patrzy na mnie zdeorientowana, zadyszana i przestraszona.

– Co się stało?

– Nie wpadaj w panikę – mówię, przypominając sobie jej sine usta, lodowatą skórę i ten przerażający, kompletny bezruch. – Ale zdaje się, że prawie utonęłaś.

Żadna z nas nie odzywa się więcej, dopóki obie nie jesteśmy bezpieczne w motorówce. Nie było czasu na słowa, kiedy drapiąc i kopiąc, wspinałam się na burzę, aby w końcu gruchnąć na dno łodzi niczym świeżo złowiona ryba. Wciągnięcie na pokład kobiety stanowiło jeszcze trudniejsze zadanie, bo otarcie się o śmierć całkowicie pozbawiło ją energii. Tyle się naszarpałam i nadźwigałam, że kiedy wreszcie wtaszczyłam ją do łodzi, byłam zbyt wyczerpana, żeby się poruszyć, a co dopiero mówić.

Ale teraz, po kilku minutach sapania, wdrapałyśmy się na siedzenia. Wpatrujemy się w siebie, zszokowane całą sytuacją i przeszczęśliwe, że możemy odpocząć i zebrać myśli.

– Powiedziałaś, że prawie utonęłam – odzywa się kobieta.

Jest okryta kocem w szkocką kratę, który znalazłam pod jednym z siedzeń i w którym wygląda jak kociak wydobyty z kanału burzowego. Bezbronny i poobijany, ale wdzięczny.

– Tak – odpowiadam, wykręcając wodę ze swojej koszuli flanelowej. Na pokładzie znalazłam tylko jeden koc, więc nadal jestem przemoczona i zziębnięta. To nic. Nie ja potrzebuję ratunku.

– Co to znaczy „prawie”?

– Szczerze? Myślałam, że nie żyjesz.

Wstrząsa nią dreszcz.

– Jezu.

– Ale się myliłam – dodaję, próbując złagodzić jej oczywisty wstrząs. – To jasne. Sama się ocknęłaś. Ja nic nie zrobiłam.

Kobieta poprawia się na swoim miejscu, na chwilę odsłaniając swój jaskrawy kostium kąpielowy ukryty pod kocem. Morski. Wręcz tropikalny. I tak nieodpowiedni na jesień w Vermoncie, że się zastanawiam, skąd ona się tu w ogóle wzięła. Gdyby mi powiedziała, że kosmici porwali ją z plaży z białym piaskiem na Szeszelach i wrzucili do jeziora Greene, to chyba bym jej uwierzyła.

– Ale na pewno bym umarła, gdybyś mnie nie zauważyła – mówi. – Więc dziękuję, że mnie uratowałaś. Powinnam była podziękować ci wcześniej. Natychmiast.

Odpowiadam skromnym wzruszeniem ramion.

– Nie będę chowała urazy.

Śmieje się i wtedy nagle ginie wszelki ślad po osobie, której dryfujące ciało znalazłam w wodzie. Na jej twarz powraca kolor – brzoskwiniowy rumieniec, który podkreśla jej wysokie kości policzkowe, pełne usta i cienkie brwi. Ma duże, wyraziste szarozielone oczy i lekko zakrzywiony nos, ale ten drobny defekt tylko podkreśla doskonałość rysów. Jest olśniewająca, nawet gdy siedzi przycupnięta pod kocem i ociekająca wodą z jeziora.

Przyłapuje mój wzrok i mówi:

– A przy okazji: jestem Katherine.

Dopiero wtedy uświadamiam sobie, że ją znam. Nie osobiście. Nigdy wcześniej się nie spotkałyśmy, o ile mnie pamięć nie myli. Ale i tak ją rozpoznaję.

Katherine Royce.

Była supermodelka.

Obecna filantropka.

Oraz, wspólnie z mężem, właścicielka domu po drugiej stronie jeziora. Stał niezamieszkały, kiedy byłam tu ostatnio, wystawiony na sprzedaż za ponad pięć milionów dolarów. Gdy zimą został sprzedany, pisano o tym w gazetach. Nie tylko ze względu na to, kto go kupił, ale także z uwagi na miejsce, w którym się znajduje.

Nad jeziorem Greene.

Vermonckie ustronie uwielbianej ikony musicalu Lolly Fletcher.

Oraz miejsce, w którym tragicznie utonął mąż narwanej aktorki Casey Fletcher.

Nie po raz pierwszy wybrano te przymiotniki do opisanja mojej matki i mnie. Używano ich tak często, jakby były naszymi imionami: Uwielbiana Lolly Fletcher i Narwana Casey Fletcher. Niezapomniany duet matki i córki.

– Jestem Casey – przedstawiam się.

– Och, wiem – odpowiada Katherine. – Wczoraj wieczorem, gdy przyjechaliśmy z Tomem, moim mężem, zamierzaliśmy wpaść i się przywitać. Oboje jesteście wielkimi fanami.

– Skąd wiedzieliście, że tu jestem?

– Światła były włączone – wyjaśnia Katherine, wskazując na dom nad jeziorem, który należy do mojej rodziny od kilku pokoleń.

Nie jest to największy budynek nad jeziorem Greene – ten zaszczyt przypada nowemu domowi Katherine – ale za to najstarszy. Zbudowany przez mojego prapradziadka w 1878 roku, był remontowany i rozbudowywany mniej więcej co pięćdziesiąt lat. Od strony wody wygląda uroczo. Wysoki i solidny, położony blisko brzegu, za murem oporowym z kamieni, stanowi wręcz parodię nowoangielskiej urokliwości. Dwie nieskazitelnie białe kondygnacje ze ścianami szczytowymi, kratownicami i misternymi zdobieniami. Połowa domu biegnie równoległe do krawędzi wody, tak blisko, że okalająca go weranda praktycznie wisi nad samym jeziorem.

Tam właśnie siedziałam dziś po południu, kiedy zobaczyłam Katherine miotającą się w wodzie. Siedziałam tam też wczoraj wieczorem, zbyt pijana, żeby zauważyć przyjazd sławnej pary, która obecnie zamieszkuje dom po drugiej stronie jeziora.

Druga połowa mojego rodzinnego domu ciągnie się w bok na jakieś dziesięć metrów, tworząc niewielki dziedziniec. Wysoko nad nim, na najwyższym piętrze, znajduje się rząd wysokich okien głównej sypialni, z których rozpościera się zabójczy widok. W tej chwili, późnym popołudniem, nikną w cieniu strzelistych sosen. Ale podejrzewam, że nocą bijący z nich blask nie ustępuje jasnością latarni morskiej.

– Ten dom stał ciemny przez całe lato – ciągnie Katherine. – Kiedy wczoraj wieczorem zauważyliśmy z Tomem światła, uznaliśmy, że to ty.

Taktownie nie wspomina, dlaczego uznali, że to ja, a nie, powiedzmy, moja matka.

Wiem, że znają moją historię.

Wszyscy ją znają.

Jedyną aluzją, jaką Katherine robi do moich niedawnych kłopotów, jest życzliwe, pełne troski pytanie:

– A tak w ogóle jak się czujesz? To, przez co przechodzisz, musi być niełatwe. Jak sobie radzisz z tym wszystkim?

Pochyliła się i dotyka mojego kolana – to zaskakująco intymny gest jak na kogoś, kogo dopiero co poznałam, nawet biorąc pod uwagę fakt, że prawdopodobnie ocalałam mu życie.

– Radzę sobie świetnie – odpowiadam, bo przyznając, jak jest naprawdę, musiałabym opowiedzieć o „tym wszystkim”, jak to nazwała Katherine.

Nie jestem jeszcze na to gotowa, chociaż minął już ponad rok. Część mnie uważa, że nigdy nie będę gotowa.

– To wspaniale – mówi Katherine z promiennym uśmiechem. – Czuję się winna, że prawie to zepsułam swoim, no wiesz, utonięciem.

– Pociesz się tym, że pierwsze wrażenie zrobiłaś piorunujące.

Śmieje się. Dzięki Bogu. Niektórzy uważają moje poczucie humoru za ironiczne, a inni za okrutne. Ja wolę myśleć, że trzeba w nim zagustować, że jest jak oliwka na dnie kieliszka martini. Albo je lubisz, albo nie.

Katherine najwyraźniej lubi.

– Tyle tylko – dodaje, wciąż z uśmiechem – że ja nawet nie wiem, jak to się stało. Pływam znakomicie. Wiem, że w tej sytuacji trudno w to uwierzyć, ale to prawda, przysięgam. Chyba woda była zimniejsza, niż mi się wydawało, i złapał mnie skurcz.

– Jest połowa października. O tej porze roku jezioro jest lodowate.

– Och, ja uwielbiam pływać w zimnej wodzie. Zawsze w Nowy Rok morsuję.

Kiwam głową. No jasne, że tak.

– Na cele charytatywne – uzupełnia.

Znów potakuję. No oczywiście.

Chyba robię minę, bo Katherine dorzuca:

– Przepraszam. To zabrzmiało jak przechwałki, prawda?

– Troszeczkę – przyznaję.

– Uch. Nienaumyślnie. Czasem zdarza mi się palnąć coś w tym rodzaju. To takie przeciwieństwo skromnoszpanu. Powinno istnieć jakieś słowo, żeby to nazwać. Kiedy przypadkiem mówisz coś, co sprawia, że wydajesz się lepsza, niż naprawdę jesteś.

– Brednioszpan? – podpowiadam.

– O, to mi się podoba – przyklaskuje Katherine. – Tym właśnie jestem, Casey. Niereformowalną brednioszpanerką.

Wrodzona intuicja każe mi nie lubić Katherine Royce. Mam wrażenie, że ta kobieta istnieje wyłącznie po to, aby reszta ludzkości czuła się gorsza. A jednak jestem nią zauroczona. Może przez tę dziwną sytuację, w której się znalazłyśmy – uratowana i ratowniczką siedzące w łodzi podczas pięknego jesiennego popołudnia. Atmosfera jak w *Małej Syrence*. Jakbym była księciem oczarowanym przez syrenę, którą właśnie wyłowili z morza.

Nie wyczuwam w Katherine żadnego fałszu. Jest piękna, owszem, ale w taki zwyczajny sposób. Jak dziewczyna z sąsiedztwa, a nie onieśmielająca seksbomba. Betty oraz Veronica z *Riverdale* ze skromnym uśmiechem na twarzy. Sprawdzało się, gdy była modelką. W świecie, w którym mina wrednej suki to norma, Katherine wyróżniała się z tłumu.

O jej istnieniu dowiedziałam się siedem lat temu, kiedy grałam w broadwayowskiej sztuce w jednym z teatrów na Czterdziestej Szóstej Ulicy. Przecznicę dalej, w sercu Times Square, wisiał gigantyczny billboard z podobizną Katherine w sukni ślubnej. Pomimo tego stroju, kwiatów i muśniętej słońcem skóry nie było w niej nic z rumieniącej się panny młodej. Ona właśnie dawała nogę – zerwała szpilki z nóg i pędziła przed siebie po szmaragdowozielonej trawie, a w tle porzucony pan młody i zaskoczeni goście ścigali ją bezradnymi spojrzeniami.

Nie wiedziałam, czy była to reklama perfum, sukien ślubnych, czy wódki. I wcale mnie to nie obchodziło. Za każdym razem, kiedy natykałam się na ten billboard, skupiałam się na wyrazie twarzy modelki. Ze zmrużonymi oczami i szerokim uśmiechem wydawała się pełna euforii, ulgi i zdumienia. Zachwycona, że za jednym zamachem zdemontowała całą swoją egzystencję.

Utożsamiałam się z tym wizerunkiem.

I nigdy nie przestałam.

Dopiero kiedy moja sztuka zeszła z afisza, a ja nadal wszędzie widywałam plakat z podobizną tej kobiety, skojarzyłam nazwisko z twarzą.

Katherine Daniels.

W czasopiśmie nazywano ją Katie. Projektanci, którzy uczynili ją swoją muzą, mówili o niej per Kat. Chodziła po wybiegach w kreacjach Yves'a Saint Laurenta, płażała na plaży dla Calvina Kleina i tarzała się w jedwabnej pościeli Victoria's Secret.

Potem wyszła za Thomasa Royce'a, założyciela i prezesa firmy z branży mediów społecznościowych, i rzuciła modeling. Pamiętam, jak zaskoczyło mnie jej zdjęcie ślubne w magazynie „People”. Spodziewałam się, że Katherine będzie wyglądała tak jak na tamtym billboardzie. Jak ucieleśnienie wolności. Tymczasem ona, wciśnięta w suknię zaprojektowaną przez Verę Wang i uczepiona ramienia męża, prezentowała tak sztywny uśmiech, że prawie jej nie poznałam.

Teraz siedzi tutaj, w mojej łodzi, swobodnie szczerząc zęby, a ja czuję dziwną ulgę, że ta kobieta z billboardu nie zniknęła na dobre.

– Mogę ci zadać bardzo osobiste i bardzo wścibskie pytanie?

– Właśnie uratowałaś mi życie – odpowiada Katherine. – Byłabym straszną suką, gdybym odparła, że nie możesz, prawda?

– Chodzi o czasy, kiedy byłaś modelką.

Katherine powstrzymuje mnie uniesioną ręką.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego to rzuciłam.

– Mniej więcej – odpowiadam i wznoszę ramionami w wyrazie skruchy.

Głupio mi, że to takie oczywiste i niewyszukane. Mogłam zapytać o tysiąc innych spraw, a wybrałam pytanie, które zapewne słyszy najczęściej.

– Prawda jest znacznie mniej spektakularna, niż się wydaje. Praca nigdy się nie kończyła, a dieta była torturą. Wyobraź sobie, że nie wolno ci tknąć pieczywa przez cały rok.

– Szczerze mówiąc, nie potrafię.

– Samo to wystarczyło, żeby odejść – ciągnie Katherine. – I czasem tak właśnie odpowiadam ludziom. Patrzę im w oczy i mówię: „Rzuciłam to, bo chciałam jadać pizzę”. Ale szczerze mówiąc, najgorsze było to ciągłe skupienie na moim wyglądzie. Całe to strojenie się i przedmiotowe traktowanie. Nikogo nie obchodziło, co mówiłam. Ani co myślałam. Ani co czułam. Bardzo szybko mi się to przejadło. Nie zrozum mnie źle, zarobki były świetne. Wręcz obłędne. I te niesamowite ciuchy. Przepiękne. Prawdziwe dzieła sztuki. Ale czułam, że to nie w porządku. Ludzie cierpią. Dzieci umierają z głodu. Kobiety są prześladowane. A ja przechadzałam się po wybiegu w sukienkach, które kosztowały więcej niż roczny dochód większości rodzin. To było potworne.

– Jakbyś była aktorką. – Urywam. – Albo koniem pokazowym.

Katherine parska śmiechem, a ja w tej właśnie chwili stwierdzam, że naprawdę ją lubię. Pod wieloma względami jesteśmy takie same. Sławne z powodów, które niezupełnie nam odpowiadały. Absurdalnie uprzywilejowane, ale wystarczająco samoświadome, by zdawać sobie z tego sprawę. Pragnące, aby widziano w nas więcej niż to, co projektują na nas inni.

– W każdym razie tak brzmi dłuższa wersja – podsumowuje. – Tylko dla osób ratujących mnie przed utonięciem.

– A jak brzmi ta krótsza?

Katherine odwraca wzrok i patrzy na drugi brzeg jeziora, zdominowany przez jej dom.

– Że tak chciał Tom.

Jej twarz zasnuwa mrok. Tylko na chwilę – jak cień chmury na wodzie. Spodziewam się, że powie coś więcej o mężu i wyjaśni, dlaczego tego od niej zażądał. Ale Katherine otwiera usta i zaczyna kaszleć.

Mocno.

Znacznie mocniej niż wcześniej.

To głęboki, szorstki kaszel, dość głośny, by nieść się echem po wodzie. Koc opada na dno łodzi, a Katherine obejmuje się ramionami, dopóki atak nie minie. Kiedy się kończy, kobieta wygląda na przestraszoną. Jej twarz znowu zasnuwa cień i przez sekundę Katherine sprawia wrażenie, jakby nie miała pojęcia, co się stało. Ale zaraz potem cień znika i zastępuje go uspokajający uśmiech.

– To było zachowanie niegodne damy.

– Dobrze się czujesz?

– Raczej tak. – Jej ręce drżą, kiedy naciąga koc z powrotem na pokryte gęsią skórą ramiona. – Ale chyba już pora wracać do domu.

– Oczywiście – przytakuję. – Musisz być przemarznięta.

Ja jestem. Poziom adrenaliny po próbie bohaterskiego wyczynu już opadł i teraz ogarnia mnie przenikliwy ziąb. Moje ciało drży, kiedy podnoszę kotwicę z dna jeziora. Cała piętnastometrowa lina jest napięta i mokra, a gdy w końcu wyciągam kotwicę z wody, ręce mam już tak obolałe, że aby odpalić silnik motorówki, muszę kilka razy szarpnąć za linkę rozrusznika.

Steruję motorówką w kierunku domu Katherine. Stanowi on okoliczną anomalię, bo jako jedyny został wybudowany po latach siedemdziesiątych. Wcześniej był tam całkiem przyzwoity bungalow z lat trzydziestych otoczony wysokimi sosnami.

Dwadzieścia lat temu bungalow zburzono. A sosny wycięto.

Teraz na ich miejscu stoi kanciaste paskudztwo, które wystaje z ziemi niczym kawał skały. Część od strony jeziora składa się niemal całkowicie ze szkła, od rozległego, nieforemnego parteru aż po czubek dwuspadowego dachu. Za dnia

wygląda imponująco, choć dosyć nudnawo. Jak budowlany odpowiednik pustej witryny sklepowej.

Za to w nocy, gdy wszystkie pokoje są oświetlone, przypomina domek dla lalek. Widoczne jest wnętrze każdego pomieszczenia. Lśniącey kuchni. Świetlistej jadalni. Szerokiego salonu, który ciągnie się przez całą długość kamiennego tarasu za domem, wychodzącego na brzeg jeziora.

Byłam w środku tylko raz, kiedy poprzedni właściciele zaprosili mnie i Lena na kolację. Dziwnie się czułam, siedząc za całym tym szkłem. Jak jakiś okaz na szalce Petriego.

Nie żeby wokół było wielu obserwatorów. Jezioro Greene jest małe – jak na jezioro. Dłgie na półtora kilometra, a szerokie miejscami na niespełna pół kilometra, rozciąga się samotnie wśród gęstej połaci lasu we wschodnim Vermoncie. Powstało pod koniec epoki lodowcowej, kiedy lodowiec torujący sobie drogę przez ląd postanowił zostawić w tym miejscu swój odłamek. Lód stopniał, a wyżłobienie w ziemi zapełniło się w końcu wodą. Więc w gruncie rzeczy jest to kałuża. Wielka, bardzo głęboka i stanowiąca przyjemny widok, ale jednak kałuża.

Główna zaleta tego miejsca to jego ustronność. Dostęp do wody możliwy jest tylko z nielicznych prywatnych nabrzeży. Wokół jeziora znajduje się zaledwie pięć domów, a to z uwagi na rozległość działek i brak dodatkowego terenu nadającego się pod zabudowę. Północny kraniec wody otacza chroniony obszar leśny, a południowy to strome skaliste urwisko. Część środkową zajmują domy, dwa po jednej stronie, trzy po drugiej.

Właśnie po tej drugiej stronie mieszka Katherine. Jej dom wznosi się imponująco między dwoma starszymi i skromniejszymi budynkami. Po lewej, jakieś sto metrów wzdłuż brzegu, stoi dom Fitzgeraldów. On pracuje w bankowości. Ona zajmuje się antykami. Przyjeżdżają do swojego uroczego domku pod koniec maja, na weekend przed świętem Memorial Day, a wyjeżdżają po weekendzie Święta Pracy, na początku września. Przez resztę roku dom stoi pusty.

Po prawej stronie od posiadłości Royce'ów znajduje się podupadłe domostwo Elia Williamsa, wielkiego powieściopisarza w latach osiemdziesiątych i już nie tak wielkiego obecnie. Jego dom przypomina szwajcarski domek letniskowy – trzy kondygnacje z drewnianych, grubo ociosanych bali, maleńkie balkoniki na górnych piętrach i czerwone okiennice. Tak samo jak moja rodzina Williamsowie spędzali tu lato, ale po śmierci żony Eli sprzedał ich dom w New Jersey i przeniósł się nad jezioro Greene na dobre. Jako jedyny stały mieszkaniec ma na oku pozostałe domy podczas nieobecności ich właścicieli.

W domu Katherine nie palą się światła i jezioro odbija się w szklanej ścianie jak w lustrze. Zniekształcony obraz naszej dwójki w motorówce lekko drga, jakbyśmy same składały się z wody.

Kiedy przybijam do nabrzeża przy posiadłości, Katherine pochyła się i ujmuje moje zimne dłonie.

– Jeszcze raz ci dziękuję. Naprawdę ocaliłaś mi życie.

– To nic takiego – odpowiadam. – Zresztą byłabym okropną osobą, gdybym zignorowała supermodelkę w potrzebie.

– Byłą supermodelkę.

Znowu kaszle. Pojedyncze, chrapliwe szczeknięcie.

– Na pewno wszystko w porządku? – pytam. – Nie powinnaś pójść do lekarza albo coś?

– Nic mi nie będzie. Niedługo wróci Tom. A przedtem wezmę gorący prysznic i utnę sobie długą drzemkę.

Wychodzi na pomost i zdaje sobie sprawę, że wciąż ma na sobie mój koc.

– Boże, całkiem o tym zapomniałam.

– Zatrzymaj go na razie – uspokajam ją. – Potrzebujesz go bardziej niż ja.

Katherine kiwa głową i rusza w kierunku domu. Choć nie sędzę, żeby robiła to specjalnie, przechodzi przez pomost, jakby szła po wybiegu dla modelek – długim, płynnym, eleganckim krokiem. Może i zmęczył ją świat modelingu, może miała

słuszne powody, by odejść, ale sposób, w jaki się porusza, to dar. Ma lekkość i wdzięk ducha.

Kiedy dociera do domu, odwraca się do mnie i macha mi lewą ręką.

Dopiero wtedy zauważam coś dziwnego.

Katherine kilka razy wspomniała o mężu, ale – przynajmniej w tej chwili – nie nosi obrączki.

Mój telefon dzwoni, gdy wracam do domu; ćwierkanie Angry Birds rozlega się, kiedy wchodzę po schodkach na werandę. Jestem mokra, zmęczona i zziębnięta do szpiku kości, więc w pierwszym odruchu chcę go zignorować. Ale potem widzę, kto dzwoni.

Marnie.

Cudowna, kostyczna, cierpliwa nad swój wiek Marnie.

Jedyna osoba jeszcze nie całkiem znużona moimi głupimi gadkami, najpewniej dlatego, że to moja kuzynka. I najlepsza przyjaciółka. I menedżerka, choć dzisiaj jest stanowczo w trybie przyjaciółki.

– Nie dzwonię w interesach – obwieszcza, kiedy odbieram.

– Domyśliłam się – odpowiadam, dobrze wiedząc, że nie ma żadnych interesów, z którymi mogłaby dzwonić. Przynajmniej obecnie. A może już nigdy więcej.

– Chciałam tylko sprawdzić, jak się trzyma to stare bajoro.

– Mówisz o mnie czy o jeziorze?

– O jednym i drugim.

Marnie udaje, że z jeziorem Greene łączy ją relacja miłości i nienawiści, chociaż wiem, że kocha je bez reszty. W dzieciństwie spędzałyśmy tu razem każde lato, pływając, kajakując i nie śpiąc przez pół nocy, kiedy Marnie snuła opowieści o duchach. „Wiesz, że to jezioro jest nawiedzone, prawda?”, zaczynała za każdym razem, skulona na łóżku w naszym wspólnym pokoju, z wyprostowanymi, opalonymi nogami, gołe stopy opierając o skośny sufit.

– Dziwnie być tu z powrotem – wyznaję i opadam na bujane krzesło. – Smutno.

– To normalne.

– I samotnie.

To zbyt duże miejsce dla jednej osoby. Na początku było małe – zwykła chatka nad ustronnym jeziorem. Z biegiem lat dom był rozbudowywany, aż stał się lokum w sam raz dla rodzinnej trzódki. Teraz, gdy mieszkam tu sama, wydaje się taki

pusty. Wczoraj, kiedy obudziłam się o drugiej nad ranem, zaczęłam się wałęsać od pokoju do pokoju, wytrącona z równowagi całą tą niezamieszkałą przestrzenią.

Drugie piętro. Część sypialna. W sumie pięć sypialń różnej wielkości, od największej, tej głównej, z własną łazienką, aż do najmniejszej, z dwoma łózkami i skośnym sufitem, gdzie Marnie i ja sypiałyśmy w dzieciństwie.

Pierwsze piętro. Główna część mieszkalna, labirynt przytulnych pokoi połączonych drzwiami przejściowymi. Salon z wielkim kamiennym kominkiem i wyściełanym poduszkami czytelnickým zakątkiem pod schodami. Pokój wypoczynkowy, zeszpecony wiszącym na ścianie łbem łosia, który drażnił mnie w dzieciństwie i wciąż drażni w życiu dorosłym. To tutaj stoi jedyny w całym domu telewizor, co wyjaśnia, dlaczego nieczęsto oglądam telewizję, kiedy tu mieszkam. Zawsze mam wrażenie, że łoś śledzi każdy mój ruch.

Obok pokoju wypoczynkowego mieści się biblioteka, przyjemne miejsce, choć zwykle niedoceniane, bo z jego okien widać tylko drzewa, nie samo jezioro. Dalej znajduje się długi rząd pomieszczeń niezbędnych w każdym domu: pralnia, łazienka dla gości, kuchnia, jadalnia.

Wokół tego wszystkiego, niczym wstążka na prezencie, ciągnie się weranda. Wiklinowe krzesła z przodu, drewniane krzesła na biegunach z tyłu.

Parter. Piwnica z bezpośrednim wyjściem na zewnątrz. Jedyne miejsce, do którego nie wchodzę. Bardziej niż jakakolwiek inna część domu przypomina mi o Lenie.

– To normalne, że czujesz się samotna – mówi Marnie. – Przyzwyczaisz się. Czy poza Eliem jest tam ktoś jeszcze?

– Właściwie to tak. Katherine Royce.

– Ta modelka?

– Była modelka – poprawiam, przypominając sobie, co powiedziała Katherine, nim wysiadła z łodzi. – Razem z mężem kupili dom po drugiej stronie jeziora.

– Wakacje z gwiazdami nad jeziorem Greene w Vermoncie! – wykrzykuje Marnie swoim głosem prezenterki telewizyjnej. – Była wredna? Modelki zawsze

wydają mi się wredne.

– Wręcz przeciwnie, bardzo miła. Ale może dlatego, że uratowałam ją przed utonięciem.

– Poważnie?

– Poważnie.

– Gdyby kręcili się tam wtedy paparazzi – stwierdza Marnie – twoje perspektywy zawodowe wyglądałyby teraz zupełnie inaczej.

– Myślałam, że nie dzwonicz w interesach.

– Bo nie – upiera się. – Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że masz o siebie dbać. Pracą się zajmujemy, gdy będziesz mogła wyjechać.

Wzdycham.

– A to zależy od mojej matki. Co oznacza, że nie wyjadę stąd nigdy. Zostałam skazana na dożywocie.

– Pogadam z ciocią Lolly o zwolnieniu warunkowym. A tymczasem towarzystwa dotrzyma ci twoja nowa koleżanka modelka. Poznałaś jej męża?

– Jeszcze nie miałam tej przyjemności.

– Słyszałam, że jest dziwny – mówi Marnie.

– Jak to dziwny?

Przez chwilę milczy, ostrożnie dobierając słowa.

– Nabuzowany.

– Jak Tom Cruise skaczący na kanapie? Czy jak Tom Cruise zwisający z samolotu?

– Skaczący – odpowiada Marnie. – Nie, zwisający. A jest jakaś różnica?

– Chyba nie.

– Tom Royce to bardziej taki typ, co prowadzi naradę podczas crossfitu i nigdy nie przestaje pracować. Nie używasz jego apki, co?

– Nie.

Unikam wszelkich form mediów społecznościowych, które zasadniczo są niebezpiecznymi śmietniskami o różnych poziomach toksyczności. Dość mam

problemów na głowie. Po co dodatkowo stresować się tym, że zupełnie obcy ludzie mówią mi na Twitterze, jak bardzo mnie nienawidzą? Poza tym nie mogę sobie ufać. Kto wie, jakie bzdury bym tam powypisywała po sześciu drinkach. Lepiej trzymać się od tego z daleka.

Apka Toma Royce'a to, mówiąc w skrócie, połączenie LinkedIn i Facebooka. Nazywa się Mixer. Pozwala nawiązywać i podtrzymywać kontakty zawodowe poprzez wymianę informacji o ulubionych barach, restauracjach, polach golfowych i miejscach do spędzania urlopu. Jej slogan brzmi: „Praca i zabawa świetnie się łączą”.

Nie w mojej branży. Bóg jeden wie, że próbowałam.

– I dobrze – stwierdza Marnie. – Nie najlepiej by to wyglądało w twoim przypadku.

– Serio? A ja myślę, że pasowałyby idealnie.

Głos Marnie poważnieje. Czuć w nim niepokój, który w minionym roku często u niej słyszałam.

– Proszę, nie żartuj, Casey. Nie na ten temat. Martwię się o ciebie. Nie jako twoja menedżerka. Jako przyjaciółka i krewna. Nawet sobie nie wyobrażam, przez co przechodzisz, ale nie musisz robić tego sama.

– Staram się – odpowiadam, zerkając na szklaneczkę burbona, którą porzuciłam, by ratować Katherine. Aż mnie skręca, żeby się napić, ale wiem, że Marnie by to usłyszała. – Po prostu potrzebuję czasu.

– Więc się nie spiesz. Finansowo stoisz całkiem nieźle. Ta wrzawa w końcu przycichnie. A ty przez kilka najbliższych tygodni skup się na sobie.

– Tak zrobię.

– To dobrze. I zadzwoń do mnie, gdybyś czegoś potrzebowała. Czegokolwiek.

– Tak zrobię – powtarzam.

I jak za pierwszym razem nie mam takiego zamiaru. Marnie nie może niczego zmienić. Jedyłą osobą, która jest w stanie wyciągnąć mnie z kabały, w którą się wpakowałam, jestem ja sama.

Choć raczej nie w tej chwili.

Dwie minuty po rozmowie z Marnie znowu dzwoni telefon.

To moja matka, która melduje się codziennie o szesnastej.

Zamiast na komórkę zawsze dzwoni na wiekowy aparat z tarczą cyfrową w pokoju wypoczynkowym, doskonale wiedząc, że jego irytujący dźwięk skłoni mnie do odebrania. Ma rację. W ciągu tych trzech dni od mojego powrotu próbowałam zignorować ten uporczywy terkot, ale za każdym razem poddawałam się jeszcze przed piątym sygnałem.

Dzisiaj udaje mi się wytrzymać do siedmiu, zanim w końcu wchodzę do pokoju i odbieram. Wiem, że jeśli tego nie zrobię, matka będzie dzwoniła do skutku.

– Chcę tylko sprawdzić, czy się zadomowiłaś. – Dokładnie to samo powiedziała mi wczoraj.

I przedwczoraj.

– Wszystko w porządku – odpowiadam dokładnie tak samo jak wczoraj.

I przedwczoraj.

– A jak dom?

– Też w porządku. Dlatego powiedziałam, że wszystko.

Ignoruje moją złośliwość. Jeśli na świecie istnieje jedna osoba, której nie wzrusza mój sarkazm, to jest nią Lolly Fletcher. Ma trzydziestosześcioletnią praktykę.

– A piłaś? – pyta. To prawdziwy cel jej codziennych telefonów.

– Oczywiście, że nie.

Zerkam na łeb łośia gapiący się na mnie szklistym wzrokiem ze ściennych wyżyn. Martwy od prawie stulecia, a ja nie mogę się pozbyć wrażenia, że gani mnie za te kłamstwa.

– Mam szczerą nadzieję, że to prawda – mówi matka. – Jeśli tak, to oby tak dalej. A jeśli nie... cóż, będę musiała wysłać cię w skuteczniejsze miejsce.

Na odwyk.

To ma na myśli. Wyprawi mnie do jakiegoś ośrodka w Malibu z „obietnicą”, „spokojem” albo „nadzieją” w nazwie. Już bywałam w takich miejscach i wszystkie znienawidziłam. Dlatego matka zawsze robi takie aluzje, kiedy chce mnie ustawić do pionu. To zawołowana groźba, której nigdy nie wyraża wprost.

– Wiesz, że tego nie chcę – dodaje. – Znowu zrobiłby się szum w mediach i ci okropni plotkarze pastwiliby się nad tobą jeszcze bardziej.

To jedna z niewielu rzeczy, co do których zgadzamy się z matką. Plotkarze naprawdę są okropni. I chociaż nazywanie tego, co robią, pastwieniem się zakrawa na lekką przesadę, bez wątplenia są irytujący. To dlatego wylądowałam w tej samotni nad jeziorem Greene, a nie w swoim mieszkaniu na Upper West Side – żeby uciec przed wścibskim wzrokiem paparazzich. Byli niezmordowani. Koczowali przed moim domem. Śledzili mnie, gdy szłam do Central Parku. Opisywali każdy mój ruch i próbowali przyłapać mnie z drinkiem w dłoni.

W końcu miałam już tak dość tej inwigilacji, że wmaszerowałam do najbliższego baru, usiadłam na zewnątrz z podwójnym drinkiem old fashioned i opróżniłam szklaneczkę jednym haustem przy akompaniamencie migawek tuzina aparatów fotograficznych. Następnego ranka zdjęcie upamiętniające tę chwilę znalazło się na okładce „New York Post”.

„Casey daje w gaz”, głosił nagłówek.

Tego samego dnia po południu w moich drzwiach stanęła matka w towarzystwie swojego kierowcy Ricarda.

– Myślę, że powinnaś pojechać na miesiąc nad jezioro, co ty na to?

Choć brzmiało to jak pytanie, nie miałam w tej sprawie nic do powiedzenia. Jej ton mówił wyraźnie, że tam pojedę, czy mi się to podoba, czy nie, że Ricardo mnie zawiezie i że nie ma mowy o wstąpieniu po drodze do monopolowego.

No i jestem w tej więziennej izolatce. Matka przysięga, że to dla mojego dobra, ale ja wiem, co jest grane. To kara. Bo choć połowa tego, co się stało, nie była moją winą, ta druga połowa to już zdecydowanie moja sprawka. Kilka tygodni temu

pewna znajoma, która redaguje wspomnienia celebrytów, zaproponowała, żebym napisała własne.

– Większość gwiazd uważa, że to prawdziwe katharsis – dodała.

Zgodziłam się, ale pod warunkiem, że całość zatytułuję *Jak zostać pożywką dla brukowców w siedmiu prostych krokach*. Uznała, że to żart, i może faktycznie żartowałam, ale i tak się upieram, że to dobry tytuł. Myślę, że ludzie zrozumieliby mnie lepiej, gdybym przedstawiła im swoje życie w postaci instrukcji à la Ikea.

Krok pierwszy: trzeba być, rzecz jasna, jedynym dzieckiem Uwielbianej Lolly Fletcher, ikony Broadwayu, i Garetha Greene’a, dość ciapowatego producenta.

Moja matka zadebiutowała na Broadwayu w wieku dziewiętnastu lat. Od tamtej pory pracuje bez przerwy. Głównie na scenie, ale także w filmach i telewizji. YouTube pęka w szwach od jej występów w *The Lawrence Welk Show*, *The Mike Douglas Show*, *Match Game* oraz licznych ceremonii wręczenia nagród. Jest drobna, ma ledwie metr pięćdziesiąt wzrostu, jeżeli włoży szpilki. I nie tyle się uśmiecha, ile błyszczy i migocze. Cała aż łśni – od łuku kupidyna po piwne oczy – i promieniuje tym blaskiem na zewnątrz, na widownię, hipnotyzując ją swoim talentem.

I moja matka jest utalentowana. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Była – i jest nadal – prawdziwą gwiazdą w starym stylu. U szczytu sławy Lolly Fletcher umiała tańczyć, grać i rozbawiać publiczność lepiej niż najlepsi z najlepszych. Do tego śpiewała potężnym głosem, który u kobiety tak drobnej postury wydawał się nieco upiorny.

Ale zdradzę wam mały sekret o mojej matce: za tym migotaniem, w głębi tej drobnej figury, znajduje się kręgosłup ze stali. Dorastając w biedzie w miasteczku węglowym w Pensylwanii, mała Lolly Fletcher postanowiła, że kiedyś zostanie sławna, a dokona tego dzięki swemu głosowi. Dawała z siebie wszystko, sprzątając studia w zamian za lekcje tańca, pracując po szkole w trzech miejscach, żeby opłacić trenera wokalnego, i ćwicząc całymi godzinami. W wywiadach twierdzi, że

nigdy w życiu nie paliła ani nie piła alkoholu, a ja w to wierzę. Nic nie mogło stanąć jej na drodze do sukcesu.

A kiedy dotarła na szczyt, harowała jak wół, żeby na nim pozostać. Lolly Fletcher nigdy nie zawałała przedstawień. Nieoficjalne motto w naszym domu brzmiało: „Po co się wysilać, jeśli nie zamierzasz dać z siebie wszystkiego?”.

Moja matka wciąż daje z siebie wszystko każdego cholernego dnia.

Jej dwie pierwsze sztuki wystawili Greene Brothers, jeden z najlepszych wówczas duetów producenckich. Stuart Greene był buńczuczny i intrygującym szefem reklamy, a Gareth Greene nieporuszonym liczykrupą. Obaj byli oczarowani młodą Lolly od pierwszej chwili, a większość ludzi sądziła, że dziewczyna wybierze piarowca. Ona jednak wolała starszego od niej o dwie dekady księgowego.

Wiele lat później Stuart poślubił pewną tancerkę rewiową i urodziła się Marnie.

Minęły kolejne trzy lata i urodziłam się ja.

Byłam późnym dzieckiem. Moja matka miała wtedy czterdzieści jeden lat, dlatego zawsze podejrzewałam, że zaszła w ciążę, aby móc się czymś zająć. Wypełnić sobie czas przestoju w karierze, kiedy była za stara, by grać Elizę Doolittle czy Marię von Trapp, ale wciąż o kilka lat za młoda na role Pani Lovett i Mamy Rose.

Jednak macierzyństwo interesowało ją mniej niż występy na scenie. Nie minęło pół roku, a ona już grała we wznowieniu musicalu *Król i ja*, natomiast ja, całkiem dosłownie, zostałam dzieckiem Broadwayu. Moje łóżeczko stało w garderobie matki, a pierwsze kroki stawiałam na scenie, praktycznie rozkoszując się blaskiem światła, które zawsze paliło się na pustej scenie dla duchów teatru.

Na tej podstawie matka założyła, że pójdę w jej ślady. Wręcz się tego domagała. Kiedy przez pół roku grała w *Nędznikach* w Londynie, zadebiutowałam jako mała Kozeta. Dostałam tę rolę nie dlatego, że umiałam śpiewać czy tańczyć albo że byłam choć trochę utalentowana, ale dlatego, że Lolly Fletcher zastrzegła to

w swoim kontrakcie. Zastąpiono mnie po dwóch tygodniach, bo ciągle narzekałam, że źle się czuję i dłużej nie mogę. Matka była wściekła.

To prowadzi nas do kroku drugiego: buntu.

Po kłapie *Nędzników* mój zrównoważony ojciec zaczął mnie chronić przed zapędami matki, aby zrobić ze mnie gwiazdę. Umarł, kiedy miałam czternaście lat, a wtedy ja się zbuntowałam, co dla bogatego dzieciaka mieszkającego na Manhattanie oznaczało narkotyki. I włóczenie się po klubach, gdzie się je brało. A potem na after party, gdzie brało się ich jeszcze więcej.

Palłam.

Wciągałam.

Kładłam kolorowe pigułki na język i pozwalałam im się rozpuszczać, aż przestawałam czuć wewnątrz ust.

I to działało. Przez kilka błogich godzin nie obchodziło mnie, że ojciec nie żyje, a dla matki ważniejsza ode mnie jest jej kariera; nie przeszkadzało mi, że wszyscy otaczający mnie ludzie są tu tylko dlatego, że płacę za prochy, i że nie mam prawdziwych przyjaciół oprócz Marnie. Ale potem nagle wracałam do rzeczywistości, budząc się w jakimś obcym mieszkaniu, w którym nie pamiętałam, jak się znalazłam. Albo na tylnym siedzeniu taksówki, kiedy świt błyskał między budynkami ciągnącymi się wzdłuż East River. Albo w wagonie metra, w poplamionej wymiocinami zbyt krótkiej spódnicy i w towarzystwie bezdomnego śpiącego na siedzeniu naprzeciwko.

Matka próbowała temu zaradzić wszelkimi siłami. To trzeba jej przyznać. Tyle że jej wysiłki ograniczały się do szastania pieniędzmi. Robiła wszystko to, co robią bogaci rodzice ze swoimi narwanymi córkami. Wysłała mnie do szkoły z internatem, na odwyk i na terapię, podczas której obgryzałam skórki wokół paznokci, zamiast mówić o swoich uczuciach.

I nagle zdarzył się cud. Polepszyło mi się.

A właściwie to się znudziłam i stąd ta poprawa. Zanim skończyłam dziewiętnaście lat, tyle już narozrabiałam, że w końcu zaczęło mnie to męczyć.

Chciałam spróbować czegoś nowego. Chciałam spróbować nie być jedną wielką katastrofą. Rzuciłam prochy, kluby i „przyjaciół”, z którymi się bujałam. Nawet studiowałam na uniwerku przez jeden semestr.

I właśnie na studiach wydarzył się kolejny cud – krok trzeci.

Zajęłam się aktorstwem.

Nigdy nie zamierzałam iść w ślady matki. Dorastałam w otoczeniu show-biznesu i nie chciałam mieć z nim nic wspólnego. Ale rzecz w tym, że był to jedyny świat, jaki znałam. Kiedy więc koleżanka ze studiów przedstawiła mnie swemu ojcu, który był reżyserem, a on pewnego dnia spytał mnie, czy chcę zagrać rolę w jego następnym filmie, odparłam: „Czemu nie?”.

Film był dobry. Sporo zarobił, a ja stałam się znana. Nie jako Casey Greene, choć tak brzmiało moje prawdziwe nazwisko. Wolałam być Casey Fletcher, bo powiedzmy sobie szczerze, mając takie pochodzenie, głupio byłoby go nie wykorzystać.

Dostałam rolę w następnym filmie. A potem posypały się kolejne. Ku zachwytowi mojej matki, a mojemu zdumieniu spełnił się mój najgorszy koszmar: zostałam czynną aktorką.

I tu jeszcze jedna niespodzianka: jestem w tym całkiem dobra.

Na pewno nie legendarna jak matka, która jest prawdziwą mistrzynią w swoim fachu. Ale łatwo mnie reżyserować, mam przyzwoitą prezencję i potrafię ożywić nawet najnudniejszy dialog. Nie jestem aż tak piękna, by obsadzać mnie w głównych rolach, więc często grywam oddaną przyjaciółkę bohaterki, jej rozsądną siostrę albo życzliwą koleżankę z pracy. Nigdy nie zostanę taką gwiazdą jak moja matka i nie jest to moim celem. Ale mam nazwisko. Jestem znana. Reżyserzy mnie lubią. Ludzie od castingu dają mi duże role w małych filmach i małe role w dużych filmach, a raz nawet zostałam główną bohaterką w sitcomie, który jednak skończył się po trzynastu odcinkach.

Nie dbam o to, czy rola jest duża, czy mała. Dla mnie liczy się sama postać. Chcę grać złożone, interesujące bohaterki, za którymi mogę się schować.

Kiedy gram, chcę się stać kimś zupełnie innym.

To dlatego moją największą miłością jest teatr. Ironia losu, wiem. Zdaje się, że dzieciństwo za kulisami jednak zrobiło swoje. Role są lepsze, bez dwóch zdań. W filmie zaproponowano mi ostatnio zagranie matki aktora młodszego ode mnie o sześć lat – w reboocie *Transformers*. Moja postać miała wypowiedzieć czternaście linijek tekstu. W teatrze dostałam propozycję głównej roli w broadwayowskim thrillerze, z dialogami na każdej stronie. Za film podziękowałam, wybrałam sztukę. Wolę to wyraźne iskrzenie między aktorem a widzem, które istnieje wyłącznie w teatrze. Czuję je za każdym razem, kiedy wychodzę na scenę. Dzielimy tę samą przestrzeń, oddychamy tym samym powietrzem, odbywamy tę samą emocjonalną podróż. A potem wszystko znika. Całe to doświadczenie jest ulotne jak dym.

Całkiem lubię swoją karierę, która już ledwo zipie, choć Marnie twierdzi inaczej. A skoro mowa o rzeczach nietrwałych, to właśnie dotarliśmy do kroku czwartego: wyjdź za scenarzystę, który również ma nazwisko, ale nie tak wielkie, żeby przyćmić twoje.

W moim przypadku był to Len. Jako Leonard Bradley współtworzył kilka filmów, które na pewno widzieliście, i wiele takich, których na pewno nie widzieliście. Za pierwszym razem spotkaliśmy się na pewnej imprezie, a za drugim na planie filmowym, którego scenariusz anonimowo szlifował. W obu przypadkach pomyślałam, że jest uroczy, zabawny i może nawet seksowny w tej swojej bluzie z kapturem i bejsbolówce z logo Knicksów. Nie widziałam w nim materiału na chłopaka aż do naszego trzeciego spotkania, kiedy oboje wracaliśmy tym samym samolotem do Nowego Jorku.

– Musimy przestać tak się spotykać – powiedział.

– Masz rację – odparłam. – Wiesz, jak w tym mieście plotkują.

Załatwiliśmy sobie sąsiednie miejsca i przegadaliśmy cały lot. Zanim samolot wylądował, umówiliśmy się na kolację. Na lotnisku JFK, kiedy staliśmy przy

stanowisku odbioru bagażu – oboje zarumienieni od flirtowania, nie mając ochoty się rozstać – rzuciłam w końcu:

– Czeka na mnie samochód. Powinam już iść.

– Oczywiście. – Len urwał, nagle onieśmielony. – A dostanę przedtem całusa?

Zgodziłam się i wręcz zakręciło mi się w głowie, jakbym miała tam jedną z tych karuzeli bagażowych wypełnionych po brzegi walizkami Samsonite.

Pół roku później pobraliśmy się w ratuszu w obecności świadków: Marnie i mojej matki. Len nie miał własnej rodziny. A w każdym razie nikogo, kogo chciałby zaprosić na zorganizowany naprędce ślub. Jego matka była o trzydzieści lat młodsza od jego ojca. Miała osiemnaście lat i była w ciąży, kiedy za niego wychodziła, a dwadzieścia trzy, gdy porzuciła i męża, i syna. Ojciec wyładowywał się na Lenie. Wkrótce po tym, jak zostaliśmy parą, dowiedziałam się, że złamał mu rękę, kiedy Len miał sześć lat. Następne dwanaście lat Len spędził w rodzinie zastępczej. Po raz ostatni rozmawiał z ojcem – obecnie od dawna nieżyjącym – tuż przed swoim wyjazdem na studia na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles, gdzie dostał pełne stypendium.

Z uwagi na swoją przeszłość Len był zdeterminowany, by nie popełniać tych samych błędów co jego rodzice. Nigdy się nie złościł i rzadko bywał smutny. Kiedy się śmiał, robił to całym ciałem, jakby miał w sobie za dużo szczęścia, aby utrzymać je na wodzy. Był świetnym kucharzem, jeszcze lepszym słuchaczem i uwielbiał długie, gorące kąpiele w wannie, najlepiej w moim towarzystwie. Nasze małżeństwo obfitowało w liczne gesty, te wielkie – jak wtedy, kiedy w dniu moich urodzin wynajął całe kino, żebyśmy mogli tylko we dwoje obejrzeć *Okno na podwórze* – i te małe. Zawsze otwierał przede mną drzwi. I zamawiał pizzę z dodatkowym serem, nie pytając mnie o zdanie, bo wiedział, że właśnie taką lubię. I doceniał ciszę, kiedy oboje byliśmy w tym samym pokoju, ale zajmowaliśmy się czymś innym.

W rezultacie przez pięć lat naszego małżeństwa czułam się niemal upojnie szczęśliwa.

A chwile szczęścia są bardzo ważne.

Bez nich nie byłoby za czym tęsknić, kiedy wszystko nieuchronnie obraca się w proch.

Co prowadzi nas do kroku piątego: spędź lato nad jeziorem Greene.

Dom nad jeziorem zawsze był dla mojej rodziny wyjątkowy. Pomysłany przez prapradziadka jako ucieczka od parnego, cuchnącego nowojorskiego lata, niegdyś był jedyną posiadłością nad tym bezpretensjonalnym skrawkiem wody. Stąd właśnie wzięła się jego nowa nazwa. Dawne jezioro Otshee, nazywane tak od rdzennego plemienia, które kiedyś zamieszkiwało ten teren, zostało przemianowane na Greene dla uczczenia pierwszego białego człowieka na tyle nieustraszonego, by coś tu zbudować – bo wiecie, Ameryka.

Mój ojciec spędzał każde lato nad tym jeziorem, noszącym jego rodowe nazwisko. Tak jak jego ojciec przed nim. I tak jak ja. W dzieciństwie uwielbiałam życie nad jeziorem. Dawało mi tak bardzo potrzebne wytchnienie od nieustannych dramatów mojej matki. Do moich najmilszych wspomnień należą niekończące się dni spędzane na łapaniu świetlików, pieczeniu pianek nad ogniskiem i pływaniu w pełnym słońcu, aż moja opalona skóra wyglądała jak wygarbowana.

To Len zaproponował letni wyjazd nad jezioro, aby odreagować chłodną i błotnistą zimę, w czasie której prawie się nie widywaliśmy. Ja byłam zajęta broadwayowskim thrillerem, dla którego odrzuciłam rolę w *Transformers*, a Len musiał co chwila wracać do LA, żeby poprawiać kolejny szkic scenariusza filmu o superbohaterach, który wziął na warsztat, błędnie sądząc, że to będą łatwe pieniądze.

– Potrzebujemy przerwy – powiedział podczas wielkanocnego brunchu. – Wyrwijmy się stąd i spędźmy lato nad jeziorem Greene.

– Całe lato?

– Całe. Myślę, że dobrze nam to zrobi. – Uśmiechnął się do mnie znad krwawej mary, którą popijał. – Stanowczo potrzebuję przerwy.

Ja też jej potrzebowałam. A zatem zrobiliśmy sobie wolne. Ja wzięłam czteromiesięczny urlop w teatrze, a Len wreszcie dokończył scenariusz i mogliśmy wyruszyć do Vermontu na lato. Było cudownie. Dni upływały nam na lekturze, drzemkach i kochaniu się. Wieczorami szykowaliśmy wymyślne kolacje i przesiadywaliśmy na werandzie, sącząc mocne koktajle i słuchając upiornych nawoływań nurów odbijających się echem od tafli jeziora.

Pewnego popołudnia pod koniec lipca napełniliśmy kosz piknikowy winem, serem i świeżymi owocami kupionymi rankiem na pobliskim targu rolnym. Wybraliśmy się na południowy kraniec jeziora, gdzie las ustępuje skalnemu urwisku. Kiedy wdrapaliśmy się na jego szczyt, wyłożyliśmy prowiant na kocu w szkocką kratę i spędziliśmy cały dzień, podjadając przekąski, sącząc wino i gapiąc się na wodę daleko w dole.

W pewnym momencie Len odwrócił się do mnie i powiedział:

– Zostańmy tu na zawsze, Cee.

Cee.

Tak zaczął mnie nazywać, kiedy uznał, że „Case” brzmi zbyt poważnie jak na pieśzcotliwy przydomek.

– Przywodzi mi na myśl prywatnego detektywa – stwierdził. – Albo, co gorsza, prawnika*.

– A może ja wcale nie potrzebuję ksywki – odparłam. – Moje imię nie brzmi aż tak niezręcznie.

– Wtedy tylko ja z nas dwojga miałbym ksywkę. A to byłoby z mojej strony strasznie samolubne, nie sądzisz?

Byliśmy wtedy parą od dwóch tygodni i oboje czuliśmy, że z naszego związku szybko robi się coś poważnego, ale żadne z nas nie było jeszcze gotowe tego przyznać. To dlatego Len aż wychodził z siebie tamtego wieczoru. Chciał mnie olśnić dowcipem. A choć jego dowcip mógł się wydawać nieco wymuszony, i tak poczułam się olśniona.

I taka pozostałam przez większą część naszego małżeństwa.

– Sprecyzuj „na zawsze” – zażądałam, hipnotyzowana blaskiem słońca odbijającym się od jeziornej tafli i letnią bryzą we włosach.

– Nigdy stąd nie wyjeżdżajmy. Tak jak Stary Uparciuch.

Len wskazał palcem na skamieniały pień drzewa sterczący z wody niespełna pięćdziesiąt metrów od brzegu w dole. Nad jeziorem Greene był prawdziwą legendą, głównie dlatego, że nikt nie wiedział, jakim cudem ten wypłowiwały od słońca kawał drewna może wystawać nad powierzchnię na sześć metrów ani na jaką długość musi się ciągnąć pod wodą, aby dosięgnąć dna. Wszyscy nazywaliśmy go Starym Uparciuchem, bo Eli, który badał takie rzeczy, twierdził, że pień znajduje się tam od kilkuset lat i będzie stał w tym miejscu jeszcze długo po nas.

– Czy to w ogóle możliwe? – spytałam.

– Jasne. Musielibyśmy sporo dojeżdżać do pracy w centrum i w LA, ale żadne prawo nie nakazuje nam mieszkać na Manhattanie. Moglibyśmy przenieść się tu na dobre. To mógłby być nasz dom.

Dom.

Podobało mi się, jak to brzmiało.

Nie miało znaczenia, że formalnie dom nad jeziorem należał do mojej ciotki i matki. Ani to, że wschodni Vermont znajdował się spory kawał od Manhattanu, nie mówiąc już o LA, w którym Len spędzał tak dużo czasu. Pomysł był bardzo kuszący. Podobnie jak mój mąż tęskniłam za życiem z dala od tej naszej harówki na obu wybrzeżach.

– Zastanowię się nad tym – powiedziałam.

Nie zdążyłam. Tydzień później Len już nie żył.

To właśnie jest krok szósty.

Twój mąż umiera podczas urlopu.

Rankiem, w dniu, kiedy to się stało, Eli wyrwał mnie z łóżka głośnym waleniem w drzwi wejściowe. Zanim poszłam otworzyć, spojrzałam na zegar w przedpokoju. Siódma. O wiele za wcześnie na sąsiedzkie wizyty.

Coś było nie tak.

– Wasza łódź się odwiązała – oznajmił Eli. – Widziałem, jak dryfuje po jeziorze. Chyba źle ją zacumowaliście.

– Dalej tam jest? – spytałam.

– Nie. Przyholowałem ją do mojego pomostu. Mogę cię tam podrzucić. – Omiótł wzrokiem moją koszulę nocną i narzucony na nią w pośpiechu szlafrok, a także kompletny nieład na głowie. – Albo podwiozę Lena.

Len.

Nie było go w łóżku, kiedy wstawałam. Ani nigdzie w domu. Razem z Eliem przeszukaliśmy wszystkie kąty, wołając jego imię. Bez skutku. Zniknął.

– Może wyszedł pobiegać czy coś?

– On nie biega – odparłam. – Pływa.

Oboje spojrzeliśmy na jezioro połyskujące za wysokimi oknami salonu. Tafla była nieruchoma. I pusta. Nie mogłam pozbyć się myśli o dryfującej bez celu łodzi. Również pustej.

Eli też musiał ją sobie wyobrazić, bo powiedział:

– Czy Len mógł z jakiegoś powodu wypłynąć dziś rano?

– Czasem... – Urwałam, żeby przełknąć gulę niepokoju, która nagle wyrosła mi w gardle. – Czasem rano wypływa na ryby.

Eli o tym wiedział. Widywał Lena na wodzie w tym śmiesznym kapeluszu wędkarskim, palącego te jego obrzydliwe cygara, które podobno odpędzały komary. Czasem nawet wypływali łowić razem.

– Widziałaś, jak wychodził dziś rano? – Rzuciwszy jeszcze jedno spojrzenie na mój nocny strój i opuchnięte oczy, Eli słusznie wywnioskował, że to on mnie obudził. – Albo słyszałaś?

Odpowiedziałam krótkim, przestraszonym potrząśnięciem głowy.

– A wieczorem nie wspominał, że się wybiera na ryby?

– Nie – odparłam. – Ale nie zawsze mnie uprzedza. Zwłaszcza jeśli uważa, że pośpię dłużej. Czasami po prostu wychodzi.

Eli przeniósł wzrok z powrotem na puste jezioro. Gdy znów się odezwał, jego głos brzmiał niepewnie i ostrożnie.

– Kiedy ściągałem waszą łódź, widziałem w środku wędkę i skrzynkę na narzędzia. Zwykle Len ich tam chyba nie trzyma?

– Nie. Trzyma je...

„W piwnicy”, zamierzałam powiedzieć, ale zamiast dokończyć zdanie, po prostu pobiegłam w to miejsce. Zeszłam po skrzypiących schodach na niższe piętro, które formalnie rzecz biorąc, stanowi parter domu nad jeziorem, ale uważamy je za piwnicę, bo jest wbudowane w strome zbocze, które opada w kierunku wody. Eli szedł za mną krok w krok. Obok pomieszczenia z piecem i bojlerem. Obok stołu do ping-ponga, którego ostatnio używano w latach dziewięćdziesiątych. Obok wiszących na ścianie nart i stojących w kącie łyżew. Zatrzymał się dopiero wtedy, kiedy ja się zatrzymałam.

W przedsionku.

To tamtędy Len i ja wychodziliśmy, żeby popływać łódką, i wracaliśmy do domu od strony jeziora przez stare niebieskie drzwi, które były tam od zawsze. W przedsionku znajduje się stary zlew i długi, drewniany wieszak, na którym wisiały kurtki, bluzy z kapturem i kapelusze.

Oprócz jednego.

Brakowało kapelusza wędkarskiego Lena – oklapłego i cuchnącego, w kolorze wojskowej zieleni.

Do tego pusta była półka, na której powinny się znajdować skrzynka z narzędziami i wędka, a skrzypiące niebieskie drzwi prowadzące na zewnątrz stały lekko uchylone.

Wyrwał mi się zdławiony szloch, na co Eli natychmiast odwrócił mnie od tego widoku, jakbym patrzyła na okaleczonego trupa. Ścisnął mnie za ramiona, spojrzął mi w oczy i powiedział:

– Myślę, że powinniśmy wezwać policję.

To on zadzwonił. I w ogóle zrobił wszystko, szczerze mówiąc. Skrzyknął Fitzgeraldów ze swojej strony jeziora oraz Mitchellów, którzy mieszkali po mojej, i zorganizował ekipę poszukiwawczą.

I to on w końcu znalazł Lena, tuż po dziesiątej tamtego ranka.

Najpierw zauważył kapelusz pływający jak liść lilii wodnej kilka metrów od brzegu. Wszedł do jeziora, żeby go wyłowić, a kiedy zawrócił, ujrzał zwłoki Lena leżące jakieś sto metrów dalej, niczym wyrzucona na brzeg ofiara morskiej katastrofy.

Reszty szczegółów nie znam. Ani Eli, ani policja nie zdradzili mi, gdzie dokładnie znaleziono mojego męża, a ja nie pytałam. Wolałam nie wiedzieć. Zresztą to nie miało znaczenia. Len i tak nie żył.

Po zadaniu mi kilku pytań policja dość szybko złożyła wszystko w całość. Len, który nad jeziorem zawsze był rannym ptaszkiem, obudził się, zaparzył sobie kawę i postanowił pójść na ryby.

W pewnym momencie wypadł za burtę, choć władze nie potrafiły mi wyjaśnić, jak, dlaczego ani kiedy się to stało. Autopsja wykazała w jego organizmie alkohol – piliśmy poprzedniego wieczoru – i znaczną ilość leków przeciwhistaminowych, które brał na swoje alergie, co sugerowało, że tego ranka przed wyjściem z domu zażył podwójną dawkę. Lekarz sądowy stwierdził jedynie, że Len wpadł do wody i utonął, zostawiając w łodzi skrzynkę z narzędziami, wędkę i termos pełen wciąż ciepłej kawy.

I zostawiając mnie.

W wieku trzydziestu pięciu lat zostałam wdową.

Po czymś takim pozostaje już tylko jeden, ostatni krok.

Pechowa siódemka.

Rozsypka.

Moje załamanie przebiegało dość powoli, dzięki wielu ludziom, którzy się o mnie troszczyli. Eli był przy mnie, dopóki Ricardo nie przywiózł z Manhattanu

mojej matki i Marnie. Spędziłyśmy bezsenłą noc, pakując moje rzeczy, i wyjechałyśmy z samego rana.

Przez następne pół roku radziłam sobie tak dobrze, jak to możliwe w takich okolicznościach. Przeżywałam żałobę publicznie i prywatnie. Sumiennie wzięłam udział w dwóch nabożeństwach żałobnych, pierwszym w Nowym Jorku i drugim w Los Angeles, zanim wróciłam na jedno popołudnie nad jezioro Greene, gdzie w obecności niewielkiej grupy przyjaciół i rodziny rozsypałam prochy Lena nad wodą.

Dopiero w drugim półroczu wszystko nagle runęło. Wcześniej otaczali mnie ludzie. Matka odwiedzała mnie codziennie albo wysyłała Ricarda, kiedy pracowała. Marnie, inne przyjaciółki i koleżanki z pracy dzwoniły, wpadały, dowiadywały się, jak sobie radzę. Ale taka fala życzliwości może trwać tylko do czasu. Ludzie idą naprzód ze swoim życiem. Muszą.

W końcu zostałam sama z tysiącem emocji i nie potrafiłam ich ukoić bez czyjejś pomocy. Gdy miałam czternaście lat i opłakiwałam ojca, uciekłam w narkotyki. Tamtego błędu nie powtórzyłam – tym razem uznałam, że odpowiedzią będzie alkohol.

Głównie burbon. Ale także gin. I wódka. I wino każdego koloru. A raz, kiedy zapomniałam się zaopatrzyć przed burzą śnieżną, gruszkowa brandy, którą wychlałam prosto z butelki. Alkohol nie pozwalał pozbyć się bólu całkowicie, ale na pewno go łagodził. Picie sprawiało, że okoliczności mojego wdowieństwa wydawały się czymś odległym, jak niewyraźnie zapamiętany koszmar, z którego obudziłam się dawno temu.

I byłam zdecydowana pić dopóty, dopóki po tym koszmarze nie zostanie żadne wspomnienie.

W maju zapytano mnie, czy chcę wrócić do sztuki, z której odeszłam przed wyjazdem do Vermontu. *Strzép wątpliwości*, taki miała tytuł. Opowiadała o kobiecie, która podejrzewa, że mąż próbuje ją zabić. Uwaga, spoiler: ma rację.

Marnie zalecała odmowę, sugerując, że producenci chcą tylko zwiększyć sprzedaż biletów i zbić interes na mojej tragedii. Matka radziła się zgodzić, twierdząc, że praca to najlepsze lekarstwo.

Zgodziłam się.

Matka wie najlepiej, prawda?

Jak na ironię moja gra aktorska znacznie się poprawiła.

– Trauma coś w tobie odblokowała – powiedział reżyser, jakby śmierć mojego męża była moim świadomym wyborem twórczym. Podziękowałam mu za komplement i poszłam prosto do baru po drugiej stronie ulicy.

Wtedy już wiedziałam, że za dużo piję. Ale dawałam radę. Przed spektaklem wypijałam dwa drinki w garderobie, żeby się wyluzować, a po wieczornym występie tyle, na ile miałam ochotę.

W ciągu kilku miesięcy moje dwa drinki przed wyjściem na scenę stały się trzema, a picie po występie czasami trwało całą noc. Ale robiłam to dyskretnie. Nie pozwalałam, aby wpływało to na moją pracę.

Do czasu, kiedy pojawiłam się w teatrze pijana.

Na środową popołudniówkę.

Kierowniczką sceny przydybała mnie w garderobie, gdzie drżącymi rękami nakładała sobie makijaż.

– Nie wyjdiesz taka na scenę – powiedziała.

– Niby jaka? – rzuciłam, udając obrażoną. To był mój najlepszy występ tego dnia.

– Pijana jak bela.

– Grałam tę rolę ze sto razy – odpowiadam. – Pójdzie, kurwa, jak z płotka.

Nie poszło, kurwa, jak z płotka.

Wiedziałam, że nie pójdzie, gdy tylko weszłam na scenę. Cóż, „weszłam” to nie jest właściwe słowo. Ja się wtoczyłam, kiwając się tak, jakby miotał mną huragan. Potem zapomniałam pierwszej kwestii. Potem zwałam się na najbliższe krzesło.

A potem z tego krzesła na podłogę, gdzie leżałam w pijackim zamroczeniu, dopóki dwóch innych aktorów nie zawlokło mnie za kulisy.

Przedstawienie przerwano, ściągnięto moją dublerkę, a mnie zwolniono, jak tylko producenci uznali mnie za wystarczająco trzeźwą, żebym zrozumiała, co do mnie mówią. Stąd brukowce, paparazzi i zesłanie nad odległe jezioro, gdzie nie będę przynosiła sobie wstydu i gdzie matka może codziennie mnie kontrolować.

– Powiedz, że naprawdę nie pijesz – mówi teraz.

– Naprawdę nie piję. – Odwracam się do łosia na ścianie i kładę palec na ustach, jakbyśmy dzielili wspólną tajemnicę. – Ale dziwiłabyś się, gdybym piła?

Milczy. Zna mnie na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie usłyszy ode mnie wyraźniejszego przyznania się.

– Skąd to masz? – pyta w końcu. – Od Ricarda? Kategorycznie zabroniłam mu...

– Nie od Ricarda – ucinam, nie dodając, że w drodze z Manhattanu faktycznie błagałam go, żeby zatrzymał się w monopolowym. Po papierosy, powiedziałam mu, chociaż nie palę. Nie dał się nabrać. – Było na miejscu. Latem zrobiliśmy z Lenem zapas.

To prawda. Poniekąd. Owszem, przywieźliśmy sporo butelek, tyle że większość została opróżniona jeszcze przed jego śmiercią. Ale nie zamierzam powiedzieć matce, jak naprawdę zdobyłam alkohol.

Wzdycha. Wszystkie związane ze mną nadzieje i marzenia ulatują z tym jednym, długim, powolnym westchnieniem.

– Nie rozumiem – mówi – dlaczego wciąż to sobie robisz. Wiem, że tęsknisz za Lenem. Wszystkie tęsknimy. Też go kochałyśmy, wiesz o tym.

Wiem. Len miał w sobie nieskończone pokłady uroku i owinął sobie Lolly Fletcher wokół palca, ledwie się poznali. Z Marnie było tak samo. Szalały za nim, ale choć wiem, że jego śmierć też je zdruzgotała, ich smutek jest niczym w porównaniu z moim.

– To nie to samo – odpowiadam. – Ciebie nikt nie ukarał za rozpacz.

– Straciłaś nad sobą panowanie, musiałam coś zrobić.

– Więc wysłałaś mnie tutaj. Właśnie tu. Gdzie to się stało. Nie przyszło ci do głowy, że to mnie rozjebie jeszcze bardziej?

– Myślałam, że ci pomoże.

– Niby jak?

– Bo wreszcie się skonfrontujesz z tym, co się stało. Dopóki tego nie zrobisz, nie zamkniesz tego rozdziału.

– W tym rzecz, mamo. Ja wcale nie chcę zamykać tego rozdziału.

Rzucam słuchawkę na widełki i wyszarpuję wtyczkę z gniazdka w ścianie. Koniec z jej wydzwanianiem na telefon stacjonarny. Wpycham aparat do szuflady nieużywanej komody i zerkam w wiszące nad nią lustro ze złoconymi brzegami.

Ubranie mam wilgotne, włosy zwisają mi w strąkach, a krople wody wciąż oblepiają twarz niczym brodawki. Ten widok – fatalny pod każdym względem – każe mi wrócić na werandę, gdzie czeka porcja burbona. Lód się roztopił i na dnie szklaneczki połyskuje pięć centymetrów bursztynowego płynu.

Przechylam ją i wypijam wszystko, co do kropelki.

* Case (ang.) – sprawa, śledztwo, dochodzenie; także: rozprawa sądowa, proces (przyp. tłum.).

O wpół do szóstej, wykąpana i ubrana w suche ciuchy, znów siedzę na werandzie i patrzę, jak słońce chowa się za górami w oddali po drugiej stronie jeziora. Obok mnie stoi świeży burbon.

Czwarty dzisiaj.

Albo piąty.

Upijam łyk i podnoszę wzrok na jezioro. Stojący dokładnie naprzeciwko mnie dom Royce'ów jest rozświetlony niczym scena w teatrze, każdy pokój aż lśni. W środku poruszają się dwie postacie, których jednak nie widzę zbyt wyraźnie. Jezioro liczy w tym miejscu prawie pół kilometra szerokości. To wystarczająco blisko, żeby mieć pojęcie, co się dzieje w tamtym domu, ale za daleko, żeby dostrzec jakiegokolwiek szczegóły.

Obserwując poczynania niewyraźnych sylwetek w oddali, zastanawiam się, czy Tom i Katherine czują się tak obnażeni jak ja, kiedy byłam w ich domu. Może im to nie przeszkadza. Jako była modelka Katherine jest pewnie przyzwyczajona do bycia obserwowaną. Ostatecznie ktoś, kto kupuje na wpół szklany dom, zdaje sobie sprawę, że stanie się obiektem obserwacji. Może nawet dlatego go kupuje.

To bzdura, wiem. Jednym z powodów, dla których domy są tutaj takie drogie, jest widok na jezioro Greene. Drugim jest prywatność. I prawdopodobnie właśnie ten atut skłonił Toma i Katherine Royce'ów do zakupu domu po drugiej stronie jeziora.

Gdy jednak zauważam leżącą niedaleko lornetkę, dokładnie tam, gdzie ją wcześniej upuściłam, nie mogę się powstrzymać, żeby po nią nie sięgnąć. Wmawiam sobie, że chcę ją tylko wyczyścić. Ale wiem, że to kwestia czasu, zanim przyłożę ją do oczu i spojrzę na przeciwległy brzeg, zbyt ciekawa, by oprzeć się pokusie zerknięcia w prywatne życie byłej supermodelki i jej męża tytana technologicznego. Lornetka należała do Lena, który kupił ją, kiedy na krótko zainteresował się obserwowaniem ptaków i wydawał na to hobby małą fortunę. W pozakupowej przemowie, która miała usprawiedliwić ten wydatek, zachwycił

się jej niesamowitym powiększeniem, szerokim polem widzenia, stabilizacją obrazu i najwyższą w swojej klasie przejrzystością.

– Ta lornetka wymiata – powiedział. – Jest tak dobra, że jeśli spojrzysz przez nią na księżyc w pełni, zobaczysz kratery.

– Ale ona ma być na ptaki – odparłam. – Kto chce oglądać ptaki w takim zbliżeniu?

Kiedy w końcu unoszę ją do oczu, to, co widzę, nie robi na mnie wrażenia. Brakuje ostrości i przez kilka irytujących sekund wszystko jest zniekształcone. Widać tylko drżący obraz wody i wierzchołków drzew. Reguluję lornetkę, dopóki widok się nie wyostrza. Nagle drzewa robią się wyraźne, a powierzchnia jeziora gładka.

Teraz rozumiem, dlaczego Len był taki podekscytowany.

Ta lornetka naprawdę wymiata.

Obiekty nie wydają się przesadnie blisko. To na pewno nie jest ekstremalne zbliżenie. Ale szczegółowość obrazu przy takiej odległości jest zdumiewająca. Mam wrażenie, jakbym stała po drugiej stronie ulicy, a nie na przeciwległym brzegu jeziora. To, co oglądane gołym okiem było niewyraźne, teraz jest krystalicznie czyste. Łącznie z wnętrzem szklanego domu Toma i Katherine Royce'ów.

Na parterze oglądam salon, którego szczegóły są dobrze widoczne przez ogromne okna. Ściany w kolorze złamanej bieli. Nowoczesne meble z połowy wieku w neutralnej tonacji. Barwne plamy w postaci olbrzymich abstrakcji. To marzenie projektanta wnętrz i zupełne przeciwieństwo rustykalnego wystroju mojego rodzinnego domu nad jeziorem. Tutaj podłoga z twardego drewna jest porysowana, a meble wytarte. Ściany zdobią pejzaże, rakiety śnieżne i stare reklamy syropu klonowego. No i łoś w pokoju wypoczynkowym, rzecz jasna.

W znacznie wytworniejszym salonie Royce'ów szpieguję Katherine odpoczywającą w pozycji półleżącej na białej sofie i przeglądającą jakieś czasopismo. Teraz już wysuszona i całkowicie ubrana, wygląda znacznie bardziej

znajomo niż wcześniej w motorówce. Modelka jak kiedyś, w każdym calu. Jej włosy błyszczą. Skóra lśni. Nawet ciuchy – żółta jedwabna bluzka i ciemne spodnie capri – mają lekki połysk.

Patrzę na jej lewą dłoń. Obrączka wróciła na swoje miejsce, tak jak pierścionek zaręczynowy z diamentem, który wydaje się absurdalnie wielki, nawet oglądany przez lornetkę. Mój palec serdeczny porusza się mimowolnie. Oba pierścionki, które dostałam od Lena, leżą w szkatułce na biżuterię na Manhattanie. Zdjęłam je trzy dni po jego śmierci. Noszenie ich okazało się zbyt bolesne.

Kieruję lornetkę na pierwsze piętro i główną sypialnię. Jest bardziej przyćmiona niż reszta domu – pali się w niej tylko lampka nocna. Ale i tak widać przeogromną przestrzeń ze sklepionym sufitem i wystrojem, który wygląda jak żywcem przeniesiony z luksusowego apartamentu hotelowego. Zdecydowanie zawstydzają moją główną sypialnię ze skrzypiącą ramą łóżka i wiekową komodą, której szuflady zazwyczaj nieelegancko wystają.

Na lewo od sypialni znajduje się pomieszczenie przypominające siłownię. Widzę płaski telewizor na ścianie, kierownicę roweru treningowego Peloton przed ekranem i górną część stojaka na ciężarki. Dalej jest pokój z półkami na książki, biurkiem, lampą i drukarką. To prawdopodobnie gabinet, a w nim Tom Royce. Siedzi przy biurku, ze zmarszczonym czołem wpatrując się w ekran laptopa.

Zamyka pokrywę i wstaje, a wtedy wreszcie widzę całą jego postać. Tom sprawia na mnie wrażenie kogoś, kto mógłby poślubić supermodelkę. Rozumiem, co Katherine w nim pociągało. Oczywiście jest przystojny. Ale to dojrzała atrakcyjność, która przywodzi mi na myśl Harrisona Forda, gdy przeminęły jego lata młodości. Jakieś dziesięć lat starszy od Katherine, Tom emanuje pewnością siebie, nawet kiedy jest sam. Wyprostowany jak struna, ubrany jak z żurnala. Ciemne dzinsy i szary T-shirt pod kremowym kardiganem, wszystko idealnie dopasowane. Włosy ma ciemnobrązowe, nieco przydługawe. Wyobrażam sobie, ile żelu wymaga zaczesanie ich do tyłu.

Tom wychodzi z gabinetu i parę sekund później pojawia się w sypialni. Po kolejnych kilku sekundach znika w innych drzwiach. To główna łazienka, sądząc

po tym, co mignęło mi przed oczami: biała ściana, krawędź lustra, anielski blask idealnego oświetlenia łazienkowego.

Drzwi się zamykają.

Dokładnie pod nim Katherine wciąż czyta.

Jako że nie chcę przyznać przed samą sobą, że sięgnęłam po lornetkę, by szpiegować Royce'ów, kieruję ją w stronę domu Elia, a po drodze miga mi przed oczami rozmyta zbitka skał i zimozielonych drzew, które oddzielają od siebie te dwa budynki.

Przyląpuję Elia, jak wraca z miasta – w tej części Vermontu załatwianie spraw zajmuje cały dzień. Jezioro Greene jest położone piętnaście minut od najbliższej miejscowości, do której można dojechać autostradą prowadzącą przez las na południowy zachód. Sama autostrada znajduje się półtora kilometra stąd, a dotrzeć do niej można nierówną żwirową drogą, która okrąża jezioro. Właśnie tam jest Eli, kiedy go dostrzegam: skręca niezawodnym czerwonym pikapem na swój podjazd.

Patrzę, jak wysiada z samochodu i wchodzi z zakupami na boczną werandę, a potem przez drzwi prowadzące do kuchni. W jednym z okien z tyłu domu zapala się światło. Przez szybę widać wnętrze jadalni z mosiężną lampą i olbrzymim starym kredensem. Jestem w stanie dostrzec nawet rzadko używany zestaw wzorzystej porcelany stojący na górnej półce kredensu.

Eli wraca do swojego pikapa i tym razem wyjmuję z tyłu kartonowe pudełko. Zaopatrzenie dla mnie, które jak przypuszczam, niebawem mi przywiezie.

Kieruję lornetkę z powrotem na posiadłość Royce'ów. Katherine stoi teraz przy oknie salonu. A to niespodzianka. Jej nieoczekiwana obecność przy szybie wywołuje we mnie poczucie winy i przez chwilę zastanawiam się, czy ona też mnie widzi.

Odpowiedź brzmi: nie.

Nie kiedy jest w środku i palą się światła. Może gdyby zmrużyła oczy, zdołałaby dostrzec czerwień szkockiej kraty na koszuli flanelowej, którą mam na

sobie, siedząc w cieniu werandy. Ale nie ma mowy, aby zorientowała się, że ją obserwuję.

Stoi kilka centymetrów od szyby, wpatrzona w jezioro; jej twarz przywodzi na myśl piękną niezapisaną kartkę. Po kilku sekundach Katherine wycofuje się w głąb salonu i podchodzi do barku w kredensie przy kominku. Wrzuca trochę lodu do szklaneczki i napełnia ją do połowy czymś z kryształowej karafki.

Unoszę własną szklaneczkę w milczącym toaście i sącę drinka razem z nią.

Piętro wyżej Tom Royce wychodzi z łazienki. Siada na skraju łóżka i ogląda sobie paznokcie.

Nuda.

Wracam do Katherine, która znów stoi w oknie, z drinkiem w jednej dłoni i telefonem w drugiej. Przed wybraniem numeru przekrzywia głowę w stronę sufitu, jakby nasłuchiwała, czy nie nadchodzi jej mąż.

Nie nadchodzi. Szybki ruch lornetki w górę i widzę go wciąż zajętego swoimi paznokciami. Właśnie wydłubuje jednym drobinę brudu spod drugiego.

Piętro niżej Katherine słusznie uznaje, że teren jest czysty, stuka w telefon i przykłada go do ucha.

Mój wzrok znowu odpływa do sypialni, gdzie Tom stoi teraz na środku pokoju, nasłuchując głosu żony z dołu.

Tyle że Katherine nic nie mówi. Trzyma telefon i postukuje stopą, czekając, aż ktoś, do kogo dzwoni, odbierze.

Na górze Tom przechodzi na palcach przez sypialnię i wygląda przez otwarte drzwi, których widzę jedynie skrawek. Znika za nimi, sypialnia zostaje pusta, a ja przesuwam lornetkę po piętrze, próbując go znaleźć. Sprawdzam w siłowni, a potem w gabinecie.

Nie ma go w żadnym z tych pomieszczeń.

Wracam wzrokiem do salonu, gdzie Katherine teraz już rozmawia przez telefon. Choć właściwie to wcale nie jest rozmowa. Katherine mówi, nie robiąc przerw, aby ta druga osoba mogła coś powiedzieć, z czego wnioskuję, że zostawia

wiadomość. Pilną, jak mi się zdaje. Lekko zgarbiona, przykrywa usta dłonią, strzelając oczami na prawo i lewo.

Moją uwagę przykuwa ruch po drugiej stronie domu.

Tom.

Teraz na parterze.

Przemyka się z kuchni do jadalni.

Powoli.

Ostrożnie.

Jego długie, ciche kroki przekonały mnie, że stara się nie zostać usłyszany. Z zaciśniętymi wargami i wysuniętym do przodu podbródkiem jego wyraz twarzy jest nieczytelny. Może coś Toma zaciekało. A może zaniepokoiło.

Przechodzi na drugą stronę jadalni i w końcu oboje, on i Katherine, pojawiają się razem w polu widzenia mojej lornetki. Ona wciąż mówi, najwyraźniej nieświadoma, że mąż obserwuje ją z sąsiedniego pokoju. Dopiero kiedy Tom robi kolejny krok, Katherine zdaje sobie sprawę z jego obecności. Stuka palcem w telefon, chowa go za plecy i odwraca się twarzą do męża.

W przeciwieństwie do mimiki Toma wyraz twarzy Katherine można odczytać z łatwością.

Jest zaskoczona i przestraszona.

Zwłaszcza kiedy Tom się do niej zbliża. Nie jest zły, nie całkiem. To coś innego. Wydaje się, jak opisała go Marnie, nabuzowany. Mówi coś do Katherine. Ona odpowiada. Wsuwa telefon do tylnej kieszeni spodni i unosi ręce w geście niewinności.

– Podziwia pani widok?

Dźwięk czyjegoś głosu – o tej porze, w tym miejscu – zaskakuje mnie tak bardzo, że o mały włos lornetka nie wypada mi z rąk już drugi raz tego samego dnia. Na szczęście udaje mi się ją utrzymać, gdy gwałtownym ruchem odrywam ją od oczu i wciąż oszołomiona, rozglądam się za źródłem tego głosu.

To jakiś nieznamy mi mężczyzna.

Bardzo przystojny.

Ma około trzydziestu pięciu lat i stoi na prawo od werandy, w kępie zachwaszczonej trawy oddzielającej dom od nieokiełznanego lasu, który zaczyna się nieopodal. Całkiem stosownie, zważywszy, że ubrany jest niczym drwal. Z kalendarza dla dorosłych. Obcisłe džinsy, robocze buty, koszula flanelowa zawiązana wokół wąskich bioder, szeroka klata opięta białym T-shirtem. Magiczne światło złotej godziny odbijające się od tafli jeziora nadaje jego skórze złocisty blask. Efekt jest w równej mierze seksowny i groteskowy.

Dziwaczność sytuacji pogłębia fakt, że jestem ubrana niemal dokładnie tak samo jak on. Mam jedynie adidasy zamiast buciorów, a moje džinsy nie wyglądają jak namalowane na ciele, ale reszta wystarczy, żeby sobie uświadomić, jak fatalnie się ubieram, kiedy mieszkam w domu nad jeziorem.

– Proszę? – pytam.

– Widok – powtarza, wskazując na lornetkę, którą wciąż ściskam w dłoniach. – Coś ciekawego na horyzoncie?

Nagle – i słusznie – dopada mnie poczucie winy. Odkładam lornetkę na chybotliwy stolik obok krzesła na biegunach.

– Tylko drzewa.

Mężczyzna kiwa głową.

– Listowie jest piękne o tej porze roku.

Wstaję, podchodzę na skraj werandy i patrzę na niego w dół. Zbliżył się do domu i teraz zadziera głowę, spoglądając na mnie z błyskiem w oczach, jakby doskonale wiedział, co robię.

– Nie chcę być niegrzeczna – mówię – ale kim pan jest i skąd pan się tu wziął?

Nieznajomy robi pół kroku w tył.

– Na pewno nie chciała pani być niegrzeczna?

– Może chciałam – odpowiadam. – A pan nie odpowiedział na moje pytanie.

– Jestem Boone. Boone Conrad.

Ledwie się powstrzymuję, żeby nie przewrócić oczami. Przecież on nie może się tak naprawdę nazywać.

– A wziąłem się stamtąd.

Kiwa głową w stronę lasu i domu mającego jakieś dwieście metrów za rzędącymi drzewami. Działka Mitchellów. Trójkątny domek typu Brda zbudowany w latach siedemdziesiątych, przycupnięty w małym łuku linii brzegowej. Latem jego jedyną widoczną z naszego domu częścią jest długi pomost wcinający się w jezioro.

– Jest pan gościem Mitchellów? – pytam.

– Raczej ich tymczasową złotą rączką – precyzuje Boone. – Państwo Mitchell pozwolili mi się tu zatrzymać na parę miesięcy w zamian za kilka napraw. A skoro jesteśmy sąsiadami, to pomyślałem, że wpadnę i się przedstawię. Przyszedłbym wcześniej, ale byłem zajęty odnawianiem podłogi w jadalni.

– Miło cię poznać, Boone. Dzięki, że wpadłeś.

Milczy przez chwilę.

– A ty się nie przedstawisz, Casey Fletcher?

Nie jestem zaskoczona, że wie, kim jestem. Większość ludzi mnie rozpoznaje, nawet jeśli czasem nie są pewni, skąd mnie kojarzą.

– Właśnie mnie wyręczyłeś.

– Wybacz – kaja się Boone. – Mitchellowie mówili mi, że ten dom należy do twojej rodziny. Ale nie sądziłem, że tu będziesz.

– Ja też nie.

– Jak długo tu zostaniesz?

– To zależy od mojej matki.

Na ustach Boone'a wykwita szelmowski uśmiech.

– Zawsze robisz wszystko, co każe ci matka?

– Wszystko z wyjątkiem nierobienia tego. – Unoszę szklaneczkę. – Jak długo tu zostaniesz?

– Podejrzewam, że jeszcze kilka tygodni. Jestem tu od sierpnia.

– Nie wiedziałam, że dom Mitchellów wymagał aż takich remontów.

– Szczerze mówiąc, nie aż takich – mówi Boone. – Po prostu wyświadczyli mi przysługę, kiedy znienacka zostałem na lodzie.

Intrygująca odpowiedź. Ciekawe, o co mu chodzi. Nie widzę obrączki – zdaje się, że to moja nowa obsesja – więc nie jest żonaty. Przynajmniej nie teraz. Pewnie świeżo po rozwodzie. Żona zgarnęła dom. Nie miał się gdzie podziać. I tu pojawiają się David i Hope Mitchellowie, miła, choć nudna para emerytów, którzy dorobili się na farmaceutykach.

– Jak ci się podoba życie nad jeziorem?

– Jest spokojnie – odpowiada Boone po krótkim zastanowieniu. – Nie zrozum mnie źle. Lubię spokój. Ale nie za wiele się tutaj dzieje.

Powiedział facet, którego współmałżonka nie znaleziono utopionego na brzegu jeziora czternaście miesięcy temu.

– Trzeba się przyzwyczaić – mówię.

– Też jesteś tu sama?

– Tak.

– Nie czujesz się samotna?

– Czasami.

– Więc jeśli zaczniesz dokuczać ci nuda albo będziesz miała ochotę na towarzystwo, to wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Moją uwagę zwraca jego ton, trochę przyjacielski, a trochę flirciarski. Zaskakujący, ale nie niemiły dla kogoś, kto – jak ja – obejrzał zbyt wiele świątecznych filmów na Hallmarku. Właśnie tak się zawsze zaczynają. Zblazowana kobieta z wielkiego miasta spotyka miejscowego mrukliwego osiłka. Lecą iskry. Serca topnieją. Oboje żyją długo i szczęśliwie.

Tyle że Boone to nie miejscowy, moje serce jest zbyt zdruzgotane, żeby topnieć, no i nic nie trwa długo i szczęśliwie. Szczęście trwa krótko, a potem wszystko rozpada się na kawałki.

Poza tym Boone jest atrakcyjniejszy niż ci mdli hallmarkowi przystojniacy. Nieogładzony w najlepszym tego słowa znaczeniu. Zarost na jego podbródku jest dość niedbały, a widoczne pod ubraniem mięśnie są nieco za duże. Kiedy ofertę swojego towarzystwa pieczętuje sennym, seksownym uśmiechem, zdają sobie sprawę, że Boone może oznaczać kłopoty.

Albo po prostu sama ich szukam. Takich bez zobowiązań. Do diabła, chyba sobie na coś zasłużyłam. Po śmierci Lena przespałam się tylko z jednym facetem, brodatym inspicjentem o imieniu Morris, który pracował przy *Strzępie wątpliwości*. Przez jakiś czas byliśmy kompanami od poprzedstawieniowego kielicha, a potem nagle czymś więcej. To nie był romans. Nie interesowaliśmy się sobą w ten sposób. Po prostu dzięki niemu mogłam na chwilę odpędzić mrok. On traktował mnie tak samo. Odkąd zostałam zwolniona, nie miałam z nim kontaktu. I wątpię, czy to się kiedyś zmieni.

A teraz pojawił się Boone Conrad – znacznie lepszy model niż tatusiowaty Morris.

Wskazuję na dwa bujane krzesła za moimi plecami.

– Zapraszam na drinka już teraz.

– Chciałbym – odpowiada Boone. – Niestety mojemu sponsorowi to by się nie spodobało.

– Och. – Co za rozczarowanie. – Jesteś...

Boone przerywa mi poważnym skinieniem głowy.

– Właśnie.

– Jak długo nie pijesz?

– Od roku.

– Brawo – wybąkuję. Czuję się okropnie, że zaproponowałam alkoholikowi drinka, nawet jeśli nie mogłam wiedzieć o jego problemie z piciem. Za to Boone na pewno wie o moim. Widzę to w jego oczach, które mruży, patrząc na mnie z troską.

– Trudna sprawa – mówi. – Każdy dzień to wyzwanie. Ale jestem chodzącym dowodem na to, że można radzić sobie z życiem bez drinka w garści.

Zaciskam dłoń na szklaneczce burbona.

– Nie z moim.

Po czymś takim niewiele zostaje do powiedzenia. Boone wciska mi kit z programu dwunastu kroków, co jak podejrzewam, jest prawdziwym powodem jego wizyty. Kwituję jego gadkę kompletnym brakiem zainteresowania. Teraz każde z nas może zrobić tylko jedno: pójść w swoją stronę.

– Chyba będę się zbierał. – Boone lekko macha ręką i odwraca się w kierunku lasu. Przed wejściem między drzewa rzuca mi jeszcze spojrzenie przez ramię i dodaje: – Tak na marginesie: moja propozycja jest aktualna. Jeśli poczujesz się samotna, to wpadnij. Nie mam alkoholu, ale umiem zrobić świetną gorącą czekoladę, a dom jest dobrze zaopatrzony w gry planszowe. Ale muszę cię ostrzec, że w *Monopoly* jestem bezlitosny.

– Zapamiętam – odpowiadam, co znaczy dzięki, ale postoję. Mimo wyglądu Boone’a jego propozycja nie brzmi zachęcająco. W *Monopoly* gram kiepsko, a do picia wolę coś mocniejszego od czekolady.

Boone macha raz jeszcze, a potem brnie przez las, wracając do domu Mitchellów. Gdy patrzę, jak się oddala, nie czuję do siebie żalu. Jasne, właśnie straciłam okazję przespania się z gościem, u którego normalnie nie miałabym szans. O ile w ogóle tego chciał. Ale nie mam ochoty na to, co dostałabym w pakiecie – przypomnienie mi, że za dużo piję.

Bo piję.

Ale nie bez powodu.

Kiedyś przeczytałam biografię Joan Crawford, w której zacytowano jej słowa: „Alkoholizm to ryzyko zawodowe bycia aktorką, bycia wdową i bycia samotną. A ja jestem wszystkimi trzema”.

Też tak mam, Joan.

Ale nie jestem alkoholiczką. Mogę przestać w każdej chwili. Po prostu nie chcę.

Żeby to sobie udowodnić, odstawiam burbona i trzymam dłoń tuż obok szklaneczki, nie dotykając jej. Czekam, żeby się przekonać, jak długo wytrzymam, nie biorąc łyka.

Sekundy mijają, a ja odliczam je w myślach w taki sam sposób, jak robiłam to w dzieciństwie, kiedy Marnie chciała, żebym sprawdziła, jak długo potrafi wytrzymać pod wodą, zanim wypłynie, aby zaczerpnąć powietrza.

Jedno Missisipi. Dwa Missisipi. Trzy Missisipi.

Doliczam do czterdziestu sześciu Missisipi, zanim z westchnieniem chwytam za szklaneczkę i biorę porządny łyk. Gdy alkohol spływa do gardła, uderza mnie pewna myśl. To jedna z tych refleksji, których pozwala mi uniknąć picie.

Może ja nie szukam kłopotów.

Może sama stanowią kłopot.

Zanim przyjeżdża Eli, słońce ześlizguje się już za horyzont. Przez lornetkę, po którą sięgnęłam ponownie wkrótce po odejściu Boone'a, przyglądam się, jak idzie do pikapa, niosąc torbę z zakupami, a potem wraca do domu po tekturowe pudło. Siada za kierownicą, a ja śledzę światła przednich reflektorów, kiedy okrąża jezioro.

Odkładam lornetkę, gdy dociera do części drogi niewidocznej z tylnej werandy, i przechodzę na przód domu. W samą porę, aby ujrzeć, jak Eli wjeżdża na podjazd i wysiada z samochodu.

Kiedy jego książki były na listach bestsellerów, prezentował się elegancko w tweedowych marynarkach i ciemnych dżinsach. Jednak przez trzy ostatnie dekady zmienił styl na hemingwayowski. Warkoczowe swetry, sztruksy i krzaczasta biała broda. Wyjmując kartonowe pudełko z tyłu pikapa, przypomina przybywającego z prezentami wiejskiego świętego mikołaja.

– Zgodnie z zamówieniem – mówi, przekazując mi karton. W środku, pobrzękując niczym splątane dzwonki wietrzne, znajduje się tuzin różnokolorowych butelek. Głęboki karmazyn pinot noir. Miodowy brąz burbona. Nieskazitelna przejrzystość ginu. – Trochę zwolnij – dodaje. – Do końca tygodnia nigdzie się nie wybieram. A jeśli piśniesz o tym słowo swojej matce, to koniec z dostawami. Ostatnie, czego mi potrzeba, to telefon od wściekłej Lolly Fletcher z oskarżeniem, że mam na ciebie zły wpływ.

– Ale masz.

Eli uśmiecha się wbrew sobie.

– Swój pozna swego.

A on dobrze mnie zna. W dzieciństwie Eli był moim nieoficjalnym letnim wujkiem, zawsze obecnym w moim życiu od Memorial Day do Święta Pracy, ale przez resztę roku przeważnie zapomnianym. Gdy dorosłam, niewiele się to zmieniło, choć przyjeżdżałam rzadziej. Czasem między kolejnymi wizytami mijało kilka lat, lecz za każdym razem, kiedy wracałam nad jezioro Greene, Eli był na

miejscu, witając mnie serdecznym uśmiechem i mocnym uściskiem, zawsze gotów wyświadczyć mi wszystkie przysługi, o jakie poproszę. Kiedyś oznaczało to pokazanie mi, jak się rozpala ognisko i piecze pianki. Teraz – potajemne wyprawy do monopolowego.

Wchodzimy do domu – ja objuczona kartonem z butelkami, Eli dźwigający torbę z zakupami spożywczymi. W kuchni rozpakowujemy prowiant i przygotowujemy się do zrobienia kolacji. To część naszej umowy, którą zawarliśmy już pierwszego wieczoru po moim powrocie: robię kolację zawsze, gdy on przynosi mi procenty.

Podoba mi się ta umowa, i to nie tylko ze względu na alkohol. Lubię towarzystwo Elia i miło jest mieć dla kogo gotować. Kiedy jestem sama, zadowolam się czymś szybkim i prostym. Dzisiejsza kolacja natomiast składa się z łososia, pieczonej dyni żółdziowej i dzikiego ryżu. Po rozpakowaniu zakupów i nalaniu dwóch lampek wina nagrzewam piekarnik i zabieram się do gotowania.

– Poznałam sąsiada – zagajam, wyjmując największy i najostrzejszy nóż z drewnianego stojaka na blacie kuchennym, po czym zaczynam kroić dynię. – Dlaczego mi nie powiedziałeś, że ktoś mieszka u Mitchellów?

– Myślałem, że cię to nie obchodzi.

– Jasne, że obchodzi. Po tej stronie jeziora są tylko dwa domy. Jeśli w jednym z nich ktoś mieszka, zwłaszcza ktoś obcy, chcę o tym wiedzieć. Do Fitzgeraldów też się ktoś wprowadził?

– Dom Fitzgeraldów stoi pusty, o ile wiem – odpowiada Eli. – Co do Boone’a, to pomyślałem, że będzie lepiej, jeżeli się nie poznacie.

– Dlaczego?

Chyba znam już odpowiedź. Eli poznał Boone’a, dowiedział się, że jest niepijącym alkoholikiem, i stwierdził, że mądrze będzie trzymać mnie od niego z dala.

– Bo jego żona zmarła – odpowiada Eli.

Zaskoczona zastygam z nożem zagłębionym w dyni.

– Kiedy?

– Półtora roku temu.

Boone powiedział, że jest trzeźwy od roku, więc uznaję, że przez pół roku po śmierci żony żył w autodestrukcyjnej mgle. Sytuacja nie całkiem taka jak moja, ale wystarczająco podobna, żebym poczuła się zażenowana swoim wcześniejszym zachowaniem.

– Jak to się stało? – pytam.

– Tego nie powiedział, a ja nie pytałem – odpowiada Eli. – Ale pomyślałem, że lepiej, aby wasze drogi się nie skrzyżowały. Bałem się, że to może obudzić złe wspomnienia. U was obojga.

– Złe wspomnienia już tu są. Wszędzie, gdzie spojrzę.

– Więc może... – Eli urywa. Na ułamek sekundy. Jak ktoś, kto ma przejść po rozżarzonych węglach i waha się przed pierwszym krokiem. – Może pomyślałem, że będziesz mieć na niego nie najlepszy wpływ.

No i proszę. W końcu brzydka prawda. To, że się jej spodziewałam, nie znaczy, że miło mi jest ją usłyszeć.

– Mówi facet, który przywiózł mi zapas gorzały – rzucam.

– Bo mnie o to prosiłaś – odparowuje Eli, jeżąc się. – Nie oceniam cię, Casey. Jesteś dorosłą kobietą. Twoje wybory to nie moja sprawa. Ale Boone Conrad jest trzeźwy od roku. A ty...

– ...nie – dokańczam, żeby on nie musiał.

Kiwnięciem głowy potwierdza i dziękuje.

– Właśnie. Więc może lepiej trzymajcie się od siebie z daleka. Dla dobra was obojga.

Choć jego słowa napęniają mnie goryczą, jestem skłonna się z nim zgodzić. Mam swoje powody, żeby pić, a Boone ma swoje, żeby tego nie robić. I jakiegokolwiek są, na pewno się ze sobą nie pokrywają.

– Umowa stoi – mówię. – A teraz mi pomóż. Kolacja sama się nie robi.

Reszta wieczoru upływa nam na pogawędce i tłumieniu zranionych uczuć.

Kończymy gotowanie.

– Jak ci minęło lato? – pytam, nakładając rybę na talerz.

– Spokojnie – odpowiada Eli. – Żadnych sensacji. Ani tu, ani nigdzie w pobliżu. Tyle że jeszcze nie znaleźli tej dziewczyny, która w zeszłym roku utonęła w jeziorze Morey. Ani tej drugiej, która zaginęła dwa lata temu.

Opróżniam lampkę wina i nalewam następną.

– Ta burza prawdopodobnie idzie w naszą stronę – odzywa się Eli, gdy już jemy.

– Jaka burza?

– Huragan, który uderzył w Karolinę Północną. Nie oglądasz wiadomości?

Nie oglądam. Ostatnio nie.

– Huragan? Tutaj?

Ostatnio coś takiego wydarzyło się tu, kiedy huragan Sandy przechodził długo i powoli nad północno-wschodnimi stanami. Nad jeziorem Greene nie było wtedy prądu przez dwa tygodnie.

– Trish – wyjaśnia Eli. – Tak go nazwali.

– Radosne imię jak na huragan.

– Teraz to tylko burza tropikalna, ale i tak potężna. Wygląda na to, że dotrze tu przed końcem tygodnia.

Eli wypija drugi kieliszek wina.

Ja – dwa następne.

Po kolacji wychodzimy na werandę i opadamy na bujane krzesła, gdzie popijamy z kubków parującą kawę. Nad jeziorem zapadła już noc, przemieniając wodę w ciemnogramatową tafłę połyskującą światłem gwiazd.

– Boże, jak cudownie – mówię rozmarzonym głosem, bo jestem lekko pijana. Czyli nieco więcej niż podchmielona. O krok od otępienia, ale wciąż zdolna do funkcjonowania.

Znaleźć się w takim stanie jest łatwo. Utrzymanie go wymaga planowania i determinacji.

Trzeba zacząć około południa, od pierwszego prawdziwego drinka danego dnia. Poranki są zarezerwowane na kawę, która wymiata śpiochy z oczu po poprzednim wieczorze, oraz na wodę. Nawodnienie jest ważne.

W roli inauguracyjnego drinka lubię strzelić sobie dwa kielichy wódki, jeden po drugim. Mocny podwójny kopniak, żeby przytępić zmysły.

Reszta popołudnia należy do burbona sączonego z lodem w regularnych dawkach. Kolacja to pora na wino. Lampka lub dwie albo trzy. Wtedy czuję się odprężona i przymglona – na skraju pełnego odurzenia. Potem do akcji znowu wkracza kawa. Filizanka szatana sprowadza mnie z powrotem znad krawędzi, nie wybijając mnie całkowicie z rauszu. I wreszcie, przed snem, kolejny porządny kielich czegoś, na co akurat mam ochotę.

Dwa, jeśli nie uda mi się zasnąć od razu.

Trzy, jeśli w ogóle nie mogę spać.

Nawet teraz, gdy Eli siedzi obok mnie, myślę o tym, czego się napiję, kiedy sobie pójdzie.

Po drugiej stronie jeziora przy tylnych drzwiach domu Royce'ów zapala się światło i zalewa patio ciepłą białą poświatą. Pochyliam się do przodu i mrużąc oczy, widzę dwie osoby wychodzące z domu i zmierzające w stronę pomostu. Po krótkiej chwili zapala się kolejne światło, tym razem jego źródłem jest reflektor na przedzie łodzi. Cichy pomruk silnika zaburtowego odbija się echem od drzew.

– Zdaje się, że będziesz miała następnych gości – mówi Eli.

Może ma rację. Plama światła rośnie, kiedy łódź przecina taflę wody, zmierzając prosto do brzegu po naszej stronie jeziora.

Odstawiam kawę.

– Im więcej, tym lepiej – mówię.

Royce'owie przypływają stylową, wyłożoną mahoniem łodzią motorową, która jest jednocześnie sportowa i elegancka. Taką samą pływa pewnie George Clooney, kiedy przebywa w swoim *palazzo* nad jeziorem Como. Patrząc, jak ich łódź zbliża się do porysowanej i wyblakłej motorówki mojej rodziny, czuję się tak, jakbym

stała na czerwonym świetle, a obok mojego forda pinto zatrzymał się bentley continental.

Którego Royce'owie też mają. Bentleya, nie pinto. Eli mówił mi o tym przy kolacji.

Witam ich na przystani, bardziej wstawiona, niż mi się wydawało. Żeby się nie słać, stawiam obie stopy na pomoście i prostuję kręgosłup. Macham do nich nieco zbyt entuzjastycznie.

– Co za miła niespodzianka! – wołam, kiedy Tom gasi silnik i łódź dopływa do pomostu.

– Przywiozłam ci twój koc! – odkrzykuje Katherine.

Jej mąż trzyma dwie butelki wina.

– A ja przywiozłem Pauillac Bordeaux, rocznik dwa tysiące piąty!

Nic mi to nie mówi, poza tym, że brzmi drogo i że na pewno nie będę czekała na odjazd Elia, żeby jeszcze sobie golnąć.

Katherine wyskakuje z łodzi, którą jej mąż przywiązuje do pomostu. Trzyma koc, jakby to była satynowa poduszka, na której spoczywa diadem.

– Wyprany i wysuszony – oznajmia, wręczając mi go. – Dziękuję, że mi go pożyczyłaś.

Wtykam koc pod pachę i wyciągam drugą rękę, żeby uścisnąć dłoń Katherine, ale ona, ku mojemu zaskoczeniu, obejmuje mnie i całuje w oba policzki, jakbyśmy były starymi przyjaciółkami, a nie dwiema nieznanymi, które poznały się na środku jeziora kilka godzin temu. Ta serdeczność budzi we mnie wyrzuty sumienia, że ich szpiegowałam.

Kiedy podchodzi do mnie Tom, nie mogę przestać myśleć o tym, że podsłuchiwał żonę.

A to właśnie robił.

Podsłuchiwał. Ewidentnie ją szpiegował, tak samo jak ja szpiegowałam jego. Miał wtedy ten swój nieodgadniony wyraz twarzy.

– Przepraszamy, że wpadamy tak bez zapowiedzi – mówi, wcale nie brzmiąc przepraszająco.

W przeciwieństwie do żony poprzestaje na podaniu mi ręki. Jego uścisk jest zbyt mocny, zbyt energiczny. Kiedy potrząsa moją dłońią, o mało nie zwała mnie z nóg. Teraz rozumiem, co Marnie miała na myśli, mówiąc, że jest nabuzowany. Ten uścisk jest nie tyle przyjacielskim gestem, ile niepotrzebnym pokazem siły. Jednocześnie Tom wbija we mnie oczy tak ciemne, że prawie czarne.

Zastanawiam się, jakie sprawiam na nim wrażenie, będąc w tym nieco podchmielonym stanie. Pewnie mam szkliste spojrzenie. Zarumienioną twarz. Kropelki potu na linii włosów.

– Dziękuję za uratowanie dzisiaj Katherine. – Głos Toma jest głęboki i może dlatego jego słowa zdają się nieszczerze. Taki baryton nie pozostawia zbyt wiele miejsca na niuanse. – Wolę nie myśleć, co by się stało, gdybyś nie przy płynęła jej na ratunek.

Zerkam w stronę werandy, gdzie Eli stoi przy balustradzie. Unosi brwi, ganiąc mnie w milczeniu za to, że nie wspomniałam o tym przy kolacji.

– To nic takiego – odpowiadam. – Katherine właściwie sama się uratowała. Ja tylko podpłynęłam i zabrałam ją na brzeg.

– Kłamczucha. – Katherine obejmuje mnie w pasie i prowadzi przez pomost, jakbym to ja stała się nagle jej gościem. Przez ramię rzuca do męża: – Casey jest skromna. To ona mnie uratowała.

– Mówiłem, żebyś nie pływała w tym jeziorze – karci ją Tom. – To zbyt niebezpieczne. Już się tu zdarzały utonięcia.

Katherine posyła mi spojrzenie pełne bezdennego zażenowania.

– Bardzo cię przepraszam – mówi, po czym odwraca się do męża. – Boże, Tom, musisz zawsze coś palnąć?

Dopiero po chwili dociera do niego, o co jej chodzi, a wtedy krew odpływa mu z twarzy.

– Szlag – mamrocze. – Idiota ze mnie, Casey. Serio. Nie pomyślałem.

– W porządku – mówię, zmuszając się do uśmiechu. – Nie powiedziałeś niczego, co nie byłoby prawdą.

– Dziękuję za wyrozumiałość – wtrąca Katherine. – Tom byłby zdruzgotany, gdybyś była na niego zła. Jest twoim fanem.

– To prawda – potwierdza Tom. – Widzieliśmy cię w *Strzępie wątpliwości*. Byłaś niesamowita. Wręcz fantastyczna.

Docieramy do stopni werandy, ja i Katherine wchodzimy na nie razem, Tom idzie za nami. Tak blisko, że czuję na karku jego oddech. Wraca wspomnienie, w którym przekrada się przez parter ich domu. Zerkam na Katherine, przypominając sobie, jak wyglądała, kiedy zauważyła męża czającego się za drzwiami jadalni.

Zaskoczona i przestraszona.

Teraz nie sprawia takiego wrażenia, więc zaczynam wątpić, że wtedy naprawdę się bała. Bardziej prawdopodobne, że była tylko stropiona, a ja źle zinterpretowałam tę sytuację. Nie byłby to pierwszy raz.

Na werandzie Eli wita się z Royce'ami z poufałością sąsiadów, którzy mieszkali obok siebie przez całe wakacje.

– Sądziłem, że nie zobaczę was tu do następnego lata – mówi.

– To była improwizacja – wyjaśnia Tom. – Katie zatęskniła za jeziorem, a ja chciałem zobaczyć jesienne drzewa.

– Jak długo zamierzacie zostać?

– Niczego nie planowaliśmy. Tydzień. Może dwa. Ale potem w paradę weszła nam Trish.

– Nadal uważam, że powinniśmy zostać – wtrąca Katherine. – W końcu jak bardzo pogoda może się tu pogorszyć?

Eli przeczesuje palcami śnieżnobiałą brodę.

– Bardziej, niż myślisz. W tej chwili jezioro wygląda spokojnie, ale to złudne wrażenie. Zwłaszcza podczas burzy.

Ich pogawędka sprawia, że czuję się jak intruz, choć to moja rodzina przyjeżdża nad jezioro Greene najdłużej. Zastanawiam się, co by było, gdyby Len nie umarł i zamieszkalibyśmy tu na stałe.

Może takie niespodziewane wizyty jak ta byłyby na porządku dziennym.

Może nie wpatrywałabym się tak chciwie w butelki wina w dłoniach Toma.

– Przyniosę kieliszki i korkociąg – oznajmiam.

Wchodzę do domu, gdzie korkociąg wciąż leży na stole w jadalni. Potem z szafki na alkohole wydaję cztery czyste kieliszki.

Pogawędka na werandzie trwa w najlepsze.

– Jak wam się mieszka w nowym domu? – pyta Eli.

– Uwielbiamy go – mówi Tom. – Jest doskonały. Od kilku lat spędzamy lato w tych okolicach. Co roku wynajmowaliśmy inny dom nad innym jeziorem. W końcu zdecydowaliśmy się na zakup i po prostu nie mogliśmy uwierzyć w swoje szczęście, kiedy agent nieruchomości powiedział nam, że nad jeziorem Greene znajduje się posiadłość na sprzedaż.

Wracam na werandę z korkociągiem i kieliszkami w dłoni. Wręczam po jednym każdemu oprócz Elia, który odmawia ruchem głowy i rzuca mi spojrzenie sugerujące, że ja też nie powinnam już pić.

Udaję, że tego nie widzę.

– Ale macie też mieszkanie w mieście, prawda? – pytam Katherine.

– Na Upper West Side.

– Na rogu Central Park West i Osiemdziesiątej Trzeciej – dodaje Tom, a jego żona przewraca oczami.

– Tom jest bardzo skrupulatny, jeśli chodzi o prestiż – wyjaśnia i zahacza wzrokiem o leżącą obok krzesła lornetkę. – No, no. Też kiedyś miałam taką.

– Serio? – dziwi się Tom, a jego gładkie czoło przecinają nagle dwie bruzdy. – Kiedy?

– Jakiś czas temu – zbywa go Katherine i odwraca się do mnie. – Jesteś ptasiarką?

- A ty? – zwraca się Tom do żony.
- Kiedyś byłam. Zanim się poznaliśmy. Wieki temu.
- Nigdy nie mówiłaś, że lubisz ptaki.

Katherine kieruje twarz w stronę wody.

- Zawsze je lubiłam. Po prostu tego nie zauważyłeś.

Eli posyła mi kolejne spojrzenie z drugiego końca werandy. Też wyczuł zgrzyt między nimi. Nie da się go przeoczyć. Tom i Katherine są tak podminowani, że to napięcie wysysa całą energię z powietrza, a weranda nagle wydaje się duszna i zatłoczona. A może to tylko moje wrażenie, przegrzanie organizmu wskutek upojenia alkoholem? Tak czy inaczej czuję, że potrzebuję otwartej przestrzeni.

- Mam pomysł – mówię. – Napijmy się wina przy ognisku.

Eli zaciera ręce z aprobatą.

- Doskonała myśl!

Schodzimy po schodkach werandy na mały dziedziniec mieszczący się między brzegiem jeziora a wewnętrznym narożnikiem domu. Pośrodku znajduje się palenisko otoczone krzesłami typu adirondack – zakątek, w którym spędziłam wiele letnich nocy w dzieciństwie. Eli, dobrze z tym miejscem obeznany, przynosi kilka polan z sągu drewna pod ścianą domu i zaczyna układać stos na ognisko.

Uzbrojona w korkociąg, wyciągam rękę po butelki, które wciąż trzyma Tom.

- Pozwól, że ja to zrobię – mówi.
- Myślę, że Casey umie otworzyć wino – wtrąca się Katherine.
- Nie takie za pięć tysięcy dolarów.

Katherine kręci głową i rzuca mi kolejne przepaszające spojrzenie.

- Widzisz? Prestiż.

– Nie mam nic przeciwko – odpowiadam i już nie chcę tych butelek, kiedy wiem, jak szaleńczo są drogie. – Albo możemy otworzyć jedną z moich butelek. Te powinniście zachować na jakąś wyjątkową okazję.

– Uratowałaś życie mojej żony – mówi Tom. – Według mnie to okazja bardzo wyjątkowa.

Podchodzi do schodków werandy, które wykorzystuje jako prowizoryczny bar.

– Trzeba nalać odpowiednią ilość – mówi, odwrócony do nas plecami. – I musi pooddychać.

Za naszymi plecami Eli już rozpałił ognisko. Płomyki pełzają po polanach i przeskakują z jednego na drugie. Wkrótce drewno zaczyna wydawać te przyjemne ogniskowe trzaski, a iskierki wlatują ku nocnemu niebu. Wszystko to wywołuje we mnie napływ wspomnień. Ja i Len wieczorem, w przeddzień jego śmierci. Pijemy wino przy ogniu i rozmawiamy o przyszłości, nieświadomi tego, że przyszłości nie ma.

Przynajmniej nie dla nas.

A na pewno nie dla Lena.

– Casey?

Tom podaje mi lampkę wina za pięć tysięcy dolarów. W normalnych okolicznościach wzięcie choćby łyku kosztowałoby mnie sporo nerwów. Ale ogarnięta bolesnym wspomnieniem, jednym haustem wypijam pół kieliszka.

– Najpierw trzeba powąchać. – W głosie Toma słychać irytację i urazę. – Zakręcić kieliszkiem, zbliżyć go do nosa i wciągnąć aromat. W ten sposób przygotowujesz mózg na to, czego za chwilę posmakujesz.

Wykonuję polecenie, przysuwając kieliszek pod nos i robiąc głęboki wdech.

Pachnie jak każde inne wino, które piłam.

Nic specjalnego.

Tom podaje kieliszek Katherine i poucza nas obie, aby wziąć mały łyk i rozkoszować się smakiem. Posłusznie próbuję, spodziewając się, że smak wina dorówna jego cenie. Jest dobre, ale nie czuję w nim tych pięciu tysięcy dolców.

Zamiast wąchać i się rozkoszować, Katherine podnosi kieliszek do ust i opróżnia go jednym haustem.

– Oj – mówi. – Chyba muszę zacząć od początku.

Tom chce coś odpowiedzieć, ale rozmyśla się i sięga po kieliszek żony.

– Oczywiście, kochanie.

Wraca do schodków i odwrócony do nas plecami, przechyla butelkę, zginając przy tym rękę w łokciu; drugą trzyma w kieszeni. Przynosi Katherine hojną porcję, kręcąc kieliszkiem, żeby ona nie musiała.

– Smakuj, pamiętaj – przypomina jej. – Innymi słowy, zwolnij tempo.

– Dam sobie radę.

– Już ci idzie w nogi.

Patrzę na Katherine, pod którą faktycznie uginają się kolana.

– Powiedzcie coś więcej o tym, co się dzisiaj stało na jeziorze – wtrąca się Eli.

Katherine opada z westchnieniem na krzesło i podwija nogi.

– Nadal nie jestem pewna. Wiem, że woda jest zimna o tej porze roku, ale nie tak, żebym sobie nie poradziła. I wiem, że umiem przepłynąć jezioro w tę i z powrotem, bo robiłam to przez całe lato. A jednak dzisiaj w połowie drogi wszystko nagle zastygło. Jakby moje ciało przestało działać.

– To był skurcz?

– Może. Wiem tylko, że utopiłabym się, gdyby Casey mnie nie zobaczyła. Jak ta dziewczyna, która zeszłego lata utonęła w jeziorze Morey. Jak ona się nazywała?

– Sue Ellen – odpowiada Eli poważnym tonem. – Sue Ellen Stryker.

– Wynajmowaliśmy tam wtedy – dodaje Katherine. – Coś straszego. Znalaziono ją w ogóle?

Eli kręci głową.

– Nie.

Upijam łyk wina i zamykam oczy, kiedy spływa do gardła.

– Coś straszego – powtarza Katherine.

– Pływaj tylko wieczorem – wygłasza Eli. – Tak zawsze mówiła mi matka.

To samo mówił Eli mnie i Marnie każdego lata, kiedy byłyśmy dziećmi. Ignorowałyśmy jego radę, pluskając się i pływając godzinami w pełnym słońcu. Dopiero po zachodzie jezioro zaczynało nas przerażać – czerń jego głębi ciemniała jeszcze bardziej pod osłoną nocy.

– A ona słyszała to od swojej matki – ciągnie Eli. – Moja babcia była bardzo podejrzliwą kobietą. Dorastała w Europie Wschodniej. Wierzyła w duchy i klątwy. Umarli ją przerażali.

Osuwam się na krzesło obok niego, czując lekkie oszołomienie wywołane po części winem, a po części tematem rozmowy.

– Eli, proszę. Po tym, co przydarzyło się dzisiaj Katherine, nie sądzę, żeby ktokolwiek chciał tego teraz słuchać.

– Ja nie mam nic przeciwko – zaznacza Katherine. – Właściwie to lubię historie o duchach przy ognisku. To mi przypomina letnie obozy. Jeździłam do Camp Nightingale.

– A ja jestem ciekaw, dlaczego lepiej pływać w nocy niż w dzień – dodaje Tom. Eli kiwa głową w stronę jeziora.

– W nocy nie widać odbicia w wodzie. W zamierzchłych czasach wierzono, że odblaskowe powierzchnie mogą uwięzić duszę zmarłego.

Zaglądam w swój kieliszek i widzę, że Eli się myli. Chociaż jest noc, wyraźnie widzę swoje odbicie; drży na powierzchni wina. Żeby się go pozbyć, opróżniam zawartość. Do diabła ze smakowaniem. Tom tego nie zauważa, zbyt mocno zaintrygowany słowami Elia.

– Czytałem o tym. W epoce wiktoriańskiej ludzie zasłaniaли wszystkie lustra po śmierci domownika.

– To prawda – mówi Eli. – Ale niepokój budziły nie tylko lustra. Każda odblaskowa powierzchnia mogła schwytać duszę.

– Na przykład jezioro? – pyta Katherine z uśmiechem w głosie.

Eli dotyka czubka nosa.

– Właśnie.

Myślę o Lenie i całe moje ciało przeszywa dreszcz. Nagle nie mogę usiedzieć na miejscu, więc wstaję, podchodzę do butelki stojącej na schodkach werandy i nalewam sobie następny kieliszek wina.

Opróżniam go trzema haustami.

– Uważali tak nie tylko ludzie z epoki wiktoriańskiej i ich przesądni krewniacy z Europy Wschodniej – dodaje Eli.

Znów sięgam po butelkę. Jest pusta, do kieliszka skapują resztki niczym krople krwi.

Za moimi plecami Eli kontynuuje opowieść:

– Plemiona, które zamieszkiwały te tereny na długo, zanim przybyli tu osadnicy z Europy...

Chwytam drugą butelkę wina, wciąż nieodkorkowaną, co irytuje mnie niemal tak samo jak gadanie Elia.

– ...wierzyły, że te uwięzione dusze mogą zawładnąć duszami żywych...

Zamiast poprosić Toma, sama sięgam po korkociąg, zdecydowana wbić go w korek butelki z winem za pięć tysięcy, której nie powinnam nawet dotykać.

– ...i że jeśli ujrzysz własne odbicie w jeziorze, w którym ktoś dopiero co utonął...

Korkociąg wypada mi z ręki i przelatuje między schodkami w rosnącą za nimi kępę chwastów.

– ...to znaczy, że zgadzasz się na zostanie opętanym.

Odstawiam butelkę z taką siłą, że schodki aż dudnią.

– Skończysz wreszcie pierdolić o tym jeziorze?

Nie chcę się tak wściekać. Właściwie w ogóle nie chcę nic mówić. Te słowa po prostu wyrrywają się ze mnie, podsycone palącą mieszanką alkoholu i niepokoju. Wszyscy milkną. Słysząc tylko miarowo trzaskający ogień i pohukiwanie sowy ukrytej wśród drzew porastających brzeg jeziora.

– Przepraszam – mówi łagodnie Eli, świadomy rzadkiego u niego braku taktu. – Miałaś rację. Te brednie nikogo nie interesują.

– Nie o to chodzi. Po prostu... – Urywam, bo sama nie wiem, co właściwie próbuję powiedzieć.

Dociera do mnie, że jestem pijana. Naprawdę pijana. Faza podchmielenia to już wspomnienie. Nogi zaczynają mi mięknąć w kolanach, jak Katherine. Jezioro

przechyla się na bok. Próbuje to powstrzymać, przytrzymując się kurczowo schodów werandy.

– Nie czuję się za dobrze.

W pierwszej chwili myślę, że ja to powiedziałam. Że to mój kolejny spontaniczny wybuch, chociaż nie otwieram ust i nie poruszam wargami ani językiem.

Ale zaraz słyszę ciąg dalszy:

– Bardzo niedobrze.

I wtedy zdaję sobie sprawę, że to nie ja wypowiadam te słowa, lecz Katherine.

– Co ci jest? – pyta Tom.

– Kręci mi się w głowie.

Katherine wstaje z krzesła i chwieje się niczym targana wiatrem sosna.

– Wszystko wiruje.

Rusza, zataczając się, w stronę jeziora.

Kieliszek z winem wypada jej z dłoni i roztrzaskuje się o ziemię.

– Och. – Katherine ledwie to zauważa.

I nagle, bez ostrzeżenia, osuwa się na trawę.

Pólnoc.

Siedzę samotnie na werandzie owinięta kocem, który zwróciła mi Katherine. Jestem prawie trzeźwa i dlatego trzymam w ręku piwo. Potrzebuję czegoś, żeby zasnąć, inaczej nigdy mi się to nie uda. Nawet po kilku drinkach rzadko przesypiam całą noc.

Nie tutaj.

Nie od śmierci Lena.

Boone miał rację, mówiąc, że nad jeziorem jest zbyt spokojnie. Bo jest. Zwłaszcza o tej godzinie, kiedy jedynymi dźwiękami przerywającymi nocną ciszę są rzadkie okrzyki nura albo odgłosy zwierząt buszujących w poszyciu porastającym brzeg.

Zanurzona w tej ciszy, wpatruję się w jezioro.

Pociągam łyk piwa.

Staram się nie myśleć o moim zmarłym mężu, choć to niełatwe po wydarzeniach dzisiejszego wieczoru.

Wszyscy poszli już kilka godzin temu; impreza skończyła się zaraz po tym, jak Katherine zemdląła na trawie. Najpierw odpłynęli Royce'owie. Tom mamrotał przeprosiny, prowadząc zamroczoną Katherine przez pomost. Odzyskała przytomność po kilku sekundach, ale i tak byłam zaniepokojona. Sugerowałam, żeby odpoczęła, i zaproponowałam, że zaparzę kawę, ale Tom uparł się, że zabierze żonę do domu natychmiast.

– Tym razem naprawdę narobiłaś sobie wstydu – ofuknął ją, zanim odpalił motorówkę i odpłynęli.

Gdy usłyszałam tę cichą krytykę, ogarnęło mnie współczucie dla Katherine, która – to jasne – była bardziej pijana, niż mi się zdawało. I zaraz dopadło mnie poczucie winy, że jej współczuję, bo to znaczyło, że się nad nią lituję, litość zaś to skutek uboczny osądzania. A ja nie miałam prawa osądzać Katherine Royce za wypicie o kieliszek za dużo.

Ale jest i dobra wiadomość: Tom odpłynął w takim pośpiechu, że zapomniał tej drugiej butelki za pięć tysięcy. Znalazłam ją na schodkach werandy i schowałam do szafki na alkohole. Znalezione, nie kradzione.

Eli zwlekał z odjazdem nieco dłużej, bo przedtem gasił ognisko i zbierał z trawy odłamki rozbitego kieliszka.

– Zostaw to – powiedziałam. – Resztę posprzątam jutro, kiedy zrobi się jasno.

– Nic ci nie będzie? – spytał Eli, kiedy odprowadzałam go do pikapa.

– Nic mi nie będzie – odparłam. – W tej chwili czuję się znacznie lepiej niż Katherine.

– Chodziło mi o tę drugą sprawę. – Urwał, wbijając wzrok w żwirowy podjazd pod stopami. – Przepraszam, że gadałem tak o tym jeziorze. Próbowałem ich tylko zabawić. Nie chciałem cię zdenerwować.

Przytulałam go.

– Zdenerwowałeś, ale tylko na chwilę.

Wtedy w to wierzyłam. Teraz już mniej, bo myśli o Lenie szybują mi w głowie gładko, jak nury nad taflą jeziora. Kiedy matka skazała mnie na to wygnanie, nie protestowałam. Miała rację. Przez jakiś czas nie powinnam się wychylać. Zresztą myślałam, że dam radę to znieść. Wcześniej spędziłam ponad rok w mieszkaniu, które kiedyś dzieliłam z Lenem. Zdawało mi się, że w domu nad jeziorem nie może być gorzej.

Ale jest.

Bo to właśnie tutaj Len umarł.

To tu zostałam wdową i teraz wszystko – dom, jezioro, ten cholerny łeb łośia na ścianie – przypomina mi o tym fakcie. I tak będzie zawsze, dopóki będę żywa.

Albo trzeźwa.

Pociągam kolejny łyk piwa i przeglądam brzeg po drugiej stronie jeziora. Od domu Fitzgeraldów przez posiadłość Royce'ów aż po domek Elia wszystko jest pogrążone w ciemności. Nad samym jeziorem unosi się gęsta mgła, tocząc się

ociężałe skłębionymi falami w stronę lądu. Każda z nich muska brzeg i otula słupy nośne pod werandą niczym piana morska rozbijająca się o pylony mola.

Obserwuję tę mgłę wręcz zahipnotyzowana, kiedy jakiś dźwięk przerywa nocną ciszę.

Któreś drzwi otwierają się ze skrzypnięciem, potem słychać kroki na drewnianej podłodze.

Odgłosy dobiegają z prawej strony, czyli z domu Mitchellów.

Po kilku kolejnych sekundach pojawia się Boone Conrad – szczupła sylwetka idzie na koniec pomostu Mitchellów.

Lornetka wciąż leży na stoliku obok mojego krzesła. Podnoszę ją do oczu i oglądam Boone'a z bliska. Dotarł już do krawędzi pomostu i stoi tam w samym ręczniku, potwierdzając moje pierwsze wrażenie na jego temat.

Boone Conrad jest atrakcyjny jak diabli.

Co prawda Eli radził mi trzymać się od niego z dala, co absolutnie rozumiem, ale nie mówił, że nie wolno mi na niego patrzeć. I to właśnie robię – z lekkim poczuciem winy, że do tego celu używam lornetki.

Poczucie winy wzrasta i przeradza się w coś innego, kiedy Boone rozwiązuje ręcznik i pozwala mu opaść na pomost, ujawniając w ten sposób, że nie nosi nic pod spodem.

Zniżam lornetkę.

I znów ją podnoszę.

Zastanawiam się, czy to moralne podglądać kogoś bez jego wiedzy czy zgody. Zwłaszcza kogoś nagiego.

Nie powinnam tego robić, myślę, nie odrywając od niego wzroku. To bardzo złe.

Boone stoi na pomoście, upajając się blaskiem księżyca, w którym jego blade ciało wygląda, jakby lśniło. Potem zerka przez ramię, prawie tak, jakby sprawdzał, czy patrzę. Owszem, patrzę, ale on na pewno tego nie wie. Stoi za daleko, a tutaj

wszystkie światła są zgaszone, więc jestem ukryta w ciemności. Mimo to na jego usta wypływa uśmiezek, jednocześnie podniecający i zawstydzający.

Następnie, zadowolony, że podglądacz, kimkolwiek jest, dostał niezły show, nurkuje w wodę. Choć jest lodowata, zanurzenie się w niej przypomina pewnie kąpiel w wannie w porównaniu z zimnym nocnym powietrzem. A nawet jeśli nie, Boone nie zwraca na to uwagi. Jego głowa wynurza się jakieś trzy metry od pomostu. Gwałtownymi ruchami strząsa wodę z potarganych włosów i zaczyna pływać. Nie ma ustalonego celu – w przeciwieństwie, jak sądzę, do Katherine, która opadła z sił na środku jeziora. Boone pływa tak jak ja dawniej, gdy byłam dzieckiem. Dla zabawy. Raz w jedną stronę, raz w drugą. Znowu daje nura, a kiedy wypływa, unosi się na plecach, wbijając wzrok w rozgwieżdżone niebo.

Wygląda jeśli nie na szczęśliwego, to przynajmniej na spokojnego.

Szczęściarz, myślę, podnosząc piwo do ust i pociągając spory łyk.

Nagle coś zwraca uwagę Boone'a. Odwraca głowę w stronę przeciwległego brzegu, gdzie w domu Royce'ów właśnie zapaliło się światło.

Na parterze.

W kuchni.

Błyskawicznie kieruję tam lornetkę, w samą porę, aby zobaczyć, jak Katherine w satynowej piżamie wchodzi chwiejnym krokiem do kuchni, jakby nie bardzo wiedziała, gdzie się znalazła.

Dobrze znam to uczucie.

Dłonie suną po ścianie, podłogi wirują, a krzesła wydają się stać za daleko, chociaż to tylko pół metra.

Gdy Katherine trzaska drzwiczkami szafek kuchennych, najwyraźniej czegoś szukając, przytłacza mnie świadomość, że to zachowanie nie jest mi obce. To ja podczas wielu, wielu nocy. Inna osoba. Inna kuchnia. To samo zataczanie się po pijaku.

Katherine znajduje to, czego szuka – szklanek – i drepcze do zlewu. Kiwam głową, zadowolona, że ona też wie, jak ważne jest nawodnienie po nocnym

pijaństwie.

Nalewa wody, ale ledwo upija łyk, kiedy jej uwagę przyciąga coś za oknem nad zlewem. Katherine wpatruje się przed siebie i przez ułamek sekundy myślę, że patrzy prosto na mnie, chociaż to przecież niemożliwe. Podobnie jak Boone nie może mnie zobaczyć. Nie z drugiej strony jeziora.

A mimo to wciąż gapi się w moją stronę. Dopiero kiedy dotyka twarzy, przesuwając palcami od policzka do podbródka, zaczynam rozumieć.

Ona wcale nie patrzy na mnie.

Przygląda się własnemu odbiciu w oknie.

Jeszcze przez chwilę pozostaje w tej pozycji, po pijacku zafascynowana tym, co widzi, po czym wraca spojrzeniem do szklanki z wodą. Przechyla ją, opróżnia i znowu napełnia. Po kilku kolejnych łapczywych łykach odstawia ją i wychodzi z kuchni, teraz zauważalnie pewniejszym krokiem.

Światło w kuchni gaśnie.

Kieruję lornetkę na pomost Mitchellów, chcąc jeszcze raz rzucić okiem na Boone'a. Ku mojemu rozczarowaniu już go tam nie ma. Kiedy obserwowałam Katherine, wyszedł z wody, zabrał ręcznik i wrócił do domu.

A to pech.

Zostaję sam na sam z mrokiem i czarnymi myślami kłębiącymi się niczym mgła nad jeziorem.

Ciaśniej otulam się kocem, dopijam piwo i wstaję, żeby przynieść sobie nowe.

Najgorsze po przepiciu – oprócz tego, że, no wiecie, za dużo się wypilo – jest to, że wszystko, co wychlaliście poprzedniego wieczoru, wraca rano, by was dręczyć.

Głowa pulsuje bólem.

Żołądek podchodzi do gardła.

Pęcherz jest bliski eksplozji.

Budzę się z wszystkimi trzema objawami, a towarzyszy im niemal wampiryczna nadwrażliwość na słońce. Nieważne, że długi rząd okien w sypialni wychodzi na zachód i słońce nie zagląda tu do wczesnego popołudnia. Wpadająca przez nie jasność w zupełności wystarczy, żebym się wzdrygnęła, ledwo otworzę oczy.

Przewracam się na drugi bok i zezuję na budzik stojący na szafce nocnej.

Dziewiąta.

Jak na życie nad jeziorem – późno. Jak na mnie – wcześniej.

Chcę jeszcze pospać, ale ból głowy, żołądek w gardle i gigantyczne parcie na pęcherz wypychają mnie z łóżka do łazienki, a potem na dół, do kuchni. Kiedy kawa się parzy, łykam ibuprom, popijam szklanką kranówki i sprawdzam telefon. Jest zabawny esemes od Marnie – ten okropny obrazek z kotkiem zwisającym z gałęzi drzewa i napisem: „Trzymaj się!”.

W odpowiedzi wysyłam wymiotującą buźkę.

Przyszedł jeszcze jeden esemes, z nieznanego numeru. Otwieram go i ze zdziwieniem stwierdzam, że jest od Katherine Royce.

„Przepraszam za wczorajszy wieczór. K”.

Czyli pamięta, co się wydarzyło przy ognisku. Ciekawe, czy pamięta też, jak zataczała się w kuchni o północy. Pewnie nie.

„Nie przejmuj się”, odpisuję. „Kto nie zaliczył odlotu na podwórku w gościach?”

Jej odpowiedź przychodzi natychmiast.

„To był mój pierwszy raz”.

„Witaj w klubie”.

Na ekranie komórki pojawiają się trzy kropki, znikają, znów się pojawiają. Sygnał, że kombinuje, co odpisać. Odpowiedź Katherine, kiedy w końcu przychodzi, jest lakoniczna: „Czuję się jak gówno”. Dla potwierdzenia tego wyznania załącza emoji z kupą.

„Może kawy?”, odpisuję.

Na tę propozycję odpowiada buźką z serduszkami w oczach oraz „TAK!!!!!!” wielkimi literami.

„To wpadnij”.

Katherine przyływa wyłożoną drewnem motorówką i cumuje przy pomoście. Przypomina gwiazdę filmową z lat pięćdziesiątych na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Wenecji. Chabrowa letnia sukienka. Czerwone okulary przeciwsłoneczne. Żółta jedwabna chustka zawiązana pod szyją. Przeszywa mnie ukłucie zazdrości, kiedy pomagam jej wysiąść z łodzi. Katherine Royce, która czuje się jak gówno, i tak wygląda lepiej niż ja w swojej najlepszej formie.

Zanim jednak robię się zbyt zazdrosna, zdejmuję okulary i wtedy muszę się powstrzymać przed wzdrygnięciem. Wygląda kiepsko. Oczy ma przekrwione, a pod nimi ciemnofioletowe worki wiszące niczym girlandy.

– Wiem – mówi. – Miałam paskudną noc.

– Też to przerabiałam, a potem były zdjęcia w brukowcach.

Ujmuje mnie pod ramię i razem schodzimy z pomostu, mijamy palenisko ogrodowe i wstępujemy po schodkach na werandę z tyłu domu. Katherine mości się na bujanym krześle, a ja wchodzę do domu, żeby przynieść nam dwa kubki kawy.

– Jaką lubisz? – pytam przez otwarte drzwi francuskie.

– Normalnie z cukrem i śmietanką! – woła Katherine w odpowiedzi. – Ale dzisiaj poproszę czarną. Im mocniejsza, tym lepiej.

Podaję kawę i siadam na krześle obok swojego gościa.

– Wielkie dzięki – mówi Katherine, zanim upija łyk i krzywi się, czując gorycz.

– Za mocna?

– W sam raz. – Upija kolejny łyk i oblizuje wargi. – Jeszcze raz przepraszam za wczorajszy wieczór.

– Za którą część?

– Chyba za wszystko. To znaczy Tom jest, jaki jest. Ciągłe strzela jakieś gafy. Chodzi o to, że on nigdy nie robi tego specjalnie. Po prostu brakuje mu tego filtra, który ma reszta ludzkości. Mówi, co myśli, nawet jeżeli potem robi się dziwnie. A co do mnie... – Kiwa głową w stronę miejsca, gdzie dwanaście godzin wcześniej osunęła się na ziemię jak worek z piaskiem. – Nie wiem, co się stało.

– To pewnie skutek picia za dużo i za szybko – wyjaśniam. – Specjalizuję się w tym.

– Nie chodziło o picie, choć tak myśli Tom. Jeśli już, to on pije za dużo. – Milknie i spogląda na swój dom za jeziorem, na szklane ściany, teraz nieprzezroczyste, bo odbija się w nich poranne niebo. – Po prostu ostatnio nie jestem sobą. Od wielu dni nie czuję się dobrze. Jest mi jakoś tak dziwnie. Słabo. A to wyczerpanie, które dopadło mnie wczoraj podczas pływania? Nie pierwszy raz mi się przydarzyło. Zawsze jest tak, jak wczoraj wieczorem. Serce zaczyna bić szybko. Jak po nielegalnej pigułce na odchudzanie. Nagle dopada mnie słabość. I zanim się obejrzę, leżę jak długa w trawie.

– Pamiętasz drogę do domu?

– Jak przez mgłę. Pamiętam, że w łódce było mi niedobrze i że Tom położył mnie do łóżka, a potem obudziłam się na kanapie w salonie.

Ani słowa o pałętaniu się po kuchni. Chyba słusznie podejrzewałam, że nie będzie tego pamiętać.

– Nie narobiłaś sobie wstydu, jeśli tym się martwisz – uspokajam ją. – Na Toma też się nie gniewam. Wczoraj mówiłam serio. Mój mąż utopił się w tym jeziorze. To się stało i nie ma sensu udawać, że było inaczej.

Pomijam fakt, że sama właśnie tak robię. Próbuję nie pamiętać. Praktycznie dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Katherine milczy, a ja nie potrzebuję żadnej odpowiedzi. Całkowicie wystarcza mi jej towarzystwo, wspólne picie kawy i bujanie się na mrukliwie poskrzypujących krzesłach. Dobrze, że jest wspaniały jesienny poranek, pełen słońca i oszałamiająco barwnych liści. W powietrzu czuć chłód, całkiem przyjemny. Rześki akcent równoważący złociste światło.

Len miał specjalną nazwę na taki dzień: vermoncki ideał. Kiedy ziemia, woda i niebo zmawiają się, żeby zaprzeć ci dech w piersiach.

– Musi ci być trudno ciągle patrzeć na to jezioro – odzywa się w końcu Katherine. – Dobrze się czujesz, mieszkając tu sama?

Zaskakuje mnie tym pytaniem, głównie dlatego, że nikomu innemu nie przyszło do głowy, aby mi je zadać. Matka w ogóle o tym nie pomyślała, zsyłając mnie do domu nad jeziorem. Fakt, że spytała o to Katherine, która ledwo mnie zna, wiele mówi o obu tych kobietach.

– Tak – odpowiadam. – Przeważnie.

– Ale czy mieszkanie tutaj cię nie gnębi?

– Nie tak mocno, jak się obawiałam.

To najszczerza odpowiedź, na jaką mnie stać. Pierwsze, co zrobiłam, kiedy Ricardo odjechał, zostawiając mnie tu na pastwę losu, to wyszłam na werandę i spojrzałam na jezioro. Myślałam, że zaleje mnie fala emocji. Żalu, lęku i wściekłości. Zamiast tego wszystkiego poczułam ponurą rezygnację.

W tej wodzie stało się coś złego.

Nie mogę tego zmienić, nieważne jak bardzo bym chciała.

Mogę jedynie zapomnieć.

To dlatego tyle czasu przesiaduję, gapiąc się na jezioro. Ukułam teorię, że jeśli będę to robiła wystarczająco długo, to związane z nim złe wspomnienia w końcu zmętnieją i się rozmyją.

– Może dlatego, że tu jest tak pięknie – sugeruje Katherine. – To był pomysł Toma, żeby kupić ten dom. Mnie odpowiadało wynajmowanie innego miejsca każdego lata. Tom twardo obstawał przy kupnie. Jeśli jeszcze się nie zorientowałaś, mój mąż uwielbia posiadać różne rzeczy. Ale w tym przypadku miał rację. To jezioro jest olśniewające. Dom też. Zabawne, że kiedy wyjeżdżam, nie tęsknię zbyt za tym miejscem. Ale kiedy już tu jestem, nie chcę go opuszczać. Pewnie tak jest z każdym letnim domem.

Przypomina mi się Len i nasz późnolipcowy piknik. „Zostańmy tu na zawsze, Cee”.

– Czyli mam się was spodziewać za więcej niż tydzień, dwa?

Katherine wzrusza ramionami.

– Może. Zobaczymy. Toma zaczyna martwić pogoda, ale myślę, że przeżycie tutejszej burzy mogłoby być ciekawe. A nawet romantyczne.

– Poczekaj do szóstego dnia bez prądu. Nie w głowie ci będzie romantyzm.

– Trudne warunki mi nie przeszkadzają. – Na widok mojego zaskoczenia dodaje: – Naprawdę! Jestem twardsza, niż się wydaje. Kiedyś razem z trzema koleżankami modelkami spędziłyśmy tydzień na spływie pontonowym w Wielkim Kanionie. Bez elektryczności. Bez zasięgu w komórce. Za dnia pokonywałyśmy bystrza, a w nocy spałyśmy w namiotach. Gotowałyśmy na otwartym ogniu i sikałyśmy w krzakach. Było bosko.

– Nie wiedziałam, że modelki tak się ze sobą przyjaźnią.

– Wredność i zakulisowe pyskówki to w większości mit. Kiedy dwanaście dziewczyn dzieli garderobę, muszą się jakoś dogadywać.

– Przyjaźnisz się z którąś z nich?

Katherine powoli i ze smutkiem kręci głową.

– Wszystkie nadal są w grze, a ja nie. Trudno pozostać w kontakcie. Z większością przyjaciółek rozmawiam tylko przez Instagram. Tak to jest z byciem sławną. Wszyscy wiedzą, kim jesteś...

– Ale czasami czujesz, że jesteś kompletnie sama.

– Tak – mówi Katherine. – Właśnie.

Odwraca wzrok, jakby zażenowana, że ktoś rozumie ją tak dogłębnie. Zahacza spojrzeniem o lornetkę leżącą na stoliku między naszymi bujanymi krzesłami. Postukuje w nią palcami i mówi:

– Zobaczyłaś przez nią kiedyś coś ciekawego?

– Nie bardzo – kłamię, powstrzymując rumieniec poczucia winy na myśl o podglądaniu wczoraj Boone’a, o tym, jak dobrze wyglądał nago w blasku księżyca, i o tym, że gdybym była odważniejsza i pewniejsza siebie, chętnie wskoczyłabym za nim do jeziora.

– Więc nie obserwowałaś mojego domu?

– Nigdy.

Kolejne kłamstwo. A ponieważ okłamuję Katherine – i to prosto w oczy – poczucie winy boli tym bardziej.

– Och, ja bym się na pewno gapiła na ten dom. Te olbrzymie okna? Czy ktoś może się im oprzeć? – Katherine podnosi lornetkę do oczu i spogląda przez nią na swój dom na przeciwległym brzegu. – Boże, ależ on ostentacyjny. Komu potrzebne jest takie domiszcze? I to jako dom na lato.

– Skoro was na niego stać, to nie ma powodu, żeby się nim nie cieszyć.

– Właśnie w tym rzecz – mówi Katherine i opuszcza lornetkę. – Nas na niego nie stać. W każdym razie Toma. To ja za wszystko płacę. Za dom. Mieszkanie. Wino za pięć tysięcy dolców i bentleya, który naprawdę jest całkiem miłutki. Powinniśmy wybrać się kiedyś na przejażdżkę, tylko ty i ja.

– Tom nie ma własnych pieniędzy?

– Wszystkie jego pieniądze są zamrożone w Mixerze, który wciąż jeszcze nie przyniósł zysku i prawdopodobnie nigdy go nie przyniesie. Uroki małżeństwa z tak zwanym tytanem technologicznym. Wygląda stosownie do swojej roli i odgrywa ją wyjątkowo dobrze, ale w rzeczywistości... – Katherine przerywa tyradę, żeby wziąć łyk kawy, po czym dodaje przeprasząco: – Pewnie myślisz, że jestem okropna. Siedzę tu i narzekam na męża, kiedy ty...

– W porządku – przerywam jej, nim zdąży dokończyć zdanie. – Większość małżeństw ma swoje problemy.

– Większość? Twoje zawsze było idealne?

– Nie było – odpowiadam, wpatrzona w jezioro. Obserwuję, jak poranne światło tańczy na powierzchni wody. – Ale takie się wydawało. Od samego początku aż do końca. – Pauza. – Z drugiej strony nie byliśmy małżeństwem wystarczająco długo, żeby Len się mną znudził, a nasz rozwód stał się nieunikniony.

Katherine odwraca się do mnie i uważnie przygląda mojej twarzy tymi swoimi wielkimi oczami, żeby sprawdzić, czy mówię poważnie.

– Zawsze to robisz? – pyta.

– Niby co?

– Obracasz wszystko w żart, żeby nie mówić o swoich prawdziwych uczuciach?

– Tylko w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach przypadków.

– Znowu to zrobiłaś.

Poprawiam się niespokojnie na krześle. Katherine ma oczywiście rację. Wychwyciła jedną z moich najgorszych cech. Przed nią udało się to jedynie Marnie i mojej matce. Nawet Len, który najbardziej odczuwał jej skutki, nigdy mi jej nie wytknął.

– Dowcipkuję sobie – odpowiadam – bo łatwiej udawać, że nie czuję tego, co czuję, niż faktycznie to czuć.

Katherine kiwa głową i znów kieruje wzrok na swój szklany dom na krawędzi wody. W oknach od strony jeziora nadal odbija się niebo, choć teraz na scenę wkroczyło też słońce. Lśniący okrąg dokładnie w miejscu, w którym znajduje się jej sypialnia. Tak jasny, że mógłby oślepić, gdyby wpatrywać się weń wystarczająco długo.

– Może też powinnam spróbować – mówi Katherine. – To naprawdę pomaga?

– Tak. Zwłaszcza jeśli odpowiednio dużo wypijesz.

W odpowiedzi tłumi ironiczny chichot.

– No, tego już próbowałam.

Wbijam wzrok w swój kubek kawy, żałując, że nie wzmocniłam jej kropelką burbona. Zastanawiam się, czy nie pójść po taką dolewkę. I czy nie zaproponować jej także Katherine. Już mam to zrobić, kiedy zauważam ubraną na szaro postać wychodzącą na patio przed domem Royce'ów.

Katherine też ją widzi.

– Tom zachodzi w głowę, gdzie jestem.

– Nie powiedziałaś mu, że tu idziesz?

– Lubię trzymać go w niepewności. – Wstaje, lekko się przeciąga, a potem po raz drugi w ciągu dwóch dni zaskakuje mnie uściskiem. – Dzięki za kawę. Jutro powinniśmy to powtórzyć.

– U mnie czy u ciebie? – pytam, starając się naśladować Mae West, ale brzmię raczej jak Bea Arthur.

– Tutaj, zdecydowanie. U nas jest tylko bezkofeinowa. Tom twierdzi, że kofeina osłabia naturalną energię organizmu. To, co tu wypiałam, byłoby podstawą do rozwodu. – Urywa, pewnie na widok mojej zaskoczonej miny. – To był żart, Casey. Żeby zatuszować moje prawdziwe uczucia.

– Sprawdza się u ciebie?

Zastanawia się.

– Może. Ale i tak wolę szczerość. A w tym przypadku prawda jest taka, że Tom za bardzo mnie potrzebuje, by zgodzić się na rozwód. Prędzej by mnie zabił, niż pozwolił mi odejść.

Macha do mnie palcami i schodzi ze schodków. Stoję przy balustradzie werandy, patrząc, jak przechodzi przez pomost, wskakuje do łodzi i odpływa, kierując się na drugi brzeg jeziora.

Kiedy jest mniej więcej w połowie drogi, moją uwagę przyciąga coś leżącego na ziemi. Jaśniejsza plama wśród wysokiej trawy przy kamiennym murku biegnącym wzdłuż brzegu.

Szkło.

Odbijające słońce tak samo jasno jak dom Katherine.

Schodzę po stopniach i sięgam po – jak się okazuje – odłamek kieliszka, który Katherine rozbiła wczoraj wieczorem. Gdy podnoszę go do światła, widzę zaschnięte na jego powierzchni kropelki wina, a także cienką warstewkę, która przypomina zaschniętą sól.

Kawałek po kawałku badam grunt w poszukiwaniu podobnych odłamków szkła. Nie widzę żadnych, więc wracam do domu i wrzucam szkiełko do kosza na śmieci w kuchni. Jeszcze zanim uderza o dno, nachodzi mnie pewna myśl.

Nie dotyczy rozbitego kieliszka.

Dotyczy Katherine.

Rano napisała do mnie esemesa, ale nie mam pojęcia, skąd wzięła mój numer.

Reszta dnia toczy się utartym trybem.

Wódka. Czysta.

Jeszcze jedna wódka. Też czysta.

Płacz pod prysznicem.

Kanapka z grillowanym serem na lunch.

Burbon.

Burbon.

Burbon.

Matka dzwoni o tej samej porze co zwykle – na komórkę, nie na telefon stacjonarny, który wciąż leży w szufladzie w pokoju wypoczynkowym. Odczekuję, aż nagra się na pocztę głosowej, i kasuję wiadomość bez odsłuchiwania.

Potem wypijam kolejnego burbona.

Na kolację jem stek i sałatkę, więc mogę udawać, że moje ciało nie jest kompletną pustynią odżywczą.

I piję wino.

I kawę, żeby odrobinę wytrzeźwieć.

I jem lody, bo tak.

Jest kilka minut po północy, a ja sączę tanią whiskey, której nieotwartą butelkę znalazłam schowaną z tyłu szafki na alkohole. Prawdopodobnie stała tam całe wieki. Ale spełnia swoje zadanie, łagodząc poziom odurzenia, który wznosił się i opadał przez cały dzień. Teraz otula mnie senny spokój, dla którego miniony dzień był wart zachodu.

Siedzę na werandzie zakutana w ciężki sweter i znowu z narzuconym na ramiona kocem z łodzi. Nie jest tak mglisto jak zeszłego wieczoru. Jezioro Greene i jego okolice otula srebrzysta rześkość, dzięki której przeciwległy brzeg widoczny jest jak na dłoni. Widzę każdy dom stojący po tamtej stronie.

Dom Fitzgeraldów. Ciemny i pusty.

Dom Royce'ów. Niepusty, ale i tak ciemny.

Dom Elia. Z jednym światłem palącym się na drugim piętrze.

Przenoszę wzrok na moją stronę jeziora. Dom Mitchellów – również ciemny – ledwo widać zza drzew. To znaczy, jak sędzę, że dzisiaj nie będzie kąpieli Boone'a o północy. Szkoda.

Sama też zastanawiam się nad pójściem do łóżka, kiedy u Royce'ów zapala się światło. Natychmiast sięgam po lornetkę, ale powstrzymuję się, zanim zdążę jej dotknąć.

Nie powinnam tego robić.

Nie muszę tego robić.

Powinnam za to napić się wody, iść spać i przestać interesować się tym, co robią moi sąsiedzi. To nietrudne zadanie. A jednak ten prostokąt światła po drugiej stronie jeziora przyciąga tak, jakby ktoś szarpał za oplatający mnie sznur.

Próbuję się opierać. Moja dłoń zawisa nad lornetką, a ja liczę Missisipi, tak jak robiłam to wczoraj z burbonem. Tym razem kapituluję na długo przed doliczeniem do czterdziestu sześciu. Szczerze mówiąc, ledwie docieram do jedenastu.

Bo opór też ma swoje wady. Sprawia, że pragnę czegoś – podglądania Royce'ów, wychylenia następnego drinka – jeszcze bardziej. Wiem, jak działa mechanizm tłumienia. Powstrzymujesz się i powstrzymujesz, aż w końcu mentalne tamy puszczają i wszystkie te paskudne pragnienia się wylewają, często powodując poważne szkody.

Nie żeby to akurat zachowanie miało wyrządzić komuś krzywdę. Nikt poza mną nie będzie o tym wiedział.

Z lornetką w dłoni wbijam wzrok w okno rozjaśniające mrok nocy. Znajduje się na pierwszym piętrze, w gabinecie, w którym wczoraj widziałam Toma. Teraz jednak to Katherine siedzi za biurkiem przy oknie i wpatruje się w laptopa.

Otulona białym szlafrokiem, wygląda gorzej niż rano. Jak blada imitacja samej siebie. Blask bijący z ekranu też nie pomaga, nadając jej cerze chorobliwie siny odcień.

Obserwuję, jak Katherine coś pisze, a potem patrzy na ekran, mrużąc oczy. Nagle marszczy brwi jeszcze bardziej i pochyla się, zaabsorbowana tym, na co patrzy.

Coś ją zaskakuje.

Widzę to wyraźnie, nawet z daleka.

Szczęka jej opada, a dłoń szybkuje ku dolnej wardze. Katherine już nie mruży oczu – teraz je wytrzeszcza. Mruga powiekami. Szybko. Przez pełne dwie sekundy trzepocze powiekami.

Zastyga w bezruchu.

Robi wydech.

Powoli odwraca głowę w kierunku drzwi gabinetu, które stoją otworem.

Czujnie nasłuchuje z przechyloną na bok głową.

Potem, najwyraźniej zadowolona, że nikt jej nie przeszkodzi, wraca do swoich gorączkowych działań przy laptopie. Stuka w klawisze. Przesuwa kursor. Od czasu do czasu ogląda się na otwarte drzwi.

Robię to samo, przesuwając lornetkę na prawo, ku głównej sypialni.

Jest pogrążona w całkowitej ciemności.

Wracam spojrzeniem do gabinetu, gdzie Katherine przez następną minutę na zmianę coś pisze i czyta. Zaskoczenie na jej twarzy trochę zelżało i przekształciło się w coś, co wygląda mi na determinację.

Ona czegoś szuka. Nie mam pojęcia, skąd to wiem, ale wiem. To nie jest mina kogoś, kto zwykle przegląda mejle w środku nocy. Tak wygląda ktoś z zadaniem do wykonania.

Po drugiej stronie domu zapala się drugie światło. Sypialnia.

Białe, przezroczyste zasłony w wysokich oknach są zaciągnięte. Widzę przez nie rozproszony blask lampki nocnej i sylwetkę siedzącego w łóżku Toma Royce'a. Wysuwa się z pościeli i w samych spodniach od piżamy stawia kilka sztywnych kroków.

Zatrzymuje się przy widocznym dla mnie skrawku drzwi, tak jak przy drzwiach jadalni, kiedy obserwowałam go wczoraj.

Teraz też nasłuchuje, zastanawiając się, co robi jego żona.

Dwa pokoje dalej Katherine cały czas pisze, czyta i znowu pisze. Przesuwam lornetkę od niej do niego jak ktoś, kto ogląda mecz tenisa.

Tom wciąż nasłuchuje przy drzwiach sypialni.

Twarz Katherine oświetla blask laptopa.

Tom wymyka się z pokoju.

Katherine pochyla się lekko, żeby lepiej przyjrzeć się ekranowi komputera.

Tom pojawia się w drzwiach za jej plecami.

Mówi coś, zdradzając jej swoją obecność.

Katherine wzdyga się na dźwięk jego głosu, zatrzaskuje pokrywę laptopa i odwraca się twarzą do męża. Choć widzę jedynie tył jej głowy, wiem, że coś mówi. Świadczy o tym jej żywa gestykulacja. Pantomima niewinności.

Tom coś odpowiada, tłumi chichot, drapie się po karku. Nie wygląda na rozzłoszczonego ani nawet podejrzliwego, co oznacza, że Katherine musiała powiedzieć to, co należało.

Wstaje i całuje Toma tak, jak zrobiłaby to żona w sitcomie. Wspina się na palce i daje mu szybkiego cmoka, zalotnie uginając jedną nogę w kolanie i unosząc ją do tyłu. Tom pstryka wyłącznikiem przy drzwiach i gabinet staje się prostokątem ciemności.

Dwie sekundy później znów są w sypialni. Tom wchodzi do łóżka i kładzie się na boku, plecami do okna. Katherine znika w łazience. Następuje kolejny błysk idealnego oświetlenia i zamknięcie drzwi.

W łóżku Tom przewraca się na drugi bok. Widzę jeszcze, jak sięga do lampki nocnej, i to wszystko. Wyłącza ją i cały dom pogrąża się w ciemności.

Opuszczam lornetkę, wytrącona z równowagi tym, co właśnie zobaczyłam, chociaż nie potrafię powiedzieć dlaczego. Chciałabym myśleć, że to wynik oglądania kolejnego surowego wycinka z czyjegoś życia. A może po prostu mam

poczucie winy, bo wmówiłam sobie, że nie ma nic złego w podglądaniu czegoś, czego nigdy nie powinnam oglądać. W rezultacie dopatruję się w tym, co ujrzałam, czegoś więcej, czego tam wcale nie ma. Typowe z igły widły.

A jednak nie mogę zapomnieć reakcji Katherine, kiedy się zorientowała, że Tom jest w pokoju.

Aż poderwała się z krzesła.

Z wyrazem paniki wypisanym na twarzy.

Im dłużej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonana, że została przyłapana na oglądaniu czegoś, czego nie chciała pokazać Tomowi. Stało się to absolutnie jasne w momencie, gdy zatrzaskała pokrywę laptopa i cmoknęła męża, zgrywając słodką żonkę.

To wszystko prowadzi mnie do jednego wniosku.

Tom Royce ma jakiś sekret.

I myślę, że Katherine właśnie go odkryła.

Pierwsza nad ranem.

Weranda, krzesło na biegunach, butelka i tak dalej.

Siedząc w półśnie na krześle, robię to samo co mój ojciec, kiedy byłem dzieckiem: na zmianę drzemię i budzę się, gdy głowa opada mi na pierś. Patrzyłam na to, kiedy oboje siedzieliśmy przed telewizorem, czekając na powrót matki po spektaklu. Najpierw powoli opadały powieki. Potem następował bezruch i może lekkie, warkliwe pochrapywanie. W końcu głowa leciała mu do przodu i budził się ze wzdrygnięciem. Tłumiłam chichot, on coś mamrotał i cała zabawa zaczynała się od nowa.

Teraz ja robię to samo. Jaki ojciec, taka córka. Po kolejnym cyklu skłon-wybudzenie stwierdzam, że pora iść spać.

Ale wtedy w domu Royce'ów po drugiej stronie jeziora zapala się światło.

Kuchnia.

Nagle całkowicie obudzona szukam po omacku lornetki, tym razem bez żadnych wahań i wewnętrznych oporów. Po prostu ją chwytam, podnoszę do oczu i widzę, jak Katherine wmaszerowuje do kuchni. Szlafrok, który miała na sobie wcześniej, teraz zastąpiły džinsy i okazałych rozmiarów biały sweter.

Za nią wchodzi Tom, wciąż w spodniach od pizamy, i coś mówi.

Nie.

Krzyczy.

Usta ma szeroko otwarte, ich wściekły owal rozszerza się i kurczy, kiedy Tom wrzeszczy na żonę na środku kuchni. Ona odwraca się na pięcie i coś odkrzykuje.

Idiotycznie się pochylam, jakbym mogła usłyszeć, co mówią, jeśli tylko troszeczkę się przybliżę. Ale dom Royce'ów jest jak niemy film puszczone tylko dla mnie. Bez dialogów. Bez muzyki. Bez żadnego dźwięku oprócz odgłosów otoczenia: szelestu liści i plusku wody przy brzegu.

Katherine wchodzi do ciemnej jadalni i widzę tylko jej słaby cień mijający okna od podłogi do sufitu. Tom idzie za nią, oddalony o kilka kroków, i wkrótce oboje

znikają w salonie.

Przez chwilę nic więcej się nie dzieje. Widać tylko równo oświetloną pustą kuchnię. Nagle zapala się jeszcze lampa w salonie. To sprawka Toma. Widzę go na białej sofie, jak cofa rękę po włączeniu światła. Katherine stoi przy oknie, odwrócona plecami do męża, i wbija wzrok prosto w mój dom za jeziorem.

Jakby wiedziała, że patrzę.

Jakby była tego pewna.

Wciskam się głębiej w bujane krzesło. Kolejny idiotyzm.

Przecież ona mnie nie widzi.

To niemożliwe.

Podejrzewam, że raczej patrzy na odbicie męża w szybie. Tom siedzi na skraju kanapy, pochylony do przodu, z głową w dłoniach. Podnosi wzrok, wyraźnie ją błaga. Gestykułuje desperacko, wręcz gorączkowo. Skupiając się na jego wargach, mogę prawie odczytać, co mówi.

„Jak?” A może: „Co?”.

Katherine nie odpowiada. A w każdym razie ja tego nie widzę. Jest oddalona od kanapy, lampka oświetla tylko jej plecy, przód jej ciała pozostaje w cieniu. I w bezruchu. Tyle mogę stwierdzić. Stoi przed oknem jak manekin, z rękami po bokach.

Za jej plecami Tom wstaje z kanapy. Robi w jej stronę niepewny krok, a jego błagania znów przeradzają się w krzyk. Gdy ona wciąż nie odpowiada, chwytą ją za ramię i szarpnięciem odsuwa od okna.

Jeszcze przez sekundę Katherine nie odrywa wzroku od szyby, choć Tom odciąga ją siłą.

Wtedy nasze spojrzenia się spotykają.

Jakimś cudem.

Mimo że nie może mnie widzieć i mimo że moje oczy są ukryte za lornetką, a nas dzieli prawie pół kilometra, nasze spojrzenia znajdują się nawzajem.

Na ułamek sekundy.

Ale w tej krótkiej chwili widzę w jej oczach strach i konsternację.

Zaraz potem jej głowa podąża za resztą ciała. Katherine odwraca się twarzą do męża, który ciągnie ją w stronę kanapy. Unosi wolną rękę, jej palce zwijają się w pięść, która uderza w szczękę Toma.

Cios jest mocny.

Tak mocny, że wydaje mi się, jakbym go słyszała na drugim brzegu jeziora, choć bardziej prawdopodobne, że to ja wydaję ten dźwięk – stłumiony okrzyk szoku.

Tom, bardziej zaskoczony niż zraniony, puszcza rękę Katherine i zatacza się w tył na kanapę. Ona chyba coś mówi. Wreszcie. Nie krzyczy. Ani nie błaga. Rzuca jakieś zdanie – spokojnie, choć rozkazująco.

Wychodzi z pokoju. Tom zostaje.

Kieruję lornetkę w górę, na pierwsze piętro, które jest pogrążone w ciemności. Jeśli to tam poszła Katherine, nie zobaczę jej.

Wracam spojrzeniem do salonu, gdzie Tom znów siedzi na sofie – przygarbiony, z głową w dłoniach. Przychodzi mi na myśl, że powinnam zadzwonić na policję i zgłosić awanturę domową. Choć nie znam kontekstu tego, co zobaczyłam, nie mam wątpliwości, że był to rodzaj domowej przemocy. Co prawda to Katherine uderzyła męża, ale dopiero po tym, jak Tom ją szarpnął. A kiedy nasze spojrzenia na chwilę się spotkały, w jej oczach nie widziałam napastliwości ani chęci zemsty.

Widziałam strach.

Ewidentny, niepohamowany strach.

Moim zdaniem Tom sam był sobie winien.

Zastanawiam się, ile razy taka sytuacja zdarzyła się wcześniej.

I martwi mnie, że zdarzy się znowu.

Jedno jest pewne: żałuję, że w ogóle wzięłam do ręki tę lornetkę i zaczęłam podglądać Royce'ów. Wiedziałam, że robię coś złego. I wiedziałam, że jeśli nie przestanę, to w końcu zobaczę coś, czego nie chcę.

Bo nie szpiegowałam jednej osoby.

Obserwowałam małżeństwo, a to coś bardziej złożonego i nieprzewidywalnego.

„Czym jest małżeństwo, jeśli nie serią wzajemnych oszustw?”

To kwestia ze *Strzępu wątpliwości*. Zanim mnie zwolniono, powtarzałam ją osiem razy w tygodniu, zawsze wywołując zażenowany śmiech wśród publiczności, która dostrzegała w tych słowach prawdę. Żadne małżeństwo nie jest całkowicie szczere. Każde jest zbudowane na pewnego rodzaju oszustwie, nawet jeśli drobnym i nieszkodliwym. Mąż udaje, że podoba mu się wybrana przez żonę sofa. Żona ogląda ulubiony program męża, mimo że po cichu nim gardzi.

Czasem chodzi o coś poważniejszego.

O zdradę. Nałóg. Sekrety.

Czegoś takiego nie można ukrywać w nieskończoność. W pewnym momencie prawda wychodzi na jaw i wszystkie te starannie opracowane oszustwa padają jedno po drugim jak kostki domina. Czy właśnie to oglądałam przed chwilą w domu Royce'ów? Małżeństwo pod presją, które w końcu implodowało?

W salonie Tom wstaje i podchodzi do barku w kredensie. Chwyta butelkę płynu w kolorze miodu i nalewa go trochę do szklanki. Nad nim, w głównej sypialni, zapala się światło, ukazując Katherine poruszającą się za zwiewnymi zasłonami. Widząc ją, sięgam po telefon, nie zastanawiając się, co powiem. Po prostu dzwonię.

Katherine odbiera i odzywa się przyciszonym i ochrypłym głosem:

– Halo?

– Tu Casey – mówię. – Wszystko u ciebie w porządku?

Po stronie Katherine nie słychać niczego. Nawet oddechu. Ani szelestu. Następuje chwila milczenia, a potem pytanie:

– Dlaczego miałyby nie być w porządku?

– Zdawało mi się, że...

Ledwie udaje mi się zatrzymać słowo, które mam na końcu języka.

„Widziałam”.

– Zdawało mi się, że słyszałam coś w waszym domu – mówię. – I chciałam sprawdzić, czy wszystko okej.

– Wszystko, Casey. Sama zobacz.

Moje ciało zamiera.

Katherine wie, że ich podglądam.

Chyba nie powinnam być zaskoczona. Siedziała na tym samym bujanym krześle i patrzyła na swój dom przez tę samą lornetkę, która teraz leży obok mnie.

„Ja bym się na pewno gapiła na ten dom”, powiedziała, subtelnie dając mi do zrozumienia, że wie, że to robię.

Ale teraz nie sili się na subtelność. Mówi wprost, żebym spojrzała.

Przezroczyste zasłony w głównej sypialni się rozstępują, a ja szukam po omacku lornetki. Katherine macha do mnie z okna. Prawie cała stoi w cieniu, więc nie widzę jej twarzy.

I nie wiem, czy się uśmiecha.

Ani czy w jej oczach wciąż czai się strach.

Widzę tylko jej machającą do mnie sylwetkę, dopóki to machanie nie ustaje. Katherine opuszcza rękę, jeszcze przez chwilę stoi w miejscu, a potem odsuwa się od okna i wychodzi z pokoju, po drodze pstrykając wyłącznikiem.

Dokładnie poniżej Tom właśnie skończył drinka. Przez moment gapi się w pustą szklaneczkę, jakby się zastanawiał, czy sobie dolać.

A potem zamierza się i ciska szklanką, która uderza w ścianę i rozpryskuje się na kawałki.

Tom rzuca się z powrotem w kierunku sofy, sięga do lampki i pstryknięciem wyłącznika na nowo pograża dom w niepokojącym mroku.

Ze snu wyrywa mnie dźwięk niosący się po jeziorze. Z jeszcze zamkniętymi oczami wychwytyję jedynie jego wybrzmienie. Milknące echo echa znikającego w głębi lasu za moim domem.

Zastygam na pół minuty, czekając, czy dźwięk się powtórzy. Ale umilkł na dobre, czymkolwiek był. Jezioro zasnuwa cisza tak gęsta jak wełniany koc i równie dusząca.

Otwieram oczy, by ujrzeć szaroróżowe niebo i jezioro, które właśnie zaczyna migotać w świetle dnia.

Całą noc spędziłam na werandzie.

Jezu.

Głowa pulsuje mi bólem, a ciało aż trzeszczy. Gdy się podnoszę, stawy skrzypią mi głośniejsz niż bujane krzesło pode mną. Prostuję się i wtedy dopada mnie zawrót głowy. Diabelski młyniec, od którego świat się kołysze, jakby oś ziemską się przechyliła, zmusza mnie do kurczowego przytrzymania się podłokietników, żeby nie stracić równowagi.

Spuszczam wzrok z nadzieją, że wszystko się uspokoi. Na podłodze werandy u moich stóp kołysze się lekko butelka whiskey, prawie pusta.

Jezu.

Jej widok wywołuje mdłości tak silne, że przyćmiewają mój ból, konsternację i zawroty głowy. Wstaję – jakoś – i biegnę do małej łazienki dla gości tuż obok przedpokoju.

Dopadam do niej na czas, ale nie do toalety. Cała trucizna kotłująca się w żołądku wylewa się ze mnie nad umywalką. Odkręcam kran na całego, żeby to zmyć, i zataczając się, wychodzę, po czym kieruję się ku klatce schodowej na drugim końcu salonu. Drogę na najwyższe piętro pokonuję na czworakach. Potem, już na górze, tarabanię się w ten sam sposób przez korytarz do głównej sypialni, gdzie udaje mi się wgramolić na łóżko.

Opadam na plecy, oczy zamykają mi się samoistnie. Nie mam w tej sprawie nic do gadania. Ostatnią myślą przed zanurzeniem się w niebyt jest wspomnienie dźwięku, który mnie obudził. Towarzyszy mu zrozumienie.

Już wiem, co usłyszałam.

To był krzyk.

Teraz



Mów, co zrobiłeś Katherine – powtarzam, skręcając ręcznik, który przed chwilą był w jego ustach. Jest wilgotny od śliny. Ohydna, ciepła wilgoć sprawia, że rzucam ręcznik na podłogę. – Mów, a to wszystko się skończy.

Milczy, oczywiście.

Nie ma powodu, żeby coś powiedział.

Na pewno nie mnie.

Nie po tym wszystkim, co zrobiłam. I co nadal robię.

Porwałam go i przetrzymuję.

Okłamuję Wilmę.

Później będę musiała sporo wyjaśniać. Teraz jednak moim jedynym celem jest uratowanie Katherine. Jeśli to w ogóle możliwe. Tego nie jestem w stanie stwierdzić, dopóki on mi nie powie.

– Co się z nią stało? – pytam po chwili milczenia, w czasie której jedynym dźwiękiem jest bębnienie deszczu o dach.

Przechyla głowę na bok z nieznośnym uśmiechem zadowolenia.

– Zakładasz, że wiem.

Robię dokładnie taką samą minę, łącznie z tym uśmiechem przez zaciśnięte wargi, w którym nie ma nic z życzliwości.

– To nie założenie. A teraz gadaj, co z nią zrobiłeś.

– Nie.

– Ale coś jej zrobiłeś?

– Ja też mam pytanie do ciebie – mówi. – Dlaczego tak się przejmujesz Katherine? Ledwie ją znałaś.

Ten czas przeszły sprawia, że czuję na plecach dreszcz strachu. Jestem pewna, że o to mu chodziło.

– To nie ma znaczenia – odpowiadam. – Mów, gdzie ona jest.

– Tam, gdzie jej nigdy nie znajdziesz.

Strach pozostaje. Dołącza do niego coś nowego: złość. Bulgocze mi w piersi, gorąca i wzburzona jak gotująca się woda. Wychodzę z pokoju, a kiedy idę po schodach, światła znowu niepokojąco migoczą.

W kuchni wyjmuję największy nóż z drewnianego stojaka na blacie kuchennym. Potem wracam na górę, do pokoju, do łóżka, w którym sypiałam jako dziecko. Trudno sobie wyobrazić, że tamta dziewczynka to ta sama osoba – teraz zaprawiona burbonem i z nożem w dłoni. Gdybym nie przeżyła wszystkich lat pomiędzy tymi dwoma punktami w czasie, sama bym w to nie uwierzyła.

Drżącymi rękami przykładam czubek noża do jego boku. Ostrzegawczy szturchaniec.

– Mów, gdzie ona jest.

Zamiast się skulić ze strachu, wybucha śmiechem. Prawdziwym, głębokim śmiechem. Fakt, że uważa tę sytuację za zabawną, wprawia mnie w jeszcze większe przerażenie.

– Nie masz absolutnie żadnego pojęcia, co robisz – mówi.

Milczę.

Bo on ma rację.

Nie mam.

Ale to mnie i tak nie powstrzyma.

Wcześniej



Budzę się ponownie tuż po dziewiątej, w głowie nadal mi huczy, ale zawroty i nudności szczęśliwie ustąpiły. Mimo to czuję się koszmarnie. Tak też cuchnę. I z całą pewnością tak właśnie wyglądam.

Moja matka byłaby zbulwersowana.

Sama jestem zbulwersowana.

Kiedy siadam w kłębowskiu koców, pierwsze, co do mnie dociera, to stłumiony szum płynącej wody dochodzący z parteru.

Kran w łazience dla gości.

Nie zakręciłam go.

Wyskakuję z łóżka, zbiegam ze schodów, utykając, i zastaję kran odkręcony na całego. Woda wypełnia umywalkę w dwóch trzecich, a podejrzewam, że nie przelała się tylko dzięki doskonałej jakości instalacji. Zakręcam kran i nagle wspomnienia z wczorajszego wieczoru wracają w postaci brutalnych przebłysków.

Whiskey.

Lornetka.

Awantura, telefon, Katherine machająca w oknie.

I krzyk.

To ostatnia rzecz, jaką pamiętam, ale najważniejsza. I najbardziej podejrzana. Czy ja naprawdę usłyszałam krzyk o świcie? A może była to tylko część pijackiego snu, który mi się śnił, kiedy odleciałam na werandzie?

Choć mam nadzieję, że stało się to drugie, podejrzewam, że chodzi o to pierwsze. Przypuszczam, że we śnie krzyk byłby wyraźniejszy. Ostry, wypełniający czaszkę. A to, co usłyszałam rano, brzmiało inaczej.

Jak podźwięk krzyku.

Niewyraźny i nieuchwytny.

Jeśli jednak to był krzyk – a ku tej teorii zaczyna się skłaniać mój skacowany mózg – brzmiał jak głos Katherine. W każdym razie jak kobiecy głos. A o ile wiem, ona jest jedyną poza mną kobietą mieszkającą obecnie nad jeziorem.

Przez następne kilka minut szukam swojego telefonu, który w końcu znajduję na werandzie – wciąż leży na stoliku obok lornetki. Po całej nocy na dworze bateria jest na wyczerpaniu. Zanim zabieram telefon do domu, żeby go podładować, sprawdzam, czy były jakieś połączenia albo esemesy od Katherine.

Nie.

Postanawiam do niej napisać i starannie układam wiadomość, podczas gdy kubek mocnej kawy przywraca mnie do życia, a ładowarka robi to samo z telefonem.

„Właśnie zrobiłam kawę. Wpadnij, jeśli masz ochotę. Myślę, że powinniśmy porozmawiać o wczorajszej nocy”.

Wciskam „wyślij”, zanim przyjdzie mi do głowy, żeby wszystko skasować.

Czekając na odpowiedź, popijam kawę i myślę o tamtym krzyku.

O ile to w ogóle był krzyk.

Spędziłam połowę życia nad tym jeziorem. Wiem, że mogło to być coś innego. Nocą wiele zwierząt grasuje na brzegu, a nawet w samej wodzie. Skrzekliwe sowy i głośne ptactwo wodne. Raz, kiedy Marnie i ja byliśmy dziećmi, lis bronił swojego terytorium przed innym zwierzęciem i wydzierał się przez większość nocy. Dosłownie się wydzierał. Jego skowyczenie odbijało się echem od powierzchni wody i mroziło krew w żyłach, nawet kiedy Eli wyjaśnił nam dokładnie, co to było.

Ale do tych odgłosów jestem przyzwyczajona i nie przeszkadzają mi we śnie. Zwłaszcza po nocnym pijaństwie. To jednak było coś innego – aż wyrwało mnie ze snu, choć po wyżłopaniu prawie całej butelki whiskey miałam mocno w czubie.

Teraz jestem na siedemdziesiąt pięć procent pewna, że słyszałam kobiecy krzyk. To wprowadzie daleko do całkowitej pewności, ale wystarczy, żeby z tętniącym w żyłach niepokojem znów sprawdzić telefon.

Wciąż żadnych wieści od Katherine.

Zamiast dalej czekać na esemesa, postanawiam do niej zadzwonić. Sygnał rozbrzmiewa trzy razy, a potem włącza się poczta głosowa.

„Cześć, tu Katherine. Nie mogę w tej chwili odebrać telefonu. Albo po prostu cię ignoruję. Dowiesz się tego, jeśli oddzwonię, więc zostaw mi swoje nazwisko i numer”.

Czekam na sygnał i nagrywam wiadomość.

– Hej, tu Casey. – Urywam, zastanawiając się, jak to sformułować. – Chciałam tylko sprawdzić, czy nic ci nie jest. Wiem, że wczoraj w nocy powiedziałaś, że nie, ale dzisiaj rano zdawało mi się, że usłyszałam... – Znowu urywam, wahając się, czy powiedzieć wprost, co to moim zdaniem było. Nie chcę wyjść na kogoś, kto przesadnie dramatyzuje albo, co gorsza, cierpi na urojenia. – W każdym razie oddzwoni. Albo wpadnij, jeśli chcesz. Miło będzie pogawędzić.

Rozłączam się, wsuwam telefon z powrotem do kieszeni i wracam do swojego codziennego rytmu.

Wódka. Czysta.

Jeszcze jedna wódka. Też czysta.

Prysznic, bez płaczu, ale z nowym, niepożądanym niepokojem.

Kanapka z grillowanym serem na lunch.

Kiedy zegar szafkowy w salonie wybija trzynastą, a Katherine wciąż nie odpowiada, dzwonię raz jeszcze i znowu przełącza mnie na pocztę głosową.

„Cześć, tu Katherine”.

Rozłączam się, nie zostawiając wiadomości, nalewam sobie burbona i wychodzę na werandę. Butelka whiskey z wczorajszego wieczoru wciąż tutaj jest, a w jej wnętrzu chlupocze łyk alkoholu. Usuwam ją z drogi kopniakiem, opadam na bujane krzesło i sprawdzam telefon dziesięć razy w ciągu trzech minut.

Nadal nic.

Podnoszę lornetkę i patrzę na dom Royce'ów z nadzieją na jakiś ślad obecności Katherine, ale bezskutecznie. O tej porze słońce zaczyna skrzyć się na szklanych ścianach, a odbicie nieba przesłania wnętrze niczym zamknięte powieki.

Obserwując dom, zastanawiam się nad niezwykłością tego, co widziałam zeszłej nocy. Stało się tam coś ważnego. Coś, co mnie nie dotyczy, a jednak, co

dziwne, bardzo obchodzi. Choć nie znam Katherine zbyt długo, uważam ją za przyjaciółkę. Albo przynajmniej za kogoś, kto mógłby nią zostać. A nowych przyjaciół nie zawiązuje się łatwo po przekroczeniu trzydziestki.

W oddali na jeziorze kołysze się znajoma łódka. Kieruję ku niej lornetkę i widzę Elia, który siedzi na dziobie z wędką w ręku. Jeśli ktokolwiek usłyszał ten sam dźwięk co ja, to właśnie on. Wiem, że lubi wstawać ze słońcem, więc jest szansa, że już wtedy nie spał. A jeśli faktycznie to usłyszał, być może będzie umiał wyjaśnić mi, co to było, i uciszyć mój podskórny niepokój.

Dzwonię na jego komórkę, przypuszczając, że zabrał ją ze sobą.

Cały czas obserwuję go przez lornetkę. Z wyrazem irytacji na twarzy poklepuje się po przedniej kieszonce kamizelki wędkarskiej – bezsporny znak, że ma przy sobie telefon. Opiera wędkę o burtę łódki i patrzy na ekran telefonu, a potem na mój dom. Dostrzega mnie na werandzie z komórką w dłoni, macha do mnie i odbiera.

– Jeśli dzwonisz, żeby zapytać, czy coś złapałem, to odpowiedź brzmi: nie.

– Mam inne pytanie – mówię i dodaję ostrzegawczo: – Dość niezwykle. Czy dzisiaj rano słyszałeś jakiś dziwny hałas na dworze?

– O której?

– O świcie.

– Jeszcze nie wstałem – odpowiada Eli. – Postanowiłem trochę pospać. Rozumiem, że ty coś usłyszałaś?

– Tak myślę. Nie jestem pewna. Miałam nadzieję, że to potwierdzisz.

Eli nie pyta, dlaczego byłam na nogach o świcie. Podejrzewam, że dobrze to wie.

– Jakiego rodzaju to był hałas?

– Krzyk.

Gdy mówię to na głos, uświadamiam sobie, jak to brzmi. Prawdopodobieństwo, że ktokolwiek, a co dopiero Katherine Royce, krzyczał o świcie, jest nikłe, choć niewykluczone.

Nad tym jeziorem zdarzają się złe rzeczy.

Wiem z doświadczenia.

– Krzyk? – powtarza Eli. – Jesteś pewna, że to nie był lis albo coś takiego?

Czy jestem pewna? Nie bardzo. Nawet teraz, w trakcie naszej rozmowy, poziom mojej pewności obniżył się z siedemdziesięciu pięciu do pięćdziesięciu procent.

– Brzmiało jak ludzki krzyk.

– Po co ktoś miałby krzyczeć o takiej porze?

– A po co w ogóle się krzyczy, Eli? Bo coś jej groziło.

– Jej? Myślisz, że słyszałaś Katherine Royce?

– Nie wiem, kto inny mógłby to być. Widziałaś ją dzisiaj?

– Nie – odpowiada Eli. – Ale może dlatego, że nie zwracałem uwagi. Martwisz się, że coś jej się stało?

Zaprzeczam, choć powinnam przytaknąć. Brak odpowiedzi Katherine na mojego esemesa i na nagrane wiadomości mnie niepokoi, nawet jeśli według wszelkiego prawdopodobieństwa istnieje po temu jakieś niewinne wyjaśnienie. Może jeszcze śpi, a telefon ma wyciszony albo w innym pokoju.

– Na pewno wszystko jest w porządku – dodaję, bardziej próbując przekonać siebie niż Elia.

– Chcesz, żebym tam wstąpił i sprawdził?

Eli stanowi jednoosobową straż sąsiedzka nad jeziorem i wiem, że zrobiłby to z przyjemnością. Ale to moje zmartwienie, nie jego. Czas złożyć Royce'om wizytę i w ten sposób, miejmy nadzieję, uciszyć wszelkie obawy.

– Ja popłynę – mówię. – Dobrze będzie wyrwać się z domu.

Tom Royce wychodzi na pomost, zanim do niego docieram. Najwyraźniej zauważył, że nadpływam, bo wygląda na kogoś, kto spodziewa się towarzystwa. Jest nawet ubrany odpowiednio na nieformalną wizytę. Czarne dżinsy. Białe tenisówki. Kaszmirowy sweter w tym samym kolorze co tamto kosztowne wino, które przyniósł do mnie dwa dni temu. Macha przesadnie przyjacielskim gestem, kiedy cumuję łódź i podchodzę do niego.

– Siema, sąsiadko. Co cię tu dziś sprowadza?

– Chciałam spytać Katherine, czy ma ochotę wpaść do mnie na babskie pogaduszki i popołudniowy koktajl na werandzie.

Przygotowałam tę wymówkę, aby wyjaśnić przeprawę przez jezioro, z nadzieją, że dzięki temu nie wyjdę na panikarę. Którą podejrzewam, że jestem. Katherine nic się nie stało, a ja zamartwiam się z powodu czegoś, co zobaczyłam, czegoś, co usłyszałam, i czegoś, co przydarzyło się mojemu mężowi ponad rok temu. Choć to wszystko nie ma ze sobą absolutnie nic wspólnego.

– Obawiam się, że jej tu nie ma – mówi Tom.

– Kiedy wróci?

– Prawdopodobnie następnego lata.

Ta odpowiedź jest tak niespodziewana jak zatrzaśnięcie drzwi przed nosem.

– Wyjechała?

– Wróciła do naszego mieszkania w mieście – wyjaśnia Tom. – Wczesnym rankiem.

Robię jeszcze kilka kroków w jego stronę i dostrzegam zaczerwienie na lewym policzku, w który trafiła go Katherine. Biorąc pod uwagę to, co się stało, może jej wyjazd nie powinien być dla mnie zaskoczeniem. Potrafię sobie wyobrazić serię wydarzeń, która doprowadziła do jej decyzji.

Najpierw awantura zakończona ciosem w twarz Toma.

Później mój telefon, który Katherine odebrała prawdopodobnie już po podjęciu decyzji o wyjeździe. Myśląc o jej krótkim pojawieniu się w oknie sypialni, teraz

widzę to dziwne machanie w innym świetle. Całkiem możliwe, że machała na pożegnanie.

Potem być może nastąpiło gorączkowe pakowanie pod osłoną ciemności. I wreszcie, kiedy już miała wyjechać, awantura wybuchła na nowo. Każde próbowało na koniec jeszcze dołożyć drugiemu. Podczas tej ostatecznej rozgrywki Katherine krzyknęła. Może z frustracji. Albo z wściekłości. Albo po prostu wyrzuciła z siebie wszystkie nagromadzone emocje.

A może – myślę, czując, jak przechodzą mnie ciarki – krzyknęła, bo Tom coś jej zrobił.

– O której? – pytam, obrzucając go podejrzliwym spojrzeniem.

– Wcześniej. Chwilę temu zadzwoniła i powiedziała, że bezpiecznie dotarła na miejsce.

To pasuje do mojej teorii na temat tego, kiedy Katherine wyjechała. Tym, co do niej nie pasuje, jest Bentley Toma, który stoi pod portykiem wystającym z boku budynku. Samochód jest niebieskoszary, gładki i lśniący jak mokra foka.

– Jak tam dojechała?

– Zamówiła samochód, rzecz jasna.

To nie wyjaśnia, dlaczego Katherine nie oddzwoniła ani nie odpisała na moje esemesy. Po wczorajszej nocy – i z racji tego, że na dziś rano byłyśmy wstępnie umówione na kawę – to dziwne, że nie wspomniała mi o swoim powrocie do Nowego Jorku.

– Kilka razy próbowałam dzisiaj się z nią skontaktować – mówię. – Nie odbiera telefonu.

– Ona nie sprawdza telefonu w trakcie podróży. Trzyma go w torebce, wyciszony.

Odpowiedź Toma, jak wszystkie do tej pory, wydaje się całkiem sensowna, ale gdyby porządnie się nad nią zastanowić, to w ogóle nie ma sensu. Sześć dni temu, kiedy Ricardo odwoził mnie do domu nad jeziorem, z czystej nudy nie odrywałam

wzroku od telefonu. Z drugiej strony przez większość czasu próbowałam wygooglować, czy w okolicy jest jakiś monopolowy z dostawą do domu.

– Ale przed chwilą powiedziałeś, że zadzwoniła do ciebie z mieszkania.

– Myślę, że chce mieć święty spokój.

Z jego słów wnioskuję, że to on chce, żeby dać mu spokój. Nie jestem jeszcze gotowa, żeby to zrobić. Im więcej Tom mówi, tym bardziej rośnie moja podejrzliwość. Wbijam wzrok w czerwony ślad na jego policzku, dokładnie przypominając sobie moment, kiedy powstał.

Szarpięcie, którym Tom odsunął Katherine od okna.

Jej gwałtowny zamach i cios.

Czy coś takiego stało się po raz pierwszy? Czy raczej zdarzało się wcześniej wiele razy? A jeśli tak, to może Tom poszedł o krok dalej, kiedy nad jeziorem zaczęło świtać.

– Dlaczego Katherine wyjechała? – Celowo jestem wścibska, bo mam nadzieję, że zdradzi mi więcej niż do tej pory.

Tom mruży oczy, drapie się po karku, a potem zakłada ręce ciasno na piersi.

– Powiedziała, że nie chce tu być, kiedy uderzy huragan Trish. Bała się. Wielki dom. Silny wiatr. Całe to szkło.

Wczoraj Katherine powiedziała mi coś zupełnie innego. Według niej to Tom boi się tej burzy. Możliwe jednak, że zmieniła zdanie przez moją gadaninę o odcięciu prądu na wiele dni. Równie możliwe jest to, że nie przepada za trudnymi warunkami tak bardzo, jak twierdziła.

Ale w takim razie dlaczego ona wyjechała, a Tom został?

– Dlaczego nie pojechałeś z nią? – pytam.

– Bo ja się nie boję burzy – mówi Tom. – Zresztą uznałem, że najlepiej, jeśli będę w pobliżu, na wypadek gdyby dom miał jakoś ucierpieć.

Racjonalna odpowiedź. I brzmi prawie jak prawda. Byłabym skłonna mu uwierzyć, gdyby nie dwie rzeczy.

Pierwsza: Tom i Katherine pokłócili się wczoraj w nocy. Niemal na pewno ma to coś wspólnego z jej nagłym wyjazdem.

Druga: jego słowa nie wyjaśniają tego, co usłyszałam rano. A ponieważ Tom nie zamierza o tym wspomnieć, zrobię to ja.

– Zdawało mi się, że dziś rano słyszałam jakiś hałas – oznajmiam. – Dochodził z tej strony jeziora.

– Hałas?

– Tak. Krzyk.

Milknę i czekam na reakcję Toma. Nie reaguje. Twarz ma nieruchomą jak maska, aż wreszcie pyta:

– O której?

– Tuż przed świtem.

– Wstałem dużo później.

– Ale podobno Katherine wyjechała o tej porze?

Zamiera na sekundę i przez chwilę myślę, że przyłapałam go na kłamstwie. On jednak szybko dochodzi do siebie.

– Powiedziałem, że wyjechała wcześniej. A nie o świcie. I nie podobają mi się te insynuacje, że kłamię.

– Nie musiałabym niczego insynuować, gdybyś po prostu podał godzinę.

– Ósma.

Mimo że Tom rzuca tę liczbę, jakby przed chwilą przysłała mu do głowy, czas się zgadza. Dojazd stąd na Manhattan zajmuje trochę poniżej pięciu godzin, więc jest bardziej niż prawdopodobne, że do tej pory Katherine zdążyła dojechać na miejsce, nawet jeśli doliczyć jakiś dłuższy postój.

Tom podnosi dłoń do policzka i masuje miejsce, w które trafiła pięść jego żony.

– Nie rozumiem, skąd u ciebie to zainteresowanie Katherine. Nie wiedziałem, że jesteście przyjaciółkami.

– Polubiłyśmy się.

– Lubię wiele osób, ale to nie znaczy, że przesłuchuję ich współmałżonków, kiedy wyjeżdżają, nie uprzedzając mnie o tym.

Ach, to ta stara sztuczka z umniejszaniem kobiecego niepokoju poprzez wmawianie, że ma się obsesję i wpada w histerię. Spodziewałabym się po Tomie czegoś oryginalniejszego.

– Po prostu się martwię – mówię.

Tom zdaje sobie sprawę, że wciąż masuje policzek, więc opuszcza rękę i mówi:

– Niepotrzebnie. Bo Katherine wcale nie martwi się o ciebie. Musisz to zrozumieć, jeśli chodzi o moją żonę. Bardzo łatwo się nudzi. W jednej chwili chce uciekać z miasta i jechać tu, nad jezioro, na dwa tygodnie. Parę dni później stwierdza, że woli wracać. Z ludźmi ma tak samo. Są dla niej jak ciuchy. Coś, co może przymierzyć i ponosić przez chwilę, a potem zmienić na najnowszy krzyk mody.

Katherine wcale nie sprawiała takiego wrażenia. Ona sama i nasza krótka znajomość wydawały się szczere, co jeszcze bardziej ugruntowuje moje przekonanie, że Tom kłamie.

Nie tylko w tej sprawie.

W każdej.

A ja postanawiam zmusić go do odkrycia kart.

– Rozmawiałam z nią wczoraj w nocy – mówię. – Było już po pierwszej nad ranem. Powiedziała mi, że się pokłóciliście.

Pora na moje kłamstwo. Niewielkie. Ale Tom nie musi o tym wiedzieć. W pierwszej chwili myślę, że zaraz znów skłamię. Widzę, że za jego oczami praca wre. Trybiki się kręcą, Tom szuka wymówki. Nic nie znajduje i w końcu mówi:

– Tak, pokłóciliśmy się. Zrobiło się gorąco. Oboje zrobiliśmy i powiedzieliśmy rzeczy, których robić ani mówić nie powinniśmy. Kiedy obudziłem się rano, Katherine już nie było. Dlatego tak kręciłem. Zadowolona? A może masz więcej osobistych pytań na temat naszego małżeństwa?

W końcu Tom chyba mówi prawdę. Prawdopodobnie tak właśnie było. Pokłócili się, Katherine wyjechała i teraz jest w Nowym Jorku, gdzie pewnie dzwoni do najdroższego prawnika rozwodowego, jakiego można znaleźć.

Poza tym to nie moja sprawa, co w ogóle nie przyszło mi do głowy aż do teraz. A kiedy już przyszło, to sama nie wiem, czy mam się usprawiedliwiać, czy wstydić. Tom niesłusznie sugerował, że jestem ogarniętą obsesją histeryczką. Jestem kimś znacznie gorszym: wścibską sąsiadką. Tej roli jeszcze nie grałam – ani na scenie, ani na ekranie. W prawdziwym życiu niezbyt mi pasuje. Pachnie czystą hipokryzją. Kto jak kto, ale ja wiem, jak to jest, kiedy wywlekają twoje prywatne sprawy na forum publiczne. Fakt, że spotkało to mnie, nie znaczy, że mam prawo zrobić to samo Tomowi Royce'owi.

– Nie – odpowiadam. – I przepraszam, że zawracałam ci głowę.

Wycofuję się, przechodzę przez pomost i wsiadam do łodzi, w myślach już układając listę rzeczy, które muszę zrobić, gdy tylko wrócę do domu.

Po pierwsze, wyrzucić lornetkę Lena do śmieci.

Po drugie, znaleźć sobie zajęcie niezwiązane ze szpiegowaniem sąsiadów.

Po trzecie, zostawić Toma w spokoju i zapomnieć o Katherine Royce.

Okazuje się jednak, że łatwiej to postanowić, niż zrobić. Bo kiedy odpycham łódź od pomostu, zahaczam wzrokiem o Toma, który obserwuje, jak odpływam. Pada na niego snop słonecznego światła, w którym ślad na jego twarzy odznacza się jeszcze wyraźniej. Tom dotyka go znowu, zataczając palcami krąg wokół zaczerwienienia przypominającego, że Katherine tu była, a teraz jej nie ma.

Ten widok wywołuje wspomnienie czegoś, co Katherine powiedziała mi wczoraj o swoim mężu.

„Tom za bardzo mnie potrzebuje, by zgodzić się na rozwód. Prędzej by mnie zabił, niż pozwolił mi odejść”.

Gdy tylko wracam do domu, wysyłam Katherine kolejnego esemesa.

„Słyszałam, że wróciłaś do Nowego Jorku. Gdybym wiedziała, że knujesz ucieczkę, złapałabym stopa”.

Potem sadowię się na werandzie i wbijam wzrok w telefon, jakbym mogła w ten sposób wyczarować odpowiedź. Jak dotąd nic z tego. Dzwoni jedynie matka z codziennym meldunkiem, ale pozwalam, żeby przełączyło ją na pocztę głosową, i idę do domu nalać sobie szklaneczkę burbona.

Dzisiaj drugą.

Może trzecią.

Pociągam spory łyk, wracam na werandę i sprawdzam poprzednie esemesy, które wysłałam do Katherine. Żadnego z nich nie odczytała.

Niepokojące.

Jeśli zadzwoniła do Toma po powrocie do Nowego Jorku, to z pewnością zauważyła, że do niej dzwoniłam i pisałam.

Chyba że Tom faktycznie mnie okłamał.

Owszem, wyznał prawdę o ich kłótni, ale dopiero kiedy go do tego zmusiłam. A o innej sprawie – krzyku, co do usłyszenia którego wciąż mam pięćdziesiąt procent pewności – mówił frustrująco mętnie. Powiedział tylko, że wstał długo po świcie. Właściwie nie zaprzeczył, że słyszał jakiś krzyk.

No i są jeszcze te dwa zdania – łatwe do przeoczenia wtedy, lecz coraz bardziej złowieszcze z perspektywy czasu – wypowiedziane przez Katherine siedzącą na tym samym bujanym krześle, na którym teraz siedzę ja. Nie mogę się ich pozbyć, wciąż kołaczą mi się w głowie jak zbyt długo powtarzane kwestie.

„Tom za bardzo mnie potrzebuje, by zgodzić się na rozwód. Prędzej by mnie zabił, niż pozwolił mi odejść”.

Normalnie uznałabym to za żart. W końcu to mój ulubiony mechanizm obronny. Zasłanianie się humorem jak tarczą, udawanie, że mój ból wcale mnie nie rani. I dlatego podejrzewam, że w tym, co powiedziała, kryje się ziarenko prawdy.

Zwłaszcza po tym, co usłyszałam od niej wczoraj: że wszystkie pieniądze Toma są zamrożone w Mixerze i że to ona płaci za wszystko.

No i sama awantura, która mogła dotyczyć pieniędzy, ale podejrzewam, że chodziło o coś więcej. W mojej pamięci wyryta jest scena, kiedy Tom błaga o coś Katherine, powtarzając słowo, którego nie potrafiłam odczytać z ruchu jego ust. „Jak? Co?” A potem punkt kulminacyjny, gdy on odciąga ją szarpnięciem od okna, a ona uderza go w twarz.

Tuż przedtem nastąpił jednak ten surrealistyczny moment, w którym oczy Katherine i moje się spotkały. Późniejsza rozmowa przez telefon uświadomiła mi, że ona skądś wiedziała, że patrzę. Teraz się zastanawiam, czy w tej krótkiej chwili Katherine nie próbowała mi czegoś przekazać.

Może błagała mnie o pomoc.

Choć zaklinałam się, że wyrzucę lornetkę do śmieci, znowu leży obok szklaneczki z burbonem. Sięgam po nią i zaglądam do domu Royce'ów po drugiej stronie jeziora. Mimo że nie widzę Toma nigdzie na zewnątrz, obecność bentleya przekonuje mnie, że wciąż gdzieś tam jest.

Wszystko, co mi powiedział, trzyma się kupy, a to wskazuje, że powinnam mu wierzyć. Jednak kilka luźnych wątków mnie przed tym powstrzymuje. Nie mogę zaufać Tomowi w pełni, dopóki nie wróci Katherine – albo nie dostanę dowodu z innego źródła.

Przypominam sobie, że dokładnie opisał, gdzie mieszkają w mieście. W eleganckim budynku niedaleko mojego, choć ten ich graniczy z Central Parkiem. Dobrze go znam. Upper West Side. Kilka przecznic na północ od miejsca, w którym kiedyś wznosił się Bartholomew.

Ponieważ sama nie mogę tam pojechać, angażuję zastępczynię najlepszą z możliwych.

– Że niby co mam zrobić? – pyta Marnie, kiedy dzwonię, żeby przekazać jej swoją prośbę.

– Pójść do tego budynku i spotkać się z Katherine Royce.

– Katherine? Myślałam, że ona jest nad jeziorem Greene.

– Już nie.

Streszczam jej kilka ostatnich dni. Katherine jest nieszczęśliwa. Tom dziwnie się zachowuje. Ja oglądam to wszystko przez lornetkę. Awantura i krzyk, i nagłe zniknięcie Katherine.

Trzeba przyznać Marnie, że czeka, aż skończę, zanim pyta:

– A właściwie dlaczego ich szpiegujesz?

Nie znam dobrej odpowiedzi. Byłam ciekawa, znudzona, wścibska – wszystkie z powyższych.

– Bo moim zdaniem dlatego, że czujesz się smutna i samotna – podpowiada Marnie. – Co jest zrozumiałe, zważywszy na wszystko, przez co przeszedłaś. I potrzebujesz odskoczni od tego, co czujesz.

– Dziwisz mi się?

– Nie. Ale to nie jest najlepszy sposób, żeby zająć myśli. Teraz masz obsesję na punkcie supermodelki mieszkającej po drugiej stronie jeziora.

– Nie mam obsesji.

– Więc jak to nazwać?

– To niepokój – odpowiadam. – Naturalny niepokój o kogoś, komu dopiero co uratowałam życie. Znasz to powiedzenie. Uratuj komuś życie, a już zawsze będziesz za niego odpowiedzialna.

– Po pierwsze, nigdy nie słyszałam takiego powiedzenia. Po drugie, to brzmi jak definicja obsesji.

– Może i tak – przytakuję. – Ale teraz to bez znaczenia.

– Śmiem się nie zgodzić. To nie jest zdrowe zachowanie, Casey. Ani moralne.

Prycham z irytacją tak głośno, że brzmi to, jakby podmuch wiatru uderzył w telefon.

– Gdybym chciała wykładu, zadzwoniłabym do matki.

– Zadzwoń – mówi Marnie. – Proszę. Na razie to mnie zawraca głowę, bo podobno ją ignorujesz.

– I tak jest. Jeśli pójdziesz sprawdzić, czy Katherine jest u siebie, to zadzwonię do matki i każę jej dać ci spokój.

Marnie udaje, że się zastanawia, chociaż już wiem, że sprawa załatwiona.

– Dobra – odpowiada. – Ale zanim tam pójde, ostatnie pytanie. Sprawdzałaś portale społecznościowe?

– Nie używam ich.

– I dzięki Bogu – mówi Marnie. – Ale przypuszczam, że Katherine używa. Znajdź jej konta. Na Twitterze. Instagramie. Na tym portalu, który wymyślił jej mąż. Tam będzie na pewno. Może w ten sposób się zorientujesz, gdzie jest i co robi.

To świetny pomysł i jestem wkurzona, że sama na niego nie wpadłam. W końcu śledzenie kogoś na portalach społecznościowych to po prostu bardziej akceptowalna forma szpiegowania.

– Tak zrobię. A ty idź sprawdzić, czy Katherine jest w domu. Natychmiast.

Po wymamrotaniu kilku przekleństw i obietnicy, że wychodzi w tej sekundzie, Marnie się rozłącza. Czekaając na telefon od niej, robię, co kazała – sprawdzam konta Katherine w mediach społecznościowych.

Zaczynam od Instagrama, gdzie ma ponad cztery miliony obserwujących.

Jakżeby inaczej.

Zdjęcia, które tam opublikowała, stanowią miły dla oka miks zalanych słońcem wnętrz, wspomnień z czasów modelingu i nieupiększanych selfie, na których jest nasmarowana kremem do twarzy albo zajada się batonikami. Gdzieś tam pojawiają się subtelne, szczere apele o wspieranie organizacji dobroczynnych, z którymi współpracuje.

Wszystko to starannie zorganizowane i prowadzone, a Katherine sprawia wrażenie bystrej kobiety, która chce być znana nie tylko ze swojej urody. Dokładna prezentacja osoby, jaką poznałam. Jest nawet świeża fotografia znad jeziora Greene, na której odpoczywa na końcu pomostu w tym morskim kostiumie

kąpielowym. Za nią widać wodę, a jeszcze dalej werandę, gdzie sama w tej chwili siedzę.

Sprawdzam datę – okazuje się, że to post sprzed dwóch dni.

Tuż zanim prawie utonęła w jeziorze.

Najnowsze zdjęcie przedstawia nieskazitelnie białą kuchnię, a w niej czajnik ze stali nierdzewnej na kuchence, kalendarz z dziełami Pieta Mondriana na ścianie i lilie w wazonie przy oknie. Za oknem, w dole, Central Park w całej swej sielankowej krasie. Podpis jest krótki i uroczy: „Nie ma jak w domu”.

Sprawdzam, kiedy opublikowano ten post.

Godzinę temu.

Czyli Tom jednak nie kłamał. Katherine naprawdę wróciła do ich mieszkania, co najwyraźniej zaskoczyło jej sławne przyjaciółki, które skomentowały wiadomość.

„WRÓCIŁAŚ DO MIASTA?! SUPER!!”, napisała jedna z nich.

Inna odpowiedziała: „Szybko poszło!”.

Nawet sam Tom się dorzucił: „Pilnuj domowego ogniska, skarbie!”.

Oddycham z ulgą, pozbywając się całego napięcia, którego nawet nie byłam świadoma.

Katherine nic nie jest.

To dobrze.

Moją ulgę zakłóca jednak lekkie poczucie odrzucenia. Może chodzi o kolejną z prawd Toma – że Katherine łatwo się nudzi. Teraz, kiedy mam pewność, że zaglądała do telefonu, jest dla mnie jasne, że nie przeoczyła moich wiadomości głosowych ani esemesów. Unika mnie, tak jak ja unikam swojej matki. Uświadamiam sobie, że jestem jedną z tych osób, które Katherine lekko zbeształa w nagrany powitaniu. Jedną z tych, które ignoruje.

Po zeszłej nocy wcale jej się nie dziwię. Wie, że obserwowałam jej dom. Marnie miała rację, mówiąc, że to niezdrowe zachowanie. Jest wręcz bardzo niepokojące. Kto poświęca tyle czasu na szpiegowanie sąsiadów? Nieudacznicy,

nikt inny. Samotni nieudacznicy, którzy za dużo piją i nie mają nic lepszego do roboty.

Okej, może Marnie ma rację i faktycznie lekko świruję na punkcie Katherine. Owszem, trochę ta obsesja jest uzasadniona. Skoro ocalałam jej życie, to zupełnie normalne, że martwię się o jej los. Ale prawda jest bardziej brutalna. Zafiksowałam się na Katherine, żeby uniknąć konfrontacji z własnymi problemami, których mam całkiem sporo.

Zirytowana – na Katherine, na Marnie, na siebie – chwytam lornetkę, zanoszę ją do domu i wyrzucam do śmieci. Już dawno należało to zrobić.

Wracam na werandę i mojego ulubionego źródła poczucia bezpieczeństwa w postaci burbona, którego sącę, dopóki pół godziny później nie oddzwania Marnie. W tle słychać znajome odgłosy manhattańskich klaksonów.

– Już wiem, co mi zaraz powiesz – odzywam się. – Katherine jest w domu. Miałaś rację, a ja byłam głupia.

– Nie to usłyszałam od portiera – mówi Marnie.

– Rozmawiałaś z nim?

– Przedstawiłam się jako stara znajoma Katherine, która akurat znalazła się w okolicy i chce ją wyciągnąć na lunch. Chyba mi nie uwierzył, ale to nieistotne, bo i tak powiedział, że Royce'owie przebywają obecnie w swoim letnim domu w Vermoncie.

– Dokładnie tak się wyraził? – dopytuję. – Royce'owie? A nie tylko pan Royce?

– W liczbie mnogiej. Nawet udałam zdziwioną, że jak to, a mogłabym przysiąc, że widziałam Katherine po drugiej stronie ulicy. Stwierdził, że musiałam się pomylić i pani Royce nie ma w mieszkaniu od kilku dni.

Przeszywa mnie gwałtowny chłód. Jakbym została wrzucona do jeziora i zewsząd otaczał mnie lodowaty mrok.

Miałam rację.

Tom kłamał.

– Teraz naprawdę się martwię – mówię. – Dlaczego Tom mnie okłamał?

– Bo cokolwiek się między nimi dzieje, to nie twoja sprawa – odpowiada Marnie. – Sama powiedziałaś, że Katherine wydawała się nieszczęśliwa. Może faktycznie jest. Więc go zostawiła. Możliwe, że na blacie kuchennym leży list, w którym daje mu kopa.

– To i tak nie trzyma się kupy. Zrobiłam, jak sugerowałaś, i zajrzałam na jej Instagram. Właśnie opublikowała fotkę z wnętrzem mieszkania.

Marnie zastanawia się nad tym przez chwilę.

– Skąd wiesz, że to jej mieszkanie?

– Nie wiem – odpowiadam. Założyłam, że jej, bo tak podpisała to zdjęcie oraz dlatego, że miało widok na Central Park, co oznaczało, że Katherine znajduje się mniej więcej tam, gdzie jest mieszkanie Royce'ów.

– Widzisz? – mówi Marnie. – Może Katherine powiedziała Tomowi, że jedzie do ich mieszkania, a tak naprawdę zatrzymała się u jakiejś przyjaciółki albo członka rodziny. On może nie mieć pojęcia, gdzie jest jego żona, ale był zbyt zażenowany, żeby się do tego przyznać.

Byłaby to dobra teoria, gdybym nie widziała komentarza Toma pod tym zdjęciem.

„Pilnuj domowego ogniska, skarbie!”

– Z tego wynika, że to naprawdę jest ich mieszkanie – dodaję, wyjaśnwszy Marnie, co widziałam.

– No dobra – słyszę w odpowiedzi. – Powiedzmy, że to jest ich mieszkanie. Czyli albo Katherine wróciła i portier kłamał, albo ona opublikowała zdjęcie, które miała zapisane w telefonie, żeby ukryć przed mężem fakt, że tak naprawdę nie ma jej w mieszkaniu. Tak czy inaczej nic nie wskazuje, że Katherine coś grozi.

– Ale rano słyszałam jej krzyk – przypominam.

– Jesteś pewna, że właśnie to słyszałaś?

– To nie było zwierzę.

– Nie sugeruję tego – mówi Marnie. – Mówię tylko, że być może w ogóle niczego nie słyszałaś.

– Myślisz, że to sobie wyobraziłam?

Subtelna pauza, która następuje w odpowiedzi, ostrzega, że zaraz mi się oberwie.

Prawdę.

Między oczy.

– Ile wypiałś wczoraj wieczorem? – pyta.

Mój wzrok wędruje ku prawie pustej butelce whiskey wciąż walającej się na podłodze werandy.

– Dużo.

– Ile to jest dużo?

Zastanawiam się, licząc drinki na palcach. Przynajmniej te, które pamiętam.

– Siedem. Może osiem.

Marnie pokasłuje, żeby ukryć zaskoczenie.

– I nie uważasz, że to przesada?

Jeżę się na ten zbyt poważny ton. Marnie brzmi zupełnie jak moja matka.

– Tu nie chodzi o moje picie. Musisz mi uwierzyć. Coś w tej sytuacji jest nie tak.

– To może być prawda. – Jej głos pozostaje irytująco spokojny. Jak u kogoś, kto mówi do przedszkolaka, który dostał napadu złości. – Ale to jeszcze nie znaczy, że Tom Royce zamordował żonę.

– Tego nie powiedziałam.

– Ale tak myślisz, prawda?

Nie całkiem, ale jest blisko. Choć zdecydowanie przeszło mi przez głowę, że Tom zrobił coś Katherine, na razie nie jestem skłonna myśleć o morderstwie.

– Bądź szczerą – mówi Marnie. – Jak sądzisz, co się z nią stało?

– Nie jestem pewna, że stało się cokolwiek – odpowiadam. – Ale coś mi w tym wszystkim nie gra. Katherine tu była i nagle jej nie ma. I nie wiem, czy jej mąż

mówi prawdę.

– Może powiedział ci to, co sam uważa za prawdę.

– Nie kupuję tego. Kiedy z nim rozmawiałam, wciskał mi proste wyjaśnienie sytuacji, która przynajmniej z tego, co widziałam, sprawiała wrażenie złożonej.

– Z tego, co widziałaś? – powtarza Marnie, a w jej ustach moje słowa brzmią tak, jakbym była stalkerką. – To tak spędzasz cały swój czas? Podglądasz ich?

– Tylko dlatego, że wyczułam kłopoty, ledwie zaczęłam.

– Szkoda, że się w tej chwili nie słyszysz. – Spokojny ton zastąpiło coś jeszcze gorszego. Smutek. – Przyznajesz się do szpiegowania sąsiadów i twierdzisz, że Tom Royce coś ukrywa...

– Też byś tak pomyślała, gdybyś zobaczyła to co ja.

– W tym rzecz. Nie powinnaś była tego zobaczyć. Cokolwiek się dzieje w tym domu, to nie twoja sprawa.

Nie mogę się z tym nie zgodzić. Marnie ma rację – nie miałam prawa ich podglądać. A jednak jeśli dzięki temu natknęłam się na potencjalnie niebezpieczną sytuację, to czy nie jest moim obowiązkiem spróbować coś z tym zrobić?

– Ja tylko chcę pomóc Katherine – mówię.

– Wiem. Ale gdyby Katherine Royce życzyła sobie twojej pomocy, poprosiłaby o nią.

– Myślę, że to zrobiła. Wczoraj w nocy, kiedy widziałam ich awanturę.

Marnie wymyka się ciche, smutne westchnienie. Ignoruję je.

– Nasze oczy się spotkały. Tylko na sekundę. Patrzyła na mnie, a ja na nią. I myślę, że w tamtej chwili próbowała mi coś powiedzieć.

Marnie wzdycha ponownie, tym razem głośniej i smutniej.

– Wiem, że przechodzisz teraz trudny okres. Wiem, że ci ciężko. Ale proszę, nie wciągaj w to innych ludzi.

– Na przykład ciebie? – odparowuję.

– Tak, na przykład. A także Toma i Katherine Royce'ów. I każdego innego, kto akurat mieszka nad jeziorem.

Choć głos Marnie tchnie współczuciem, wiem, co jest grane. Ona też ma już dosyć mojego pieprzenia. Dziwię się tylko, że dopiero teraz. Jeśli nie chcę stracić jej na dobre – a nie chcę – to nie mogę jej bardziej naciskać.

– Masz rację. – Staram się mówić odpowiednio skruszonym głosem. – Przepraszam.

– Nie chcę twoich przeprosin – odpowiada. – Chcę, żebyś poczuła się lepiej.

Rozłącza się, zanim zdążę coś dodać – to jej niewypowiedziane ostrzeżenie, że co prawda wszystko jest wybaczone, ale na pewno nie zapomniane. A jeśli chodzi o Katherine i Toma Royce'ów, to muszę ją z tego wykluczyć.

Trudno. Może ma rację i naprawdę nic się nie dzieje poza rozpadem małżeństwa Royce'ów. Mam szczerą nadzieję, że to najgorsza z opcji. Niestety instynkt podpowiada mi, że to nie takie proste.

Wracam na Instagram Katherine i badam to zdjęcie z jej mieszkania, mając na uwadze teorię Marnie, że opublikowała starą fotkę, by oszukać męża. Ten pomysł ma sens, zwłaszcza kiedy dokładniej przyglądam się widokowi na Central Park za oknem. Liście są tam nadal zielone – w przeciwieństwie do jaskrawych czerwieni i pomarańczy zdobiących drzewa wokół jeziora Greene.

Powiększam fotografię, aż wypełnia cały ekran telefonu. Przeglądając ziarnistą plamę, skupiam uwagę na kalendarzu ściennym z obrazami Mondriana. Tuż pod najśłynniejszym dziełem artysty – *Kompozycja w czerwieni, żółci i błękicie* – widnieje nazwa miesiąca.

Wrzesień.

Marnie miała rację. Katherine naprawdę opublikowała stare zdjęcie. Mając dowód, że minęła się z prawdą, najprawdopodobniej chcąc oszukać męża, uświadamiam sobie, że mogę skończyć z tym – tak, obsesyjnym – zadręczaniem się myślami, gdzie Katherine jest albo co jej się stało.

To nie moja sprawa.

Czas przyjąć to do wiadomości.

Zmniejszam zdjęcie do jego oryginalnego rozmiaru.

I wtedy to zauważam.

Czajnik na kuchence, wypolerowany jak lustro. Lśni tak bardzo, że w jego powierzchni widać odbicie osoby robiącej zdjęcie.

Zaciekawiona, znów powiększam obraz, aż czajnik zajmuje cały ekran. Choć odbicie jest rozmyte przez powiększenie i zniekształcone krzywizną czajnika, potrafię dostrzec, kto robi to zdjęcie.

Tom Royce.

Nie ma mowy o pomyłce. Ciemne włosy, z tyłu przydługawe, z przodu tona żelu.

To nie Katherine pstryknęła tę fotkę.

Co oznacza, że zdjęcie było zapisane nie w jej telefonie, lecz w telefonie jej męża.

Jedynie wyjaśnienie, jakie przychodzi mi do głowy, jest takie, że Marnie miała rację co do samego oszustwa, ale myliła się co do tego, kto je popełnił i po co.

Tom wstawił to zdjęcie na instagramowe konto żony.

A osobą, którą chciał w ten sposób oszukać, jestem ja.

Najtrudniejszą częścią roli w *Strzępie wątpliwości*, którą grałam osiem razy w tygodniu, był pierwszy akt, bo moja postać musiała balansować na cienkiej linii między przesadnym niepokojem a niedostateczną podejrzliwością. Przez wiele tygodni próbowałam odpowiednio wyważyć te aspekty i nigdy mi się to nie udawało.

Aż do teraz.

Znalazłam się dokładnie pomiędzy nimi i nie wiem, ku czemu powinnam się skłaniać.

W prawdziwym życiu przychodzi mi to z łatwością. Niepotrzebny talent aktorski.

Chcę zadzwonić do Marnie, żeby się poradzić, ale wiem, co usłyszę. Że Katherine nic nie jest. Że powinnam dać temu spokój. Że to nie moja sprawa.

I może mieć rację. Ale może też całkowicie się mylić. Nie dowiem się tego, dopóki nie zrozumieć lepiej całej sytuacji. Znowu więc wracam do mediów społecznościowych, ale tym razem zamiast przeglądać Instagram, postanawiam zagłębić się w wynalazku Toma Royce'a, Mixerze.

Przede wszystkim muszę pobrać aplikację na telefon i stworzyć profil. To bezczelnie inwazyjny proces wymagający podania imienia i nazwiska, daty urodzenia, numeru telefonu i położenia, które jest określane za pomocą GPS-u. Kilkakrotnie próbuję obejść ten wymóg, wpisując Manhattan jako bieżącą lokalizację. Aplikacja za każdym razem zmienia ten wpis na jezioro Greene.

A myślałam, że to ja jestem wścibska.

Dopiero po stworzeniu swojego profilu mogę wejść do Mixera. Muszę przyznać, że Tom i jego zespół odwalili kawał dobrej roboty. Apka jest znakomicie zaprojektowana. Przejrzysta, przyjemna dla oka, łatwa w użyciu. Już po kilku sekundach odkrywam, że kontakty można wyszukiwać na kilka sposobów: przez firmę bądź lokalizację, albo wpisując bary czy restauracje i sprawdzając, kto jeszcze ma je w ulubionych.

Wybieram wyszukiwanie na podstawie lokalizacji, co pozwala mi zobaczyć wszystkich użytkowników w promieniu półtora kilometra. W tej chwili nad jeziorem Greene znajduje się czterech innych użytkowników, z których każdy jest oznaczony czerwonym trójkącikiem na mapie satelitarnej okolicy.

Pierwszym z nich jest Tom Royce.

Żadna niespodzianka.

Eli i Boone Conrad też mają profile, co byłoby dla mnie zaskoczeniem, gdybym nie podejrzewała, że obaj założyli konta z uprzejmości względem sąsiada. Tak jak ja uzupełnili swoje profile tylko niezbędnymi informacjami. Eli nie dodał żadnych ulubionych ani ostatnio odwiedzonych miejsc, a jedynym miejscem na profilu Boone'a jest bar z sokami dwa miasta dalej.

W prawdziwe zdumienie wprawia mnie czwarta osoba wykryta jako obecnie znajdująca się nad jeziorem Greene.

Katherine Royce.

Gapię się na trójkącik wskazujący jej lokalizację.

Po drugiej stronie jeziora.

Dokładnie naprzeciwko mojego czerwonego trójkącika.

Na ten widok serce mi przyspiesza. Choć nie mam pojęcia o dokładności tej aplikacji, przypuszczam, że jest całkiem niezła. Skoro mimo wielu prób nie byłam w stanie zmienić własnej lokalizacji, prawdopodobnie Katherine też nie mogła tego zrobić.

A jeśli tak, to znaczy, że albo wyjechała, nie zabierając ze sobą telefonu... albo nie wyjechała stąd wcale.

Wstaję, wpycham komórkę do kieszeni i wchodzę do domu, gdzie kieruję się prosto do kuchni. Wygrzebuję lornetkę z kosza na śmieci, zdmuchuję z soczewek śniadaniowe okruchy i wracam na werandę. Stojąc przy balustradzie, wbijam wzrok w szklany dom Royce'ów i zastanawiam się, czy Katherine jednak tam jest. Nie da się tego stwierdzić. Choć słońce już prawie chowa się za góry po tamtej

stronie jeziora, połyskujące odbicie wody maskuje wszystko, co dzieje się wewnątrz budynku.

Mimo to przepatruję miejsca, gdzie znajdują się poszczególne pokoje, z nadzieją, że światło w środku poprawi mi widoczność. Nic z tego. Za przyciemnionymi oknami nie widać nic.

Następnie lustruję teren posiadłości: zaczynam od strony domu Elia, przesuвам wzrokiem po patio i kieruję się w stronę pomostu, a potem ku części sąsiadującej z domem Fitzgeraldów. Tam też niczego nie widzę. Nawet wymuskanego bentleya Toma.

I znowu uświadamiam sobie, że właśnie obserwuję dom Royce'ów przez lornetkę o tak potężnej mocy, że można by przez nią oglądać kratery na Księżycu. To przegięcie.

Obsesja.

I najzwyklejsze w świecie dziwactwo.

Opuszczam lornetkę, poczerwieniała ze wstydu, że może w całej tej sytuacji zachowuję się absurdalnie. Marnie powiedziałyby, że nie ma tu miejsca na żadne „może”. Byłabym tego samego zdania, gdyby nie jedna rzecz, która wytrąciła mnie z równowagi w szczególności.

Krzyk.

Gdyby nie on, nie czułabym się aż tak zaniepokojona.

Nawet jeśli to była tylko sprawka mojej wyobraźni, nie mogę przestać o tym myśleć.

Osuwam się na bujanym krześle, imitując pozycję wywołującą bolesny stan, w jakim się wtedy obudziłam. Mocno zaciskam powieki i staram się przypomnieć sobie dokładnie ten dźwięk, który usłyszałam, z nadzieją, że spłynie na mnie jakieś objawienie. Choć się obruszyłam, kiedy Marnie zasugerowała, że za dużo wczoraj wypiałam, miała rację. Zrobiłam to – nie bez powodu – jak co wieczór. I całkiem możliwe, że w pijackim zamroczeniu wyobraziłam sobie tamten krzyk. Skoro nie

słyszeli go ani Eli, ani Tom, wydaje się logiczne, że i ja tak naprawdę wcale go nie słyszałam.

Z drugiej strony nawet jeśli nikt inny nie przyznaje, że coś usłyszał, nie znaczy to jeszcze, że to się nie wydarzyło. Drzewo upadające w lesie, by posłużyć się tym wyświechtanym frazesem, jednak wydaje dźwięk. A Mixer przypomina mi, kiedy sprawdzam telefon po raz enty, że nad jeziorem jest jeszcze ktoś, kogo nie spytałam. Właśnie patrzę na jego czerwony trójkącik na ekranie – znajduje się kilkaset metrów ode mnie.

Tak, wiem, obiecałam Eliowi, że będę się trzymała od niego z daleka. Ale czasami, tak jak teraz, obietnicę trzeba złamać.

Zwłaszcza jeśli Boone Conrad może rozwiązać mój obecnie najbardziej palący problem.

Wstaję, odkładam telefon i zeskakuję ze schodków werandy. Zamiast iść na przód domu, a potem pokonać drogę od podjazdu do podjazdu, wybieram skrót przez las, który poprzednio wykorzystał Boone. To ładny szlak, szczególnie gdy zachodzące słońce rzuca złociste promienie na ten brzeg jeziora. Są tak jasne, że idąc, muszę mrużyć oczy. Przyjemne wrażenie, które przypomina mi chwile, kiedy stałam na scenie, oświetlana blaskiem reflektorów, ogrzewana ich ciepłem.

Uwielbiałam to uczucie.

Brakuje mi go.

Gdyby była tu Marnie, powiedziała by mi, że to tylko kwestia czasu, zanim wrócę na deski teatru. Sama szczerze w to wątpię.

Spomiędzy rzednących drzew przede mną wyziera niezgrabne domostwo Mitchellów. Jak posiadłość Royce'ów ma wielkie okna wychodzące na jezioro, w którym teraz odbijają się płomienne odcienie zachodzącego słońca. W połączeniu z kształtem domu przypomina mi to dziecięcy rysunek obozowego ogniska. Pomarańczowy trójkąt wznoszący się na stosie drewna.

Gdy wychodzę z lasu na niewielkie, zasłane liśćmi podwórko Mitchellów, zauważam Boone'a na tarasie z tyłu domu. Ma na sobie džinsy i biały T-shirt. Stoi

twarzą do jeziora, a dłonią osłania oczy przed słońcem. Natychmiast się orientuję, że on też obserwuje dom Royce'ów.

Boone chyba wie, dlaczego przychodzę, bo kiedy widzi, jak idę przez trawnik, na jego twarzy pojawia się dziwny wyraz. Jedna część zakłopotania, dwie części niepokoju i kropla ulgi na dokładkę.

– Ty też to słyszałaś, prawda? – mówi, zanim zdążę się odezwać.

– Co słyszałam?

– Krzyk. – Odwraca głowę i znowu spogląda w stronę domu Royce'ów. – Stamtąd.

Widziałaś coś jeszcze? – pyta Boone.

– Tylko to, o czym już ci mówiłam.

Jesteśmy teraz na tylnej werandzie mojego domu. Przyglądam się, jak Boone obserwuje przez lornetkę dom Royce'ów. Stoi przy balustradzie i przechyla się przez nią tak bardzo, że się boję, że ją złamie i runie na ziemię. Na pewno jest na to dość wielki, co uświadomiłam sobie dopiero, kiedy stanęłam naprzeciwko niego. Ponieważ przy naszym pierwszym spotkaniu znajdowałam się nad nim, nie mogłam ocenić jego wzrostu. Teraz już mogę. Jest tak wysoki, że góruje nade mną, gdy stoję obok.

– Powiedziałaś, że jesteś tu od sierpnia – dodaję. – Poznałeś Toma i Katherine?

– Spotkałem ich raz czy dwa. Nie znamy się zbyt dobrze

– Zauważyłeś, że są jacyś dziwni?

– Nie – odpowiada Boone. – No ale nie podglądałem ich przez to.

Odrywa lornetkę od oczu na dość długo, aby posłać mi szeroki uśmiech na znak, że żartuje. Ale wyczuwam w tej uwadze cień osądu, sugerujący, że nie całkiem mu się podoba to, co robię.

Mnie też nie, zwłaszcza gdy stoję pół metra od faceta, którego podglądałam, kiedy był nagi. Boone w żaden sposób nie zasugerował, że podejrzewa mnie o szpiegowanie go podczas kąpieli na golasa. Ja natomiast nie dałam po sobie poznać, że to robiłam. Gdy między nami zapada niezręczna cisza, zastanawiam się, czy on właśnie myśli, że o tym myślę.

Dom Royce'ów pozostaje ciemny, mimo że okolicę zasnuwa już miękka szarość zmierzchu. Tom wciąż się nie pojawił, czego dowodzi puste miejsce pod portykiem, gdzie powinien stać jego Bentley.

– Myślisz, że wróci? – pytam. – Czy raczej zwiął?

Boone znów podnosi lornetkę.

– Myślę, że wróci. Na patio zostały meble. Gdyby wyjechał na zimę, wniósłby je do środka.

– Chyba że mu się spieszyło.

Boone oddaje mi lornetkę i opada na bujane krzesło, które poskrzypuje pod jego ciężarem.

– Dla mnie za wcześnie na myślenie o najgorszym.

Czułam to samo jeszcze godzinę temu, gdy nie byłam pewna, że ten krzyk był prawdziwy, i istniało logiczne wyjaśnienie, dlaczego Katherine nie ma tam, gdzie jej mąż mówi, że jest. Teraz, kiedy Boone potwierdził to, co usłyszałam, a wskaźnik lokalizacji w Mixerze tkwi w domu Katherine, podczas gdy Tom zniknął, jestem gotowa dać upust swoim podejrzaniom.

– Gdzie byłeś, kiedy usłyszałeś ten krzyk? – pytam Boone’a.

– W kuchni, parzyłem kawę.

– Zawsze taki z ciebie ranny ptaszek?

– Mam lekki sen. – Boone wzrusza ramionami i w tym smutnym ruchu jego szerokich ramion wyczuwam rezygnację powszechną u ludzi, których coś dręczy. Jest do bani, mówi ten gest, ale co poradzić? – Drzwi na werandę były otwarte. Lubię słuchać ptaków nad jeziorem.

– Bo inaczej jest zbyt spokojnie.

– Właśnie – przytakuje Boone, zadowolony, że zapamiętałam coś z naszej pierwszej rozmowy. – Akurat miałem nalać sobie kawy, kiedy to usłyszałem. Brzmiało tak, jakby dochodziło z przeciwległego brzegu.

– Skąd wiesz?

– Bo po tej stronie brzmiałoby inaczej. Głośniej. Od razu się zorientowałem, że dochodzi stamtąd. – Boone wskazuje palcem na drugi brzeg, dokładnie między domy Elia i Royce’ów. – Odległość w sam raz, żeby dotarło do mnie echo.

– Widziałeś coś? – pytam.

Boone kręci głową.

– Wyszedłem, żeby sprawdzić, ale niczego nie zobaczyłem. Jezioro było spokojne. Przeciwległy brzeg wyglądał na pusty. Typowy poranek.

– Tyle że z krzykiem – uzupełniam. – Zgadzasz się, że to był kobiecy głos, prawda?

– Nawet więcej: zgadzam się, że to był głos Katherine Royce.

Odsuwam się od balustrady i opadam na bujane krzesło obok Boone’a.

– Myślisz, że powinniśmy zadzwonić na policję?

– I co im powiemy?

– Że nasza sąsiadka zaginęła i że się o nią martwimy.

Na stoliku między nami stoją dwie szklanki napoju imbirowego. Wolałabym coś innego, ale źle bym się czuła, sącząc burbona w towarzystwie Boone’a. Napój, który stał w lodówce od czasu mojego ostatniego pobytu w tym domu, jest w smaku kompletnie nijaki, ale Boone najwyraźniej nie ma nic przeciwko temu. Upija łyk i mówi:

– Na razie lepiej tego nie robić. Przede wszystkim nie wiemy, czy Katherine na pewno zaginęła. Jeśli pójdziemy na policję, to w pierwszej kolejności porozmawiają z Tomem...

– Który może być przyczyną jej zaginięcia.

– Może – przytakuje Boone. – Albo i nie. Ale kiedy skontaktuje się z nim policja, najprawdopodobniej powie im to, co powiedział tobie, a na dowód pokaże im to samo zdjęcie na Instagramie, które ty pokazałaś mnie. I gliny dadzą mu spokój. Nie na zawsze. Nie jeśli więcej znajomych Katherine zgłosi, że nie mają z nią kontaktu. Ale Tom i tak zyska mnóstwo czasu, żeby uciec.

Zerkam na drugi brzeg jeziora i puste miejsce, gdzie wcześniej stał samochód Toma.

– O ile już nie zwiął.

Boone chrząka na znak zgody.

– I w tej chwili to wielka niewiadoma. Myślę, że powinniśmy poczekać i przekonać się, czy wróci.

– A jeśli nie wróci?

– Znam kogoś, do kogo będziemy mogli zadzwonić. Jest detektywem z policji stanowej, więc tak czy inaczej to ona poprowadzi dochodzenie. Jeśli w ogóle będzie co prowadzić. Powiemy jej, co jest grane, i wysłuchamy, co ona na to. W tej chwili najlepiej zachować maksymalną dyskrecję. Wierz mi, Casey, lepiej nie rzucać oskarżeń, nie alarmować policji ani nie organizować poszukiwań, bo może się okazać, że od początku się myliliśmy. A gliny krzywo patrzą na coś takiego.

– Skąd tyle wiesz o glinach?

– Bo sam kiedyś byłem jednym z nich.

Jestem zaskoczona, choć w sumie nie powinnam. Boone emanuje życzliwym znużeniem twardego gliny. No i te mięśnie. Mnóstwo mięśni. Nie pytam, dlaczego przestał być policjantem, a on nie rozwija tematu. Wiedząc, że jest teraz w AA, sama potrafię połączyć kropki.

– Więc poczekamy – zgadzam się.

I tak też robimy, siedząc we względnym milczeniu, gdy w dolinie zapada zmierzch.

– Szkoda, że nie przyniosłem *Monopoly* – odzywa się Boone, kiedy zegar wybija siódmą.

– Będę niegrzeczna, jeśli zaprzeczę?

Boone tłumi smutny chichot.

– Bardzo. Ale punkty za szczerść.

O wpół do ósmej, kiedy Boone’owi coraz częściej burczy w brzuchu, idę zrobić nam kanapki. Trzęsącymi się rękami smaruję chleb majonezem. Objaw odstawienia. Mój organizm domaga się wina, a nie zwietrzałej lemoniady z imbirem. Zerkam pożądliwie w kierunku szafki na alkohole w sąsiedniej jadalni i ciało odmawia mi posłuszeństwa. Wzbiera we mnie coraz większa chęćka – niczym swędzenie, które doprowadza mnie do szału, bo nie mogę się podrapać. Biorę głęboki oddech, kończę kanapki i zanoszę je na werandę.

Boone znowu trzyma w ręku lornetkę, choć w domu Toma i Katherine nie widać żadnych świateł. Cały budynek byłby niewidoczny, gdyby nie księżycowy

blask połyskujący na powierzchni jeziora.

– Wrócił? – pytam.

– Jeszcze nie. – Boone odkłada lornetkę i przyjmuje papierowy talerzyk z indykiem na białym chlebie i porcją chipsów. Wyczyn kulinarny to to nie jest. – Właśnie podziwiałem możliwości tego sprzętu.

– Mój mąż go kupił. Żeby obserwować ptaki.

– A przy okazji – mówi Boone przyciszonym głosem – przykro mi z powodu tego, co się stało. Powinienem był to powiedzieć już wcześniej.

– A ja słyszałam o twojej żonie.

– Pewnie od Elia.

– Owszem. Przykro mi, że musiałeś przez to przechodzić.

– Wzajemnie. – Urywa, a potem dodaje: – Gdybyś chciała o tym porozmawiać...

– Nie chcę.

Boone kiwa głową.

– Rozumiem. Ja też nie chciałem. Przez długi czas. Ale jedną z rzeczy, których nauczyłem się w zeszłym roku, jest to, że rozmowa pomaga. Łatwiej sobie ze wszystkim poradzić.

– Będę pamiętać.

– Spadła ze schodów. – Boone znowu urywa, pozwalając mi oswoić się z tą informacją. – Tak zginęła moja żona. W razie gdybyś się zastanawiała.

Zastanawiałam się, ale nie miałam odwagi spytać wprost. Mimo świeżego nawyku szpiegowania sąsiadów z reguły nadal szanuję prywatność innych. Ale Boone chyba jest w nastroju do zwierzeń, więc kiwam głową i pozwalam mu kontynuować.

– Nikt właściwie nie wie, jak to się stało. Byłem w pracy. Wróciłem do domu ze swojej zmiany i gdy przekroczyłem próg, znalazłem ją leżącą bezwładnie u stóp schodów. Zrobiłem wszystko, co należało. Zadzwoniłem pod numer alarmowy. Próbowałem ją reanimować. Ale jak tylko ją zobaczyłem, wiedziałem, że już za

późno. Lekarz sądowy powiedział, że była martwa od wielu godzin. Musiała spaść tuż po moim wyjściu do pracy. Albo się potknęła, albo straciła równowagę. Dziwny wypadek. – Boone milknie i wbija wzrok w jedzenie na talerzyku, wciąż nietknięte. – Czasem myślę, że tak trudno mi sobie z tym poradzić, bo to się stało tak nagle. W jednej chwili żyła, w następnej już jej nie było. Nie miałem szansy się z nią pożegnać. Po prostu zniknęła. Jak w tym serialu.

– *Pozostawieni* – wtrącam, nie dodając, że oferowano mi w nim rolę, ale ją odrzuciłam, bo uznałam, że temat jest zbyt przygnębiający.

– Tak. Właśnie w tym. Kiedy to się dzieje tak nagle, zaczynasz żałować wszystkich tych chwil, które uważałaś za oczywiste. Nie pamiętam swoich ostatnich słów do niej i to mnie dobija. Do teraz zdarza mi się obudzić w nocy i próbować sobie przypomnieć, co powiedziałem. Mam tylko nadzieję, że było to coś miłego. – Boone podnosi na mnie wzrok. – A ty pamiętasz swoje ostatnie słowa do męża?

– Nie.

Odkładam talerz, przepraszam Boone'a na chwilę i wchodzę do domu. Parę sekund później jestem w jadalni i klęczę przed szafką na alkohole z butelką burbona w garści. W głowie kłębią mi się ostatnie słowa do Lena – nie da się ich zapomnieć, nieważne, jak bardzo się staram – więc przechylam butelkę i przelękam kilka zbawiennych haustów.

Wreszcie.

Od razu lepiej.

Wyglądając na zewnątrz, widzę, jak Boone bierze parę kęsów kanapki. Przynajmniej jedno z nas ma ochotę coś zjeść.

– Nie jestem głodna – mówię, zastanawiając się, czy wyczuwa burbona w moim oddechu. – Jak chcesz, możesz dojeść moją.

Boone zaczyna odpowiadać, ale urywa, kiedy jego uwagę przyciąga coś na drugim brzegu jeziora. Podążam za jego wzrokiem i widzę dwa światła reflektorów samochodu wjeżdżającego na podjazd domu Royce'ów.

Tom wrócił.

Sięgam po lornetkę i patrzę, jak Bentley parkuje pod portykiem z boku domu, po czym światła gasną. Tom wysiada z samochodu, trzymając w ręku dużą, plastikową torbę z jedyne go sklepu przemysłowego w promieniu dwudziestu pięciu kilometrów.

Boone klepie mnie po ramieniu.

– Daj spojrzeć.

Oddaję mu lornetkę, przez którą widzi, jak Tom wchodzi do domu. W kuchni na parterze zapala się światło. Zaraz potem oświetlona zostaje jadalnia, kiedy Tom oddala się w głąb domu.

– Co robi? – pytam Boone’a.

– Otwiera torbę.

– Co w niej jest?

Boone wzdycha z irytacją.

– Jeszcze nie wiem.

Ta niewiedza trwa tylko chwilę, po czym Boone’owi wyrywa się ciche gwizdnięcie. Przekazując mi lornetkę, mówi:

– Musisz to zobaczyć.

Podnoszę sprzęt do oczu i widzę Toma Royce’a stojącego przy stole w jadalni. Przed nim leży wszystko, co kupił w sklepie przemysłowym.

Plandeka złożona w równy prostokąt.

Zwój sznura.

I piłka do metalu o ząbkach tak ostrych, że aż połyskują w świetle jadalni.

– Myślę – mówi Boone – że przyszedł czas, aby zadzwonić do mojej znajomej z policji.

Detektyw Wilma Anson w ogóle nie wygląda tak, jak się spodziewałam. Wyobrażałam sobie kogoś podobnego do śledczej, którą grałam w trzyodcinkowym wątku serialu *Prawo i porządek. Sekcja specjalna*. Twardą. Rzeczową. W funkcjonalnym, acz niekoniecznie stylowym garniturze damskim, który nosiła moja postać. Jednak kobieta w moich drzwiach ma na sobie fioletowe spodnie do jogi, obszerną bluzę sportową i różową opaskę na głowę, poskramiającą czarne loki. Prawy nadgarstek okala żółta frotka do włosów. Wilma zauważa, że podając jej rękę, przyglądam się tej ozdobie, i wyjaśnia:

– To mojej córki. Jest teraz na zajęciach karate. Mam dokładnie dwadzieścia minut, potem muszę jechać i ją odebrać.

Przynajmniej spełnia oczekiwania co do rzeczowości.

Wilma traktuje Boone'a przyjaźniej, ale tylko odrobinę. Obejmuje go krótko na powitanie, po czym dostrzega szafkę na alkohole dwa pokoje dalej.

– Nie przeszkadza ci to? – pyta go.

– Nic mi nie jest, Wilmo.

– Na pewno?

– Na pewno.

– Wierzę ci – odpowiada Wilma. – Ale lepiej do mnie zadzwoń, jeśli przyjdzie ci do głowy choćby dotknąć którejs z tych butelek.

W tym momencie pojmuję charakter ich relacji. Najprawdopodobniej kiedyś razem pracowali i znają swoje mocne i słabe strony. On jest alkoholikiem. Ona jego wsparciem. A ja tylko złym wpływem dorzuconym do tego zestawu, bo coś podejrzanego dzieje się po drugiej stronie jeziora.

– Pokażcie mi ten dom – mówi Wilma.

Prowadzimy ją na werandę, gdzie zatrzymuje się przy balustradzie i z ciekawością taksuje wzrokiem ciemne niebo oraz jeszcze ciemniejsze jezioro. W domu Royce'ów, dokładnie naprzeciwko nas, palą się światła w kuchni

i głównej sypialni, ale z tej odległości i bez lornetki nie da się stwierdzić, gdzie znajduje się Tom.

Wilma macha ręką w kierunku domu i pyta:

– Czyli tam mieszkają pani znajomi?

– Tak – odpowiadam. – Tom i Katherine Royce’owie.

– Wiem, kim są Royce’owie – mówi Wilma. – I wiem, kim jest pani.

Z jej tonu wnioskuję, że widziała straszne, ale prawdziwe nagłówki w brukowcach na mój temat. Jasna jest także jej dezaprobata.

– Proszę mi powiedzieć, dlaczego sądzi pani, że pani Royce jest w niebezpieczeństwie.

Przez chwilę milczę, niepewna, od czego zacząć, choć przecież powinnam była spodziewać się tego pytania. Było oczywiste, że policyjna detektyw zapyta mnie, dlaczego uważam, że mój sąsiad zrobił coś swojej zaginionej żonie. Uświadamiam sobie, że Wilma Anson przewierca mnie spojrzeniem. Jej twarz zasnuwa wyraz irytacji i boję się, że jeśli nie powiem czegoś w ciągu następnych dwóch sekund, to ona zaraz wstanie i wyjdzie.

– Dziś rano usłyszeliśmy krzyk – odzywa się Boone, przychodząc mi na ratunek. – Kobięcy krzyk. Dochodził z tamtej strony jeziora.

– A ja coś widziałam – dodaję. – Coś niepokojącego.

– W ich domu?

– Tak.

– Jak często pani tam bywa?

– Nie byłam w środku, odkąd go kupili.

Wilma odwraca się do jeziora i mruży oczy.

– Zauważyła pani coś niepokojącego z takiej odległości?

Kiwam głową w stronę lornetki już od kilku dni leżącej na stoliku między bujanymi krzesłami. Wilma wodzi wzrokiem między mną i stolikiem.

– Rozumiem – kwituje. – Mogę pożyczyć?

– Proszę bardzo.

Detektyw podnosi lornetkę do oczu, ustawia ostrość i patrzy na przeciwległy brzeg. Kiedy ją opuszcza, kieruje na mnie surowe spojrzenie.

– Szpiegowanie innych jest wbrew prawu.

– Nikogo nie szpiegowałam – odpowiadam. – Tylko patrzyłam.

– Jasne – kwituje Wilma, nawet nie próbując udawać, że mi wierzy. – Jak dobrze każde z was ich zna?

– Niezbyt – odpowiada Boone. – Spotkałem ich parę razy tu i tam nad jeziorem.

– Toma Royce’a spotkałam dwukrotnie – mówię. – Ale z Katherine widywałam się nieco częściej. Była u mnie dwa razy, no i rozmawialiśmy po tym, jak uratowałam ją przed utonięciem w jeziorze.

Wiem, że to nieładnie, ale cieszę się, że ta ostatnia część zaskakuje niewzruszoną Wilmę Anson.

– Kiedy to było? – pyta.

– Przedwczoraj – uściślam, choć wydaje mi się, że dawniej. Jakby od mojego powrotu nad jezioro czas rozciągnął się za sprawą pijanych dni i niekończących się bezsennych nocy.

– Ten wypadek na jeziorze... Ma pani powody przypuszczać, że jej mąż miał z tym coś wspólnego?

– Nie. Katherine powiedziała mi, że pływała, woda była za zimna i złapał ją skurcz.

– A czy podczas tych rozmów Katherine sygnalizowała swoje podejrzenia, że mąż próbuje ją skrzywdzić? Mówiła, że się boi?

– Robiła aluzje, że jest nieszczęśliwa.

Wilma powstrzymuje mnie uniesieniem ręki.

– To nie to samo co strach.

– Wspominała też o kwestiach finansowych. Mówiła, że to ona płaci za wszystko i że Tom nigdy nie zgodziłby się na rozwód, bo za bardzo potrzebuje jej

pieniędzy. Powiedziała, że prawdopodobnie prędzej by ją zabił, niż pozwolił jej odejść.

– Myśli pani, że mówiła poważnie? – pyta Wilma.

– Raczej nie. Wtedy uznałam, że żartuje.

– Pani by na ten temat żartowała?

– Ja nie – wtrąca się Boone.

– Tak – odpowiadam.

Wilma znowu podnosi do oczu lornetkę i jestem pewna, że skupia uwagę na jasnych oknach domu Royce'ów.

– Widziała pani w środku coś podejrzanego? Podczas tego patrzenia bez celu?

– Widziałam, jak się kłócili. Wczoraj, późno w nocy. Chwycił ją za rękę, a ona go uderzyła.

– Więc może to i lepiej, że są teraz osobno – stwierdza Wilma.

– Zgoda – przytakuję. – Ale pytanie brzmi, gdzie jest Katherine. Jej mąż twierdzi, że wróciła do ich mieszkania. Zadzwoniłam do przyjaciółki w mieście, która tam poszła i to sprawdziła. Portier powiedział, że nie ma jej od wielu dni. Jedno z nich kłamie i nie sądzę, żeby to był portier.

– A może skłamała pani przyjaciółka – ripostuje Wilma. – Może wcale nie rozmawiała z portierem.

Kręcę głową. Marnie by tego nie zrobiła, nawet jeśli ma mnie już serdecznie dosyć.

– Jest jeszcze to. – Pokazuję Wilmie swój telefon. Instagram jest już otwarty i widoczny. – Katherine rzekomo opublikowała ten post dzisiaj ze swojego mieszkania. Ale tego zdjęcia nie zrobiono dzisiaj. Proszę spojrzeć na liście drzew i kalendarz na ścianie. To zdjęcie sprzed kilku tygodni.

– To, że ktoś publikuje starą fotkę, nie znaczy jeszcze, że nie ma go tam, gdzie twierdzi, że jest – mówi Wilma.

– Ma pani rację. Ale to nawet nie Katherine je zrobiła. To jej mąż. Jeśli się dobrze przyjrzeć, widać jego odbicie w czajniku.

Pozwalam Wilmie przyjrzeć się fotografii, po czym przełączam Instagram na Mixera. Wskazuję na czerwony trójkącik Katherine przycupnięty obok tego, który oznacza jej męża.

– Dlaczego Katherine miałyby publikować stare zdjęcie, którego nawet sama nie zrobiła? Zwłaszcza kiedy według lokalizatora w aplikacji Toma jej telefon wciąż znajduje się w tym domu.

Wilma sięga po mój telefon i bada mapkę usianą czerwonymi trójkącikami.

– Tu jest chyba z tysiąc naruszeń prywatności.

– Pewnie tak – odpowiadam. – Ale czy to nie dziwne, że wyjeżdżając, Katherine nie zabrała ze sobą telefonu?

– Dziwne, tak. Niespotykane, nie. To nie znaczy, że Tom Royce zrobił coś żonie.

– Ale ukrywa, gdzie ona jest! – Zdaję sobie sprawę, że mówię nieco za głośno i troszkę zbyt emocjonalnym tonem. W porównaniu ze sceptyczną Wilmą wychodzę na tę niecierpliwą. Tym bardziej że przed przyjazdem Wilmy golnęłam sobie jeszcze dwa łyki burbona, kiedy Boone wyszedł do łazienki dla gości. – Jeśli Katherine tu nie ma, a jest jej telefon, to znaczy, że Tom opublikował to zdjęcie, najprawdopodobniej próbując przekonać ludzi, że Katherine jest gdzieś, gdzie wcale jej nie ma.

– Poza tym kupił sznur, plandekę i piłkę do metalu – dodaje Boone.

– Prawo tego nie zabrania – odpowiada Wilma.

– Ale to jest podejrzane, jeśli twoja żona nagle znika – wtrącam.

– Nie jeśli wyjechała z własnej woli po burzliwej kłótni z mężem.

Rzucam Wilmie zaciekawione spojrzenie.

– Ma pani męża, pani detektyw?

– Od siedemnastu lat.

– A zdarzały wam się burzliwe kłótnie?

– Za dużo, żeby je zliczyć. On jest uparty jak osioł.

– Czy po takiej awanturze choć raz kupiła pani rzeczy, które mogłyby posłużyć do ukrycia jego zwłok?

Wilma odpycha się od balustrady i podchodzi do bujanych krzeseł, przy okazji oddając mi lornetkę. Siada i zaczyna tak kompulsywnie obracać frotkę na przegubie, że nabieram wątpliwości, czy ta ozdoba naprawdę należy do jej córki.

– Naprawdę pani myśli, że Tom Royce ćwiartuje w tej chwili swoją żonę? – pyta.

– Być może – odpowiadam, lekko przerażona, że nie tylko tak myślę, ale wręcz uważam ten scenariusz za bardziej prawdopodobny niż ucieczka Katherine po kłótni z mężem.

Wilma wzdycha.

– Nie wiem, czego ode mnie oczekujecie.

– Potwierdzenia, że Tom Royce kłamie – odpowiadam.

– To nie takie proste.

– Jest pani z policji stanowej. Nie możecie namierzyć telefonu Katherine, żeby sprawdzić, czy do kogoś dzisiaj dzwoniła? Albo przejrzeć wyciągów z banku i karty kredytowej?

Głos Wilmy robi się piskliwy ze zniecierpliwienia.

– Moglibyśmy to wszystko zrobić. Gdyby zaginięcie Katherine zgłoszono miejscowym władzom. Ale będę z wami szczerą: jeśli to zrobicie, nie uwierzą wam. Zwykle zaginięcie jest zgłaszane przez kogoś bliskiego. Na przykład męża. Chyba że znacie innych członków jej rodziny, którzy też się o nią martwią.

Boone patrzy na mnie i kręci głową, potwierdzając, że żadne z nas nic nie wie o krewnych Katherine.

– Tak też myślałam – stwierdza Wilma.

– Przypuszczam, że przeszukanie domu nie wchodzi w grę – mówię.

– Absolutnie – odpowiada Wilma. – Musielibyśmy mieć nakaz, a do jego zdobycia potrzebne są wyraźne oznaki przestępstwa, których tu nie ma. Zakup sznura i piłki do metalu to żaden dowód winy.

– A krzyk? – pyta Boone. – Oboje go słyszeliśmy.

– Przyszło wam do głowy, że Katherine miała wypadek? – Wilma kieruje na mnie wzrok. – Mówiła pani, że parę dni temu prawie utonęła. Może znowu jej się to stało.

– Więc dlaczego Tom jeszcze tego nie zgłosił? – pytam.

– A kiedy pani mąż zaginął, dlaczego pani tego nie zgłosiła?

Przypuszczałam, że Wilma o tym wie. Może nawet była wśród policjantów, z którymi potem rozmawiałam, chociaż jej nie pamiętam. Skoro jednak wyciąga tę sprawę teraz, wiem jedno: potrafi być zimną suką, kiedy tego chce.

– Jego ciało znaleziono, zanim miałam okazję to zrobić – odpowiadam przez zaciśnięte do bólu zęby. – Bo ludzie natychmiast zaczęli go szukać. W przeciwieństwie do Toma Royce’a. Z czego wnioskuję, że nie martwi go zaginięcie Katherine, bo dobrze wie, gdzie ona jest i co się z nią stało.

Wilma wytrzymuje moje spojrzenie, a w jej dużych orzechowych oczach widzę mieszankę przeprosin i podziwu. Chyba zasłużyłam na jej szacunek. A może też na zaufanie, bo odwraca wzrok i mówi:

– Słuszna uwaga.

– Jak cholera – dodaję.

Wilma rzuca mi kolejne spojrzenie, chociaż tym razem jej oczy mówią raczej: „Nie popadajmy w zbytnią pewność siebie”.

– Powiem wam, co zrobię. – Wstaje, przeciąga się, jeszcze raz obraca frotkę na przegubie. – Trochę poszperam i dowiem się, czy Katherine z kimś się kontaktowała. Miejmy nadzieję, że tak i że to wszystko okaże się po prostu wielkim nieporozumieniem.

– A co my mamy robić? – pytam.

– Nic. To zadanie dla was. Siedźcie cicho i czekajcie na wiadomości ode mnie.

– Wilma rusza do wyjścia, po drodze wskazując na lornetkę. – I na miłość boską, niech pani przestanie szpiegować sąsiadów. Proszę pooglądać telewizję albo coś.

Kiedy Wilma odjeżdża razem z Boone'em, próbuję zastosować się do jej rady i pooglądać telewizję. W pokoju wypoczynkowym, siedząc w cieniu łba łosia na ścianie, oglądam na kanale Weather Channel relację o postępach burzy. Trish, choć nie jest już huraganem, wciąż sieje spustoszenie na północnym wschodzie. W tej chwili jest nad Pensylwanią, a jej silne wichury i rekordowe opady deszczu zmiatają w stronę Nowego Jorku.

Następny będzie Vermont.

Pojutrze.

Kolejny powód do niepokoju.

Zmieniam kanał i nagle widzę coś nieoczekiwanego.

Siebie.

Sprzed siedemnastu lat.

Idę przez kampus uczelniany zasłany jesiennymi liśćmi i rzucam figlarne spojrzenia na uderzająco przystojnego faceta nadchodzącego z naprzeciwka.

Mój ekranowy debiut.

Film był poniekąd autobiograficznym komediodramatem o studencie ostatniego roku na Harvardzie, który usiłuje odnaleźć się w swoim życiu. Zagrałam jego pyską koleżankę ze studiów, dla której zastanawiał się nad rozstaniem ze swoją stałą dziewczyną. Rola była niewielka, ale treściwa i wbrew oczekiwaniom wolna od banałów o wrednej intrygantce. Moja postać została przedstawiona po prostu jako kusząca alternatywa dla bohatera.

Oglądając ten film po raz pierwszy od ponad dziesięciu lat, z oszałamiającą dokładnością przypominam sobie jego powstawanie. To, jak onieśmiała mnie logistyka kręcenia w plenerze. Jak się bałam, czy będę się odpowiednio poruszać, czy nie zapomnę swoich kwestii, czy przypadkiem nie spojrzę prosto do kamery. I jak reżyser po raz pierwszy zawołał „akcja!”, a mnie kompletnie zamurowało, więc odprowadził mnie na bok i łagodnie – naprawdę łagodnie – powiedział: „Bądź sobą”.

Tak też zrobiłam.

Albo tak mi się wydawało. Oglądając swój występ teraz, wiem, że musiałam grać, nawet jeśli wtedy myślałam inaczej. W prawdziwym życiu nigdy nie byłam taka czarująca, taka śmiała, taka wyrazista.

Niezdolna do oglądania młodszej siebie ani sekundy dłużej, wyłączam telewizor. Na ciemnym ekranie widać odbicie obecnej mnie – to szokująca transformacja. Tak bardzo różnię się od tamtej tryskającej energią młodej dziewczyny, którą przed chwilą oglądałam, że równie dobrze mogłybyśmy być dwiema nieznanymi.

„Bądź sobą”.

Nawet nie wiem już, kim jest ta obecna ja.

A gdybym wiedziała, nie jestem pewna, czybym ją polubiła.

Idę do kuchni i nalewam sobie burbona. Podwójnego, żeby nadrobić to, co straciłam, kiedy był tu Boone. Zabieram szklaneczkę na werandę, gdzie się kołyszę, sączę drinka i patrzę na dom po drugiej stronie jeziora, jakbym była Jayem Gatsbym tęskniącym za Daisy Buchanan. W moim przypadku nie ma zielonego światła na końcu przystani. Właściwie w ogóle nie ma światła. Okna były ciemne, jeszcze zanim wróciłam na werandę, chociaż szybki rzut oka przez lornetkę na bentleya zdradza mi, że Tom wciąż tam jest.

Nie przestaję patrzeć z nadzieją, że włączy gdzieś światło, a ja zorientuję się, co kombinuje. W końcu tego właśnie chce Wilma. Solidnej podstawy, na której będziemy mogli oprzeć nasze podejrzania. Choć sama chcę tego samego, aż mnie mdli na myśl o tym, czym ta podstawa miałaby być. Krwią ściekającą ze świeżo zakupionej przez Toma piły? Zwłokami Katherine wyrzuconymi na brzeg jak ciało Lena?

No i proszę, znowu myślę, że Katherine nie żyje. Wkurza mnie, że mój umysł wciąż zbacza w tę stronę. Wolalabym być jak Wilma, pewna, że to wszystko ma jakieś logiczne wytłumaczenie, które w końcu się nam objawi. Po prostu mój mózg

nie działa w ten sposób. Bo jeśli to, co się stało z Lenem, czegoś mnie nauczyło, to tego, żeby spodziewać się najgorszego.

Upijam kolejny łyk burbona i podnoszę lornetkę do oczu. Zamiast skupiać się na wciąż frustrująco ciemnym domu Royce'ów, lustruję okolicę, na którą składają się gęsty las, skaliste zbocze góry za nim i poszarpane wybrzeże odległych krańców jeziora.

Tak wiele miejsc, gdzie można zakopać niepożądane rzeczy.

Tak wiele miejsc, gdzie można zniknąć.

O samym jeziorze nie wspominając. W dzieciństwie Marnie straszyla mnie głębią jeziora Greene, zazwyczaj kiedy obie byłyśmy zanurzone po szyję w wodzie, a ja stawałam na palcach, żeby zachować choćby nikły kontakt z dnem. „To jezioro jest mroczniejsze niż zamknięta trumna – mawiała. – I głębokie jak ocean. Jak pójdziesz pod wodę, to nigdy nie wypłyniesz. Uwięzi cię na wieki”.

Choć zasadniczo nie jest to prawda – czego dowiódł los Lena – łatwo wyobrazić sobie części jeziora Greene tak głębokie, że coś mogłoby zaginąć w nich na zawsze.

Nawet człowiek.

Przepędzenie tej myśli z mózgu wymaga czegoś więcej niż łyk burbona. Potrzebna jest cała szklanka, opróżniona kilkoma potężnymi haustami. Wstaję i chwiejnym krokiem idę do kuchni, gdzie nalewam sobie drugiego podwójnego drinka, po czym wracam na posterunek na werandzie. Mimo że jestem już na solidnym rauszu, wciąż się zastanawiam: jeśli Katherine naprawdę nie żyje, dlaczego Tom zrobił coś takiego?

Domyślam się, że dla pieniędzy.

To one stanowiły motyw w *Strzępie wątpliwości*. Grana przeze mnie postać odziedziczyła fortunę, podczas gdy jej mąż dorastał w biedzie – i zapragnął tego, co miała ona. Strzępki słów Katherine przepływają przez mój przesiąknięty burbonem mózg.

„To ja za wszystko płacę”.

„Tom za bardzo mnie potrzebuje, by zgodzić się na rozwód”.

„Prędzej by mnie zabił, niż pozwolił mi odejść”.

Wchodzę do domu, wypinam laptopa ze stacji dokującej w pokoju wypoczynkowym, rzucam „cześć” łbu łosia i idę na górę. Moszcząc się w łóżku pod kołdrą, odpalam komputer i googluję Toma Royce’a z nadzieją, że znajdę informacje wystarczająco obciążające, aby przekonać Wilmę, że coś tu nie gra.

Jedną z pierwszych rzeczy, na jakie się natykam, jest artykuł w „Bloomberg Businessweek” z zeszłego miesiąca, z którego wynika, że Mixer zabiega o względy firm z kapitałem wysokiego ryzyka, usiłując pozyskać fundusze w wysokości trzydziestu milionów dolarów, aby utrzymać się na powierzchni. Zważywszy na to, co Katherine mówiła mi o nierentowności tej aplikacji, nie jestem zaskoczona.

„Nie jesteśmy zdesperowani – cytuje artykuł słowa Toma. – Mixer wciąż radzi sobie znacznie lepiej, niż się spodziewaliśmy. Aby jednak jak najszybciej i jak najskuteczniej wynieść go na jeszcze wyższy poziom, potrzebujemy podobnie myślącego partnera”.

Tłumaczenie: Jest absolutnie zdesperowany.

Brak artykułu uzupełniającego sugeruje, że Tom nie zwabił jeszcze żadnych inwestorów o głębokich kieszeniach. Może dlatego, że – jak czytam w odrębnym artykule „Forbesa” poświęconym popularnym aplikacjom – podobno Mixer traci swoich użytkowników, podczas gdy inne aplikacje stale pozyskują nowych.

I znowu słowa Katherine wkradają się w moje myśli.

„Wszystkie jego pieniądze są zamrożone w Mixerze, który wciąż jeszcze nie przyniósł zysku i prawdopodobnie nigdy go nie przyniesie”.

Postanawiam zmienić kierunek działania. Zamiast skupiać się na Tomie, szukam informacji o wartości netto Katherine Royce. Okazuje się to zaskakująco proste. Istnieją całe strony internetowe poświęcone zarobkom celebrytów. Według jednej z nich Katherine jest warta trzydzieści pięć milionów dolarów. Na dofinansowanie Mixera to więcej niż potrzeba.

To słowo wwierca się w mój mózg.

Potrzeba.

Wbrew temu, co twierdził w artykule Tom, od tego słowa aż bije desperacja. „Chęć” implikuje pragnienie, które jeśli nie zostanie zaspokojone, niczego nie zmieni na dłuższą metę. „Potrzeba” to coś niezbędnego do przetrwania.

„Potrzebujemy podobnie myślącego partnera”.

„Tom za bardzo mnie potrzebuje, by zgodzić się na rozwód”.

„Prędzej by mnie zabił, niż pozwolił mi odejść”.

Może Katherine mówiła to całkiem serio. Może nawet robiła aluzję, że coś wie. Że Tom coś planuje.

Że być może grozi jej niebezpieczeństwo.

Że chce, aby wiedział o tym ktoś jeszcze. Na wszelki wypadek.

Zamykam laptopa, czując mdłości – skutek niepokoju i burbona, którego wypiałam za dużo i za szybko. Kiedy pokój zaczyna wirować, przypuszczam, że zawiniły nerwy lub alkohol. A najprawdopodobniej jedno i drugie.

Pokój ciągle się kręci, jak nabierająca szybkości karuzela. Zamykam oczy, żeby go zatrzymać, i osuwam się na poduszkę. Spowija mnie mroczne otępienie i sama nie wiem, czy zasypiam, czy omdleвам. Kiedy zapadam się w nieświadomość, wita mnie sen o Katherine Royce.

W odróżnieniu od kobiety, którą poznałam w prawdziwym życiu, Katherine ze snu wygląda tak samo jak na billboardzie na Times Square wiele lat temu.

Ubrana w suknię ślubną i obwieszona biżuterią.

Bez butów, które zrzuciła kopniakiem.

Biegnąca przez pokrytą rosą trawę w desperackiej próbie ucieczki przed mężczyzną, którego miała poślubić.

Katherine nadal przemierza sprintem moje sny, kiedy budzę się o trzeciej nad ranem, lekko dezorientowana, cóż... wszystkim. W sypialni palą się światła, a ja wciąż jestem całkowicie ubrana, nie wyłączając tenisówek i kurtki. Po tej stronie łóżka, którą kiedyś zajmował Len, leży laptop, co przypomina mi, że wcześniej googlowałam po pijaku.

Wyślizguję się z łóżka i przebieram w piżamę, a potem idę do łazienki. Sikam, myję zęby, żeby usunąć powstały w nocy biofilm, i płuczę usta, by pozbyć się burbonowego oddechu. Wracam do sypialni i wyłączam wszystkie lampy, kiedy zauważam coś przez wychodzące na jezioro wysokie okna.

Światło na przeciwległym brzegu.

Nie w domu Royce'ów, ale w zagajniku po jego lewej stronie, tuż przy krawędzi wody.

Nawet bez lornetki wiem, że to snop światła latarki prześwitujący między drzewami. Pytanie brzmi, kto tę latarkę trzyma i dlaczego włóczy się nad jeziorem o tej porze.

Wyskakuję z sypialni i pędzę korytarzem, mijając po drodze puste pokoje gościnne, których drzwi są pootwierane, a łóżka w środku starannie zasłane, jakby tylko czekały na przyjazd gości. Ale jestem tu tylko ja, sama w tym wielkim, ciemnym domu, i właśnie zbiegam ze schodów na parter, a potem pędzę prosto na werandę, gdzie codziennie spędzam większość czasu. Wypadam na zewnątrz i chwytam lornetkę.

Okazuje się, że jest za późno.

Światło zgasło.

Wszędzie znowu panuje ciemność.

Ale kiedy wracam do środka i ruszam na górę, podejrzewam, że już wiem, kto to był i co tam robił po nocy.

Tom Royce.

Wykorzystywał sznur, plandekę i piłę w celu, w jakim je kupił.

Budzę się ponownie o ósmej ze spierzchniętymi ustami i uczuciem mdłości. Nic nowego. Nowy jest za to potężny cios niepokoju o los Katherine, gdy zaraz po odzyskaniu przytomności dopadają mnie czarne myśli.

Ona nie żyje.

Tom ją zabił.

Jej ciało leży pogrzebane gdzieś na drugim brzegu albo utopione w jeziorze tak głęboko, że może nigdy nie zostanie odnalezione.

Czuję się tak rozstrojona, że drżą mi nogi, gdy schodzę po schodach do kuchni, i trzęsą mi się ręce, kiedy nalewam sobie kawy. Piję ją i zaglądam do telefonu, aby się przekonać, że nie, Katherine nie wrzuciła nowego zdjęcia na Instagram od wczoraj, i tak, jej lokalizacja pozostała niezmienną – według Mixera wciąż znajduje się dokładnie naprzeciwko mnie, po drugiej stronie jeziora.

Żaden z tych faktów nie wróży niczego dobrego.

Później, po wmuszeniu w siebie miski płatków owsianych i wzięciu prysznic, wracam na werandę uzbrojona w telefon, na wypadek gdyby zadzwoniła Wilma Anson, i lornetkę, w razie gdyby pojawił się Tom Royce. Przez godzinę nie są mi potrzebne. Kiedy w końcu komórka dzwoni, z rozczarowaniem stwierdzam, że to nie Wilma, lecz moja matka.

– Rozmawiałam z Marnie i jestem zaniepokojona – mówi, od razu przechodząc do sedna.

– Zaniepokojona, że częściej rozmawiam z nią niż z tobą?

– Zaniepokojona, że szpiegujesz sąsiadów i chyba myślisz, że twoja nowa koleżanka modelka została zamordowana przez męża.

Przeklęta Marnie. Jej zdrada boli jak użądlenie pszczoły. Co gorsza, wiem, że teraz, kiedy wtrąci się matka, wszystko stanie się jeszcze bardziej irytujące.

– To nie ma nic wspólnego z tobą – mówię. – Ani z Marnie, skoro już o tym mowa. Proszę, zostaw mnie w spokoju.

Matka wyniośle pociąga nosem.

– Skoro nie zaprzeczasz, rozumiem, że to prawda.

Można to rozegrać na dwa sposoby. Pierwszy – zaprzeczyć, zgodnie z rozpaczliwym pragnieniem mojej matki. Tak jak z piciem: będzie wątpiła, ale w końcu przekona samą siebie, że to prawda, bo tak jest łatwiej. Drugi – po prostu potwierdzić z nadzieją, że matka zirytuje się podobnie jak Marnie i da mi spokój.

Wybieram ten drugi sposób.

– Tak, obawiam się, że facet mieszkający naprzeciwko zamordował swoją żonę.

– Jezu, Casey. Co w ciebie wstąpiło?

Nie powinna pałać takim zgorszeniem. Wypędzenie mnie tutaj to jej pomysł. Kto jak kto, ale moja matka powinna wiedzieć, że z pozostawienia mnie tu samej sobie nie wyniknie nic dobrego. Choć moim zdaniem odkrycie, co stało się z Katherine, to jednak jest coś dobrego.

– Zaginęła, a ja chcę jej pomóc.

– Na pewno wszystko jest w porządku.

– Nie jest – odwarkuję. – Coś tu jest bardzo nie w porządku.

– Jeżeli chodzi o Lena...

– On nie ma z tym nic wspólnego – przerywam jej, chociaż ta sytuacja ma z nim wiele wspólnego. To, co się stało, jest wyłącznym powodem, dla którego mogę przypuszczać, że Katherine również spotkało coś złego. Skoro zdarzyło się raz, może się zdarzyć i drugi.

– Mimo to – ciągnie moja matka – najlepiej będzie, jeśli dasz temu spokój.

– To już nie wchodzi w grę. Facet, który mieszka u Mitchellów, uważa, że mam rację. Już powiedzieliśmy jego znajomej detektyw.

– Wciągnęłaś w to policję? – Jej głos brzmi tak, jakby zaraz miała dostać waporów, upuścić telefon lub paść trupem pod wpływem szoku. Albo zaliczyć wszystkie trzy opcje naraz. – To... to niedobrze, Casey. Wysłałam cię tam, żebyś zniknęła z oczu opinii publicznej.

– No i zniknęłam.

– Nie jeśli kręci się tam policja. – Matka ścisza głos do błagalnego szeptu. – Proszę, nie angażuj się więcej. Zostaw to.

Ale ja nie mogę tego zrobić, nawet gdybym chciała. Bo nagle coś po drugiej stronie jeziora odwraca moją uwagę od rozmowy z matką.

Tom Royce.

Kiedy przechodzi przez patio, zmierzając do bentleya, podnoszę lornetkę do oczu, a głos mojej matki staje się szumem w tle. Całkowicie skupiam się na Tomie, próbując dopatrzeć się w jego zachowaniu czegoś podejrzanego. Czy ten powolny, wyluzowany krok w stronę samochodu to tylko blef, bo facet wie, że jest obserwowany? Czy ma tak ponurą minę, bo żona go zostawiła? A może właśnie myśli o tym, jak to nie pozwolił jej odejść?

Moja matka nie przestaje paplać, ale jej głos brzmi tak, jakby dobiegał z oddali.

– Casey? Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Nie odrywam wzroku od przeciwległego brzegu, gdzie Tom wślizguje się za kierownicę bentleya i wycofuje spod portyku.

– Mamo, muszę kończyć – ucinam, kiedy samochód skręca w lewo, w stronę miasta.

– Casey, zaczekaj...

Rozłączam się, zanim zdąży dokończyć. Wpatrując się w pusty już dom Royce'ów, wspominam ostatnie urodziny, które świętowałam z Lenem. Wielka trzydziestkapiątka. Wynajął wtedy całe kino, żebyśmy mogła wreszcie spełnić swoje marzenie o obejrzeniu *Okna na podwórze* na wielkim ekranie.

Gdyby matka wciąż była na linii, powiedziałaaby, że to, co robię, to zwykła zabawa w udawanie. Naśladuję Jimmy'ego Stewarta na wózku inwalidzkim, bo w moim żalonym życiu nie mam nic ciekawszego do roboty. Choć jest w tym pewnie więcej prawdy, niż chciałbym przyznać, ja niczego nie udaję.

To się dzieje naprawdę. A ja jestem tego częścią.

Co nie znaczy, że nie mogę wziąć przykładu ze starego, dobrego Jimmy'ego. W filmie wysłał Grace Kelly, żeby przeszukała mieszkanie podejrzanego sąsiada,

a znaleziona tam obrączka dowiodła, że mężczyzna zamordował swoją żonę. Co prawda czasy się zmieniły i nie wiem, czy obrączka Katherine byłaby dla Wilmy Anson wystarczającym dowodem, być może jednak znajdzie się w tym domu coś innego, co załatwi sprawę.

Jeszcze zanim Bentley znikną z horyzontu, wpycham telefon z powrotem do kieszeni, lornetka zajmuje moje miejsce na bujanym krześle, a ja sama schodzę z werandy.

Skoro Toma nie ma, zamierzam zrobić coś więcej, niż tylko obserwować dom Royce'ów.

Zamierzam go przeszukać.

Zamiast popłynąć łodzią – tak byłoby najszybciej i najprościej – postanawiam pójść zwirową drogą obiegającą jezioro Greene. W ten sposób uniknę hałasu i nie będę rzucała się w oczy, w przeciwieństwie do motorówki, którą mógłby zobaczyć i usłyszeć Tom, gdyby, nie daj Boże, wrócił, kiedy jeszcze tam będę, i musiałabym się szybko zmyć.

Poza tym pieszo mogę oczyścić umysł, zebrać myśli, a nawet, jeśli mam być szczerą, zmienić zdanie. Droga, gdzieniegdzie tak wąska i wysadzana drzewami, że mogłaby uchodzić za ścieżkę, sprzyja namysłowi. I kiedy tak idę, mając po lewej stronie połyskujące między drzewami jezioro, a po prawej gęsty las, myślę sobie, że włamywanie się do domu Royce'ów to zły pomysł.

Bardzo zły.

Najgorszy.

Zatrzymuję się po dotarciu do wysuniętego najdalej na północ krańca jeziora, w samym środku łuku podkowy, który oddziela dom Elia od domu Mitchellów, gdzie mieszka Boone. Zastanawiam się, co ci dwaj by powiedzieli, gdyby wiedzieli, co planuję. Prawdopodobnie że to nielegalne. Że włamanie to przestępstwo, nawet jeśli mam czyste intencje. Boone, były policjant, wyliczyłyby mi pewnie mnóstwo zarzutów, które zostaną mi postawione, jeżeli wpadnę. A Eli bez wątplenia dodałby, że to, co zamierzam zrobić, jest również niebezpieczne. Bo Tom Royce w pewnym momencie wróci.

Po drugiej stronie jeziora, na jego południowym krańcu, widzę skaliste urwisko, gdzie razem z Lenem, na tydzień przed jego śmiercią, urządziliśmy sobie popołudniowy piknik. Stary Uparciuch wystaje tam nad powierzchnię wody. Usytuowanie tego wiekowego drzewa sprawia, że nie jest widoczne z żadnego domu nad jeziorem Greene i prawdopodobnie właśnie dlatego obrosło legendą.

Jest strażnikiem jeziora, jak twierdzi Eli.

Nawet jeśli ma rację i Stary Uparciuch faktycznie trzyma straż nad jeziorem Greene, to jednak ma on swoje ograniczenia. Nie może na przykład włamać się do

domu Royce'ów i szukać w nim wskazówek.

Tylko ja mogę to zrobić.

Nie dlatego, że chcę.

Dlatego, że muszę.

Zwłaszcza jeśli znalezienie czegoś obciążającego to jedyny sposób, którym zdołam przekonać Wilnę, że Tom kłamie w sprawie Katherine.

Ruszam dalej, szybciej niż dotąd, i zwalnim dopiero, kiedy mijam dom Elia, a moim oczom ukazuje się posiadłość Royce'ów. Przód domu bardzo się różni od tyłu. Tu nie ma tafli szkła od podłogi do sufitu. Tylko nowoczesny blok ze stali i kamienia z wąskimi oknami na piętrach górnym i dolnym.

Drzwi wejściowe, zrobione z dębiny, wielkie jak w zamku, są zamknięte na klucz, więc jestem zmuszona obejść dom z boku i sprawdzić drzwi od strony patio. Chciałam uniknąć ryzyka, że ktoś mnie zobaczy z mojego brzegu. Mam nadzieję, że Boone jest zajęty jakąś pracą w domu Mitchellów i nie siedzi na pomoście, obserwując to miejsce z takim zapalem, jak robiłam to ja.

Szybko przemykam przez patio prosto do przesuwnych drzwi prowadzących do wnętrza domu. Ciągnę za uchwyt i niezamknięte skrzydło nieco się uchyla.

Widok tej pięciocentymetrowej szpary między drzwiami a framugą każe mi się zastanowić. Może nie jestem całkiem na bieżąco z kodeksem karnym Vermontu, ale i bez Boone'a wiem, że to, co zamierzam zrobić, jest wbrew prawu. To nie do końca włamanie, bo drzwi nie są zamknięte na klucz. I na pewno nie mam zamiaru niczego ukraść, więc nie jest to też kradzież. Ale jest to wtargnięcie, za które grozi mi co najmniej grzywna i kolejne okropne nagłówki, jeśli zostanę złapana.

Wtedy jednak znowu myślę o Katherine. I że Tom skłamał – bezczelnie skłamał – na temat jej miejsca pobytu. I że jeśli ja nic z tym nie zrobię, to nikt inny nie kiwnie nawet palcem. Dopóki nie będzie za późno. O ile już nie jest.

Uchylam więc drzwi nieco szerzej i wśliznąwszy się do środka, szybko zamykam je za sobą.

Pierwszą rzeczą, która zwraca moją uwagę w domu Royce'ów, jest widok na jezioro za olbrzymimi oknami. Szczególnie zaś to, jak wygląda stąd uroczo ruderowaty dom należący do mojej rodziny. Jest taki mały i taki odległy. Z powodu cieni otaczających go drzew ledwo widzę rząd okien głównej sypialni czy cokolwiek za balustradą tylnej werandy. Nie widać bujanych krzeseł ani stojącego między nimi stolika. A już na pewno nie widać lornetki. Ktoś mógłby tam w tej chwili siedzieć i mnie obserwować, a ja nie miałabym o tym pojęcia.

A jednak Katherine wiedziała, że patrzę. Tamtej nocy, kiedy widziałam ją po raz ostatni, tuż zanim Tom odciągnął ją właśnie z tego miejsca, spojrzała prosto na moją werandę, wiedząc, że tam jestem i obserwuję całe zajście. Mam nadzieję, że dodało jej to otuchy, ale obawiam się, że raczej wytrąciło z równowagi, tak jak teraz mnie. Czuję się jak rybka w akwarium, gdzie widać każdy mój ruch. Wzbudza to we mnie poczucie bezbronności, którego się nie spodziewałam i które nie ma w sobie nic przyjemnego.

I poczucie winy. Kolosalne.

Bo dzisiaj nie po raz pierwszy wtargnęłam do domu Royce'ów.

W pewnym sensie robię to od wielu dni, prawie nieustannie ich szpiegując.

I choć jestem całkowicie przekonana, że gdybym tego nie robiła, nikt by się nie zorientował, że Katherine coś grozi, policzki rozgrzewa mi wstyd, bardziej palący niż słońce, którego promienie wpadają ukośnie przez okna.

Twarz wciąż mi płonie, gdy zastanawiam się, gdzie zacząć przeszukiwanie. Dzięki dawnej wizycie i niedawnemu szpiegowaniu jestem niezłe zaznajomiona z topografią domu. Salon na otwartym planie zajmuje całą jedną stronę parteru i ciągnie się od przodu domu aż na jego tyły. Ponieważ wydaje mi się, że jest to najmniej prawdopodobne miejsce, w którym mogłabym znaleźć coś obciążającego, przechodzę przez jadalnię i kieruję się do kuchni.

Tak jak w pozostałej części domu panuje tu nowoczesny wystrój inspirowany stylistyką połowy ubiegłego stulecia i skandynawską oszczędnością formy – ostatni krzyk mody w programach na kanale HGTV, które czasem oglądam po pijaku

w środku nocy, kiedy nie mogę zasnąć. Sprzęty ze stali nierdzewnej. Cała reszta bielusiańka. Od cholery płytek cegiełek.

W przeciwieństwie do programów wnętrzarskich kuchnia Royce'ów wykazuje oznaki częstego i niechlujnego użytkowania. Blaty zachlapane wielokolorowymi drobinkami jedzenia. Na wyspie w centralnej części pomieszczenia leży taca, a na niej miska i łyżka zabrudzone zaschniętą owsianką. Na płycie kuchennej stoi garnek z resztką zupy na dnie. Z cienkiego mlecznego kozucha na jej powierzchni wnioskuję, że to odgrzewany wczoraj krem grzybowy. Przypuszczam, że w tym związku to Katherine była mistrzynią kuchni, a Tom żywi się jak studenciak. Nie mogę powstrzymać się od krytyki, kiedy zaglądam do śmieci i widzę pudełka po meksykańskim żarciu i mrożonkach do odgrzewania w mikrofali. Nawet maksymalnie zalana i rozleniwiona, nigdy nie zniżałam się do mrożonego burrito.

Nie widzę natomiast – ani w koszu na śmieci, ani nigdzie indziej – jakichkolwiek oznak, że stało się tu coś złego. Żadnych kropli krwi między drobinami jedzenia. Żadnego ostrego noża, piły ani innej broni suszącej się w zmywarce. Nie ma nawet listu, w którym Katherine daje mężowi kopa, jak przewidywała Marnie.

Zadowolona, że nie ma tu nic więcej do oglądania, robię szybki obchód reszty parteru – zaglądam do gustownej oszklonej werandy obok kuchni, pachnącej lawendą łazienki dla gości i holu – po czym ruszam na górę.

Pierwszym przystankiem na piętrze jest jedyny pokój niewidoczny przez rozległe okna z tyłu domu – pokój gościnny. Jest luksusowy, chlubi się dużym podwójnym łóżkiem, częścią wypoczynkową i przyległą łazienką, która wygląda niemalże jak spa. Wszystko jest tu świeże, czyste i nudne.

To samo odnosi się do siłowni, chociaż uważnie przyglądam się stojakowi, szukając na ciężarkach śladów zaschniętej krwi, na wypadek gdyby któregoś z nich użyto jako broni. Są czyste, co sprawia, że czuję zarówno ulgę, jak i lekki niesmak, że coś takiego w ogóle przyszło mi do głowy.

Następnie przechodzę do głównej sypialni, gdzie na widok własnego domu za ogromnymi oknami znowu dopada mnie poczucie winy, bo przypominam sobie, że podglądałam Katherine i Toma w tak intymnym miejscu. Sprawę pogarsza fakt, że teraz jestem wewnątrz ich prywatnego azylu i obczajam go jak jakąś włamywaczka.

W pierwszej chwili w samej sypialni nie widzę niczego niezwykłego, jeśli nie liczyć nieposłanego łóżka, bokserek Toma rzuconych na podłogę i pustej szklaneczki do drinków na jego szafce nocnej. Sama nie wiem, co gorsze – że przez to moje szpiegowanie wiem, po której stronie łóżka sypia Tom, czy że wystarczy mi jedno pociągnięcie nosem nad szklanką, aby stwierdzić, że była w niej whiskey.

Dopiero kiedy okrążam łóżko i sprawdzam szafkę nocną Kathrine, natykam się na pierwszy ślad czegoś podejrzanego. Obok lampki nocnej znajduje się miseczka w kolorze pudełek od Tiffany'ego. Na jej dnie leżą dwa pierścionki.

Zaręczynowy i obrączka.

Od razu przychodzi mi na myśl *Okno na podwórze* i Grace Kelly w teleobiektywie Jimmy'ego Stewarta, ukradkiem wskazująca na obrączkę martwej pani Thorwald. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym był to dowód winy. Jednak dzisiaj obrączka nie dowodzi niczego. Tak powiedziałaaby Wilma Anson.

W tym przypadku jestem skłonna się z nią zgodzić. Jeśli Katherine naprawdę odeszła od Toma, czy to nie naturalne, że pozbyła się pierścionków? To koniec ich małżeństwa. Chce zacząć od nowa. Po co jej biżuteria, która symbolizuje ich nieszczęśliwy związek? Poza tym z naszego pierwszego, dramatycznego spotkania pamiętam, że Katherine nie zawsze nosi obrączkę.

Mimo wszystko to odkrycie jest na tyle podejrzanego, że wyjmuję z kieszeni telefon i pstrykam kilka zdjęć pierścionków leżących w łagodnej krzywiźnie miseczki. Nie chowając komórki, zaglądam do łazienki, która jest jeszcze większa i bardziej przypomina spa niż ta w pokoju gościnnym. Jak wszystko inne potwierdza tylko jedno: że pozostawiony sam sobie Tom Royce jest flejtuchem. Dowodem A jest ręcznik rzucony przy umywalce. Dowodem B druga para

bokserek na podłodze. Tym razem daruję sobie krytykę. Gdyby ktoś myszkował w tej chwili po mojej sypialni, ujrzałby stos skłębionych wczorajszych ciuchów leżący u stóp łóżka i biustonosz przewieszony przez oparcie fotela stojącego w kącie.

Z łazienki przechodzę do garderoby. Jest przestronna i schludna; jej ściany oplata misterna sieć półek, drążków na wieszaki i szuflad. Wygląda na to, że niczego nie brakuje. Ta świadomość na nowo budzi moją podejrzliwość. Przetrzęsając ten dom, powoli nabierałam przekonania, że być może Katherine naprawdę po prostu wyszła jak stała i Tom nie ma pojęcia, gdzie się podziewa. Lecz wszystkie te stroje z naszywkami Gucci, Stelli McCartney i – jako powiew orzeźwiającej normalności – H&M świadczą o czymś zupełnie innym. Podobnie jak stojący w kącie komplet walizek, który uznałabym za własność Toma, gdyby na dyndających z uchwytów zawieszkach nie widniało imię Katherine.

Mogę zrozumieć, że zostawiła pierścionek zaręczynowy i obrączkę, ale ciuchy na pewno by zabrała. A jednak garderoba jest tak bardzo wypełniona jej rzeczami, że widzę tylko jeden pusty wieszak i jedno puste miejsce na półce.

Kiedy więc Katherine się stąd wyniosła – jeśli to zrobiła – zabrała tylko te ubrania, które miała na sobie.

Zaczynam otwierać szuflady, w których znajduję starannie poskładane swetry, T-shirty, spodnie dresowe i bieliznę we wszystkich kolorach tęczy.

Oraz telefon.

Leży wetknięty z tyłu szuflady na bieliznę, prawie ukryty za parą majtek Victoria's Secret. Na jego widok przypominam sobie Mixer i czerwony trójkącik Katherine wskazujący jej lokalizację.

Fotografuję go własnym telefonem, a potem przeglądam swój spis połączeń, dopóki nie natrafiam na numer Katherine. W chwili gdy naciskam „zadzwoń”, telefon w szufladzie zaczyna dzwonić. Odsuwam na bok zasłaniającą go bieliznę i widzę swój numer wyświetlony na ekranie. Pod nim widnieje czas poprzedniego połączenia.

Wczoraj. Godzina trzynasta.

Czekam, aż włączy się poczta głosowa i usłyszę nagrane powitanie.

„Cześć, tu Katherine”.

Mój niepokój wzrasta. Wszystko, co Katherine tu ze sobą przywiozła – komórka, ciuchy, pierścionki – wciąż tutaj jest.

Brakuje tylko samej Katherine.

Podnoszę jej telefon, używając pary majtek, żeby nie zostawić na ekranie odcisków palców. Dzięki, gościnnie występuje w *Prawie i porządku*.

Sam telefon jest zablokowany, oczywiście. Jedyne dostępne informacje to te na ekranie blokady. Godzina, data i ile zostało w baterii. Bardzo niewiele, jak się okazuje. Komórka Katherine zaraz padnie, co oznacza, że nie była ładowana przynajmniej przez jeden dzień, a może i dłużej.

Odkładam ją na miejsce, na wypadek gdyby Tom miał ją na oku. Lepiej nie zdradzać mu, że tu byłam. Zamykam szufladę i już mam wyjść z garderoby, kiedy telefon Katherine znów się rozdzwania – stłumiony dźwięk dobiega z wnętrza szuflady.

Zawracam, otwieram ją szarpnięciem i widzę numer telefonu jarzący się bielą na czarnym ekranie. Ktokolwiek właśnie dzwoni, tak jak i ja nie został uznany przez Katherine za znajomego wartego zapisania numeru w telefonie.

Ale ta osoba dzwoniła już wcześniej.

Razem z numerem wyświetla się czas poprzedniego połączenia.

Dziś rano.

Ponieważ nie mogę odebrać, błyskawicznie wyciągam własny telefon i fotografuję numer na ekranie komórki Katherine, zanim dzwoniący się rozłącza. Może warto będzie później do niego zadzwonić. Może też szuka Katherine. Może martwi się tak samo jak ja.

Chowam telefon do kieszeni, zamykam szufladę i opuszczam garderobę. Potem wychodzę z sypialni na korytarz i kieruję się do ostatniego pokoju, którego jeszcze nie przeszukałam.

To gabinet. Włości Toma. Umeblowany bardziej po męsku. Ciemne drewno i szkło, a także wyraźny brak osobowości. Półka z antycznym szkłem barowym stosownie do nazwy aplikacji Toma i biblioteczka wypełniona tytułami biznesowymi, które aż ociekają aspiracjami. Na niej, w srebrnej ramce, stoi to samo zdjęcie ślubne Toma i Katherine, które widziałam kilka lat temu w magazynie „People”.

Pod oknem znajduje się biurko ze szklanym blatem, a na nim laptop Toma Royce’a. W tej chwili zamknięty, płaski i zgrabny jak książeczka z obrazkami. Sunę w jego stronę, przypomniawszy sobie noc, kiedy obserwowałam Katherine przy tym biurku i przy tym laptopie. Nie mogę zapomnieć tamtej zaskoczonej miny. Jej wstrząs był ewidentny, nawet przez lornetkę i z odległości prawie pół kilometra. Pamiętam też, jak zaskoczona i przestraszona się wydawała, kiedy Tom stanął w drzwiach. Ledwo zdołała to ukryć.

Moja dłoń zawisa w powietrzu nad komputerem. Waham się, czy podnieść klapę i sprawdzić, co mogę w nim znaleźć. W przeciwieństwie do komórki Katherine tu nie da się tego zrobić bez pozostawienia wszędzie swoich odcisków palców. Owszem, mogłabym potem wytrzeć je koszulą, ale przy okazji starłabym też odciski Toma i Katherine. To mogłoby już zakrawać na fałszowanie dowodów, czego sąd nie pochwala. Tego też nauczyłam się z *Prawa i porządku*.

Z drugiej strony ten laptop może się okazać kluczowy w dotarciu do prawdy o tym, co stało się z Katherine. Zdjęcia jej telefonu i porzuconych pierścionków nie wystarczą, żeby Wilma Anson uzyskała nakaz rewizji. Tymczasem Tom z łatwością zadba o to, aby nikt więcej nie zobaczył, co ma w swoim laptopie. Wystarczy wrzucić go do jeziora Greene.

Ta myśl – o laptopie opadającym na mroczne, mętne dno jeziora – przekonuje mnie do uniesienia klapy. Jeśli tego nie zrobię, właśnie teraz, możliwe, że nikt nigdy nie będzie miał takiej okazji.

Otwieram laptopa i jego ekran ożywa, ukazując zdjęcie jeziora w pełnej letniej krasie. Taki odcień zieleni drzewa mają tylko w lipcu. Słońce połyskuje na wodzie niczym wróżkowy pyłek. Błękit nieba przypomina komputerowe efekty specjalne.

Jezioro Greene.

Rozpoznałabym je wszędzie.

Stukam w klawisz spacji i jezioro zastępuje pulpit usiany zakładkami, ikonkami i folderami. Oddycham z ulgą. Bałam się, że laptop będzie zablokowany jak telefon Katherine.

Ale teraz, kiedy mam już do niego dostęp, nie mogę się zdecydować, od czego zacząć przeszukiwanie. Sądząc po nazwach folderów – takich jak dane Q2, reklamy czy prototypy2.0 – wygląda na to, że większość z nich ma związek z Mixerem. Klikam w niektóre i wyświetlają się arkusze kalkulacyjne, zapisane notatki służbowe i sprawozdania wypełnione taką ilością biznesowego żargonu, że równie dobrze mogłyby być napisane sanskrytem.

Moją uwagę zwraca tylko jeden arkusz kalkulacyjny. Opatrzony datą sprzed trzech miesięcy, składa się z kolumny liczb – wszystkie są czerwone. Robię zdjęcie ekranu laptopa, choć nie mam pojęcia, czy te dane oznaczają dolary, użytkowników, czy jeszcze coś innego. To, że nie rozumiem tego, co widzę, nie znaczy, że nie przyda mi się to później.

Zamykam ten folder i zaczynam szukać takich, które nie są związane z apką Toma Royce'a. Wybieram ten, któremu nadano wymowną nazwę.

„Kat”.

W środku są podfoldery opisane rokiem, obejmujące pół dekady. Zaglądam do każdego z nich i znajduję nie tylko fotografie Katherine z czasów, kiedy była modelką, ale także kolejne arkusze. Po jednym na rok. U góry każdego z nich widnieje ten sam nagłówek: „Zarobki”. Przeglądam kilka i zauważam, że nie ma w nich żadnych czerwonych liczb. Mimo że nie jest już modelką, Katherine zarabia nieprzyzwoite sumy. Znacznie więcej, niż szacowano na tamtej stronie internetowej, i znacznie więcej, niż generuje Mixer.

Fotografuję arkusze z ostatnich trzech lat i przechodzę do przeglądarki internetowej. Dwie sekundy i jedno kliknięcie później wpatruję się w historię przeglądania.

Bingo!

Od razu zauważam brak ewidentnie podejrzanej aktywności w ciągu ostatnich dwóch dni. Tom nie szukał sposobów na pozbycie się ciała ani piłek do metalu, które najlepiej nadają się do cięcia kości. Czyli albo nie dotykał laptopa od zniknięcia Katherine, albo wyczyścił historię przeglądania z ostatnich czterdziestu ośmiu godzin.

Jednak historia sprzed trzech dni ujawnia mnóstwo odwiedzonych stron. Niektóre, łącznie z tym samym artykułem w „Bloomberg Businessweek” na temat Mixera, który sama wcześniej znalazłam, wyglądają mi na robotę Toma. Inne, na przykład sekcja modowa w „New York Timesie” i strona „Vanity Fair”, wskazują na Katherine. Podobnie jak pewne interesujące wyszukiwanie w Google.

„Przyczyny utonięć w jeziorach”.

Klikam w link i widzę krótką listę: między innymi samotne pływanie, odurzenie alkoholem i pływanie łódką bez kamizelki ratunkowej. Ten ostatni punkt przypomina mi o Lenie. Sprawia też, że mam ochotę popędzić na dół i golnąć sobie coś mocniejszego z barku w salonie.

Otrząsam się z tej myśli i pokusy i wracam do swojego zajęcia. Sprawdzam ostatnio googlowane wyrażenia – znajduję kolejne dotyczące utonięć i wody.

„Pływanie nocą”. „Duchy w odbiciach”. „Nawiedzone jeziora”.

Wyrywa mi się westchnienie. Po usłyszeniu tego, co Eli opowiadał przy ognisku, Tom albo Katherine rzucili się do Google. Kilka dni temu, jak widzę, jedno z nich sporo googlowało. Oprócz wyszukiwania tematów związanych z jeziorem ktoś sprawdzał wyniki turnieju baseballowego, prognozę pogody i przepis na paellę.

Nagle coś sprawia, że kamienieję.

„Zaginione kobiety w Vermoncie”.

Dlaczego, u licha, coś takiego miałyby interesować Toma albo Katherine?

Wstrząśnięta, już mam kliknąć w link, kiedy zahaczam wzrokiem o znajdujące się tuż pod nim imię i nazwisko.

Moje.

Obecność mojego nazwiska w historii wyszukiwania wcale mnie nie dziwi. W zeszłym roku z pewnością googlowało mnie wielu kompletnie obcych mi ludzi. To normalne, że robili to także moi nowi sąsiedzi. Wiem nawet, jaki wynik pojawi się na szczycie listy, jeszcze zanim kliknę w link. Zdjęcie, na którym żłopię podwójnego old fashioned, oraz nagłówek, który najpewniej będzie mnie gnębił przez resztę życia.

„Casey daje w gaz”.

Niżej znajdują się artykuły o wyrzuceniu mnie ze *Strzępu wątpliwości*, moja strona na IMDb i nekrolog Lena w „LA Times”. W każdy z tych linków kliknięto, co upewnia mnie, że ktoś mnie sprawdzał.

Nie wiem tylko kto – Tom czy Katherine.

Ani po co.

Kiedy wracam do historii wyszukiwarki, żeby spróbować się tego dowiedzieć, dostrzegam jeszcze jedno znajome nazwisko, które wpisywano w Google.

Boone Conrad.

Po kliknięciu w link wyświetla się artykuł o śmierci jego żony. Z lektury dowiaduję się dwóch zaskakujących faktów. Po pierwsze, Boone to jego prawdziwe imię. Po drugie, pracował w komendzie znajdującej się najbliżej jeziora Greene. Cała reszta artykułu zawiera dokładnie to samo, co Boone powiedział mi wczoraj. Wrócił do domu po pracy, znalazł żonę u stóp schodów i wezwał pogotowie, a ratownicy stwierdzili jej zgon. Zacytowano komendanta policji – szefa Boone’a – który oznajmił, że był to tragiczny wypadek. Koniec kropka.

Wracam do historii przeglądania i odkrywam, że jedno z Royce’ów googlowało nie tylko ludzi mieszkających nad jeziorem. Widzę, że sprawdzali też kogoś, o kim nigdy nie słyszałam: Harveya Brewera. Klikam i wyskakuje zdumiewająca liczba trafień. Wybieram pierwsze – artykuł z makabrycznym nagłówkiem z zeszłorocznego numeru jakiejś pensylwańskiej gazety.

„Przyznał się do powolnego podtruwania żony”.

W trakcie lektury serce bije mi szybciej przy każdym zdaniu. Okazuje się, że Harvey Brewer był pięćdziesięciokilkuletnim listonoszem z East Stroudsburg, którego czterdziestokilkuletnia żona zniecka zeszła na zawał serca podczas zakupów w Walmarcie.

Choć zwykle nie chorowała – „zdrowa jak ryba”, stwierdziła jakaś znajoma – śmierć Ruth nie była całkowitą niespodzianką. Jej rodzeństwo powiedziało policji, że skarżyła się na nagłe ataki słabości i zawroty głowy w tygodniach poprzedzających jej śmierć.

– Mówiła, że nie czuje się do końca sobą – oświadczyła jedna z jej sióstr.

Ponieważ Harvey miał dostać pokaźną sumkę po śmierci żony, krewni Ruth weszli jakiś podstęp. Mieli rację. Sekcja zwłok ujawniła śladowe ilości brimladyny w organizmie Ruth. Brimladyna, środek pobudzający, przez niektórych specjalistów nazywany „kokainą trucizną”, zwiększa tętno. U gryzoni powoduje natychmiastową śmierć. U ludzi trwa to znacznie dłużej.

Harvey załamał się podczas przesłuchania i wyznał, że przez wiele tygodni podtruwał żonę mikrodawkami brimladyny. Trucizna, dodawana codziennie do jedzenia i picia, stopniowo osłabiała serce Ruth, aż doprowadziła do zawału. Harvey twierdził, że ten pomysł podsunęła mu broadwayowska sztuka, którą oglądali z żoną podczas niedawnej wycieczki do Nowego Jorku.

Strzęp wątpliwości.

Kurwa.

Mać.

Harvey Brewer oglądał moją sztukę. Widział mnie na scenie w roli kobiety, która uświadamia sobie, że jej mąż powoli ją truje. Siedział na zaciemnionej sali, zastanawiając się, czy coś takiego można zrobić w prawdziwym życiu. Okazało się, że można. I prawie uszło mu to na sucho.

Zanim doczytuję artykuł do końca, przez umysł przelatują mi – niczym pokaz slajdów – różne sceny z Katherine.

Unoszącą się na powierzchni jeziora, bez ruchu, z sinymi ustami.

„Jakby moje ciało przestało działać” – tak to później określiła.

Osuniętą na bujanym krześle, udręczoną kacem.

„Po prostu ostatnio nie jestem sobą”.

Zamroczoną po zaledwie dwóch kieliszkach wina.

„Nie czuję się za dobrze”.

Jednak najbardziej skupiam się na wieczorze przy ognisku, bo szczegóły, które wtedy wydawały się nieistotne, nagle nabierają ogromnego znaczenia.

Tom powiedział, że byłem fantastyczna w *Strzępie wątpliwości*.

Nalegał, że sam naleje wina, i odwrócił się do nas plecami, żebyśmy nie widzieli, jak to robi.

Potem z wielką uwagą wręczał każdemu po kieliszku, jakby były przeznaczone dla określonych osób.

Katherine opróżniła swój jednym haustem i dostała dolewkę.

Przez sekundę stoję oniemiała. Świadomość, która we mnie rozbłyskuje, jest jak staroświecka żarówka. Rozżarzona do białości i oślepiająca. Wstrząśnięta i oszołomiona tym wszystkim, zamykam oczy i zastanawiam się, czy to, co spotkało Ruth Brewer, przydarzyło się też Katherine.

Całość nabiera sensu niczym układanka, której poszczególne elementy wpadają na swoje miejsce. Tom oglądał *Strzęp wątpliwości* i tak jak Harvey zaczął się zastanawiać. Albo najpierw natknął się na historię zbrodni Harveya Brewera i postanowił obejrzeć sztukę. Jak, dlaczego i kiedy – tego się nie dowiem. Nie żeby to miało jakieś znaczenie. Wzorując się na Harveyu i sztuce, Tom postanowił przy każdej okazji podawać Katherine maleńkie dawki trucizny i stopniowo osłabiać jej organizm, aby w końcu, pewnego dnia, przestał działać.

A Katherine go zdemaskowała, najprawdopodobniej robiąc to, co teraz robię ja, czyli sprawdzając jego historię przeglądania.

Właśnie to zobaczyła w nocy przed zniknięciem.

Właśnie dlatego wyglądała jednocześnie na wstrząśniętą i zaabsorbowaną, kiedy obserwowałam ją z werandy. Siedzącą na tym krześle. Wpatrzoną w tego

laptopa. Równie ogłuszoną jak ja teraz.

I właśnie dlatego tej samej nocy pokłóciła się z Tomem. Powiedziała mu, że wie, co próbował zrobić. On zaprzeczył, może zaczął się dopytywać, skąd jej to przyszło do głowy. „Jak? Co?”

Jeszcze przed świtem Katherine zniknęła. Albo Tom ją zabił, albo uciekła, nie zabierając ze sobą niczego. Więc może teraz leży pogrzebana w lesie lub utopiona na dnie jeziora, a może gdzieś się ukrywa. To jedyne opcje, jakie przychodzą mi do głowy.

Muszę się dowiedzieć, która z nich jest prawdą.

I przekonać detektyw Wilnę Anson, żeby mi w tym pomogła.

Znów chwytam za telefon i robię zdjęcie ekranu laptopa; treść artykułu o Harveyu Brewerze jest nieczytelna, ale nagłówek aż bije po oczach. Już mam pstryknąć następne, kiedy słyszę dobiegający sprzed domu niepożądany odgłos.

Chrzęst opon na żwirze.

Po prawej mam okno z widokiem na południowo-zachodnią stronę domu. Podchodzę bliżej i widzę znikającego pod portykiem bentleya.

Szlag.

Wybiegam z gabinetu, ale zaraz za progiem robię w tył zwrot, bo uzmysławiam sobie, że zostawiłam otwartego laptopa. Dopadam do biurka, zatraskuję pokrywę i znów wybiegam. Przystaję na korytarzu, niepewna, dokąd biec dalej. Za kilka sekund Tom wejdzie do domu. Jeśli teraz zbiegnę ze schodów, prawdopodobnie mnie zobaczy. Chyba mądrzej będzie zostać na piętrze i schować się gdzieś, gdzie na pewno nie wejdzie. Najlepiej w pokoju gościnnym. Mogłabym wpełznąć pod łóżko i poczekać, aż będę pewna, że ucieknę niezauważona.

Co może potrwać parę godzin.

Tymczasem jak dotąd Tom wcale nie wszedł do domu. Może jest czymś zajęty na dworze. Może mam dość czasu, żeby zbiec na dół i prysnąć przez drzwi wejściowe.

Postanawiam zaryzykować, głównie dlatego, że ukrywanie się tutaj – kto wie, jak długo – nie gwarantuje, że Tom mnie nie znajdzie. Najbezpieczniej będzie stąd uciec.

Natychmiast.

Skupiona na jednej myśli – zniknąć stąd jak najszybciej! – rzucam się w kierunku schodów.

Zbiegam na dół.

Pędzę do drzwi wyjściowych.

Chwytam za klamkę i ciągnę.

Drzwi są zamknięte na klucz, o czym przecież wiedziałam, ale zapomniałam, bo raz, że mam teraz co innego w głowie, a dwa, nigdy wcześniej tego nie robiłam.

W chwili gdy sięgam do zamka, słyszę, że otwierają się inne drzwi.

Przesuwne szklane drzwi z tyłu domu.

Tom wchodzi do środka – a ja za sekundę zostanę przyłapana. Drzwi wyjściowe znajdują się tuż obok salonu. Jeśli Tom pójdzie dokądkolwiek poza jadalnię lub kuchnię, zobaczy mnie. A nawet jeśli nie, szcęk zamka i odgłos otwieranych drzwi zdradzą moją obecność.

Odwracam się na pięcie, gotowa stawić mu czoło, a mój umysł gorączkowo próbuje wymyślić choćby mętnie logiczne wyjaśnienie, skąd się wzięłam w jego domu. Bez skutku. Panika sprawia, że w głowie mam pustkę.

Mija sekunda, potem druga i uświadamiam sobie, że nie słyszałam zasuwania drzwi ani kroków Toma w domu. Tym, co dociera do moich uszu wraz z jesienną bryzą dochodzącą przez te wciąż otwarte drzwi, jest chlupotanie wody o brzeg, oznaczające, że do przystani Royce'ów przybija łódź. I nagle znajomy głos woła imię Toma.

Boone.

Zamieram przy drzwiach, czekając na potwierdzenie, że Tom wciąż jest na dworze. Otrzymuję je, słysząc głos Boone'a, teraz dobiegający z patio na tyłach domu, pytający, czy Tom nie potrzebuje jakiegoś remontu.

– Pomyślałem, że sprawdzę, bo prawie skończyłem pracę u Mitchellów.

– Nie potrzebuję – odpowiada Tom. – Wszystko jest w...

Nie czekając na ciąg dalszy, błyskawicznie przekręcam zamek i szarpnięciem otwieram drzwi. Wypadam na zewnątrz i robię jedyną rozsądną rzecz.

Wiję.

Dzięki łodzi Boone wyprzedza mnie w drodze powrotnej na naszą stronę jeziora. Mimo że przestałam biec, gdy tylko minęłam dom Elia, i tak brak mi tchu, kiedy widzę, że czeka na mnie z założonymi na piersi rękami jak rozgniewany rodzic.

– To, co zrobiłaś, było głupie i niebezpieczne – karci mnie, gdy do niego dołączam. – Tom by cię przyłapał, gdybym nie wskoczył do łodzi i go nie zatrzymał.

– Skąd wiedziałaś, że tam jestem?

Odpowiedź, co zaraz sobie uzmysławiam, Boone trzyma w prawej ręce.

Lornetka.

Oddając mi ją, mówi:

– Pożyczyłem, jak tylko ujrzałem, że przechodzisz obok. Wiedziałem, co kombinujesz, i pobiegłem na twoją werandę, żeby cię mieć na oku.

– Dlaczego mnie nie powstrzymałeś?

– Bo sam myślałem, żeby zrobić to co ty.

– A przed chwilą mówiłeś, że to było głupie i niebezpieczne.

– Bo było – potwierdza Boone. – Co nie znaczy, że niepotrzebne. Znalazłaś coś?

– Mnóstwo.

Ruszamy dalej, mijając dom, w którym mieszka Boone, i kierując się do mnie. Idziemy obok siebie wśród wirujących w powietrzu liści koloru ogniska. To byłby piękny spacer – prawie romantyczny – gdyby nie ten ponury temat rozmowy. Mówię Boone’owi, że pierścionki, telefon i ciuchy Katherine nadal są w jej sypialni, a potem przechodzę do tego, co znalazłam w laptopie Toma, łącznie z Harveyem Brewerem.

– Tom powoli ją podtruwał – oznajmiam. – Tak jak tamten facet swoją żonę. Jestem tego pewna. Katherine sama mi mówiła, że nie czuje się najlepiej. Miewała nagłe ataki słabości i zmęczenia.

– Czyli myślisz, że nie żyje?

– Myślę, że się o tym dowiedziała. I mam nadzieję, że uciekła. Ale istnieje możliwość...

Boone kiwa głową z posępną miną, bez wątpienia myśląc o plandece, sznurze i piłce do metalu.

– Że Tom ją dopadł, zanim zdążyła.

– Ale teraz mamy dowód. – Wyciągam telefon i zaczynam przeglądać zrobione zdjęcia. – Widzisz? To ten artykuł o Harveyu Brewerze na laptopie Toma.

– To nie wystarczy, Casey.

Zatrzymuję się na środku zasypanej liśćmi drogi, a Boone robi jeszcze kilka kroków, zanim się zorientuje, że zostałam w tyle.

– Jak to nie wystarczy? Mam zdjęcia telefonu i ciuchów Katherine, nie mówiąc już o dowodzie, że jej mąż czytał o człowieku, który zamordował żonę.

– Nie wystarczy – powtarza Boone – bo to nielegalne. Zdobyłaś to wszystko, włamując się do ich domu. A to przestępstwo gorsze niż szpiegowanie.

– Wiesz, co jest jeszcze gorsze? – rzucam, nie mogąc się pozbyć zniecierpliwienia w głosie. – Planowanie zabicia żony.

Wciąż ani drgnę, więc Boone zawraca i obejmuje mnie swoim potężnym ramieniem, zachęcając do ruszenia się z miejsca.

– Zgadzam się z tobą – zapewnia mnie. – Ale tak działa prawo. Nie możesz udowodnić komuś popełnienia przestępstwa, popełniając inne przestępstwo. Żeby go naprawdę przyszpilić, potrzebujemy jakiegoś dowodu, nie zdobytego nielegalnie, który wskazywałby na nieczystą grę.

Nie dodaje – ale ja i tak to wiem – że jak dotąd Tom Royce świetnie sobie radzi z zacieraniem śladów. Dowodzi tego tamto zdjęcie, które zamieścił na instagramowym koncie Katherine. Dlatego mało prawdopodobne, że przeoczył jakiś obciążający dowód, który można by zdobyć legalnie.

Znów się zatrzymuję, tym razem sparaliżowana świadomością, że przecież mam taki dowód.

Tyle że nie zostawił go Tom.

To była robota Katherine.

Ruszam przed siebie równie gwałtownie, jak się zatrzymałam. Zamiast iść, zaczynam biec w stronę swojego domu, oddalając się od Boone'a.

– Co ty wyprawiasz?! – woła.

– Zdobywam dowód. Legalnie! – odkrzykuję, nie zwalniając.

Już w domu, idę prosto do kuchni i zaglądam do kosza na śmieci, który należało opróżnić wczoraj, ale na szczęście tego nie zrobiłam. Choć raz moje lenistwo zostało nagrodzone. Grzebię w koszu, brodząc palcami wśród rozmokłych ręczników papierowych i oślizgłych owsiankowych glutów. Zanim Boone mnie dogania, ja już wywracam kosz i wysypuję jego zawartość na podłogę. Po chwili dalszego grzebania znajduję to, czego szukam.

Odłamek rozbitego kieliszka.

Triumfalnie unoszę go do światła. Szkiełko jest brudniejsze, niż kiedy znalazłam je na podwórku. Uwalane okruszkami i z białą plamką, być może z sosu do sałatki. Mam nadzieję, że nie będzie to miało znaczenia, bo przypominająca sól warstewka, którą wcześniej zauważyłam, wciąż tam jest.

Jeśli tamtego wieczoru Tom Royce naprawdę wsypał coś żonie do wina, to mam nadzieję, że ten kawałek szkła zdoła tego dowieść.

Kiedy przyjeżdża Wilma Anson, szklany odłamek jest już bezpiecznie zapakowany w woreczek strunowy. Przygląda mu się uważnie przez przezroczystą folię, a przechylona głowa sugeruje, że policjantka jest albo zaciekawiona, albo zirytowana. Z nią nigdy nie wiadomo.

– Skąd to pani ma?

– Z podwórka – odpowiadam. – Kieliszek się rozbił, kiedy Katherine zemdląła i upadła na trawę, trzymając go w ręku.

– Ponieważ rzekomo została odurzona? – uzupełnia Wilma.

– Podtruta – koryguję.

– Wyniki laboratoryjne mogą tego nie potwierdzić.

Uzgodniliśmy z Boone'em, że nie zdradzimy Wilmie, dlaczego właściwie zaczęłam podejrzewać, że Tom próbuje otruć żonę. Zamiast prawdy powiedzieliśmy jej, że nagle sobie przypomniałam wymienione przez Katherine nazwisko Harveya Brewera. Sprawdziłam w internecie i stąd moja teoria, że być może Tom usiłował zrobić to samo co tamten. To wystarczyło, żeby Wilma przyjechała. Teraz, kiedy już tu jest, pytanie brzmi, czy coś z tym wszystkim robi.

– Czyli odda to pani do analizy, tak? – pytam.

– Tak – odpowiada Wilma z westchnieniem. – Chociaż wyniki dostanę za kilka dni.

– Ale do tego czasu Tom może już zniknąć – protestuję. – Nie może pani przynajmniej go przesłuchać?

– Zamierzam.

– Kiedy?

– W odpowiednim czasie.

– A teraz jest nieodpowiedni? – Zaczynam kołysać się w przód i w tył, wprawiana w ruch buzującą we mnie niecierpliwością. Chcę powiedzieć Wilmie wiele rzeczy, ale nie mogę. Mówiąc, że telefon, ciuchy i pierścionki Katherine wciąż są w jej sypialni, przyznam, że włamałam się do domu Royce'ów. Więc

trzymam gębę na kłódkę, czując się jak wstrząśnięta butelka szampana, i mam nadzieję że to ciśnienie nie rozsadzi mnie od środka. – Nie wierzy nam pani?

– Myślę, że to uzasadniona teoria – odpowiada Wilma. – Jedna z kilku.

– Więc proszę ją zbadać – upieram się. – Iść tam i go przesłuchać.

– I zapytać, czy zabił żonę?

– Tak, na początek.

Wilma przechodzi bez zaproszenia do przyległej jadalni. Ubrana w czarny garnitur damski, białą koszulę i sensowne buty, w końcu przypomina telewizyjną detektyw z moich wyobrażeń. Jedynym podobieństwem do stroju z wczorajszego wieczoru jest frotka wokół nadgarstka. Zielona, nie żółta, i najwyraźniej nienależąca do córki. Przez ramię ma przewieszoną czarną torbę kurierską, którą teraz rzuca na stół. Wilma siada, a jej zakiet lekko się rozchyła i odsłania ukrytą pod nim kaburę z bronią.

– To nie takie proste, jak się pani wydaje – wyjaśnia policjantka. – Tutaj może chodzić o coś innego. O coś poważniejszego niż to, co się stało z Katherine Royce.

– Dużo poważniejszego? – pyta Boone.

– Robiliście kiedyś ćwiczenie na budowanie zaufania? No wiecie, takie, gdzie jedna osoba opada do tyłu, mając nadzieję, że złapią ją ludzie stojący za nią? – Wilma demonstruje to, podnosząc palec wskazujący i powoli przechylając go na bok. – To, co zaraz wam powiem, będzie przypominało takie ćwiczenie. Zamierzam powierzyć wam pewne tajne informacje. A wy odpłacicie mi za to zaufanie, nic nie robiąc, nic nie mówiąc i pozwalając mi wykonywać moją pracę. Umowa stoi?

– Jakie tajne informacje? – pytam.

– Szczegóły aktywnego śledztwa. Jeżeli komuś powiecie, że wam je zdradziłam, mogę wpaść w kłopoty, a wasze tyłki wylądują w więzieniu.

Czekam na jakiś sygnał z jej strony, że przesadza, że to jedynie żart. Nic z tego. Wyraz twarzy ma śmiertelnie poważny i tylko obraca frotką na przegubie.

– Przysięgnijcie, że nikomu nie powiecie.

– Wiesz, że nie powiem – odzywa się Boone.

– Nie o ciebie mi chodzi.

– Przysięgam – odpowiadam, chociaż powaga Wilmy każe mi się zastanowić, czy aby na pewno chcę usłyszeć to, co zamierza powiedzieć. Moje dzisiejsze odkrycia są już wystarczająco niepokojące.

Wilma waha się przez chwilę, po czym chwyta za torbę.

– Kiedy Royce’owie kupili ten dom?

– Zeszłej zimy – odpowiadam.

– To było ich pierwsze lato tutaj – dodaje Boone.

Wilma otwiera torbę.

– Czy Tom Royce kiedykolwiek wspominał, że bywali w tej okolicy, zanim kupili tę nieruchomość?

– Tak – odpowiadam. – Powiedział mi, że parokrotnie spędzili tu lato, za każdym razem wynajmując inny dom.

– Mnie mówił to samo – dodaje Boone. – I że się cieszy, bo wreszcie znaleźli coś swojego.

Wilma gestem zachęca nas, żebyśmy usiedli. Siadamy obok siebie z Boone’em, a ona wyjmuje z torby teczkę na akta i kładzie ją na stole przed nami.

– Słyszeliście nazwisko Megan Keene?

– To ta dziewczyna, która zniknęła dwa lata temu, prawda? – mówi Boone.

– Zgadza się.

Wilma otwiera teczkę, wyjmuje kartkę i przesuwa ją w naszą stronę. Widać na niej zdjęcie, nazwisko i jedno słowo, na widok którego dreszcz przebiega mi po krzyżu. Zaginiona.

Wpatruję się w zdjęcie Megan Keene. Jest ładna jak modelka z reklamy szamponu. Te włosy w kolorze miodowy blond, różane policzki i niebieskie oczy. Ucieleśnienie ideału amerykańskiej ślicznotki.

– W chwili zniknięcia Megan miała osiemnaście lat – mówi Wilma. – Była tutejsza. Jej rodzina prowadzi sklep wielobranżowy w sąsiednim mieście. Dwa lata

temu powiedziała rodzicom, że ma randkę, pocałowała matkę na pożegnanie w policzek i wyszła. I więcej nikt jej nie widział. Jej samochód znaleziono tam, gdzie zawsze go zostawiała: zaparkowany za sklepem rodziców. Żadnych śladów obecności osób trzecich ani szamotaniny. Nic też nie wskazywało na to, żeby planowała nie wrócić.

Wilma podsuwa nam następną kartkę. Tego samego formatu co poprzednia.

Zdjęcie – ciemna piękność o ustach pomalowanych na wiśniowo i twarzy obramowanej czarnymi włosami.

Imię i nazwisko – Toni Burnett.

Również zaginiona.

– Toni zniknęła dwa miesiące po Megan. Właściwie była włóczęgą. Urodziła się i wychowała w Maine, ale bardzo religijni rodzice wyrzucili ją z domu po jednej z wielu kłótni o jej zachowanie. W końcu wylądowała w hrabstwie Caledonia, gdzie zatrzymała się w motelu wynajmującym pokoje na tydzień. Gdy tydzień minął, a ona się nie wymeldowała, kierownik pomyślał, że wyjechała z miasta. Ale kiedy wszedł do jej pokoju, wszystkie jej rzeczy wciąż tam były. Nie było tylko samej Toni Burnett. Kierownik nie od razu wezwał policję, bo sądził, że wróci za dzień lub dwa.

– Ale tak się nie stało – domyśla się Boone.

– Nie – potwierdza Wilma. – Niestety.

Wyciąga trzecią kartkę z teczki.

Sue Ellen Stryker.

Nieśmiała, co dokumentuje spłoszony uśmiech na twarzy, jakby właśnie zdała sobie sprawę, że ktoś robi jej zdjęcie.

Zaginiona, jak pozostałe.

To o niej wspomniała Katherine, kiedy siedzieliśmy tamtego wieczoru przy ognisku.

– Sue Ellen miała dziewiętnaście lat – mówi Wilma. – Zaginęła zeszłego lata. Była studentką college’u, a w sezonie pracowała w ośrodku wypoczynkowym nad

jeziorem w Fairlee. Pewnego wieczoru wyszła z pracy i już nie wróciła. Tak jak w innych przypadkach nie było powodów przypuszczać, że się spakowała i uciekła. Ona po prostu... zniknęła.

– Myślałem, że utonęła – wtrąca Boone.

– Tak brzmiała jedna z teorii, chociaż nic konkretnego na to nie wskazywało.

– Ale ty sądzisz, że ona nie żyje – mówi Boone. – Pozostałe też.

– Szczerze? Tak.

– I że te sprawy są powiązane?

– Owszem – potwierdza Wilma. – Ostatnio zaczęliśmy uważać, że wszystkie te dziewczyny padły ofiarą tej samej osoby. Kogoś, kto regularnie przebywa w tej okolicy od co najmniej dwóch lat.

Boone wciąga oddech.

– Seryjny zabójca.

Jego słowa zawisają w dusznym powietrzu jadalni niczym przykry zapach. Wbijam wzrok w rozłożone na stole zdjęcia, czując, jak moje wnętrzości ścisną smutek i złość.

Trzy kobiety.

Właściwie dziewczyny.

Takie młode, takie niewinne.

Pozbawione życia u jego progu.

Przyglądając się każdej z fotografii, ze zdumieniem zauważam, jak osobowość tych dziewczyn przebija z ich podobizn. Żywiowość Megan Keene. Tajemniczość Toni Burnett. Niewinność Sue Ellen Stryker.

Myślę o ich rodzinach i przyjaciółach, o tym, jak bardzo muszą za nimi tęsknić. Myślę o ich celach, marzeniach, zawodach, nadziejach i smutkach. Myślę o tym, jak musiały się czuć na chwilę przed śmiercią. Przerazone i samotne. Dwa najgorsze uczucia na świecie.

W mojej piersi wzbiera szloch i przez chwilę boję się, że zaraz eksploduje. Ale udaje mi się go zdławić, wziąć się w garść i zadać pytanie, które musi paść.

– Co to ma wspólnego z Katherine Royce?

Wilma wyjmuje z teczki coś jeszcze. To kolorowa fotokopia pocztówki. Widok z lotu ptaka na poszarpaną linię brzegową jeziora otoczonego lasami i górami. Setki razy widziałam to zdjęcie na półkach w lokalnych sklepach i wiem, co przedstawia; nie muszę nawet czytać nazwy wydrukowanej u dołu kartki.

Jezioro Greene.

– W zeszłym miesiącu ktoś przysłał tę pocztówkę do lokalnej jednostki policji.
– Wilma patrzy na Boone’a. – Twój dawny rewir. Przekazali ją nam. Z powodu tego.

Odwraca kartkę, odsłaniając skserowany tył pocztówki. Po lewej stronie, napisany wielkimi i tak chwiejnymi literami, jakby pisało je dziecko, widnieje adres byłego miejsca pracy Boone’a, które znajduje się jakieś piętnaście minut stąd. Po prawej stronie, tymi samymi dziecięcymi bazgrołami, wypisano trzy imiona i nazwiska.

Megan Keene.

Toni Burnett.

Sue Ellen Stryker.

Poniżej dodano cztery słowa.

„Myślę, że są tutaj”.

– O cholera – odzywa się Boone.

Ja milczę, zbyt ogłuszona, żeby coś powiedzieć.

– Nie da się wyśledzić, kto ją przysłał – mówi Wilma. – Te pocztówki są sprzedawane w całym kraju od lat. Jak widzicie, nie ma adresu zwrotnego.

– Odciski palców? – pyta Boone.

– Mnóstwo. Kartka przechodziła przez wiele rąk, zanim trafiła do policji stanowej. Znaczek był samoprzylepny, więc z tyłu nie ma żadnego DNA. Analiza pisma wykazała, że napisała ją osoba praworęczna lewą ręką. To dlatego jest ledwo czytelna. Ktokolwiek ją przysłał, znakomicie zatarł za sobą ślady. Jediną wskazówką, jaką dysponujemy, jest stempel pocztowy, z którego możemy się

dowiedzieć, że pocztówkę wrzucono do skrzynki na Upper West Side na Manhattanie. Tak się składa, że tam właśnie znajduje się mieszkanie Toma i Katherine Royce'ów. Może to zbieg okoliczności, ale wątpię.

Boone pociera dłonią swój zarost, rozmyślając nad tymi informacjami.

– Myślisz, że jedno z nich wysłało tę kartkę?

– Tak – odpowiada Wilma. – Katherine, ściśle mówiąc. Analiza charakteru pisma wskazuje na kobietę.

– Po co miałyby to robić?

– A jak myślisz?

Nie mija nawet sekunda, kiedy twarz Boone'a wyraża kolejno namysł, olśnienie i zrozumienie.

– Naprawdę uważasz, że Tom zabił te dziewczyny? – pyta. – I że Katherine o tym wiedziała? A przynajmniej to podejrzewała?

– To jedna z teorii – odpowiada Wilma. – Dlatego jesteśmy tacy ostrożni. Jeżeli Katherine wysłała tę pocztówkę, żeby donieść policji na męża, to możliwe też, że uciekła i gdzieś się ukrywa.

– Albo że Tom się o tym dowiedział i ją uciszył – dodaje Boone.

– To też możliwe, tak. Ale jeśli udało jej się uciec i ukryć, chcemy ją znaleźć, zanim zrobi to jej mąż. Tak czy inaczej wam obojgu należy się uznanie. Gdybyście nie zadzwonili do mnie w sprawie Katherine, nigdy nie przyszłoby nam do głowy, żeby powiązać ją i Toma z tą pocztówką. Więc dziękuję.

– I co dalej? – pyta Boone, promieniejąc dumą. Zdaje się, że glina zawsze będzie gliną.

Wilma zbiera wszystkie kartki i wpycha je z powrotem do teczki. Ostatni raz zerkam na twarze tych zaginionych dziewczyn. Megan, Toni i Sue Ellen. Każda z nich chwyta mnie za serce tak mocno, że aż się krzywię. Wilma zamyka teczkę i cała trójka znowu znika.

– Obecnie badamy wszystkie domy, które Tom wynajmował w Vermoncie w ciągu ostatnich dwóch lat. Gdzie się zatrzymywał, na jak długo i czy Katherine

była tam z nim. – Wilma wrzuca teczkę do torby kurierskiej i przenosi wzrok na mnie. – Jeśli te daty zbiegną się z datami zaginięć, to właśnie wtedy będzie odpowiedni czas na rozmowę z Tomem Royce'em.

Znów przeszywa mnie dreszcz. Taki, który wstrząsa całym ciałem jak shaker do koktajli.

Policja uważa, że Tom jest seryjnym mordercą.

Choć Wilma nie powiedziała tego wprost, wniosek jest jasny.

Sądzą, że to zrobił.

I sytuacja okazuje się znacznie gorsza, niż wydawało mi się na początku.

Teraz



Mocniej zaciskam dłoń na nożu, licząc, że w ten sposób zatuszuję jej drżenie. Mój więzień patrzy na nią z udawanym brakiem zainteresowania i mówi:

– Chcesz mnie tym nastraszyć? Bo jakoś się nie boję.

– Nie obchodzi mnie, jak się czujesz.

To prawda, choć nieco przesadzona. Obchodzi mnie. Bo chcę, żeby się bał. Ale wiem też, że to właściwie bez znaczenia. Najważniejsze, żeby zaczął gadać, a jeśli muszę mu dorównać obojętnością, żeby osiągnąć swój cel, to się nie zawaham.

Podchodzę do drugiego łóżka w pokoju, odkładam nóż i sięgam po szklaneczkę burbona stojącą na stoliku nocnym.

– Zdaje się, że miałaś zrobić kawę – odzywa się.

– Zmieniłam zdanie. – Wyciągam szklaneczkę w jego kierunku. – Chcesz?

Kręci głową.

– To nie jest zbyt dobry pomysł. Wolę jasno myśleć.

Upijam łyk.

– Czyli więcej dla mnie.

– Tobie też przyda się jasny umysł – dorzuca. – Do tej bitwy mózgów, w którą wydaje ci się, że gramy.

– To nie bitwa. – Biorę drugi łyk i oblizuję wargi, żeby mu pokazać, jak bardzo mi smakuje. – I w nic nie gramy. Wyśpiewasz mi wszystko, co chcę wiedzieć. Prędzej czy później.

– A jak nie, to co?

Robię gest w stronę noża leżącego na łóżku obok mnie.

Znów się uśmiecha.

– Nie odważysz się.

– Tak mówisz, ale sam do końca w to nie wierzysz.

I tak po prostu jego uśmiech znika.

Dobrze.

Wiatr wyje na zewnątrz, a deszcz nieprzerwanie chłoszcze dach. Burza ma się skończyć przed świtem. Według zegara między łózkami nie ma jeszcze nawet północy. Chociaż do świtu zostało dużo czasu, może go nie wystarczyć. Tego, co zamierzam, nie można zrobić w biały dzień, a obecnej sytuacji nie mogę przeciągać do jutrzejszej nocy. Do tego czasu pewnie bym zwariowała. A nawet jeśli nie, to podejrzewam, że Wilma Anson wróci tu z samego rana.

Muszę go zmusić do gadania teraz.

– Skoro nie chcesz rozmawiać o Katherine – mówię – to opowiedz mi o dziewczynach.

– O jakich dziewczynach?

– O tych, które zamordowałeś.

– A, tak – rzuca. – O nich.

Jego uśmiezek wraca, tym razem tak wykrzywiony i okrutny, że mam chęć złapać za nóż i wbić mu go prosto w serce.

– Dlaczego... – Urywam, biorę głęboki oddech, staram się zapanować nad emocjami, które oscylują między wściekłością a odrazą. – Dlaczego to zrobiłeś?

Wygląda, jakby się nad tym zastanawiał, choć nie ma takiego powodu, który mógłby usprawiedliwić jego czyny. Chyba to sobie uświadamia, bo nagle się poddaje. Z twarzą wciąż wykrzywioną uśmiechem odpowiada po prostu:

– Bo mnie to bawiło.

Wcześniej



Wychojąc, Wilma Anson zabiera ze sobą odłamek rozbitego kieliszka. To, jak go niesie do samochodu, trzymając woreczek na wyciągnięcie ręki, jakby w środku była spleśniała kanapka, wyraźnie mi mówi, że jej zdaniem ten dowód nie przyda się do niczego. Wkurzyłabym się, gdybym nie była tak zaskoczona tym, co właśnie usłyszeliśmy.

Ona uważa, że Tom Royce jest seryjnym mordercą.

Że Katherine też tak myślała.

I że ona obecnie albo nie żyje, albo ukrywa się właśnie z tego powodu.

Wilma miała rację. To coś o wiele poważniejszego niż zniknięcie Katherine. I nie mam pojęcia, co teraz robić. Wiem, co powiedziałyby Marnie i moja matka. Że mam dbać o własne bezpieczeństwo, trzymać się od tego z daleka, nie wychylać się. Zgadzam się – w teorii. Ale w praktyce już jestem w to zamieszana, czy mi się to podoba, czy nie.

I boję się.

Oto brutalna prawda.

Gdy Wilma odjeżdża, wracam do jadalni, szukając Boone'a. Znajduję go dopiero na werandzie, gdzie z lornetką w ręku obserwuje dom Royce'ów po drugiej stronie jeziora.

– Cudownie jest obserwować ptaki o tej porze roku – mówię. – To upierzenie!

– Tak też słyszałem – odpowiada Boone, pobłażliwie podchwytyjąc mój kiepski żart.

Siadam na bujanym krześle obok niego.

– Widać Toma?

– Nie. Ale jego samochód wciąż stoi przed domem, więc gdzieś tam jest. – Boone urywa. – Myślisz, że Wilma ma rację? Że Tom jest seryjnym mordercą?

Wzruszam ramionami, mimo że Boone mnie nie widzi, bo cały czas patrzy przez lornetkę. Przyglądając się, z jaką intensywnością obserwuje dom Royce'ów, uświadamiam sobie, jak sama wyglądałam przez ostatnie kilka dni. Przykuta do

werandy. Z przyciśniętą do oczu lornetką. Skupiona wyłącznie na jednym. Nie jest to cudowny widok, nawet w przypadku kogoś tak absurdalnie przystojnego jak Boone.

– Bo ja myślę, że może coś w tym być – ciągnie. – Tom sporo bywał w tej okolicy, czego nigdy nie rozumiałem. Jest bogaty. Ma żonę supermodelkę. Mogliby pojechać wszędzie. Co tam, pewnie mogliby nawet kupić sobie prywatną wysepkę. A jednak zawsze przyjeżdżają tutaj, na vermonckie zadupie, gdzie panuje spokój i nic Tomowi nie przeszkadza. No i zawsze czułem od niego jakieś dziwne wibracje. Jest taki...

– Nabuzowany? – wtrącam określenie użyte przez Marnie.

– Tak. Ale jakoś tak po cichu. Jakby coś bulgotało tuż pod powierzchnią. Właśnie na takich ludzi trzeba mieć oko. Dzięki Bogu, że to robiłaś, Casey. Gdybyś go nie obserwowwała, może nikt by nic nie zauważył. Co znaczy, że teraz nie możemy ustąpić. Musimy dalej mieć go na oku.

Przenoszę wzrok na jezioro i skupiam się nie na domu Royce'ów, lecz na samej wodzie. Roziskrzona popołudniowym słońcem, wygląda spokojnie, wręcz zachęcająco. Trudno odgadnąć, jaką kryje głębię i jaki mrok się w niej czai. Tak nieprzenikniony, że nie wiadomo, co spoczywa na dnie.

Może Megan Keene.

I Toni Burnett.

I Sue Ellen Stryker.

Może nawet Katherine Royce.

Na myśl o licznych kobietach leżących wśród mułu i wodorostów robi mi się słabo, aż muszę chwycić się podłokietników i odwrócić wzrok od jeziora.

– To by się Wilmie nie spodobało – mówię. – Słyszałaś, co powiedziała. Chce, żebyśmy trzymali się od tego z daleka i pozwolili policji robić swoje.

– Powiedziała też, że bez nas nie powiązalıby Katherine z tą pocztówką. Może uda nam się odkryć coś jeszcze, co im się przyda.

– A jeśli nawet? Czy naprawdę będą mogli to wykorzystać?

Myślę o wszystkim, co widziałam w domu Royce'ów. O telefonie i garderobie Katherine oraz o skarbnicy informacji w postaci laptopa. Irytujące, że nie można wykorzystać tego przeciwko Tomowi, chociaż wszystko wskazuje na to, że ma coś na sumieniu.

– To coś innego niż twoje włamanie do ich domu. Tamto było nielegalne. Ja mówię o czymś zgodnym z prawem.

Boone opuszcza lornetkę i posyła mi spojrzenie rozpalone niecierpliwą ekscytacją. Ja czuję się wręcz przeciwnie. Choć nie mam pojęcia, co planuje, nie sądzę, żeby mi się to spodobało. Tym bardziej że prawdopodobnie Boone ma na myśli coś więcej niż tylko obserwację domu Toma.

– Możemy też zrobić to, co kazała Wilma – podpowiadam. – Czyli nic.

Moja sugestia nie gasi ognia w jego oczach. Wręcz przeciwnie – teraz Boone wygląda na jeszcze bardziej zdeterminowanego.

– Możemy też pojechać do sklepu rodziców Megan Keene. Rozejrzemy się, zadamy kilka niewinnych pytań. Nie twierdzę, że sami rozwiążemy całą sprawę. Najprawdopodobniej zaprowadzi nas to donikąd. Ale to i tak lepsze, niż siedzieć tu, czekać i się gapić.

Wskazuje głową w kierunku przeciwnego brzegu. Jest w tym geście frustracja, z której wynika, że nie chodzi tylko o Toma Royce'a. Podejrzewam, że tak naprawdę chodzi o to, że Boone był kiedyś policjantem i tęskni za udziałem w jakiejś akcji. Rozumiem, co czuje. Mnie też aż skręca, kiedy oglądam naprawdę dobry film czy spektakl w telewizji. Całe moje ciało domaga się powrotu na scenę albo przed kamerę.

Ale tę część życia mam już za sobą. Tak jak Boone bycie gliną. I zabawa w detektywa tego nie zmieni.

– To może być niezła rozrywka – dodaje, szturchając mnie jednym ze swoich potężnych łokci. – I dobrze będzie wyrwać się na chwilę z domu. Kiedy ostatnio wychodziłaś?

– Dziś rano. – Teraz moja kolej, aby wskazać na dom Royce'ów. – I dość mam rozrywek jak na jeden dzień.

– Jak chcesz – odpowiada Boone. – Ale ja idę, z tobą albo bez ciebie.

Już prawie przytakuję, że beze mnie. Nie mam ochoty pakować się w to bardziej, niż już to zrobiłam. Ale na myśl o alternatywie – siedzeniu tu w samotności, oczekiwaniu, aż coś się wydarzy, zmuszaniu się do niepodglądania, choć wiem, że i tak to zrobię – stwierdzam, że jednak lepiej będzie trzymać się tego seksownego ekspliniera.

Poza tym Boone ma rację. Dobrze mi robi wyrwanie się stąd, i to nie tylko z tego domu. Potrzebuję odskoczni od samego jeziora Greene. Za dużo czasu spędzam na gapieniu się w wodę i dom na przeciwległym brzegu. A właśnie to znów będę robiła, jeśli Boone odjedzie sam. Myśl o gapieniu się w nakrapianą słońcem wodę i dumaniu o tych wszystkich ludziach, którzy mogą spoczywać na dnie jeziora, jest tak przygnębiająca, że nie mam wyjścia i muszę się zgodzić.

– Dobra – odpowiadam. – Ale w drodze powrotnej stawiasz lody.

Na twarzy Boone'a pojawia się uśmiech tak szeroki, jakbym się właśnie zgodziła, że zagramy w *Monopoly*.

– Umowa stoi – mówi. – Dopłacę nawet za dodatkową posypkę.

Sklep rodziców Megan Keene to taki trochę supermarket, a trochę pułapka turystyczna. Przed wejściem – zwrócona w stronę ulicy, aby wabić przejeżdżających kierowców – stoi wykonana piłą łańcuchową rzeźba łosia. Nad drzwiami wejściowymi wisi baner ogłaszający wszem wobec, że tu sprzedają syrop klonowy, jakby w przesiąkniętym syropem Vermoncie była to niebywała rzadkość.

W środku to samo. Miks nijakiej funkcjonalności i przesadnej swojskości. Wyżej wspomniany syrop klonowy panoszy się w zabytkowej biblioteczce przy samych drzwiach, w pojemnikach ustawionych według rozmiarów od kieliszka do shotów aż po prawie czterolitrowy dzbanek. Obok stoi beczka po burbonie wypełniona pluszowymi łosiami i misiami oraz drucziany stojak z pocztówkami. Chybcze się, gdy go obracam i zauważam taką samą kartkę jak ta, którą pokazała nam Wilma Anson. Wzdrygam się na jej widok i prawie wpadam na jeszcze jednego drewnianego łosia, na którego porożu wiszą zrobione na drutach czapki.

W głębi sklep nabiera bardziej praktycznego charakteru. Jest tam kilka alejek z konserwami, pudełkami makaronu, pastą do zębów i papierem toaletowym, z czego większość wykupiono w przewidywaniu nadciągającej burzy. Jest też stoisko z delikatesami, dział z mrożonkami i kasa, wokół której aż roi się od obowiązkowych w każdym takim sklepiku kuponów na loterię i papierosów.

Na widok dziewczyny siedzącej za kasą serce zamiera mi w piersi.

To Megan Keene.

Choć widzę ją z profilu, bo akurat wpatruje się w okno z przodu sklepu, rozpoznaję tę grzeczną urodę ze zdjęcia, które oglądałam przed godziną. Na chwilę zastygam w bezruchu.

Megan nie umarła.

Co znaczy, że może i reszta żyje.

Że to wszystko było wielkim, strasznym nieporozumieniem.

Już mam chwycić Boone'a i powiedzieć mu o tym, kiedy dziewczyna za kasą odwraca się do mnie i zdaję sobie sprawę, że się mylę.

To nie jest Megan.

Ale z całą pewnością jest z nią spokrewniona. Ma identyczne niebieskie oczy i uśmiech jak z obrazka. Domyślam się, że to młodsza siostra, która wyrosła na taką samą ślicznotkę z sąsiedztwa, jaką była Megan.

– W czym mogę pomóc? – pyta.

Nie wiem, co odpowiedzieć, po części dlatego, że wciąż nie otrząsnęłam się z szoku po ujrzeniu kogoś, kogo wzięłam za Megan, a po części dlatego, że nie ustaliliśmy z Boone'em, co zrobimy czy powiemy, kiedy wejdziemy do sklepu. Na szczęście Boone odpowiada za mnie.

– Tylko się rozglądamy – mówi, podchodząc do niej. – Zobaczyliśmy tego łosia na zewnątrz i postanowiliśmy wstąpić. Przyjemny sklepik.

Dziewczyna rozgląda się wokół, wyraźnie zdegustowana półkami i pamiątkami, które widuje codziennie.

– Chyba tak – odpowiada. – Rodzice starają się, jak mogą.

Czyli to jest siostra Megan. Rozpiera mnie duma, że się domyśliłam, chociaż podobieństwo jest tak zdumiewające, że większości ludzi udałoby się to bez trudu.

– Przypuszczam, że w weekendy macie tu spory ruch – ciągnie Boone.

– Czasami. W tym roku jest ładna jesień. Dużo ludzi przyjeżdża oglądać liście.

Zauważam coś interesującego. Mówiąc, dziewczyna nie patrzy na Boone'a, na którego patrzyłabym ja, gdybym była na jej miejscu. Wciąż zerka na mnie.

– Jesteście na Mixerze? – pyta Boone, wyjmując komórkę.

– Raczej nie. A co to jest?

– Aplikacja. Ludzie linkują swoje ulubione firmy i w ten sposób polecają je znajomym. – Stuka w telefon i pokazuje dziewczynie ekran. – Powinniście się zarejestrować. Może dzięki temu ściągniecie więcej klientów.

Dziewczyna rzuca szybkie spojrzenie na komórkę Boone'a i znów patrzy na mnie. Wie, że mnie zna, ale nie jest pewna skąd. Często mi się to zdarza. Mam tylko nadzieję, że kojarzy mnie z jakiegoś filmu albo z telewizji, a nie z jednego z tych brukowców, które aż wysypują się ze stojaka na czasopisma nieopodal kasy.

– Powiem rodzicom – mówi, wracając spojrzeniem do telefonu Boone’a.

– To świetna apka. A facet, który ją wymyślił, mieszka w pobliżu. Ma dom nad jeziorem Greene.

Do tej chwili zastanawiałam się, dlaczego Boone sprowadza rozmowę na temat Mixera. Ale kiedy znowu stuka w swój telefon i na ekranie wyświetla się profil Toma Royce’a, już rozumiem, o co mu chodzi.

– Ma na imię Tom – ciągnie Boone, pokazując dziewczynie zdjęcie Royce’a. – Może kiedyś zajrzał do waszego sklepu?

Kasjerka wpatruje się w telefon Boone’a.

– Nie jestem pewna. Może?

– Łatwo zapada w pamięć – dodaje Boone zachęcająco. – Chyba nie co dzień technologiczny milioner wpada do waszego sklepu.

– Pracuję tu tylko po szkole i w weekendy – mówi dziewczyna.

– Więc powinnaś spytać rodziców.

Nerwowo kiwa głową i znów na mnie zerka, ale tym razem chyba szuka kogoś, kto uwolniłby ją od tej rozmowy. Wydaje się taka krucha – tak cholernie młoda i bezbronna – że ogarnia mnie nagła chęć, aby przeskoczyć nad ladą, mocno ją przytulić i wyszeptać, jak bardzo współczuję jej straty. Zamiast tego podchodzę do kasy i szturchnięciem odsuwam Boone’a na bok.

– Wybacz mojemu chłopakowi – zaczynam, a to ostatnie słowo wymyka mi się, zanim zdążę wymyślić lepszą alternatywę. – On tylko próbuje odwrócić twoją uwagę od tego, po co naprawdę tu przyszliśmy.

– To znaczy? – pyta dziewczyna.

Boone chowa telefon do kieszeni.

– Sam jestem ciekaw.

Wystarczy mi sekunda, aby wymyślić dobrą wymówkę.

– Chciałam zapytać, czy w okolicy są jakieś dobre lodziarnie.

– U Hilliera – odpowiada dziewczyna. – Jest najlepsza.

Nie myli się. Zeszłego lata kilka razy chodziliśmy z Lenem do Hilliera, małego, uroczego gospodarstwa mlecznego półtora kilometra stąd. Kupowaliśmy nasze ulubione smakołyki i zjadaliśmy je, siedząc na drewnianej ławeczce przed wejściem. Ja – pistacjowe w waflowym rożku, on – rumowo-rodzynkowe w kubeczku. Nie pamiętam, kiedy byliśmy tam ostatnio, choć to jedna z rzeczy, którą chciałoby się pamiętać. Ostatnie lody z mężem przed jego śmiercią. Patrzę na siostrę Megan i zastanawiam się, czy ma podobny problem. Nie potrafi sobie przypomnieć wielu ostatnich chwil, bo nie była świadoma, że są ostatnie. Ostatnie siostrzane pogaduchy. Ostatnia kłótnia. Ostatnie lody, rodzinny obiad i machanie na do widzenia.

Te wszystkie myśli ściskają mnie za serce. Zastanawiam się, czy Toni Burnett i Sue Ellen Stryker też miały siostry, które za nimi tęsknią, opłakują je i pragną – w mrocznej głębi serca, o której nie mówią nikomu – żeby ktoś wreszcie odnalazł ciała zaginionych, a je same uwolnił od cierpienia.

– Dziękuję – mówię i posyłam jej uśmiech, który najprawdopodobniej ma w sobie więcej smutku niż wdzięczności.

– Ale nie wiem, czy w tej chwili jest czynne. Już po sezonie.

– A wy sprzedajecie lody?

Siostra Megan wskazuje na dział mrożonek.

– Mamy opakowania trzyipółlitrowe, litrowe i parę rożków.

– To w zupełności wystarczy.

Ujmuję Boone'a za łokieć i ciągnę go ku zamrażarce z lodami. Przeglądamy, co jest do wyboru, a Boone nachyla się i szepcze:

– Twój chłopak, tak?

Gorąco zalewa mi policzki. Otwieram skrzydło drzwi zamrażarki z nadzieją, że powiew lodowatego powietrza je ochłodzi, i chwytam czerwono-biało-niebieskie lody na patyku Bomb Pop.

– Przepraszam. Tak na szybko nie zdążyłam wymyślić nic innego.

– To ciekawe – mówi Boone i wybiera rożek Drumstick w czekoladzie. – Nie musisz za to przeproszać. Ale teraz musimy się tego trzymać, dopóki nie wyjdziemy ze sklepu.

Puszczą oczko i ujmują mnie za rękę. Czuję gorąco jego dłoni. To dziwne uczucie trzymać coś tak zimnego w jednej ręce, a gorącego i żywego w drugiej. Kiedy wracamy do kasy, moje ciało nie może się zdecydować, czy powinno drżeć, czy się pocić.

Siostra Megan wbija na kasę nasze zakupy, a Boone na krótką chwilę wypuszcza moją dłoń, żeby wyjąć z kieszeni portfel i zapłacić. Gdy tylko portfel wraca na swoje miejsce, Boone znów wyciąga rękę. Ujmuję ją i pozwalam, żeby poprowadził mnie do wyjścia.

– Dziękujemy za pomoc – rzuca Boone przez ramię do siostry Megan.

– Nie ma za co – odpowiada dziewczyna. – Życzę miłego dnia.

Zanim wychodzimy, jeszcze raz na nią zerkam. Łokieć opiera na ladzie, a głowę marzycielsko na dłoni. Patrzy w naszą stronę, gdy opuszczamy sklep, ale jej spojrzenie omija nas i biegnie ku drodze, drzewom i górcom w oddali. Choć jej uwaga może się skupiać na każdej z tych rzeczy, nie potrafię się oprzeć wrażeniu, że tak naprawdę wcale ich nie widzi, że jej wzrok błądzi ku jakiemuś odległemu, niewidzialnemu miejscu, do którego jej siostra mogła uciec i gdzie wciąż jest, czekając na odpowiedni moment, by wrócić do domu.

Jemy lody, siedząc na pace pikapa Boone'a, z nogami zwisającymi z opuszczonej klapy. Żałuję, że wybrałam bomb popa, gdy tylko podnoszę go do ust. Ma zbyt słodki i sztuczny smak, a do tego zabarwia mi język wściekłą czerwienią. Opuszczam rękę z lodem i mówię:

– Czyli wszystko na nic.

Boone odgryza kawałek drumsticka i czekoladowa powłoka pęka z głośnym chrupnięciem.

– Ja tak nie uważam.

– Słyszałeś, co powiedziała. Toma w tym sklepie nie było.

– Nie, kiedy była tam ona. Co wcale mnie nie dziwi. Jeśli mamy rację, Tom przyszedł do sklepu, gdy pracowała w nim Megan. A nie jej siostra. Prawdopodobnie zaglądał tam kilka razy. Przychodził, gawędził z nią, flirtował, może zaprosił ją na randkę. A potem ją zabił.

– Mówisz, jakbyś był tego pewny.

– Bo jestem. Wciąż mam instynkt gliny.

– Więc dlaczego to rzuciłeś?

Boone posyła mi spojrzenie z ukosa.

– A kto powiedział, że rzuciłem?

– Ty – odpowiadam. – Powiedziałaś, że kiedyś byłeś gliniarzem, co mogło znaczyć, że to rzuciłeś.

– Albo że na pół roku mnie zawiesili, a po odbyciu kary już nie wróciłem.

– O szlag.

– Całkiem trafne podsumowanie – zgadza się Boone i bierze kolejnego gryza.

Patrzę na swojego loda. Zaczyna się topić. Tęczowe krople spadają na ziemię niczym krew w horrorze.

– Co się stało? – pytam.

– Kilka miesięcy po śmierci mojej żony byłem pijany na służbie – odpowiada Boone. – Nie jest to najgorsza rzecz, jaką może zrobić gliniarz, jasne. Ale zła. Zwłaszcza że odpowiedziałem na wezwanie. Podejrzanie włamania. Okazało się, że to tylko sąsiad skorzystał z zapasowego klucza, żeby pożyczyć kosiarkę do trawy. Ale ja o tym nie wiedziałem i strzeliłem do faceta, o mały włos go nie trafiając, a w rezultacie wylądowałem na przymusowym urlopie.

– I dlatego postanowiłeś wytrzeźwieć?

Boone podnosi wzrok znad swojego różka

– Czy to nie jest wystarczający powód?

Jest, z czego powinnam była zdać sobie sprawę, zanim zapytałam.

– A teraz, kiedy jesteś trzeźwy, dlaczego nie wrócisz?

– To już nie dla mnie – mówi Boone. – Znasz powiedzenie, że ciężko wykorzenić stare nawyki? Święta racja. Szczególnie gdy wszyscy znajomi wciąż im hołdują. Bycie gliniarzem stresuje. A po robocie niełatwo się odstresować. Piwo po pracy. Drinki na weekendowym grillu. Musiałem się wyrwać z tego wszystkiego. Inaczej jeden z tych kreskówkowych diabełków wiecznie siedziałby mi na ramieniu i szeptał do ucha, że to nic takiego, co tam jeden drink, przecież nie zaszkodzi. Wiedziałem, że nie mogę tak żyć, więc odszedłem. Teraz bieduję, chwytając się różnych dorywczych zajęć, i wierz mi lub nie, ale jestem szczęśliwszy. A nie czułem się szczęśliwy od bardzo dawna. Musiałem sięgnąć dna, żeby to zrozumieć.

Lizę swojego loda bez entuzjazmu i zastanawiam się, czy ja już sięgnęłam dna, czy wciąż jeszcze spadam. Gorzej – zastanawiam się nawet, czy wyrzucenie mnie ze *Strzępu wątpliwości* nie było takim dnem, a teraz staczam się jeszcze niżej, w takie rejony, z których już nigdy się nie podźwignę.

– Może sprawy potoczyłyby się inaczej, gdybym miał dzieci – ciągnie Boone. – Prawdopodobnie nie zaglądałbym do kieliszka po śmierci żony tak często. Świadomość, że musisz się kimś opiekować, zmusza cię do ograniczenia własnego samolubstwa. A my chcieliśmy mieć dzieci. I staraliśmy się. Ale się nie udało.

– My z Lenem nigdy o tym nie rozmawialiśmy – mówię zgodnie z prawdą. Podejrzewam jednak, że on chciał mieć dzieci i że stąd wziął się pomysł na zamieszkanie w domu nad jeziorem na stałe. Podejrzewam też, że wiedział, że ja ich nie chcę, głównie dlatego, że nie chciałam zafundować im takiej traumy, jakiej sama doznałam ze strony matki.

Koniec końców wyszło na dobre. Chciałabym myśleć, że po śmierci Lena wzięłabym się w garść, gdyby w grę wchodziło dziecko, ale szczerze w to wątpię. Może nie stoczyłabym się tak szybko i tak spektakularnie. Czekaliby mnie długi, powolny upadek zamiast tej mojej bardzo publicznej implozji. Tak czy inaczej mam wrażenie, że w ostatecznym rozrachunku wyładowałabym w tym samym miejscu, w którym jestem teraz.

– Brakuje ci tego? – pytam.

Boone odgryza kawałek lodu, żeby zyskać na czasie. Wie, że nie mówię teraz o byciu gliniarzem.

– Już nie – odpowiada w końcu. – Na początku tak. Bardzo. Te kilka pierwszych miesięcy... koszmar. Jest ciężko. Człowiek nie myśli o niczym innym. Ale mija dzień, tydzień, miesiąc i brakuje ci tego coraz mniej. A potem w ogóle przestajesz o tym myśleć, bo za bardzo zaprzęta cię życie, którym mogłaś żyć cały ten czas, ale tego nie robiłaś.

– To chyba nie jest takie proste.

Boone opuszcza rękę z drumstickiem i rzuca mi spojrzenie.

– Serio? A przecież właśnie to robisz. Kiedy ostatnio pomyślałaś, żeby się napić?

Jestem zaszokowana, że muszę się zastanowić – i nie dlatego, że zapomniałam, bo tyle chlałam. W pierwszej chwili jestem pewna, że coś dzisiaj piłam. Ale potem dociera do mnie, że mój ostatni drink to był ten podwójny burbon, którego wypięłam wczoraj w nocy, zanim zajęłam się googlowaniem Toma i Katherine Royce'ów.

– Wczoraj w nocy – odpowiadam, czując, jak dopada mnie nagła i dzika ochota, żeby się napić.

Zaczynam ssać bomb popa z nadzieją, że w ten sposób stłumię te ciągoty. Bez skutku. Lody są zbyt słodkie i brakuje im niezbędnego kopa. Lodowy odpowiednik Shirley Temple.

Boone zauważa niesmak malujący się na mojej twarzy. Wyciąga rękę ze swoim na wpół zjedzonym różkiem i mówi:

– Twój lód chyba ci nie smakuje. Chcesz drumsticka?

Kręcę głową.

– Nie trzeba.

– Nie krępuj się. Na pewno nie masz pchełków, weszków ani zarazków.

Nachylam się i odgryzam kawałeczek z boku – trochę lodów, trochę różka.

– W dzieciństwie je uwielbiałam – mówię.

– Ja też. – Boone znów mi się przygląda. – Ubrudziłaś się troszkę.

Dotykam ust, szukając plamki.

– Gdzie? Tutaj?

– Z drugiej strony – odpowiada z westchnieniem. – Pokaż, pomogę ci.

Palcem wskazującym dotyka kącika moich ust i powoli przesuwa nim po łuku dolnej wargi.

– Już – mówi.

Przynajmniej tak mi się zdaje. Serce wali mi zbyt szybko i zbyt głośno, bym mogła mieć pewność, że dobrze słyszę. W środku cała dygoczę, ale wiem, że to było coś w rodzaju flirtu ze strony Boone'a. Delikatnego. Lecz jednak flirtu. O wiele bardziej wyrachowanego niż nieśmiałe i szczerze pytanie Lena zadane tamtego dnia na lotnisku.

„A dostanę przedtem całusa?”

Wtedy chciałam to zrobić. Teraz nie za bardzo. Jeszcze nie.

– Dziękuję – mówię, odsuwając się na bok, żeby powiększyć dzielącą nas odległość o kilka centymetrów. – Za wcześniej też. Za to, że zająłeś Toma, żebym zdążyła wysliznąć się z jego domu.

– To nic wielkiego.

– I dzięki, że nie powiedziałaś o tym Wilmie. Pewnie chciałaś. Wydajecie się sobie bliscy.

– To prawda.

– Pracowaliście razem?

– Tak, ale znałem Wilmę na długo przedtem – wyjaśnia Boone. – Razem chodziliśmy do szkoły: najpierw do liceum, a potem do akademii policyjnej. Wiele razy mi pomogła. Była jedną z osób, które przekonały mnie, żebym rzucił picie. Uświadomiła mi, że ranilem nie tylko siebie, ale i innych. A teraz, kiedy jestem trzeźwy, wciąż ma na mnie oko. To ona przedstawiła mnie Mitchellom. Wiedziała, że ich dom wymaga kilku napraw, a ja potrzebuję miejsca, gdzie mógłbym zatrzymać się na kilka miesięcy. Więc to ją możesz winić za obarczenie cię takim sąsiadem. – Wrzuca ostatni kawałek rożka do ust i zerka na mojego loda, tak już rozmiękłego, że nie da się go jeść. – Skończyłaś? – pyta.

– Chyba tak.

Zeskakuję z klapy pikapa, żeby Boone mógł ją podnieść. Wyrzucam na wpół zjedzonego loda do pobliskiego kosza na śmieci i wracam do samochodu. Zapinam pas bezpieczeństwa, aż nagle uderza mnie pewna myśl: Boone i ja nie jesteśmy jedynymi sąsiadami Toma. Nad jeziorem mieszka ktoś jeszcze, kto – o ile wiem – nie ma o tym wszystkim pojęcia.

– Myślisz, że powinniśmy powiedzieć Eliowi? – pytam.

– O Tomie?

– Mieszka tuż obok niego. Powinien wiedzieć, co się dzieje.

– Myślę, że nie musisz się martwić – odpowiada Boone. – Eli potrafi o siebie zadbać. Zresztą Tom nie poluje na siedemdziesięcioletnich facetów. Im mniej Eli wie, tym lepiej.

Zapala silnik i wyjeżdża z parkingu. W lusterku bocznym miga mi wysłużona toyota camry, zaparkowana na wyżwirowanym placu za sklepem. Zastanawiam się, czy to samochód Megan Keene, którym obecnie jeździ jej siostra. I czy tę siostrę przygniata żal za każdym razem, kiedy siada za kółkiem.

I jak długo ten samochód tu stał, zanim rodzice Megan zorientowali się, że coś nie gra.

I czy widząc go na tym parkingu teraz, zdarza im się przez okrutny ułamek sekundy pomyśleć, że ich dawno zaginiona córka wróciła.

Te myśli kotłują się w mojej głowie jeszcze długo po tym, jak samochód i sklep, za którym stoi zaparkowany, znikają w lusterku bocznym, a ja żałuję, że nie jestem jak Eli – nieświadoma tego, co się dzieje.

Ale na to już za późno.

Teraz obawiam się, że wiem o wiele za dużo.

Zamiast skręcić w boczną drogę prowadzącą do naszych domów, Boone jedzie kawałek dalej do następnej odnogi, która okrąży całe jezioro. Nie wyjaśnia dlaczego, bo wcale nie musi. Wiem, że dzięki temu przejedziemy obok domu Royce'ów i będziemy mogli sprawdzić, czy Tom wciąż tam jest.

Okazuje się, że jest.

I to nie sam.

Na podjeździe Royce'ów widzimy samochód Wilmy Anson zaparkowany przy bocznym portyku, tak że skutecznie blokuje bentleya Toma. Oboje stoją przed domem, pogrążeni, jak się wydaje, w przyjacielskiej rozmowie.

W każdym razie na tyle, na ile przyjacielska może być detektyw Anson. Nie uśmiecha się, ale też nie wygląda na zbytnio zaniepokojoną rozmową z kimś, kogo podejrzewa o bycie seryjnym mordercą.

Tom natomiast promienieje urokiem. Stojąc w swobodnej pozie przed swoim domem, chichocze z czegoś, co właśnie powiedziała Wilma. Oczy mu błyszczą, a zęby olśniewają bielą.

Udaje.

Wiem, bo kiedy przejeżdżamy obok, Tom rzuca mi spojrzenie tak zimne, że mogłoby zamrozić resztki tego rozmiękłego lodu, które przed chwilą wyrzuciłam do kosza na parkingu. Próbuję odwrócić wzrok – patrzeć na Boone'a, na drogę przed sobą, na fragment jeziora migoczący za drzewami – ale nie mogę. Jak zahipnotyzowana muszę znosić spojrzenie Toma, którym odprowadza nasz samochód.

Powoli obraca głowę.

Nie spuszcza ze mnie oka.

Uśmiech, który jeszcze przed sekundą miał na twarzy, teraz zniknął na dobre.

Kiedy Boone zatrzymuje samochód pod moim domem, następuje kilka sekund niezręcznej ciszy – on czeka na zaproszenie, a ja się zastanawiam, czy chcę go zaprosić. Każda rozmowa i każdy najmniejszy kontakt coraz bardziej nas do siebie zbliżają, jakbyśmy byli dwojgiem nieśmiałych nastolatków siedzących na przeciwległych końcach ławki i nieuchronnie przyciągających się wzajemnie. A w obecnej sytuacji to raczej nie posłuży żadnemu z nas.

Nie miałam takich obiekcji w stosunku do Morrisa, inspicjenta pracującego przy *Strzępie wątpliwości*, który z kompana od kielicha stał się kompanem do łóżka. Oboje mieliśmy w głowie to samo: upić się i wybykać.

Ale Boone to nie Morris. Przede wszystkim jest trzeźwy. I ma taki sam bagaż życiowy jak ja. Co zaś się tyczy jego pragnień, to przypuszczam – i mam nadzieję – że uwzględni w nich namiętny splot naszych nagich ciał. Ale ku czemu zmierza? Oto pytanie, które tkwi w mojej głowie niczym piosenka Taylor Swift. Nie znając celu tej gry, w ogóle nie chcę w nią grać.

A poza tym naprawdę muszę się napić.

Pragnienie, które poczułam, gdy do mnie dotarło, że przez cały dzień nie wychyliłam ani kielicha, nie znikło. Jasne, nieco przybladło, kiedy Boone musnął palcem moją dolną wargę i kiedy Tom wbił we mnie wzrok, gdy mijaliśmy jego dom. Ale teraz znowu się odezwało i już nie odpuści.

A nie ugaszę go przecież, dopóki Boone jest w pobliżu.

– Dobranoc – mówię głośniejszym głosem niż zwykle, żeby usłyszał mnie mimo warkotu silnika na jałowym biegu. – Dzięki za lody.

Boone mruga, kompletnie zaskoczony, że dostał kosza. Byłby z tego niezły mem. Wnioskując z jego miny, podejrzewam, że nieczęsto mu się to zdarza.

– Nie ma sprawy – odpowiada. – No to chyba dobrej nocy.

Wysiadam z pikapa i wchodzę do domu. Zapadły nad doliną zmierzch czyni jego wnętrze szarym i ponurym. Chodzę od pokoju do pokoju, zapalając światła

i odpędzając cienie. Gdy docieram do jadalni, kieruję się prosto do szafki na alkohole i chwytam pierwszą z brzegu butelkę.

Burbon.

Kiedy ją jednak otwieram, coś, co wcześniej powiedział Boone, powstrzymuje mnie przed podniesieniem jej do ust.

„Raniłem nie tylko siebie, ale i innych”.

Czy ja też ranię innych swoim pićciem?

Tak. Nie ma co do tego wątpliwości. Ranię Marnie. Ranię przyjaciół i współpracowników. Wzdrygam się na myśl o tym, jak cholernie arogancka byłam w stosunku do członków obsady i obsługi *Strzępu wątpliwości*. Przychodzenie do teatru na gazie stanowiło wyraz najwyższego braku szacunku dla ich ciężkiej pracy i przygotowań. Nikt z nich nie stanął w mojej obronie, kiedy mnie zwalniano, i nie mogę ich za to winić.

Co do mojej matki, to zdecydowanie piję, żeby ją zranić, choć ona się upiera, że karzę wyłącznie siebie. Nieprawda. Gdybym poważnie chciała się ukarać, odmówiłabym sobie jednej z niewielu rzeczy, które sprawiają mi przyjemność.

A lubię pić.

Bardzo.

Lubię to uczucie, które ogarnia mnie po trzech, czterech albo pięciu drinkach. Bezwład i kołysanie. Jak meduza unosząca się w spokojnym morzu. Nawet jeśli wiem, że to nie potrwa długo – że w pewnej chwili mogę poczuć suchość w ustach i ból głowy, że mogą zacząć się wymioty – ta tymczasowa nieważkość jest tego warta.

Ale żadna z tych rzeczy nie jest powodem, dla którego nie wytrzeźwiałam ani na jeden dzień przez ostatnie dziewięć miesięcy.

Ja nie piję, żeby ranić, karać albo dobrze się czuć.

Piję, żeby zapomnieć.

I dlatego przechylałam butelkę, przytknąwszy ją do rozchylonych spieczonych warg. Kiedy burbon zderza się z moim językiem i wlewa do gardła, całe napięcie

w głowie i mięśniach nagle ustępuje. Rozluźniam się niczym rozkwitający pąk.

Od razu lepiej. O wiele.

Pociągam jeszcze dwa łyki z butelki, zanim napełniam szklaneczkę i wychodzę na werandę. Zmierzch przemienił jezioro w żywe srebro, a powiew lekkiej bryzy marszczy jego powierzchnię. W ciemnościach na drugim brzegu majaczy dom Royce'ów. Odbijająca się w szklanych ścianach ruchliwa woda sprawia wrażenie, jakby to sam budynek falował.

To złudzenie optyczne razi mnie w oczy.

Zamykam je i pociągam kilka kolejnych łyków.

Stoję tak przez Bóg wie jak długo. Kilka minut? Pół godziny? Nie śledzę czasu, bo jego upływ mnie nie obchodzi. Wystarczy mi, że siedzę sobie z zaciśniętymi powiekami na bujanym krześle, a ciepło burbona neutralizuje chłód wieczornej bryzy.

Smaganie wiatru wzmogło się na tyle, by wzburzyć jezioro. Trish zapowiada swoje nieuchronne nadejście. Fale docierają do brzegu, gdzie uderzają w kamienny mur oporowy tuż za werandą. Ten irytujący chlupot przypomina ciężkie stąpanie w wodzie i nie potrafię oprzeć się myśli o nadjedzonych przez ryby ciałach Megan Keene, Toni Burnett i Sue Ellen Stryker powstających z głębin i wychodzących na brzeg.

Na domiar złego w ten sam sposób wyobrażam sobie Katherine.

A jest jeszcze gorzej, kiedy widzę też Lena. Ten obraz jest tak wyraźny, że wręcz czuję jego obecność. Nieważne, że jego ciało, w przeciwieństwie do innych, zostało odnalezione i skremowane, a prochy rozsypane właśnie nad tym jeziorem. I tak mi się wydaje, że tam jest – stoi kilka metrów od brzegu, w ciemnościach, a woda chlupocze wokół jego kolan.

„Wiesz, że to jezioro jest nawiedzone, prawda?”

Nie, Marnie, nie jest.

Jednak wspomnienia to coś zupełnie innego. Pełno w nich duchów.

Piję dalej, żeby je odpędzić.

Dwie – albo trzy – szklaneczki burbona później duchów już nie ma, ale ja wciąż tutaj jestem, bardziej niż wstawiona i coraz bliższa upicia. Tom też tu jest, bezpieczny w swoim domu, obecnie jaśniejącym niczym ognisko.

Najwyraźniej Wilma nie wezwała go na dalsze przesłuchanie, a może Tom naopowiadał jej dość kłamstw, aby na razie tego uniknąć. Tak czy inaczej to nie jest dobry znak. Katherine wciąż się nie znalazła, a Tom wciąż chodzi wolno, jakby nic się nie stało.

Obserwuję go przez lornetkę, którą którą ściskam w zdrętwiałych i niepewnych od nadmiaru burbona dłoniach. Stoi przy kuchence ze ścierką do naczyń przerzuconą przez ramię, jakby był zawodowym szefem kuchni, a nie rozpieszczonym milionerem, który ledwo potrafi odgrzać zupę. Na blacie znajduje się kolejna butelka wina za pięć tysięcy. Nalewa sobie kieliszek i smakuje łyk. Widok jego beztroski, podczas gdy los Katherine pozostaje nieznanym, każe mi sięgnąć po szklaneczkę i ją opróżnić.

Kiedy wstaję, żeby wejść do domu i sobie dolać, weranda, jezioro i dom Royce'ów zaczynają się przechylać jak Titanic. Mam wrażenie, jakby ziemia osuwała mi się spod stóp, jakbym wdepnęła w jakiś napisany przez Lena głupawy film katastroficzny. Zamiast wrócić do kuchni normalnym krokiem, słaniam się na nogach.

Okej, czyli nie jestem coraz bliższa upicia.

Już jestem pijana.

Więc jeszcze jeden drink nie zaszkodzi, prawda?

Prawda.

Dolewam burbona do szklaneczki i ostrożnym krokiem wychodzę na dwór. Powoli stawiam jedną stopę przed drugą jak linoskoczek. Chwilę później opadam z chichotem na bujane krzesło. Biorę kolejny łyk i zamieniam szklankę na lornetkę, przez którą znów podglądam dom Royce'ów, skupiając się na kuchni.

Toma już tam nie ma, jest tylko zupa. Garnek stoi na blacie obok wina, smużki pary wciąż wiją się w powietrzu.

Moje spojrzenie prześlizguje się do jadalni, również pustej, a potem do dużego salonu. Tam też nie ma Toma.

Przechyliam lornetkę lekko do góry, odwzorowując spojrzeniem tę samą drogę, którą wcześniej przebyłam osobiście.

Siłownia.

Pusta.

Główna sypialnia.

Pusta.

Gabinet.

Pusty.

Przez stan zamroczenia przebija się niepokojąca myśl: a co, jeśli Tom nagle dał nogę? Może przestraszyła go ta rozmowa z Wilmą Anson. A może zadzwoniła do niego akurat, kiedy miał zjeść zupę, i kazała mu przyjechać na formalne przesłuchanie, więc czym prędzej rzucił się po kluczyki. Niewykluczone, że właśnie w tej chwili pędzi w kierunku kanadyjskiej granicy.

Przesuwam lornetkę z piętra na bok domu, szukając bentleya. Stoi na swoim miejscu, zaparkowany pod portykiem.

Prześlizguję się wzrokiem po tylnym patio zasypianym uschłymi liśćmi i zahaczam o nagie nadbrzeżne drzewa. Wtedy zauważam coś na przystani Royce'ów.

Osobę.

Ale nie jakąś tam osobę.

Toma.

Stoi na końcu pomostu, wyprostowany jak struna. W dłoni trzyma lornetkę wycelowaną w moją stronę jeziora.

I we mnie.

Przykucam, próbując się schować za balustradą werandy, co nawet przy moim zamroczeniu uważam za idiotyczne pod wieloma względami. Po pierwsze, to

balustrada, a nie ściana z cegły. I tak widać mnie między bielonymi listwami. Po drugie, Tom mnie zauważył. Wie, tak jak wiedziała Katherine, że ich obserwuję.

A teraz to on obserwuje mnie. Choć opuściłam lornetkę, wciąż go widzę – spowitą nocą postać na końcu pomostu. Stoi tam jeszcze przez chwilę, po czym nagle się odwraca i schodzi na brzeg.

Dopiero gdy Tom przecina patio, zmierzając z powrotem ku domowi, ryzykuję ponowne podniesienie lornetki do oczu. Widzę, jak w środku przechodzi przez jadalnię do kuchni, gdzie zatrzymuje się na chwilę, żeby chwycić coś z blatu. Zaraz potem idzie dalej, opuszczając kuchnię bocznymi drzwiami.

Wślizguje się do bentleya. Dwie sekundy później ozywają przednie reflektory – dwa snopy światła wystrzeliwiają prosto w kierunku drugiego brzegu.

Kiedy Tom wycofuje samochód spod portyku, w pierwszej chwili myślę, że w końcu ucieka. Wie, że go rozszyfrowałam, i postanowił zwać – możliwe, że na dobre. Wyszarpuję telefon z kieszeni, gotowa zadzwonić do Wilmy Anson i ją ostrzec. Komórka niczym żaba wyskakuje mi z zesztyniałych od burbona palców. Rzucam się, żeby ją złapać, pułuję i patrzę bezsilnie, jak uderza o werandę, ześlizguje się pod balustradą i wpada w chwasty na dole.

Na drugim brzegu bentley dotarł już do końca podjazdu. Teraz skręca w prawo, na drogę, która okrąży jezioro. Ten widok przynosi kolejną otrzeźwiającą myśl. Gdyby Tom uciekał, skręciłby w lewo, w stronę głównej drogi.

A on jedzie w przeciwnym kierunku.

Wokół jeziora.

Prosto do mnie.

Wciąż klęcząc na werandzie, patrzę, jak światła bentleya torują drogę w mroku, mijają dom Elia, po czym znikają za północnym łukiem jeziora.

Wreszcie odzyskuję zdolność ruchu.

Wtaczam się do domu.

Zatrząskuję za sobą drzwi francuskie.

Niezgrabnie gmeram przy zamku, bo jestem pijana i przestraszona, a nigdy wcześniej nie musiałam go używać. Zazwyczaj nie ma powodu, żeby zamykać na noc jakiegokolwiek drzwi w domu.

Dzisiaj powód się znalazł.

W środku wpadam do kolejnych pomieszczeń i gaszę wszystkie światła, które wcześniej pozapalałam.

Jadalnia i kuchnia. Salon i pokój wypoczynkowy. Biblioteka i przedpokój.

Wkrótce cały dom spowija mrok, w który wkroczyłam po przyjeździe. Odsuwam zasłonę przy okienku obok drzwi frontowych i wyglądam na zewnątrz. Tom dotarł już na tę stronę jeziora i jest coraz bliżej. Najpierw widzę światła reflektorów przebijające się przez ciemność i torujące drogę bentleyowi, który zaczyna zwalniać, dojeżdżając do mojego domu.

Mam naiwną nadzieję, że chociaż Tom wie, że tu jestem, to widząc pogaszone światła, po prostu odjedzie.

Nic z tego.

Mimo ciemnego domu Tom wjeżdża na podjazd. Blask reflektorów wpada przez fazowane szybki okienka w drzwiach frontowych i kładzie się prostokątną plamą na ścianie przedpokoju. Uskakuję z jego zasięgu, podpełzam do drzwi i zamykam je na klucz.

I czekam.

Skulona na podłodze.

Oparta plecami o drzwi.

Słyszę, jak Tom wysiada z samochodu i idzie podjazdem, a żwir chrzęści pod jego butami. Słyszę kroki na werandzie.

Kiedy wali w drzwi, aż drżą za moimi plecami. Przyciskam obie dłonie do nosa i ust, modląc się, żeby nie usłyszał mojego oddechu.

– Wiem, że tam jesteś, Casey! – Głos Toma jest jak wystrzał z armaty. Gromki. Groźny. – I wiem, że byłaś w moim domu. Uciekając, nie zamknęłaś drzwi frontowych.

Żenująca głupota z mojej strony. Nawet jeśli musiałam wybiec w pośpiechu, powinnam była pamiętać, żeby zamknąć za sobą drzwi. Właśnie takie drobiazgi mogą cię zdradzić, kiedy masz coś do ukrycia.

– Może o tym powinienem był powiedzieć tej twojej policjantce, zamiast odpowiadać na jej pytania. Co ostatnio robiłem? Czy moja żona się odzywała? Gdzie spędzałem letni czas przez ostatnie dwa lata? Wiem, że ty ją nasłuchałaś, Casey. Wiem, że mnie szpiegujesz.

Urywa, może spodziewając się, że mu odpowiem, nawet jeśli miałabym zaprzeczyć temu, co ewidentnie jest prawdą. Milczę, biorąc krótkie, gorączkowe oddechy przez splecione palce, przerażona tym, co Tom może zrobić. Blask reflektorów wpadający przez okienko w drzwiach nieprzyjemnie przypomina o słabych zabezpieczeniach domu. Tom mógłby się włamać bez trudu, gdyby tylko chciał. Wystarczyłoby rozbić okno albo silniej naprzeć na któreś drzwi.

Zamiast tego znowu zaczyna dobijać się do wejścia, waląc tak mocno, że naprawdę mógłby je uszkodzić. Spod moich przyciśniętych do ust dłoni wrywa się okrzyk przerażenia. Przyciskam je mocniej, ale to już bez znaczenia. Stało się. Tom mnie usłyszał.

Kiedy znów się odzywa, to z ustami przy dziurce od klucza, tak że słyszę w uchu jego szept.

– Powinnaś się nauczyć pilnować własnego nosa, Casey. I trzymać gębę na kłódkę. Bo cokolwiek myślisz, że się dzieje, mylisz się. Nie masz pojęcia, o co chodzi. Więc daj nam, kurwa, spokój.

Wciąż opieram się o drzwi, kiedy Tom odchodzi. Słyszę jego oddalające się od domu kroki, a potem dźwięki otwierania i zatraskiwania drzwi samochodu. Patrę, jak bledną światła reflektorów na ścianie przedpokoju, i słucham cichnącego pomruku silnika bentleya odjeżdżającego w październikową noc.

I wciąż się nie ruszam, sparaliżowana strachem.

Że Tom może wrócić w każdej chwili.

I że jeśli wróci, to nagle zniknę jak Katherine.

Zbyt przerażona i wyczerpana – a także, powiedzmy sobie szczerze, zbyt pijana – by się ruszyć, zamykam oczy i słucham, jak zegar szafkowy w salonie odmierza sekundy w mojej głowie. Wkrótce tykanie zaczyna się rozmywać. Tak jak moje myśli. I świadomość.

Gdy znowu rozlega się pukanie do drzwi, jego dźwięk dociera do mnie niewyraźnie. Jakby płynął z oddali, nie do końca realny. Niczym hałas przenikający do snu na jawie albo fonia w tle, kiedy przysypiasz przed telewizorem.

Pukaniu towarzyszy głos.

Chyba.

– Casey? – Pauza. – Jesteś tam?

Coś mamrocę. Zdaje się, że „nie”.

Głos po drugiej stronie drzwi dodaje:

– Widziałem przejeżdżający samochód Toma i zaniepokoiłem się, że jedzie do ciebie. Wszystko w porządku?

Znów odpowiadam „nie”, chociaż tym razem nie jestem pewna, czy faktycznie wypowiadam to słowo na głos, czy tylko w myślach. Moja świadomość ponownie odpływa. Za zamkniętymi powiekami przedpokój kręci się jak karuzela, a ja wiruję razem z nim, osuwając się w mroczną otchłań nicości.

Zanim zapadam się w nią całkowicie, uświadamiam sobie dwie rzeczy. Pierwszą jest dźwięk dochodzący z dołu, z piwnicy, do której nie chcę wchodzić. Drugą – mrozące krew w żyłach uczucie, że już nie jestem sama, że w moim domu znajduje się ktoś jeszcze.

Wyczuwam, że otwierają się drzwi.

Zbliżają się do mnie czyjeś kroki.

Ktoś jest w przedpokoju.

Wyrwana na sekundę ze stanu zamroczenia, otwieram oczy i widzę Boone’a, który stoi nade mną, przekrzywiając głowę z wyrazem ciekawości albo współczucia.

Kiedy podnosi mnie z podłogi, powieki znowu mi opadają i ostatecznie tracę przytomność.

Z pulsującym bólem głowy i rozdygotanym żołądkiem budzę się w łóżku, do którego nie pamiętam, jak się dostałam. Kiedy otwieram oczy, światło wpadające przez wysokie okna każe mi je zmrużyć, mimo że poranne niebo zasnuwa szarość. Spod tych ciężkich powiek widzę, która godzina – kwadrans po dziewiątej – i prawie pełną szklankę wody na stoliku nocnym. Wypijam kilka chciwych łyków, po czym opadam z powrotem na łóżko. Rozwalona na materacu, z pościelą skłębioną wokół nóg, usiłuję sobie przypomnieć wczorajszą noc.

Pamiętam picie na werandzie.

I głupie przykucanie za balustradą, kiedy zauważyłam, że Tom mnie obserwuje.

I Toma wrzeszczącego i walącego w moje drzwi, choć większość z tego, co mówił, zniknęło w oparach burbona. Tak jak i wszystko, co stało się później – i dlatego wzdrygam się zaskoczona, kiedy docierają do mnie jakieś zapachy z kuchni.

Ktoś jest w domu.

Wyskakuję z łóżka, przypadkowo kopiąc w kosz na śmieci stojący obok, i kuśtykając, wybiegam z sypialni, cała zeszywniała i obolała. W korytarzu zapachy gotowania są silniejsze i łatwiej rozpoznawalne. Kawa i bekon. Stojąc u szczytu schodów, wołam do kogoś, kto jest w kuchni na dole.

– Halo? – Głos mam chropawy, trochę z niepewności, a trochę przez kaca giganta.

– Dzień dobry, śpiochu. Już myślałem, że nigdy nie wstaniesz.

Głos Boone'a wywołuje u mnie kolejny przebłysk pamięci. Boone pod moimi drzwiami wkrótce po tym, jak Tom odjechał; ja próbująca coś odpowiedzieć, ale nie wiem, czy mi się udało; potem Boone w środku, choć jestem prawie pewna, że nie otworzyłam mu drzwi.

– Byłeś tu przez całą noc?

– Jasne – odpowiada.

Ta odpowiedź pociąga za sobą kolejne pytania. Jak to? Dlaczego? Co robiliśmy przez całą noc? Wciąż mam na sobie te same dżinsy i bluzę od dresu co wczoraj, z czego wnioskuję, że nie robiliśmy nic.

– Zaraz, hmm... schodzę! – wołam i rzucam się z powrotem do sypialni. Patrę w lustro nad komodą. Odbicie, które oddaje mi spojrzenie, jest alarmujące. Z zaczerwienionymi oczami i skołtunionymi włosami wyglądam na bardzo wczorajszą, czyli zgodnie ze stanem faktycznym.

Przez następne pięć minut szarpię się i miotam w łazience. Ustanawiam rekord świata w szybkości brania prysznic, mycia zębów i czesania włosów. Po błyskawicznym przepłukaniu ust i przebraniu się w niecuchnące dżinsy i bluzę wreszcie wyglądam przyzwoicie.

Powiedzmy.

Plusem tego gwałtownego zrywu jest to, że zapomniałam, jak potężnego mam kaca. Minusem – że wszystko powraca z przytupem, gdy tylko próbuję zejść po schodach. Samo spojrzenie w dół ze stromej klatki schodowej przyprawia mnie o taki zawrót głowy, że dostaję mdłości. Wciągam powietrze, dopóki to uczucie nie mija, i powoli schodzę na dół, jedną ręką przytrzymując się poręczy, a drugą sunąc po ścianie. Na każdym schodku stawiam obie stopy.

Na dole biorę kilka głębokich oddechów, po czym ruszam do kuchni. Boone stoi przy kuchence, robiąc naleśniki i wyglądając w dopasowanych dżinsach, jeszcze bardziej dopasowanym T-shircie i fartuszką z napisem „Pocałuj kucharza” jak seksowny szef kuchni celebryta. Przyłapuję go w połowie podrzucania naleśnika. Zręczny ruch nadgarstka i naleśnik odrywa się od patelni, robi salto niczym gimnastyk, po czym wraca na swoje miejsce.

– Usiądź – zaprasza. – Śniadanie prawie gotowe.

Odwraca się od kuchenki, aby wręczyć mi parujący kubek kawy. Z wdzięcznością upijam łyk i siadam przy blacie kuchennym. Pomimo łupiącego bólu głowy i luk w pamięci co do szczegółów zeszłej nocy ogarnia mnie uczucie przytulności, które jednocześnie przynosi otuchę i sporą dawkę poczucia winy.

Dokładnie tak spędzaliśmy tu z Lenem weekendowe poranki: ja rozkoszowałam się kawą, a on przyrządzał śniadanie w tym samym fartuszk, który w tej chwili nosi Boone. Robiąc to z kimś innym, mam wrażenie, jakbym zdradzała męża, co wprawia mnie w osłupienie. Nie dręczyło mnie poczucie winy, gdy uprawiałam seks z inspicjentem Morrisem. Może dlatego, że w tamtym przypadku wiedziałam, na czym stoję. Za to teraz nie mam najmniejszego pojęcia. Owca

Boone podsuwa mi talerz ze stosem naleśników i bekonu, a mnie zaczyna boleśnie kłuć w żołądku.

– Szczerze mówiąc, nie jestem zbyt głodna – mówię.

Boone dosiada się do mnie z własnym talerzem pełnym jedzenia.

– Zjedz, poczujesz się lepiej. Kaca się karmi, a gorączkę głodzi. Nie tak idzie to powiedzenie?

– Nie.

– Ale byłem blisko – stwierdza i smaruje swoje naleśniki podwójną porcją masła. – Więc wsuwaj.

Nerwowo skubię kawałek bekonu, z obawą, że zaraz popędzę do łazienki, żeby wymiotować. Ku swemu zaskoczeniu po bekonie czuję się lepiej. I po kęsie naleśnika. Chwilę później zaczynam wsuwać posiłek, popijając go kawą.

– Trzeba było kupić syrop klonowy wczoraj w sklepie – mówi Boone tak swobodnie, jakbyśmy ciągle jadali wspólne śniadania.

Odkładam widelec.

– Możemy porozmawiać o wczorajszej nocy?

– Jasne. Jeśli coś pamiętasz.

Boone szybko upija łyk kawy, jakby mogło to złagodzić krytyczną nutę w jego głosie. Udaję, że ją ignoruję.

– Miałam nadzieję, że uzupełnisz parę luk.

– Właśnie zamierzałem się położyć, kiedy ujrzałem, jak Bentley Toma mija mój dom – mówi Boone. – Nie ma powodu, żeby jeździł tą stroną jeziora, więc

uznałem, że jedzie do któregoś z nas. A ponieważ nie zatrzymał się przy mnie, domyśliłem się, że wybiera się do ciebie. A to nie wróżyło nic dobrego.

– Przyłapał mnie na obserwowaniu jego domu – wyjaśniam. – Zdaje się, że też kupił sobie lornetkę.

– Rozzłościł się?

– Delikatnie mówiąc.

– I co się stało, kiedy tu przyjechał?

Zjadam jeszcze dwa kęsy naleśnika, popijam sporym łykiem kawy i próbuję wydobyć z pamięci niejasne wspomnienia o wizycie Toma. Kilka z nich jak na zawołanie wypływa na powierzchnię świadomości.

– Pogasiłam wszystkie światła i schowałam się przy drzwiach – opowiadam, przypominając sobie, że opierałam się o nie plecami, kiedy dudniły pod uderzeniami Toma. – Ale wiedział, że jestem w domu, więc krzyczał różne rzeczy.

Boone podnosi wzrok znad talerza.

– Jakie rzeczy?

– Tu zaczyna się robić mgliście. Chyba pamiętam sens, ale nie dokładne słowa.

– Więc sparafrazuj.

– Mówił, że wie, że go szpieguję i że to ja powiedziałam Wilmie o Katherine. A, i że włamałam się do jego domu.

– Groził ci? – pyta Boone.

– Niezupełnie. To znaczy przerażał mnie. Ale nie, nie było żadnych gróźb. Po prostu kazał mi dać mu spokój i odjechał. Potem zjawileś się ty.

Urywam, by zasygnalizować, że nie pamiętam nic więcej i mam nadzieję, że Boone dopowie resztę. Dopowiada, choć wygląda na lekko zirytowanego faktem, że musi mi przypominać o czymś, co sama bym pamiętała, gdybym była trzeźwa.

– Kiedy zapukałem, usłyszałem cię w środku – mówi. – Mamrotałaś i sprawiałaś wrażenie oszołomionej. Pomyślałem, że jesteś ranna, a nie...

Boone urywa, jakby słowo „pijana” było zaraźliwe i mógł znów stać się pijakiem, gdyby odważył się je wypowiedzieć.

– Wszedłeś do środka, żeby sprawdzić, czy nic mi nie jest – mówię, przypominając sobie, jak się wyłonił z ciemności i nade mną nachylił.

– Tak.

– Jak?

– Przez parter.

Ma na myśli drzwi do piwnicy. Te niebieskie, spłowiałe i wiecznie skrzypiące, które prowadzą bezpośrednio na podwórko poniżej werandy. Nie wiedziałam, że są otwarte, bo nie schodziłam tam od tamtego poranka, kiedy się obudziłam, a Lena nie było.

– A przy okazji znalazłem tam twój telefon – dodaje Boone, wskazując na stół w jadalni, na którym w tej chwili leży moja komórka.

– I co potem?

– Wziąłem cię na ręce i zaniósłem do łóżka.

– I?

– Wmusiłem w ciebie trochę wody, przysunąłem kosz na śmieci bliżej łóżka, na wypadek gdyby zrobiło ci się niedobrze, i zostawiłem cię w spokoju, żebyś to wszystko odespała.

– A ty gdzie spałeś?

– W sypialni na końcu korytarza – odpowiada. – W tej z dwoma łózkami i skośnym sufitem.

Czyli w moim dziecięcym pokoju, gdzie sypiałyśmy z Marnie, która teraz byłaby zapewne jednocześnie rozbawiona i zażenowana faktem, że spędziłam kompletnie nieromantyczną noc z seksownym byłym gliniarzem śpiącym w pokoju obok.

– Dziękuję – mówię. – Nie musiałeś zadawać sobie aż tyle trudu.

– Biorąc pod uwagę stan, w którym byłaś, chyba jednak musiałem.

Milczę, bo wiem, że nie ma sensu tłumaczyć się z zalania się w trupa w tak krótkim czasie. Skupiam się na dokończeniu śniadania i wkrótce z zaskoczeniem

stwierdzam, że talerz jest pusty. Dopijam kawę i wstaję, żeby nalać sobie drugi kubek.

– Może powinniśmy zadzwonić do Wilmy i powiedzieć, co się stało – sugeruje Boone.

– Nic się nie stało – odpowiadam. – Zresztą za dużo trzeba by było wyjaśniać.

Jeśli powiemy Wilmie Anson, że Tom stał pod moimi drzwiami, będziemy też musieli powiedzieć dlaczego. A nie mam ochoty zwierzać się funkcjonariuszce policji stanowej, że nielegalnie weszłam do czyjegoś domu. To Toma chcę wpakować do więzienia. Nie siebie.

– Dobrze – zgadza się Boone. – Ale nie myśl, że zostawię cię tu samą, kiedy on wciąż się tu kręci.

– A kręci się?

– Jego samochód tam stoi. – Boone kiwa głową w kierunku drzwi francuskich, za którymi rozciąga się widok na przeciwległy brzeg. – Z czego wnioskuję, że on także jest w domu.

Wyglądam przez drzwi za jezioro, zastanawiając się, dlaczego Tom do tej pory nie uciekł. Kiedy wspominam o tym Boone'owi, odpowiada:

– Bo wtedy wyglądałby na winnego. A w tej chwili zakłada, że gliny nic na niego nie znajdą.

– Ale nie może grać tej komedii bez końca – mówię. – Przecież inni też zauważą, że Katherine zniknęła.

Przechodzę do jadalni i sięgam po telefon, któremu upadek z werandy wyraźnie zaszkodził. Prawy dolny róg jest wgnieciony, przez całą długość biegnie rysa w kształcie błyskawicy. Ale wciąż działa, a to najważniejsze.

Wchodzę na Instagram Katherine, na którym nic się nie zmieniło od ranka, kiedy zniknęła. Niemożliwe, abym jako jedyna dostrzegła, że to nie ona wstawiła zdjęcie tej nieskazitelnej kuchni. Na pewno osoby znające ją lepiej niż ja zauważą niewłaściwy miesiąc na kalendarzu i odbicie Toma w czajniku.

Może nawet już tak się stało.

Zamykam Instagram i przechodzę do zdjęć zapisanych w telefonie. Boone przygląda mi się znad blatu kuchennego; jego kubek z kawą zawisł w połowie drogi do ust.

– Co ty robisz?

– Przeszukując dom Toma i Katherine, znalazłam jej telefon.

– Wiem – mówi Boone. – Stanowiłby niesamowity dowód, gdyby nie ta cała, no wiesz, kwestia nielegalnego zdobycia.

Jego sarkazm mi nie umyka, ale jestem zbyt zajęta przeglądaniem zdjęć, żeby się tym przejmować. Przesuwam fotkę wyświetlonego na ekranie laptopa artykułu o Harveyu Brewerze, a potem zdjęcia dokumentacji finansowej Katherine i danych kwartalnych Mixera.

– Ktoś dzwonił do Katherine, kiedy tam byłam – dodaję, docierając do fotografii zrobionych w głównej sypialni. – Pstryknęłam fotkę numeru, który wyskoczył na ekranie.

– A w czym to pomoże?

– Jeśli pod niego zadzwonimy i trafimy na kogoś, kto się o nią niepokoi, zwłaszcza jeśli to członek rodziny, to może Wilma i policja stanowa stwierdzą, że to wystarczy, aby uznać ją za zaginioną i oficjalnie przesłuchać Toma.

Przesuwam kolejne zdjęcia w telefonie.

Pierścionki Katherine.

Jej ubrania.

I wreszcie – telefon, z ekranem wygaszonym i rozświetlonym, z widocznym numerem dzwoniącego.

Gapię się na ten ekran na moim ekranie. Dziwne uczucie. Jakbym patrzyła na fotografię fotografii.

Nie ma nazwiska. Tylko numer, co sugeruje, że prawdopodobnie Katherine nie znała tej osoby zbyt dobrze. O ile w ogóle ją znała. Całkiem możliwe, że dzwonił telemarketer albo jakaś dalsza znajoma, a może nawet była to pomyłka. Pamiętam, że mój własny numer wyświetlił się na ekranie, kiedy zadzwoniłam dla

potwierdzenia, że znaleziony telefon rzeczywiście należy do Katherine. Choć ten rząd cyfr wyraźnie mówił, że Katherine nie dodała mnie do swoich kontaktów, nie znaczy to, że mam się nie martwić, gdzie ona może być i co mogło się z nią stać. Ten, kto wtedy zadzwonił, mógł być w takiej samej sytuacji jak ja. I tak samo mógł się niepokoić.

Dzwonię bez wahania, przełączając się między zdjęciem a klawiaturą, dopóki nie wstukam całego numeru.

Wstrzymuję oddech.

Wciskam guzik „zadzwoń”.

Rozdzwania się leżący na blacie kuchennym telefon Boone’a.

Teraz



Co zrobiłeś z tymi dziewczynami, kiedy już je zabiłeś? – pytam. – Są tutaj, w jeziorze?

Przechyliła głowę na bok i patrzy w ścianę. W pierwszej chwili myślę, że znów mnie ignoruje.

Deszcz bębni o szyby.

Tuż za oknem rozlega się trzask.

To jakaś gałąź uległa wichurze.

Głos leżącego na łóżku więźnia jest tylko trochę głośniejszy niż szalejąca na zewnątrz burza.

– Tak.

Ta odpowiedź nie powinna być zaskoczeniem. Przypominam sobie pocztówkę, widok z lotu ptaka na jezioro Greene i cztery słowa napisane drżącą ręką pod trzema nazwiskami.

„Myślę, że są tutaj”.

A jednak wstrząsa mną lekki szok. Wciągam powietrze. Rzęzący wdech wywołany potwierdzeniem, że Megan Keene, Toni Burnett i Sue Ellen Stryker przez cały ten czas leżą na dnie jeziora. W przypadku Megan od ponad dwóch lat. Straszny sposób pochówku.

Tyle że ich wcale tu nie pochowano.

Ich się pozbyto.

Wyrzucono je jak śmieci.

Na samą tę myśl ogarnia mnie taki smutek, że natychmiast upijam następny łyk burbona. Gdy go przełykam, alkohol nie tyle koi, ile parzy.

– Pamiętasz gdzie?

– Tak.

Znów odwraca głowę w moją stronę. Kiedy nasze spojrzenia się spotykają, zastanawiam się, co widzi w moich oczach. Mam nadzieję, że to, co usiłuję

okazywać, a nie co naprawdę czuję.

Stalową rezerwę zamiast strachu, determinację zamiast niezgłębionego smutku po stracie trzech dziewczyn, których nigdy nawet nie poznałam. Podejrzewam jednak, że on widzi mnie na wylot. Wie, że jestem zawodową aktorką.

– Więc mi powiedz – żądam. – Powiedz, gdzie je znajdę.

Mruży oczy z zaciekawieniem.

– Po co?

Bo wtedy prawda wyjdzie na jaw. Nie tylko o tym, że zabił Megan, Toni i Sue Ellen, ale też o tym, co im się stało, gdzie były w chwili śmierci i gdzie spoczywają teraz. Wtedy ich rodziny i przyjaciele, którzy zbyt długo muszą czekać na odpowiedzi, będą mogli je opłakać i – w końcu, miejmy nadzieję – zaznać spokoju.

Nie mówię mu tego, bo sądzę, że to go nie obchodzi. Co najwyżej mógłby w ogóle przestać rozmawiać.

– Chcesz je odnaleźć? – pyta. – Czy odkryć, co się stało z Katherine?

– Jedno i drugie.

– A jeśli możliwe jest tylko jedno?

Przesuwam dłoń po materacu, aby dotknąć rączki noża.

– Myślę, że wszystkie opcje są na stole, nie uważasz?

W odpowiedzi przewraca oczami i wzdycha, jakby znudzony pomysłem, że naprawdę mogłabym go pchnąć.

– No proszę, jaka z ciebie twarda zawodniczka – mówi. – Muszę przyznać, że nawet ta kiepska próba nastraszenia mnie jest dla mnie zaskoczeniem. Może trochę cię nie doceniłem.

Zaciskam palce na nożu.

– Bardziej niż trochę.

– Jest tylko jeden problem – ciągnie. – Pewna niedokończona sprawa, o której chyba jeszcze nie pomyślałaś.

Najprawdopodobniej ma rację. Sporo jest spraw, o których nie pomyślałam. Nic z tego wszystkiego nie zaplanowałam. Działam bez scenariusza, improwizując

i mając nadzieję, że tego nie spieprzę.

– Nigdzie się nie wybieram. – Porusza rękami na tyle, na ile może, a wówczas sznury, którymi jest przywiązany do słupków łóżka, mocno się napinają. – Ty najwyraźniej też nie. Dlatego ciekawi mnie jedna rzecz.

– Jaka?

– Co zamierzasz zrobić z Tomem Royce'em.

Wcześniej



Pozwalam, aby telefon dzwonił, zbyt oszołomiona, by się rozłączyć. Natomiast Boone nawet nie próbuje odbierać. Wie, kto dzwoni.

Ja.

Próbując zidentyfikować osobę, która dzwoniła do Katherine Royce.

– Mogę to wyjaśnić – mówi w tej samej chwili, kiedy włącza się nagrane powitanie jego poczty głosowej, i w rezultacie słucham Boone’a w dwóch wersjach. Splatają się ze sobą, tworząc surrealistyczny duet.

„Cześć, nie mogę odebrać. Proszę...”

– ...posłuchaj mnie, Casey. Wiem, co...

„...swoje nazwisko i numer, a ja...”

– ...myślisz i zapewniam cię, że...

„...oddzwonię...”.

Stukam w ekran telefonu, przerywając nagraniem Boone’owi, a ten prawdziwy wstaje od blatu kuchennego i robi krok w moją stronę.

– Stój – ostrzegam.

Boone unosi ręce w geście niewinności, otwartymi dłońmi do góry.

– Proszę, wysłuchaj mnie.

– Dlaczego do niej dzwoniłeś?

– Bo się martwiłem – odpowiada Boone. – Dzwoniłem do niej dzień wcześniej, bez skutku. A kiedy zobaczyłem, że się włamujesz do ich domu, zadzwoniłem jeszcze raz z nadzieją, że oboje się myliliśmy i że Katherine jest w domu, tylko mnie unika, a twoje wtargnięcie zmusi ją do odebrania telefonu i dowiem się, że nic jej nie jest.

– Unika cię? Mówiłeś, że ledwo ją znasz. Że spotkałeś ją raz czy dwa. To samo powiedziałaś Wilmie. Sporo troski o kogoś, kogo podobno nie znasz zbyt dobrze.

Boone z uśmiechem zadowolenia wraca na swoje miejsce przy blacie.

– Przyganiał kociół garnkowi. Sama też prawie nie znałaś Katherine.

Nie da się zaprzeczyć. Dopiero co się poznałyśmy, kiedy zniknęła.

– Przynajmniej nie kłamałam co do tego.

– Racja. Ja skłamałam. Proszę bardzo, przyznaję. Znałem Katherine. Byliśmy przyjaciółmi.

– Więc dlaczego nie powiedziałaś prawdy? Po co mnie okłamałaś? I Wilmę?

– Bo to było skomplikowane – odpowiada Boone.

– W jakim sensie skomplikowane?

Wracam myślami do tamtego popołudnia, kiedy ujrzałam Katherine w wodzie. Było coś, co powinno mnie wtedy zastanowić, ale w końcu umknęło mi w tym całym zmieszaniu.

Dlaczego nie zauważyłam jej wcześniej?

Siedziałam na werandzie przez całe popołudnie, patrząc w stronę jej domu i przystani. Nawet jeśli byłam daleko i jeszcze nie wyjęłam lornetki – i nawet jeśli nie zwracałam zbytnej uwagi na jezioro – zauważyłabym, że na przeciwległym brzegu ktoś wychodzi z domu, idzie przez pomost, wskakuje do wody i zaczyna pływać.

A jednak nic nie widziałam. Dopiero gdy Katherine była już na środku jeziora. To znaczy, że przyплыnęła nie od swojej strony jeziora, ale od mojej. A mówiąc ściślej, od okolicy domu Mitchellów, gdzie jezioro tworzy zakole, częściowo zasłaniając wybrzeże.

– Była z tobą, prawda? – domyślam się. – W dniu, w którym prawie utonęła?

– Tak – odpowiada Boone bez mrugnięcia okiem.

– Dlaczego? – Z mojego głosu sączy się zazdrość, niezamierzona, ale i nieuchronna. – Mieliście romans?

– Nie – odpowiada Boone. – To było bardzo niewinne. Poznaliśmy się tej nocy, kiedy się wprowadziłem, w sierpniu. Razem z Tomem przyszli się przedstawić i powiedzieli, że zostają tu do Święta Pracy i że powinniśmy się lepiej poznać. Następnego dnia Katherine przepłynęła jezioro aż do mojej przystani i spytała, czy się do niej przyłączę.

– Myślisz, że próbowała cię uwieść?

– Myślę, że była po prostu samotna. Jeśli nawet chodziło jej o seks, to ja nic takiego nie wyczułem. Ona jest supermodelką, na miłość boską. Mogłaby mieć każdego. Do głowy mi nie przyszło podejrzewać, że interesuje się mną.

Cała ta skromność jest udawana. Boone doskonale wie, jak jest przystojny. Przypominam go sobie nagiego na pomoście, skąpanego w blasku księżyca, równie czarująco pięknego jak sama Katherine. Teraz bardziej niż kiedykolwiek jestem przekonana, że tamtej nocy wiedział, że go podglądałam.

– Czyli tylko razem pływaliście – podsumowuję.

– Kilka razy, tak. Ale nic więcej. Potem siadywaliśmy na tarasie i gadaliśmy. Czuła się naprawdę nieszczęśliwa, to było jasne. Nigdy nie powiedziała tego wprost. Tylko dawała mi wyraźnie do zrozumienia, że między nią a Tomem źle się układa.

Katherine tak samo robiła przy mnie. Rzucała przewrotne komentarze na temat stanu swojego małżeństwa. Tak jak Boone sądziłam, że jest smutna, samotna i szuka przyjaciółki. I dlatego nie miałam powodu, by kłamać na temat naszej relacji.

– Skoro to wszystko było takie niewinne, dlaczego nie przyznałeś się wcześniej?

– Bo przestało takie być. A właściwie prawie przestało. – Osuwa się na taborecie, jakby wypowiedzenie prawdy wyzuło go z sił. Gdyby nie opierał się łokciami o blat, to chyba zwaliłby się na podłogę. – Dzień po Święcie Pracy, zanim wrócili do Nowego Jorku, pocałowałem ją.

Wyobrażam sobie scenariusz podobny do tego, który rozegrał się między nami wczoraj. Boone i Katherine siedzą obok siebie, bliżej, niż powinni, z ich ciał bije gorąco i napięcie. Widzę, jak Boone muska palcem jej dolną wargę, nachyla się, całuje miejsce, którego przed chwilą dotykał. Kolejny płynny ruch...

– Katherine się wystraszyła, wyszła i wróciła do swojego luksusowego życia z mężem miliarderem. – Głos Boone'a twardnieje, nigdy go jeszcze takim nie

słyszałam. W jego tonie pobrzmiwa echo gniewu i goryczy. – Myślałem, że więcej jej nie zobaczę. A potem, kilka dni później, znowu tu była, w swoim domu, razem z Tomem. Nie powiedziała mi, że wrócili. Nigdy więcej mnie nie odwiedziła. Parę razy do niej dzwoniłem, żeby spytać, jak się miewa. Ignorowała te telefony. I mnie.

– Nie do końca – przypominam mu. – Bo była z tobą w tym dniu, kiedy uratowałam ją przed utonięciem.

– Przypląnęła niezapowiedziana, tak samo jak za pierwszym razem – wyjaśnia Boone. – Kiedy ją zobaczyłem, pomyślałem, że może nic się nie zmieniło i że wrócimy do tego, co zaczęliśmy. Katherine oznajmiła jasno, że nie ma o tym mowy. Przypląnęła tylko po to, by mi powiedzieć, żebym przestał do niej wydzwaniać. Tom to zauważył i zaczął zadawać pytania.

– Jak zareagowałeś?

– Odparłem, że droga wolna. Więc odeszła. Dlatego byłem taki zaskoczony, kiedy zadzwoniła do mnie jeszcze tego samego dnia po południu.

– Po co?

– Nie wiem. – Boone wzrusza ramionami. – Nie odebrałem i skasowałem jej wiadomość bez odsłuchiwania.

Nagle wraca do mnie wspomnienie: siedzę na werandzie, po raz pierwszy szpieguję Royce'ów. Nigdy nie zapomnę, jak Tom przekradł się przez jadalnię, kiedy Katherine w salonie do kogoś dzwoniła i czekała, żeby ten ktoś odebrał, a w końcu wyszeptała do telefonu jakąś wiadomość. Teraz już wiem, dla kogo była przeznaczona.

– Szedłeś tutaj, kiedy do ciebie dzwoniła – mówię. – To przez nią postanowiłeś mi się przedstawić? Katherine dała ci kosza, więc pomyślałeś, że spróbujesz szczęścia z sąsiadeczką?

Obrusza się, urażony.

– Przedstawiłem się, bo byłem samotny i pomyślałem, że może ty też. I że jeśli spędzimy ze sobą trochę czasu, to poczujemy się lepiej. I nie żałuję tego. Bo cię

lubię, Casey. Jesteś zabawna, inteligentna i interesująca. Przypominasz mi, jaki sam kiedyś byłem. Patrzę na ciebie i po prostu chcę cię...

– Naprostować?

– Wesprzeć – kończy Boone. – Bo potrzebujesz pomocy, Casey.

A jednak chciał czegoś więcej tamtego dnia, kiedy przyszedł się przedstawić. Pamiętam jego urok, to puszenie się i flirtowanie, które mnie zarazem męczyło i pociągało.

Wspomnienie tamtego popołudnia budzi moją podejrzliwość. Boone wspomniał wtedy, że spędził cały dzień, naprawiając podłogę w jadalni Mitchellów. Skoro był tam przez cały czas, w zasięgu dźwięków dobiegających z jeziora, to dlaczego nie zareagował, gdy Katherine się topiła, a ja wzywałam pomocy?

To pytanie prowadzi do następnego. Tak niepokojącego, że z trudem przechodzi mi ono przez gardło.

– Kiedy Katherine przyплыnęła do ciebie tamtego dnia, poczęstowałeś ją czymś do picia?

– Lemoniadą. Ale dlaczego... – Boone zrywa się z miejsca z nagłym zrozumieniem. – Nie zrobiłem tego, o czym myślisz!

Chciałabym móc mu uwierzyć. Ale fakty na to nie pozwalają. Katherine twierdziła, że podczas pływania nagle opadła z sił.

„Jakby moje ciało przestało działać”.

Przez cały ten czas myślałam, że to sprawka Toma. Że naśladując Harveya Brewera, zaprawiał drinki żony niewielkimi dawkami trucizny. Ale równie dobrze mogła to być robota Boone'a. Rozgniewany, zazdrosny, odrzucony Boone mógł czegoś dosypać do lemoniady Katherine.

– Casey – mówi Boone. – Znasz mnie. Wiesz, że nigdy bym czegoś takiego nie zrobił.

Tyle że ja go nie znam. Myślałam, że znam, ale tylko dlatego, że wierzyłam we wszystko, co mi mówił. Teraz jestem zmuszona w to zwątpić. Łącznie z tym, co

powiedział o krzyku, który rozległ się tamtego poranka, kiedy zniknęła Katherine. Ponieważ byłam wtedy pijana, nie miałam pojęcia, skąd doleciał mnie ten odgłos. To Boone stwierdził, że z przeciwległego brzegu, i wspomniał o echu, którego istnienia nie jestem teraz pewna.

Możliwe, że skłamał. Że krzyk wcale nie dobiegał z drugiej strony jeziora, tylko z tej.

Z jego strony.

A zatem nie jest wykluczone, że to przez Boone'a Katherine krzyknęła.

– Nie podchodź – mówię, gdy Boone robi krok w moją stronę.

Sposób, w jaki się porusza – powoli, metodycznie – budzi większą grozę, niż gdyby robił to szybko, gwałtownie. Mam mnóstwo czasu, by zauważyć, jak jest wielki i silny – bez najmniejszego wysiłku mógłby mnie obezwładnić.

– Całkowicie się mylisz – zapewnia. – Nic nie zrobiłem Katherine.

Wciąż idzie w moją stronę, a ja rozglądam się za najbliższą drogą ucieczki. Tuż za plecami mam drzwi francuskie wychodzące na werandę, tyle że zamknięte na klucz. Być może zdążyłabym je otworzyć i wybiec na zewnątrz, ale zajęłoby mi to kilka cennych sekund, a nie jestem pewna, czy mam ich aż tyle.

Kiedy Boone znajduje się niemal w zasięgu ręki, uskakuję w bok i rzucając się na sam środek kuchni. Tamtędy nie ucieknę, ale przynajmniej zyskuję dostęp do czegoś, czym będę mogła się bronić. Wybieram największy nóż z drewnianego stojaka na blacie i wyciągam go przed siebie, nie pozwalając Boone'owi się zbliżyć.

– Wynoś się z mojego domu – mówię. – I nie waż się wracać.

Boone otwiera usta, jakby jeszcze raz chciał zaprzeczyć oskarżeniu – a może zacząć mi grozić. Najwyraźniej jednak uznaje, że najlepszym rozwiązaniem jest milczenie, bo zamyka usta, unosi ręce, jakby się poddawał, i bez słowa opuszcza mój dom.

Chodzę od drzwi do drzwi, upewniając się, że wszystkie są zamknięte. Wejściowe zabezpieczyłam, gdy tylko Boone przekroczył ich próg, a wszystkie drzwi na werandę są zamknięte od wczorajszej nocy. Pozostają tylko jedno – skrzypiące niebieskie drzwi w piwnicy.

To ostatnie miejsce, do którego mam ochotę wchodzić.

Wiem, że nie czyha tam na mnie żadne fizyczne zagrożenie. Są tylko rupiecie – kiedyś często używane, obecnie zapomniane. Po prostu chcę uniknąć wspomnień z dnia, w którym zginął Len. Nic dobrego nie może wyniknąć z ponownego przeżywania tamtego ranka. Ale ponieważ to właśnie tamtędy Boone wszedł wczoraj do domu, muszę zamknąć te drzwi, żeby nie mógł zrobić tego ponownie.

Choć jest dopiero późny poranek, to przed zejściem do piwnicy strzelam sobie kielicha wódki. Odrobina odwagi w płynie nie zaszkodzi.

Drugi kieliszek też nie.

Ani trzeci.

Czuję się znacznie lepiej, gdy w końcu zaczynam schodzić na dół. Na ostatnim stopniu prawie wcale się nie waham i przystaję tylko na ułamek sekundy, zanim postawię obie stopy na betonowej podłodze. Ale przód piwnicy to ta łatwiejsza część. Pełna szczęśliwych wspomnień. Tu grałam w ping-ponga z ojcem, a podczas ferii świątecznych wkładałyśmy z Marnie czapki i parki i pędziłyśmy nad zamrznięte jezioro.

Złe wspomnienia kumulują się na tyłach, w przedsionku. Ledwo tam wchodzę, zaczynam żałować, że nie golnęłam sobie czwartego kielicha wódki.

Dopadam do drzwi i przekręcam gałkę. Zablokowana. Boone zrobił to, o czym ja zapomniałam wczoraj u Royce'ów. Może powinien był się tam włamać zamiast mnie.

Upewniwszy się, że niebieskie drzwi są zamknięte, odwracam się i mam przed sobą resztę przedsionka oraz ścianę wyłożoną płaskimi, poziomymi deskami pomalowanymi na szaro. Gwoździe, którymi zostały przybite, są widoczne, co

dzisiaj przydaje całości charakteru rustykalnego, ale kiedy budowano ten dom, miało wyłącznie wymiar praktyczny. W jednej z desek brakuje dwóch gwoździ, więc między nią a ścianą widać niewielką szparę. To mi przypomina, jak stary jest ten dom, jak kruchy i jak łatwo się do niego włamać, nawet kiedy wszystkie drzwi są zamknięte na klucz.

Próbując otrząsnąć się z tej ponurej, choć szczerzej oceny, wybiegam z przedsiionka i pędzę przez piwnicę, a potem po schodach na górę, do jadalni, gdzie chwytam wódkę z szafki na alkohole i strzelam sobie jeszcze jednego shota. Odpowiednio wzmocniona, wyciągam z kieszeni komórkę, gotowa zadzwonić do Elia i opowiedzieć mu o wszystkim, co wydarzyło się w ciągu kilku ostatnich dni.

On będzie wiedział, co robić. Ale kiedy sprawdzam telefon, widzę, że Eli dzwonił do mnie, kiedy jeszcze spałam. Nagrana wiadomość jest krótka, miła i nieco niepokojąca.

„Właśnie skończyłem oglądać wiadomości. Zdaje się, że ta burza będzie gorsza, niż myśleli. Jadę po zapasy. Zadzwon w ciągu następnej półgodziny, jeśli czegoś potrzebujesz”.

Minęły już trzy godziny.

Mimo to próbuję dodzwonić się do Elia. Od razu odzywa się poczta głosowa, więc się rozłączam, nie zostawiając wiadomości, biorę laptopa i idę do salonu. Tam robię coś, co należało zrobić już dawno: googluję Boone’a Conrada.

Pierwsze, co wyskakuje, to artykuł o śmierci jego żony, czego się spodziewałam. Zupełnie niespodziewany jest natomiast charakter tego artykułu uwydatniony w nagłówku.

„Policjant przesłuchiwany w sprawie śmierci żony”.

Wytrzeszczam oczy i aż trzęsę się z nerwów. A robi się jeszcze gorzej, kiedy zagłębiam się w treść artykułu, z którego wynika, że nawet funkcjonariusze z wydziału Boone’a zauważyli rozbieżności w jego wersji wydarzeń w dniu śmierci żony. Powiedział im – tak jak i mnie – że jeszcze żyła, kiedy rano wychodził do pracy. Zapomniał tylko dodać, że lekarz sądowy zawęził czas zgonu do

dwugodzinnego okienka, które obejmowało trzydzieści minut, kiedy Boone mógł jeszcze być w domu.

Na tym nie koniec podejrzeń. Okazało się, że tydzień przed śmiercią żona Boone'a – miała na imię Maria – była u adwokata od rozwodów. I choć Boone przysięgał, że nie wiedział o planach rozwodowych żony, jego koledzy nie mieli wyboru: musieli się wycofać ze sprawy i przekazać oficjalne śledztwo policji stanowej.

Szukam dalej i natykam się na inny artykuł, datowany na tydzień wcześniej, informujący, że Boone nie zostanie oskarżony w sprawie śmierci Marii Conrad. Jak zaznacza artykuł, nie zostało dowiedzione, że Boone jej nie zabił. Po prostu nie było dowodów, że to zrobił.

Tekst zilustrowano dwiema fotografiami. Na jednej jest Boone, na drugiej jego żona. Podobizna Boone'a to zdjęcie służbowe. Nie powinien dziwić fakt, że w mundurze jest wręcz absurdalnie przystojny. Szokujące jest natomiast to, że Maria była równie olśniewająca. Z jasnym spojrzeniem, szerokim uśmiechem i wspaniałymi rysami twarzy wygląda tak, że mogłaby chodzić po wybiegu obok Katherine Royce.

Gdy wyobrażam sobie obie kobiety na pokazie mody, przychodzi mi do głowy, że nie jestem jedyną osobą nad jeziorem zainteresowaną tym, co przydarzyło się Marii Conrad. Jedno z Royce'ów również to ciekawiło. Wśród wielu haseł wyszukiwanych w laptopie Toma znalazło się też nazwisko Boone'a. Może to Katherine go sprawdzała.

Może właśnie to ją tak bardzo zaszokowało w gabinecie Toma, kiedy obserwowałam ją z przeciwległego brzegu jeziora.

Może właśnie o tym rozmawiała z Boone'em następnego dnia.

I może uznał, że musi ją uciszyć.

Chociaż wszystko to tylko domysły, są one na tyle istotne, aby powiedzieć o nich Wilmie Anson, dlatego wygrzebuję swój telefon i natychmiast do niej dzwonię.

– Anson – odzywa się, zanim kończy się pierwszy sygnał.

– Dzień dobry. Mówi Casey Fletcher. Znad jeziora...

– Wiem, kim pani jest, Casey – przerywa mi. – Coś się stało? Chodzi o Toma Royce'a?

Właściwie to faktycznie coś się stało, ale po wydarzeniach dzisiejszego poranka wczorajsze dramaty wydają się bardzo odległe.

– Dzwonię w sprawie Boone'a.

– O co chodzi?

– Jak dobrze go pani zna?

– Jak własnego brata – odpowiada Wilma. – Skąd to pytanie?

– Trochę poszperałam...

– Choć to moje zadanie – wtrąca Wilma bez cienia humoru. – Ale słucham.

– I odkryłam... cóż, właściwie powiedział mi o tym sam Boone... że on i Katherine Royce jednak się znali. Byli przyjaciółmi. Może nawet czymś więcej.

– Wiem – odpowiada Wilma.

Milczę, bardziej zdezorientowana niż zaskoczona.

– Naprawdę?

– Boone zadzwonił do mnie pół godziny temu i wszystko mi opowiedział.

– Więc teraz jest podejrzanym, tak?

– A niby dlaczego?

– Bo skłamał – odpowiadam. – W wielu sprawach. No i jest jeszcze to, co się stało z jego żoną.

– To nie ma nic do rzeczy. – Głos Wilmy nagle brzmi ostro.

– Ależ ma. Katherine o tym wiedziała. Ona... a przynajmniej myślę, że to ona... wygooglowała artykuł na ten temat w laptopie Toma.

Gdy tylko wypowiadam te słowa, już wiem, że to błąd. Ale jak samochodu spadającego z urwiska – nie można ich cofnąć. Mogę jedynie poczekać i przekonać się, na ile twarde okaże się lądowanie.

– Skąd pani to wie? – pyta Wilma.

Przez chwilę milczę. Kiedy się odzywam, w moim głosie słyhać poczucie winy.

– Byłam w ich domu.

– Proszę, niech mi pani powie, że Tom panią wpuścił, że nie wdarła się tam pani pod jego nieobecność.

– Nie wdarłam się – precyzuję. – Zakradłam się.

Długie milczenie ze strony Wilmy jest jak zapalony lont, którego płomień powoli pełźnie ku wiązce dynamitu. W każdej sekundzie może dojść do wybuchu. A kiedy do niego dochodzi, okazuje się głośniejszy i potężniejszy, niż się spodziewałam.

– Niech mi pani poda jeden powód, dla którego nie powinnam natychmiast przyjechać i pani zaarrestować! – Głos Wilmy grzmi w moim uchu. – Czy pani wie, jakie to było głupie? Mogła pani spieprzyć całe moje dochodzenie!

– Ale ja coś odkryłam...

– Nie chcę o tym wiedzieć.

– Coś ważnego. Obciążającego.

Głos Wilmy robi się jeszcze głośniejszy. Jakimś cudem. Zdawało mi się, że już osiągnęła swój zenit.

– Jeśli nie znalazła pani samej Katherine Royce, to nie chcę wiedzieć. Rozumie pani? Im więcej głupot pani mówi i wyczynia, tym mniej będę mogła wykorzystać w sądzie. Ten laptop, w którym pani grzebała, to dowód rzeczowy. Pokoje, po których się pani szwendała, mogły być miejscem zbrodni. A pani to wszystko właśnie skaziła. Mało tego, pani obecność w tym domu... i możliwość, że podłożyła tam pani coś obciążającego... ułatwi Tomowi wyłganie się ze wszystkiego, cokolwiek tam znajdziemy.

– Nie podłożyłam...

– Dość gadania! – rozkazuje Wilma. – Dość węszenia. Dość wszystkiego.

– Przepraszam. – Brzmi to piskliwie. – Ja naprawdę tylko próbowałam pomóc.

– Nie potrzebuję pani przeprosin ani pomocy – ucina Wilma. – Niech się pani odczepi od Toma Royce’a. I od Boone’a.

– Ale przyzna pani, że Boone jest podejrzany? Najpierw zginęła jego żona, a teraz znika Katherine.

Zerkam na laptopa, na którym wciąż się wyświetla artykuł o tym, że Boone nie został oskarżony w sprawie śmierci Marii. Przeglądam tekst z nadzieją, że znajdę choć fragment na poparcie mojego rozumowania. Zamiast tego widzę cytaty na samym końcu.

„Według raportu policji stanowej funkcjonariusz Conrad jest całkowicie niewinny, a wszelkie oskarżenia przeciwko niemu są nieuzasadnione”.

Zastygam, zauważywszy, kogo zacytowano.

Detektyw Wilmę Anson.

– Mówiłam pani...

Kończę połączenie, przerywając Wilmie w pół zdania. Kiedy w chwilę później oddzwania, nie odbieram. Gdy próbuje ponownie, wyciszam telefon. Nie ma sensu z nią rozmawiać. To jasne, że jej zdaniem Boone nie jest zdolny do zrobienia czegoś złego. I nic, co powiem, tego nie zmieni.

Nie mogę już ufać Wilmie.

I na pewno nie mogę ufać Boone’owi.

Uświadamiam sobie, że mogę liczyć tylko na siebie.

Nie ruszam się z domu, dopóki nie zapadnie noc, a nawet wtedy wychodzę tylko na werandę. Powietrze jest wręcz przerażająco ciężkie. Gęste od wilgoci i niepokoju. Wczorajszy wiatr ucichł, zastąpiony upiornym bezruchem.

Cisza tuż przed burzą.

Zgarbiona na krześle, popijam burbona.

Czwartego, piątego albo szóstego.

Nie da się zliczyć, pijąc prosto z butelki.

Po południu i wczesnym wieczorem albo leżałam w łóżku, bezskutecznie próbując odpocząć, albo siedziałam w kuchni, wsuwając to, czego przygotowanie wymagało najmniej czasu, albo obijałam się po reszcie domu niczym uwięziony w klatce ptak. Wałęsając się między biblioteką, pokojem wypoczynkowym i salonem, kombinowałam, co – jeśli w ogóle cokolwiek – mogę teraz zrobić.

Niewiele czasu zajęło mi rozgryzienie tego problemu.

Nic.

W końcu właśnie tego chce Wilma.

Sięgnęłam więc po starego kompana: burbona – jedyne, któremu obecnie mogę zaufać. I jestem teraz nieźle wstawiona, już prawie całkiem pijana. Żeby przekroczyć granicę, wystarczy jeden lub dwa łyki więcej z butelki.

Kusząca opcja.

Bo chcę, żeby wszystko zniknęło.

Mój niepokój o Katherine, podejrzania wobec Toma i Boone'a, samotność, poczucie winy i rozpacz. Chcę, żeby to wszystko odeszło i nigdy nie wróciło. A jeśli trzeba w tym celu urznąć się do nieprzytomności, to trudno.

Trzymając za szyjkę, przechyliłam butelkę, gotowa opróżnić to cholerstwo.

Zanim jednak zdążę to zrobić, dostrzegam światło rozbłyskujące w kuchennym oknie domu Royce'ów. Przyciąga mnie jak ćmę. Nie mogę mu się oprzeć. Odstawiam butelkę i podnoszę lornetkę, mówiąc sobie, że nic się nie stanie, jeśli

poobserwuję ten dom jeszcze jeden, ostatni raz. Zdaniem Wilmy i tak już wszystko zepsułam. Dalsze szpiegowanie Toma niczego nie pogorszy.

Znów stoi przy kuchence, podgrzewając kolejną puszkę zupy. Kiedy rzuca w okno niezainteresowane spojrzenie, nie boję się, że ponownie przyłapie mnie na podglądaniu. Weranda i reszta domu toną w czarnej jak smoła ciemności. Podobnie jezioro i jego wybrzeże.

Jedynym źródłem światła w okolicy, poza kuchnią w domu Royce'ów, jest wielki prostokąt blasku na zmaconej powierzchni wody po prawej stronie. Dom Mitchellów. Chociaż nie widzę go wyraźnie z miejsca, w którym siedzę, jasna plama mówi mi wszystko, co muszę wiedzieć.

Boone jest w domu.

Jednego potencjalnego zabójcę żony mam więc pod bokiem, a drugiego dokładnie naprzeciwko, za jeziorem.

Niezbyt krzepiąca myśl.

Kieruję lornetkę w stronę domu Elia. Jest kompletnie ciemny. Oczywiście jedyna osoba nad tym jeziorem, której mogę zaufać, jest też jedyną, której nie ma w domu. Dzwonię na jego komórkę z nadzieją, że odbierze i powie, że właśnie wraca z kupionymi zapasami i zajrzy do mnie w drodze do domu. Zamiast niego znowu odzywa się poczta głosowa.

Zostawiam wiadomość, starając się brzmieć trzeźwo i nonszalancko. Nie wychodzi mi.

– Eli, cześć. Tu Casey. Mam, hmm... nadzieję, że niedługo wrócisz do domu. Najlepiej już. Bo nad jeziorem dzieje się dużo rzeczy, o których nie wiesz. Niebezpiecznych. No i, hmm... boję się. I przydałby mi się w tej chwili przyjaciel. Więc jeśli jesteś w pobliżu, proszę, przyjeźdź.

Zanim się rozłączam, wybucham płaczem. Łzy są dla mnie zaskoczeniem i choć chciałabym o nie obwinić stres i burbona, wiem, że ich źródło sięga znacznie głębiej. Płacę, bo tych czternaście miesięcy od śmierci Lena było trudnych jak diabli. Owszem, miałam Marnie, matkę i mnóstwo innych osób chętnych, by dodać

mi otuchy. Ale żadna z nich – nawet Uwielbiana Lolly Fletcher – nie umiała w pełni zrozumieć, jak się czuję.

Więc piłam.

Tak było łatwiej.

Alkohol nie ocenia.

I nigdy, przenigdy nie zawodzi.

Ale jeśli pijesz za dużo i za długo, to wszyscy ci mający dobre chęci ludzie w twoim życiu, którzy próbują cię zrozumieć, ale nie potrafią, w końcu się poddają i odchodzą.

Uzmysłowiłam to sobie, paplając do telefonu, choć nikt mnie nie słuchał. Zawsze to samo. W tej chwili nie mam niczego ani nikogo. Eli gdzieś zniknął, Boone'owi nie mogę ufać, a Marnie nie chce mieć z tym wszystkim nic wspólnego. Jestem całkiem sama i ta świadomość sprawia, że ogarnia mnie potężny smutek nie do zniesienia.

Ocieram oczy, wzdycham i znowu podnoszę lornetkę, bo hej, dosłownie nie mam nic do roboty. Skupiam uwagę na kuchni Royce'ów, gdzie Tom skończył podgrzewać zupę. Zamiast na talerz przelewa ją do dużego termosu i zakręca nakrętkę.

Ciekawe.

Z termosem w ręku otwiera szufladę i wyjmuje latarkę.

Bardzo ciekawe.

Wkrótce potem jest już na dworze, a snop światła latarki rozcina mrok. Ten widok przywołuje wspomnienie innej nocy, kiedy z okna sypialni ujrzałam, jak Tom robił to samo co teraz. Wtedy nie wiedziałam, dokąd się wybiera ani skąd wraca, za to teraz wiem z całą pewnością.

Do domu Fitzgeraldów.

W jednej chwili moja półprzytomność zmienia się w hiperczułość, nagle wszystko dociera do mnie jasno i wyraźnie. Chmury sunące na tle księżyca. Samotne nawoływanie nura w niewidocznym zakamarku jeziora. Światło latarki

błądzące wśród drzew, płasające i połyskujące niczym ogromny świetlik. Wraca kolejne wspomnienie, uwolnione dzięki temu, co widzę.

Ja oparta o drzwi, Tom po drugiej ich stronie, wykrzykujący rzeczy, na zrozumienie których byłam zbyt pijana i przestraszona.

„Nie masz pojęcia, o co chodzi – powiedział. – Więc daj nam, kurwa, spokój”.

Nam.

Czyli nie tylko jemu.

Czyli ktoś jeszcze jest częścią tego wszystkiego.

Coś pika mi w piersi. Jakby nagle ożyła nadzieja.

Może Katherine nadal żyje.

Czekam, dopóki Tom nie wróci do domu. Dzieje się to piętnaście minut później; promień latarki pojawia się przed domem Fitzgeraldów i zaczyna sunąć z powrotem swoją trasą sprzed kwadransa. Śledzę go przez lornetkę aż do domu Royce'ów, gdzie Tom wyłącza latarkę tuż przed wejściem do środka.

Odkładam lornetkę i ruszam do akcji.

Zbiegam po stopniach z werandy.

Przecinam podwórko.

Wpadam na pomost.

Zaczął padać – grube krople lądują ciężko na mojej twarzy i włosach oraz na deskach pomostu, przez który biegnę do zacumowanej na jego końcu łodzi.

Wiatr też się wzmógł i jezioro jest lekko wzburzone. Łódź podskakuje, kołysze się na wodzie, przez co trudno mi do niej wejść i muszę wykonać niezgrabny półskok z pomostu. Już w środku natychmiast żałuję wypitych drinków, bo motorówka zaczyna się gwałtownie bujać na coraz większych falach.

Zamykam oczy, wystawiam twarz do wiatru i pozwalam, aby deszcz rozpryskiwał się na mojej skórze. To z pewnością nie żadne panaceum. W żołądku wciąż mi się kotłuje, głowa ciągle boli. Ale deszcz jest wystarczająco zimny, żeby mnie otrzeźwić, i dość bolesny, aby wymusić skupienie na tym, co muszę zaraz zrobić.

Przepłynąć na drugi brzeg.

Odcumowuję łódź, lecz nie ośmielam się odpalić silnika. Wiem, jak dźwięk niesie się po tym jeziorze, nawet podczas burzy, i nie chcę ryzykować, że zostanę przyłapana. Zamiast tego wiosłuję powolnymi, miarowymi ruchami, by zneutralizować wzburzenie wody. To wyczerpujące – znacznie trudniejsze, niż się spodziewałam – i na środku jeziora muszę przerwać, aby złapać oddech.

Gdy łódź na zmianę wznosi się i opada, obracam się na swoim miejscu i przyglądam każdemu domowi na brzegu jeziora Greene. Dom mojej rodziny i ten

należący do Fitzgeraldów są tak ciemne, że niemal zlewają się z nocnym mrokiem. Tak samo dom Elia, co oznacza, że Eli jeszcze nie wrócił.

Z kolei cały parter domu Mitchellów jest jasno oświetlony, a ja wyobrażam sobie, jak Boone chodzi tam od pokoju do pokoju, wściekły na mnie. I wreszcie dom Royce'ów: ciemny parter, a na piętrze oświetlone tylko okno głównej sypialni. Może Tom – zrobiwszy, cokolwiek miał do zrobienia w domu obok – idzie spać, choć jest dopiero ósma.

Na zachodzie skłębiona ściana czarnych jak smoła chmur zasłania gwiazdy, księżyc i większość nieba. Wygląda jak fala. Taka, która zaraz uderzy w dolinę i zmiecie wszystko na swojej drodze.

Nadeszła burza.

Wracam do wiosłowania, bardziej bojąc się pozostania na jeziorze przy tej ciągle pogarszającej się pogodzie niż tego, co czeka mnie na drugim brzegu. Już wzmagają się deszcz, wiatr nabiera siły, a woda kotłuje się coraz gwałtowniej. Teraz potrzebne są trzy machnięcia wiosłami, aby pokonać odległość, do której przebycia w normalnych warunkach wystarczy jedno. Kiedy w końcu docieram na drugą stronę jeziora, barki mam napięte i obolące, a ramiona jak z galarety. Ledwie starcza mi sił, by zacumować szarpaną przez wiatr łódź, której burta co chwila obją się o przystań Fitzgeraldów.

Żeby wysiąść, znów muszę wykonać ryzykowny skok, tym razem na pomost. Potem biegnę w stronę brzegu, wyczerpana, zdenerwowana i przemoknięta do suchej nitki. Gdzieś w górze przetacza się głośny grzmot. Błyskawice rozjaśniają teren przede mną, kiedy przemykam przez podwórko do drzwi francuskich na tyłach domu Fitzgeraldów.

Zamknięte.

A jakże.

Tak samo jak oboje drzwi wejściowych i jedno boczne, które prowadzą do kuchni. Stojąc w ulewnym deszczu i szarpiąc za klamkę, uświadamiam sobie, że Tom może wchodzić do środka, bo Fitzgeraldowie prawdopodobnie dali mu klucze,

na wypadek gdyby z ich domem działo się coś złego. Tak zwykle robią okoliczni mieszkańcy. Fitzgeraldowie mają klucze do mojego domu, podobnie jak Eli. I zapewne gdzieś u mnie leży klucz, dzięki któremu mogłabym teraz dostać się do środka.

Więcej drzwi nie ma, więc zaczynam sprawdzać okna i szczęści mi się przy trzeciej próbie. Salon. To nawet lepiej, bo znajduje się z boku, nie od strony domu Royce'ów, co daje mi mnóstwo czasu, abym niezauważona podniosła okno, zdjęła moskitierę i weszła do środka.

Zamykam za sobą, żeby deszcz nie zalał pokoju. W domu panuje cisza, która przez kontrast z burzą na dworze wydaje się wręcz ogłuszająca.

I upiorna.

Nie mam pojęcia, co – lub kto – tu na mnie czeka, i serce dudni mi w piersi głośno jak grzmoty odbijające się echem na zewnątrz. Bezruch i bezgłos są tak przytłaczające, że mam ochotę odwrócić się na pięcie i wyczołgać z powrotem przez to okno. Ale Tom przyszedł tu nie bez powodu. Pragnienie, aby ten powód poznać, każe mi iść naprzód, choć ledwo widzę. Robię dwa kroki i zderzam się z komodą, na której stoi gąszcz zdjęć w ramkach i lampa od Tiffany'ego.

Cholerna pani Fitzgerald i jej antyki.

Ten dom jest nimi kompletnie zagracony. Bogato zdobione skrzynie, dwuosobowe kanapki z tapicerką, rokokowe lampy stojące ze zwisającymi z abażurów kryształkami. Każdy starość to przeszkoda, którą muszę pokonać w tym mroku.

– Halo? – odzywam się ledwie zrozumiałym szeptem. – Katherine? Jesteś tu?

Zatrzymuję się między kuchnią a jadalnią, nasłuchując dźwięku, który mógłby świadczyć o jej obecności. W pierwszej chwili nie słyszę niczego prócz coraz intensywniejszego bębnienia deszczu o dach i kolejnych grzmotów. Ale wkrótce potem do moich uszu dociera pewien odległy i stłumiony odgłos.

Skrzypnięcie.

Słyszę go po raz drugi – dochodzi z dołu, wąły jak smużka dymu.

Z piwnicy.

W krótkim korytarzyku tuż obok kuchni podchodzę do drzwi wyposażonych w staroświecki łańcuch, teraz zasunięty. Ponieważ obok stoi duży kredens, normalnie pomyślałabym, że to wejście do spiżarni albo do schowka na miotły. Łańcuch świadczy o czymś innym, zwłaszcza kiedy przyglądam mu się dokładnie. Został przyśrubowany do dwóch krótkich kawałków drewna, które przybito do drzwi i do ściany obok nich, jakby miało to być rozwiązanie tymczasowe. Blokadę zamontowano niedawno. Drewno wciąż pachnie po świeżym przecięciu, co przywodzi mi na myśl piłkę do metalu, którą ostatnio kupił Tom Royce.

To jego dzieło.

A w środku ukrywa coś – albo kogoś – przed niepowołanym wzrokiem.

Drżącą ręką gmeram przy łańcuchu i odsuwam jego końcówkę. Wstrzymując oddech, otwieram drzwi i widzę schodki prowadzące na dół, w głąb mroku.

– Halo?! – wołam, a ciemność niepokojąco tłumi mój głos, tak jak podmuch gasi płomień świecy. Ale z tej czarnej otchłani dobiega drugie skrzypnięcie, które każe mi zaryzykować zejście ze schodów.

Włącznik światła znajduje się tuż za drzwiami. Wciskam go i daleko w dole rozbłyskuje słaby pomarańczowy blask, a wraz z nim rozlega się kolejne skrzypnięcie i chyba jakiś pomruk.

Ten dźwięk sprawia, że robię krok w przód i zatrzymuję się na najwyższym schodku, skąd uważnie nasłuchuję.

Nic.

Jeśli na dole ktoś jest, to całkowicie umilkł.

Robię drugi krok.

Potem następny i pod moim ciężarem skrzypi schodek. Wzdrygam się. I znowu coś skrzypi.

Nie pod moją stopą.

Gdzieś w głębi piwnicy.

Zbiegam z pozostałych schodków na sam dół pomieszczenia oświetlonego pojedynczą gołą żarówką zwisającą z sufitu. Piwnica jest surowa. Cementowa podłoga. Betonowe ściany. Schodki, po których właśnie zeszałam, to tylko kilka zbitych desek.

Robię kolejny krok, moje pole widzenia się poszerza i odsłania stłoczone pod ścianami graty. Odpady z antycznej kolekcji pani Fitzgerald. Uszkodzone komody, krzesła bez nóg i dużo poupychanych na sobie pudeł.

Pod jedną ze ścian stoi staroświeckie mosiężne łóżko, na którym coś leży.

Nie. Nie coś.

Ktoś.

Podkradam się bliżej i widzę...

O Boże. Katherine.

Ma na sobie to samo ubranie, które nosiła tego wieczoru, kiedy zniknęła. Dżinsy i biały sweter, teraz cały w plamach. Nie ma butów, a bosa stopy są brudne po przejściu od jej domu do tego. Z kącika ust spływa jej na szyję strużka zupy, wciąż wilgotna.

Ale najbardziej wytrącają mnie z równowagi jej ręce.

Uniesione nad głowę i przywiązane sznurem za nadgarstki do rogów mosiężnego łóżka. Wokół kostek też widać węzły, a rozciągnięte ciało spoczywa na pokrywającej materac plandecę.

Wyrywa mi się zduszony okrzyk.

Katherine to słyszy i otwiera oczy, gwałtownie mrugając. Podnosi na mnie wzrok, w pierwszej chwili kompletnie zdezorientowana, po czym wpada w prawdziwą panikę.

– Kto...

Nagle urywa, wciąż na mnie patrząc, a w jej okrągłych z przerażenia oczach pojawia się błysk rozpoznania.

– Casey? – Jej głos jest dziwny. Ochrypły i trochę wilgotny, jakby z tyłu gardła miała wodę. W ogóle nie brzmi jak ona. – To naprawdę ty?

– To ja. To naprawdę ja i zaraz ci pomogę.

Podbiegam do niej, przykładam dłoń do jej czoła. Skórę ma chłodną i lepka od potu. I bladą. Zdumiewająco bladą. Usta spierzchnięte i popękane. Rozchyła je, by wychrypieć:

– Pomóż mi. Proszę.

Sięgam do węzła na jej prawym nadgarstku. Jest mocno zawiązany. Skóra pod nim jest przetarta i ze sznura opadają płatki zaschniętej krwi.

– Od jak dawna Tom cię tu trzyma? – pytam. – I dlaczego ci to zrobił?

Zostawiam supły wokół nadgarstków i próbuję odwiązać sznur przymocowany do mosiężnej ramy. Też jest mocno zaciśnięty i mogę tylko bezsilnie zań szarpać.

Wtedy rozlega się jakiś hałas.

Przy schodach.

Nienaturalnie głośne skrzypnięcie, jakby ktoś schodził z ostatniego stopnia.

Tom.

Kompletnie przemoczony od deszczu.

Na jego twarzy mieszają się zaskoczenie, rozczarowanie i strach.

– Odsuń się od niej! – woła i rzuca się w moją stronę. – Niepotrzebnie jej szukałaś, Casey. Naprawdę trzeba było dać nam spokój.

Wciąż szarpię się ze sznurem, jakbym mogła go poluzować dzięki samej determinacji. Tom chwyta mnie w pasie i odciąga na bok. Wymachuję rękami i nogami, biję i kopię na wszystkie strony. Na próżno. Jest szokująco silny i po chwili szamotaniny popycha mnie na schody. Najniższy stopień podcina mi nogi i lecę do tyłu, aż siadam wbrew woli.

– Co ty jej, kurwa, robisz?!

– Chronię ją – odpowiada Tom.

– Przed czym?

– Przed nią samą.

Patrzę na mosiężne łóżko i widzę, że Katherine znieruchomiała. Oczy ma jednak otwarte i nas obserwuje. Ku mojemu zdumieniu wcale nie wygląda na

udręczoną, raczej na lekko rozbawioną.

– Nie rozumiem. Co jest nie tak z twoją żoną?

– To nie jest moja żona.

– Wygląda dokładnie jak Katherine.

– Wygląda jak ona – mówi Tom. – Ale nią nie jest.

Rzucam jeszcze jedno spojrzenie na łóżko. Katherine wciąż leży bez ruchu, spokojnie obserwując naszą wymianę zdań. Może sprawiły to słowa Toma, ale nagle odnoszę wrażenie, że coś z nią jest nie tak. Czuję od niej inną energię niż ta, którą znam.

– Więc kto to jest?

– Ktoś inny – odpowiada Tom.

Kręci mi się w głowie. Nie mam pojęcia, o czym on mówi. I nie rozumiem, co tu się dzieje. Wiem tylko, że ta sytuacja jest znacznie dziwniejsza, niż sobie wyobrażałam – i że muszę ją jakoś załagodzić.

– Tom. – Robię krok w jego stronę, unosząc ręce na znak, że nie chcę go skrzywdzić. – Musisz mi wyjaśnić, o co tu chodzi.

Kręci głową.

– Pomyślisz, że oszalałem. I może tak jest. Przez parę ostatnich dni sam nieraz się o to podejrzewałem. Łatwiej byłoby poradzić sobie z szaleństwem niż z tym.

Tom wskazuje na Katherine i choć nie jestem do końca pewna, wydaje mi się, że to, co powiedział, spodobało się jej. Kąciki jej ust unoszą się leciusiętko w ćwierćśmiechu.

– Nie pomyślę tak – zapewniam go. – Słowo.

Tom przenosi pełne desperacji spojrzenie ze mnie na kobietę, która, jak twierdzi, nie jest jego żoną, choć to jasne, że nią jest.

– Nie zrozumiesz.

– Zrozumiem, jeśli mi to wyjaśnisz. – Robię kolejny krok w jego stronę. Spokojnie. Ostrożnie. – Proszę.

– Pamiętasz, co Eli opowiadał tamtego wieczoru? – mamrocze Tom, a w jego głosie słychać strach i skruchę. – O jeziorze i duchach uwieczonych w wodzie?

– Pamiętam.

– Myślę... myślę, że to prawda. Że coś było w tym jeziorze. Duch. Dusza. Wszystko jedno. Czekają. W wodzie. I cokolwiek to było, wniknęło w Katherine, kiedy prawie utonęła, a teraz... przejęło nad nią kontrolę.

Nie jestem pewna, jak zareagować.

Co można powiedzieć w obliczu czegoś tak absurdalnego?

Jedynie, co przychodzi mi do głowy, to że Tom ma rację. Naprawdę oszalał.

– Pewnie uważasz, że kłamię – ciągnie. – Że gadam od rzeczy. Też bym tak myślał, gdybym tego nie przeżył. Ale to prawda. Przysięgam, Casey. To wszystko prawda.

Przeciskam się obok Toma, który już nie próbuje mnie powstrzymać. Staję w nogach łóżka, kurczowo chwytam za mosiężną ramę i wbijam wzrok w Katherine. Dotąd lekko uśmiechnięta, na mój widok zaczyna się szczerzyć, co przyprawia mnie o mdłości.

– Jeśli nie jesteś Katherine – mówię – to kim jesteś?

– Wiesz, kim jestem – mówi nieco niższym głosem, przerażająco znajomym. – To ja... Len.

Przesywa mnie nagły wstrząs, tak gwałtowny i paraliżujący, jakby mosiężna rama była pod prądem. Odrywam od niej dłonie i lekko się chwiejąc, gapię się na osobę na łóżku. Osobę, którą zdecydowanie jest Katherine Royce. To przecież jej ciało podlotka, jej długie włosy i uśmiech jak z reklamy.

A jednak fakt, że jestem jedyną osobą w tym pomieszczeniu, która ma tego świadomość, sprawia, że sama nie wiem, o kogo powinnam się martwić bardziej. O Katherine, która powiedziała coś tak osobliwego, czy o jej męża, który w to wierzy.

– Mówiłem ci – odzywa się Tom.

– Wiem, jak dziwnie to brzmi, Casey – dodaje z łóżka Katherine. – I wiem, co sobie myślisz.

To niemożliwe. Właśnie usłyszałam, że mój mąż, nieżyjący od ponad roku, jest w ciele kobiety, którą od kilku dni uważałam za zaginioną. Nikt poza mną samą nie potrafi w pełni ogarnąć chaosu w mojej głowie.

Teraz przynajmniej rozumiem całą tę tajemniczość Toma, nie mówiąc o jego kłamstwach. Uznał, że nie może dłużej udawać, że wszystko jest w porządku, kiedy w jego mniemaniu ta sytuacja nie była normalna. Ukrył więc Katherine w domu obok, usuwając ją z ich szklanego pałacu i sprzed moich wścibskich oczu. Schował jej komórkę, opublikował lipne zdjęcie na Instagramie i wszelkimi siłami starał się utrzymać to, co uważa za prawdę, w tajemnicy.

Bo kto by mu uwierzył?

Na pewno nie ja.

Szaleństwo to mało powiedziane.

To jest kompletnie pojebane.

– To prawda, Casey – mówi Tom, bez trudu odgadując moje myśli.

– Wierzę, że tak uważasz. – Moje słowa są spokojne i wyważone, z czego jasno wynika, że podjęłam decyzję. W tej chwili to on z tej dwójki jest groźniejszy. – Kiedy zacząłeś myśleć, że dzieje się coś takiego?

– Później, niżby należało. – Tom patrzy z ukosa na postać żony, jakby nie potrafił się zmusić, by spojrzeć jej prosto w twarz. – Wiedziałem, że coś z nią nie tak, już w dniu, w którym wyłowiłaś ją z jeziora. Dziwnie się zachowywała. Nie była do końca sobą.

Dokładnie w ten sposób Katherine opisała mi swoje samopoczucie. Nagłe osłabienie. Ataki kaszlu. Omdlenia. Przychodzi mi do głowy, że mogła to być jakaś forma równoległych urojeń, z których jedno wpływa na drugie. Może te objawy skłoniły Toma do przekonania, że jego żona jest opętana, a w rezultacie uwierzyła w to także sama Katherine. Albo odwrotnie.

– Było z nią coraz gorzej – ciągnie Tom. – Aż pewnego wieczoru odniosłem wrażenie, że Katherine już nie ma. Nie zachowywała się i nie brzmiała jak ona. Nawet zaczęła się inaczej poruszać. Powiedziałem jej o tym wprost...

– A ja powiedziałem mu prawdę – wtrąca Katherine.

Nie pytam, kiedy to się stało, bo przecież wiem.

Tej nocy, gdy Katherine zniknęła.

Jeśli zamknę oczy, wyobrażę sobie tamtą scenę tak wyraźnie, jakbym oglądała ją w kinie. Tom błaga Katherine, która stoi przy oknie.

„Co”.

Właśnie tego słowa nie potrafiłam uchwycić.

Co w nią wstąpiło?

Najwyraźniej Len. To pomysł absurdalny dla każdego oprócz tych dwojga tu ze mną, w piwnicy. Utknęłam między nimi, ich szaleństwo napiera na mnie z obu stron i wiem, że muszę ich jakoś rozdzielić. Choć to jasne, że Tom karmi żonę, wszystko inne wyraźnie zaniedbał. Bijący od niej nieprzyjemny zapach dobitnie wskazuje, że nie myła się od kilku dni. Jeszcze gorszy smród dolatuje z wiadra w kącie piwnicy.

– Tom – mówię, starając się, żeby przerażenie tą sytuacją nie było słyszalne w moim głosie. – Możesz zostawić nas same? Tylko na chwilę?

Wreszcie spogląda na łóżko i na osobę, która jego zdaniem nie jest już jego żoną.

– Myślę, że to nie jest dobry pomysł, Casey.

– Chcę tylko z nią porozmawiać.

Tom waha się jeszcze, choć całe jego ciało aż rwie się do wyjścia. Nogi ma rozstawione, jakby szykował się do sprintu, a tułów przechyla lekko w kierunku schodów.

– To nie potrwa długo – zapewniam. – Katherine nigdzie się stąd nie ruszy.

– Nie rozwiązuj jej.

– Nie rozwiążę – obiecuję, choć zamierzam to zrobić w pierwszej kolejności.

– Będzie cię o to prosić. Jest... podstępna.

– Jestem na to przygotowana. – Kładę obie dłonie na jego ramionach i obracam go, dopóki nie staniemy twarzą w twarz. Wiedząc, że uspokojenie go to jedyna szansa, żeby się go pozbyć, dodaję: – Posłuchaj, wiem, że przez te ostatnie dni narobiłam ci kłopotów. To szpiegowanie i policja... Naprawdę mi przykro. Nie wiedziałam, co się dzieje, więc zakładałam najgorsze. Obiecuję, że ci to wynagrodzę najlepiej, jak potrafię. Ale teraz, proszę, jeśli to jest mój mąż, to chcę z nim porozmawiać. Na osobności.

Zastanawia się. Zamyka oczy i przyciska palce do skroni niczym jasnowidz, który próbuje przewidzieć przyszłość.

– No dobrze – odpowiada. – Dam ci pięć minut.

Podjąwszy decyzję, zaczyna niechętnie wspinać się po schodach. W połowie drogi odwraca się, aby rzucić mi ostatnie niespokojne spojrzenie.

– Mówię poważnie, Casey – dodaje. – Nie rób niczego, o co poprosi.

Jego słowa wiszą w powietrzu, gdy ciężkim krokiem pokonuje resztę schodów. Kiedy dociera na górę, słyszę, jak zamyka za sobą drzwi i – o zgrozo – zasuwa łańcuch. Jedynym, co powstrzymuje mnie przed popadnięciem w panikę, że teraz i ja znalazłam się w pułapce, jest osoba na łóżku. W tej chwili przede wszystkim muszę martwić się o Katherine.

– Dlaczego to robisz, Katherine?

– Wiesz, że nią nie jestem.

– Ale wyglądasz jak ona – mówię, choć to już nie do końca prawda. Wygląd Katherine zdaje się subtelnie zmieniać, robi się surowszy i chłodniejszy. Jakby nieruchomą wodę zaczynała pokrywać warstwa lodu.

– Pozory mylą.

Racja. Dobrze to wiem. Lecz ani przez chwilę nie wierzę, że mój zmarły mąż wniknął w ciało Katherine. Pomijając fakt, że coś takiego stoi w kompletnej sprzeczności z prawami nauki i logiki, nie od dziś wiadomo, że ludzki mózg jest zdolny do dziwnych rzeczy. Potrafi się dzielić, mutować i przyczyniać do wszelkiego rodzaju problemów. Może Katherine ma guza mózgu, który powoduje to nietypowe zachowanie, albo cierpi na niezdiagnozowane zaburzenie dysocjacyjne tożsamości, które ujawniło się dopiero teraz. Wie, kim był Len. Wie, co się z nim stało. Po tym, jak niemal spotkał ją ten sam los, mogła sobie wmówić, że się nim stała. Każda z tych opcji ma więcej sensu niż to pieprzenie o opętaniu przez ducha z jeziora.

A jednak teraz, kiedy zostałyśmy tu we dwie, nie potrafię się oprzeć wrażeniu, że Len jest gdzieś w pobliżu. Wyczuwam jego obecność tak samo jak wtedy, gdy żył. Czy w naszym mieszkaniu, czy w domu nad jeziorem, zawsze wiedziałam, że jest niedaleko, nawet jeśli znajdował się w innym pokoju. Teraz mam takie samo uczucie.

Ale jego nie może tu być.

To niemożliwe.

– Potrzebujesz pomocy – mówię do Katherine. – Szpitala. Lekarzy. Lekarstw.

– To mi w niczym nie pomoże.

– To lepsze niż uwięzienie w piwnicy.

– Z tym się zgodzę.

– Więc pozwól sobie pomóc, Katherine.

– Zacznij od używania mojego prawdziwego imienia.

Prycham, zakładając ręce na piersi.

– Jeśli jesteś Lenem, to powiedz mi coś, o czym wiedzieliśmy tylko my dwoje. Udowodnij, że naprawdę nim jesteś.

– Na pewno tego chcesz, Cee?

Gwałtownie wciągam powietrze.

Cee – tak mnie nazywał Len. Nie wiedzieli o tym ani moi najbliżsi przyjaciele, ani rodzina, a już na pewno nie Katherine. No chyba że mi się to przy niej kiedyś wyrwało. Mogłam to zrobić bezwiednie, kiedy piłyśmy kawę na werandzie albo rozmawialiśmy po wyłowieniu jej z jeziora, ale nie pamiętam, żebym o tym wspominała.

– Skąd o tym wiesz?

– Bo sam to wymyśliłem, pamiętasz? I nawet tak cię nazwałem, kiedy ostatnio rozmawialiśmy. Liczyłem, że zrozumiesz aluzję.

Serce o mało nie wyskakuje mi z piersi, kiedy przypominam sobie naszą rozmowę przez telefon i to enigmatyczne machanie do mnie z okna sypialni.

„Wszystko, Casey. Sama zobacz”.

Teraz rozumiem, co naprawdę powiedziała.

„Wszystko okej, Cee. Sama zobacz”.

Ale rozumiem też, że powiedziała to Katherine. Nikt inny nie mógł tego zrobić. Co znaczy, że w jakimś momencie musiałam wspomnieć o tym przydomku. Katherine to zapamiętała i dołożyła kolejną cegiełkę do muru urojeń, którym się otoczyła.

– To nie wystarczy – mówię. – Musisz się bardziej postarać.

– A co powiesz na to? – Katherine się szczyrzy. Uśmiech rozlewa się na jej twarzy jak wyciek ropy na morzu. – Nie zapomniałem, że mnie zabiłaś.

Teraz



Nie odpowiedziałaś na moje pytanie – przypomina po dłuższej chwili mojego milczenia. – Co z Tomem?

– Nic mu nie jest – odpowiadam. – Twój mąż to w tej chwili najmniejsze z moich zmartwień.

Zastygam w bezruchu. Właśnie zaliczyłam wpadkę.

Do tej chwili skutecznie odsuwałam od siebie myśl, że rozmawiam z Katherine. Ale łatwo się pomylić, kiedy to ona jest osobą, którą widzę związaną i rozciągniętą na łóżku, jakby brała udział w jakiejś kontrowersyjnej sesji modowej z czasów, kiedy była modelką. Choć inaczej ubrana, jest ładnie podobna do Katherine, którą wyciągnęłam z jeziora. Usta ma sine z zimna. Twarz oblepioną strąkami wilgotnych włosów. Jasne oczy szeroko otwarte.

A jednak wiem, że to już nie jest Katherine. Obecnie to tylko naczynie dla kogoś innego. Kogoś gorszego. Przypuszczam, że to, co się tu dzieje, przypomina opętanie przez demona. Niewinność zawładnięta przez zło. Linda Blair, obracające się głowy, zupa krem z groszku.

– To ty mnie martwisz – dodaję.

– Miło, że wciąż ci zależy.

– To nie dlatego.

Martwię się, że się uwolni, ucieknie i znów zacznie robić te straszne rzeczy, które robił za życia.

Zamordował Megan Keene, Toni Burnett i Sue Ellen Stryker.

Porywał je, zabijał, a potem wrzucał ich zwłoki w czarne jak smoła odmęty jeziora Greene.

I chociaż w tej chwili wygląda jak Katherine Royce, zamieszkuje w jej ciele, mówi jej ustami i patrzy jej oczami, ja wiem, kim jest naprawdę.

To Leonard Bradley.

Len.

Człowiek, którego poślubiłam.

I ten, którego – jak sądziłam – usunęłam z powierzchni ziemi na dobre.

Wcześniej



Kiedy żartowałam ze znajomą redaktorką, że swoje wspomnienia zatytułuję *Jak zostać pożywką dla brukowców w siedmiu prostych krokach*, powinnam była uwzględnić jeszcze jeden. Tajny krok, wsunięty jak zakładka do książki między piąty a szósty.

Odkryj, że twój mąż jest seryjnym mordercą.

Tak właśnie zrobiłam tego lata, które spędzaliśmy nad jeziorem Greene.

Stało się to przez przypadek, rzecz jasna. Nie węszyłam w życiu Lena w poszukiwaniu mrocznych sekretów, bo naiwnie uznałam, że żadnych nie ma. Wydawało mi się, że nasze małżeństwo jest jak otwarta księga. Mówiłam mu wszystko i myślałam, że on robi tak samo.

Dopóki nie odkryłam, że jednak nie.

To było niespełna tydzień po naszym pikniku nad urwiskiem na południowym krańcu jeziora. Od tamtego popołudnia sporo myślałam nad propozycją Lena, żebyśmy zostali tu na zawsze jak ten sterczący z wody Stary Uparciuch. Uznałam, że to świetny pomysł i że na próbę powinniśmy tu pomieszkać przez rok i się przekonać, jak to jest.

Pomyślałam, że miło będzie powiedzieć mu o tym tamtego wieczoru, kiedy piliśmy wino przy ognisku przed domem. Komplikacją mojego planu okazało się to, że poranna mżawka przemoczyła absurdalnie długie zapalki do kominka, które zostawiliśmy na dworze na noc, więc nie mieliśmy czym rozpaścić ogniska.

– Mam zapalniczkę w skrzynce z narzędziami – powiedział Len. – Zapalam nią cygara.

Udałam, że wymiotuję. Wiedział, że nie znoszę cygar, które czasem palił, kiedy łowił ryby. Cuchnął nimi jeszcze dużo później.

– Mam po nią iść? – zapytał.

Był zajęty otwieraniem butelki wina i krojeniem sera, który miał być przekąską, więc powiedziałam, że sama pójdę do piwnicy i ją przyniosę. Ta podjęta w ułamku sekundy decyzja zmieniła wszystko, choć jeszcze o tym nie wiedziałam.

Zeszłam do piwnicy. Wtedy nie miałam żadnych oporów. Wystarczyło pokonać kilka schodków w dół, a potem przejść do przedsionka i długiego, przytwierdzonego do ściany wieszaka wypełnionego naszymi wierzchnimi okryciami. Nad nim znajdowała się półka, na której Len trzymał swoją skrzynkę z narzędziami. Żeby jej dosięgnąć, musiałam stanąć na palcach i chwycić ją obiema rękami. Gdy odstawiałam skrzynkę na podłogę, cała zawartość głośno zabrzęczała, a po otwarciu ujrzałam kłęb gumowych przynęt w landrynkowych kolorach i z wystarczająco ostrymi haczykami, żeby się nimi skaleczyć.

Ostrzeżenie, teraz to wiem. Wtedy je zignorowałam.

Znalazłam zapalniczkę na samym dnie skrzynki, obok kilku tych cholernych cygar. Pod nimi, wetknięta w tylny kąt, leżała złożona w pękaty prostokąt czerwona chusteczka.

W pierwszej chwili pomyślałam, że to trawka. Sama nie paliłam marihuany od czasów nastoletnich, kiedy napędzałam się dragami, ale wiedziałam, że Len niekiedy jeszcze to robi. Uznałam, że to pewnie coś, co sobie popala przy łowieniu ryb, kiedy nie ma ochoty na cygaro.

Ale gdy rozchyliłam chusteczkę, zamiast woreczka pełnego suszonych liści znalazłam trzy prawa jazdy. Do każdego przypięty był kosmyk włosów w takim samym odcieniu jak włosy dziewczyny na zdjęciu.

Przeglądałam te dokumenty raz po raz, a nazwiska i twarze migwały mi przed oczami jak pokaz slajdów wyświetlany prosto z piekła.

Megan Keene.

Toni Burnett.

Sue Ellen Stryker.

Moją pierwszą myślą, zrodzoną z naiwności i negacji, było to, że podrzucił je tam ktoś inny. Nieważne, że skrzynka należała do Lena i niewielu ludzi bywało w naszym domu nad jeziorem. Moja matka z wiekiem zaczęła odwiedzać nas coraz rzadziej, Marnie i moja ciotka już od lat w ogóle nie przyjeżdżały. Jeśli nie mieliśmy jakiegoś najemcy, o którym nie wiedziałam, pozostawał Len.

Drugą myślą, kiedy ta pierwsza nadzieja zgasła, było to, że Len robił skoki w bok. Do tamtej pory nigdy nie podejrzewałam go o zdradę. Nie byłam zazdrosną żoną. Nigdy nie kwestionowałam wierności męża. W branży pełnej kobieciarzy nie wydawał się takim typem. Nawet kiedy trzymałam w ręku dokumenty tożsamości trzech obcych kobiet, wciąż dawałam Lenowi kredyt zaufania.

Wmawiałam sobie, że musi istnieć jakieś racjonalne wytłumaczenie. Że te prawa jazdy – wszystkie aktualne – i kosmyki włosów to tylko rekwizyty z filmu, przy którym pracował. Albo coś potrzebnego do następnego projektu. Albo że to pamiątki przysłane mu przez stuknięte fanki. Mnie samej jakiś facet czekający przy wejściu dla aktorów próbował kiedyś wręczyć żywego kurczaka, którego nazwał moim imieniem, więc wiem co nieco o dziwacznych prezentach od fanów.

Ale potem uważniej przyjrzałam się tym dokumentom i dwa z trzech nazwisk wydały mi się znajome. Oparłam się o wiekową umywalkę w przedsionku, wyjęłam telefon i wygooglowałam je.

Megan Keene zaginęła zeszłego lata i uznano, że padła ofiarą przestępstwa. Słyszałam o niej, bo Eli opowiadał nam o tej sprawie, kiedy razem z Lenem spędzaliśmy tydzień nad jeziorem właśnie tamtego lata, kiedy dziewczyna zniknęła.

O Sue Ellen Stryker, drugiej z dziewczyn, której nazwisko rozpoznałam, było głośno we wszystkich mediach zaledwie kilka tygodni wcześniej. Kiedy zniknęła, podejrzewano, że utonęła w innym jeziorze położonym parę kilometrów na południe od jeziora Greene. O ile się orientowałam, policja nadal prowadziła poszukiwania jej zwłok.

O Toni Burnett nie znalazłam niczego poza stroną na Facebooku założoną przez jej przyjaciół próbujących ustalić, gdzie może być. Ostatnio widziano ją dwa miesiące po zniknięciu Megan Keene.

W jednej chwili się pochorowałam.

Nie dostałam mdłości.

Dostałam gorączki.

Na całym ciele wystąpił mi pot, choć jednocześnie wstrząsały mną dreszcze.

Mimo to jakaś część mnie nadal nie chciała uwierzyć w najgorsze. To musiało być jakieś straszne nieporozumienie. Albo chory żart. Albo dziwny zbieg okoliczności. To przecież nie mogło oznaczać, że Len stoi za zniknięciami tych trzech dziewczyn. On nie był zdolny do czegoś takiego. Nie mój słodki, zabawny, łagodny, wrażliwy Len.

Ale kiedy sprawdziłam apkę kalendarza, której używaliśmy oboje, żeby być na bieżąco ze swoimi harmonogramami, zauważyłam pewien niepokojący trend – wszystkie dni, w które znikwały te dziewczyny, Len i ja spędziliśmy osobno.

Sue Ellen Stryker zaginęła w weekend, kiedy wróciłam do Nowego Jorku, żeby nagrać podkład lektorski do reklamy. Len został w domu nad jeziorem.

Megan Keene i Toni Burnett zniknęły, kiedy Len był w Los Angeles, gdzie pracował nad scenariuszem filmu o superbohaterach, który od kilku miesięcy zatruwał mu życie.

To powinno mi przynieść ulgę.

Ale nie przyniosło.

Bo nie miałam dowodu, że naprawdę był wtedy w LA. Tak często wyjeżdżaliśmy w związku z pracą – czasem razem, a czasem osobno – że nigdy się nie zastanawiałam, czy Len faktycznie wybierał się tam, dokąd mówił. Według kalendarza te dwa wyjazdy do LA wypadały w weekendy. Wyloty w piątki, powroty w poniedziałki. I choć byłam pewna, że Len za każdym razem dzwonił do mnie z lotniska tuż przed odlotem i po wylądowaniu, nagle zaświtało mi w głowie, że równie dobrze mógł przecież dzwonić z wypożyczalni samochodów w drodze do Vermontu i z powrotem.

W dniu, w którym zniknęła Megan Keene, Len zatrzymał się w Chateau Marmont. Tak przynajmniej wynikało z aplikacji kalendarza. Ale kiedy zadzwoniłam do tego hotelu i spytałam, czy Leonard Bradley zameldował się w tamten weekend, dowiedziałam się, że nie.

– Była zrobiona rezerwacja – poinformował mnie recepcjonista. – Ale się nie zjawiał. Ponieważ rezerwacja nie została odwołana, musieliśmy obciążyć jego kartę kredytową. Domyślałam się, że dzwoni pani w tej sprawie.

Rozłączyłam się i zadzwoniłam do hotelu, w którym miał się zatrzymać w weekend, w czasie którego zaginęła Toni Burnett. Uzyskałam taką samą odpowiedź. Zrobiono rezerwację, nie odwołano jej, Len się nie zjawiał, obciążono jego kartę.

Wtedy już wiedziałam.

Len – mój Len – zrobił tym dziewczynom coś złego. A kosmyki włosów i prawa jazdy w skrzynce z narzędziami to jego trofea. Chore pamiątki, które miały mu przypominać jego zbrodnie.

W ciągu kilku minut dopadły mnie wszystkie potworne emocje, jakie można sobie wyobrazić. Strach, smutek, szok, dezorientacja i rozpacz zderzyły się we mnie w tamtej jednej druzgocącej chwili.

Wybuchnęłam płaczem, a ponieważ cała się trzęsłam, gorące łzy rozpryskiwały się z moich policzków jak krople deszczu z szarpanego wiatrem drzewa.

Jęczałam, wpychając sobie pięść do ust, żeby nie usłyszał mnie Len na górze.

Gniew, uraza i poczucie zdrady były wręcz przytłaczające i szczerze sądziłam, że mnie zabiją. Perspektywa nie taka straszna, zważywszy na całą sytuację. To przynajmniej skróciłoby moje cierpienie, nie mówiąc już o tym, że uchroniłoby mnie przed koniecznością zmierzenia się z problemem, co powinnam zrobić. Iść na policję, wiadomo. Musiałam wydać Lena. Ale kiedy? I jak?

Postanowiłam mu powiedzieć, że nie znalazłam zapalniczki i muszę skoczyć do sklepu po zapalniczki. Wtedy pojedę prosto na najbliższy posterunek policji i tam wszystko powiem.

Powtarzałam sobie, że dam radę. W końcu jestem aktorką. Potrafię udawać przez kilka minut, że wcale nie mam mdłości, nie jestem przerażona i nie waham się między pragnieniem zabicia siebie a pragnieniem zabicia Lena. Wetknęłam

zapalniczkę, prawa jazdy i kosmyki włosów do kieszeni i ruszyłam na górę, gotowa okłamać męża i iść na policję.

Wciąż był w kuchni, jak zwykle głupekowo seksowny w tym swoim durnym fartuszkę z napisem „Pocałuj kucharza”. Nalał wina do dwóch kieliszków i wyłożył ser na półmisek. Istna domowa sielanka.

Jeśli nie liczyć noża w jego ręku.

Niby używał go w niewinnym celu – kroił salami na plasterki, które miały dołączyć do sera – ale ścisnął go tak, że mu knykcie zbieleły, a do tego tak się uśmiechał, że nagle zaczęły mi się trząść ręce. Nie mogłam przestać się zastanawiać, czy zabił te trzy dziewczyny właśnie tym nożem, tak samo mocno zaciskając na nim palce i uśmiechając się z takim samym zadowoleniem.

– Całe wieki to trwało – powiedział Len, nieświadomy faktu, że od czasu, kiedy ostatnio się widzieliśmy, wszystko się zmieniło. Że przed chwilą cała moja egzystencja legła w gruzach, jakbym była postacią z jednego z tych jebanych filmów o superbohaterach, nad którymi powinien był pracować, zamiast zajmować się mordowaniem trzech osób.

Wciąż kroił salami, a ostrze głośno uderzało w deskę. I kiedy słuchałam tego dźwięku, wszystkie straszne emocje, które się we mnie kotłowały, nagle się ulotniły.

Poza jedną.

Furią.

Wibrowała we mnie, jakbym była szklanką pełną wody, w którą ktoś uderzył młotkiem. Czułam się tak samo krucha. Tak samo gotowa rozlecieć się na kawałki. I przeniknięta tą furią, zaczęłam dostrzegać powody, dla których nie powinnam iść na policję. A przynajmniej nie sama.

Pierwszym, o czym pomyślałam, była moja kariera. Boże dopomóż, ale tak było. Gryzie mnie to do tej pory. Nagle sobie uświadomiłam, że ta sprawa ją zniszczy. Po czymś takim nikt mnie już nie zatrudni. Stanę się wyrzutkiem. Jedną z tych osób zamieszanych w coś tak niegodziwego, że nadszarpuje to ich reputację

już na zawsze. Gdyby wyszło na jaw, że Len jest zabójcą, ludzie osądziliby także mnie – i niewielu obdarzyłoby mnie kredytem zaufania. Wiedziałam, że większość zadawałaby sobie pytanie, jak mogłam nie zauważyć, że mieszkam i śpiam z seryjnym mordercą.

Byłam tego pewna, bo sama się nad tym zastanawiałam. Jak mogłam niczego nie podejrzewać? Jak mogłam przegapić sygnały? Jak mogłam nie wiedzieć?

Jeszcze gorsi byliby ci, którzy uznaliby, że o tym wiedziałam. Zaczęłoby się spekulowanie, czy sama nie jestem zabójczynią. A przynajmniej współniczką zabójcy.

Nie, tylko w jeden sposób mogłam to załatwić bez uszczerbku dla reputacji i kariery: Len musiał pójść ze mną. Gdyby się przyznał – najpierw mnie, a potem policji – to może wyszłabym z tej sprawy bez szwanku. Jako niewinna ofiara.

– Wybacz – odezwałam się, zszokowana, że w ogóle mogę mówić. – Dostałam esemesa od Marnie.

Len przerwał krojenie, nóż zawisł nad deską.

– Esemesa? Zdawało mi się, że słyszę, jak z kimś rozmawiasz.

– Bo w końcu do niej oddzwoniłam. Wiesz, jak ona lubi paplać.

– A co z zapalniczką?

Nerwowo przełknęłam ślinę.

– A co ma być?

– Znalazłaś ją?

– Tak.

Tym jednym słowem zaczęłam przygotowywać się do czegoś, co stało się najgorszą nocą mojego życia. Podałam Lenowi zapalniczkę i spytałam, czy mógłby rozpałcić ogień, bo chcę skoczyć na górę, żeby się przebrać. W sypialni wepchnęłam prawa jazdy na tył jednej z szuflad komody, a potem wciągnęłam na siebie dzinsy i bluzkę w kwiaty, w których zdaniem Lena wyglądałam wyjątkowo seksownie. Z łazienki wzięłam kilka tabletek przeciwhistaminowych, które zażywał na alergię. W kuchni wrzuciłam jedną z nich do kieliszka z winem i zaniiosłam Lenowi na

dwór. Miałam dwa cele: rozluźnić go na tyle, żeby się przyznał, a przy tym upić go i nafaszerować lekami, żeby nie zrobił się gwałtowny i niebezpieczny.

Len szybko wypił. Kiedy skończył, poszłam z jego kieliszkiem do kuchni, wrzuciłam do niego drugą tabletkę i napełniłam go winem.

To samo zrobiłam po raz trzeci.

Przez resztę wieczoru uśmiechałam się, gawędziłam, głośno się śmiałam, wzdychałam z zadowoleniem i udawałam, że jestem szczęśliwa.

Był to najlepszy występ, jaki w życiu dałam.

– Chodźmy popływać – zaproponowałam, gdy dochodziła północ.

– Łódką? – wymamrotał bełkotliwie Len. Pigułki zrobiły swoje.

– Tak, łódką.

Wstał, zachwiał się i gruchnął z powrotem na swoje krzesło.

– O! Jestem padnięty.

– Tylko pijany – skorygowałam.

– I dlatego wolę nie wsiadać do łodzi.

– Ale jezioro jest spokojne, a księżyc tak jasno świeci. – Nachyliłam się blisko, przyciskając do niego piersi i przybliżając mu wargi do ucha. – Będzie romantycznie.

Twarz Lena rozjaśniła się jak zawsze, kiedy myślał, że ma szansę zaliczyć. Zastanowiło mnie wtedy, czy tak samo wyglądał, zabijając Megan, Toni i Sue Ellen. Ta straszna myśl wciąż tkwiła mi w głowie, kiedy prowadziłam go do łodzi.

– Nie zapalasz? – spytał, gdy odepchnęłam motorówkę od przystani.

– Nie chcę obudzić sąsiadów.

Powiosłowałam na środek jeziora i wrzuciłam do wody kotwicę. Len był już na niezłej bani.

Nadeszła właściwa pora.

– Znalazłam je – powiedziałam. – Te prawa jazdy w twojej skrzynce z narzędziami. I kosmyki włosów. Wszystko znalazłam.

Len coś bąknął. Cicho, na znak, że skojarzył.

– Och – wymamrotał.

– Zabiłeś te dziewczyny, prawda?

Milczał.

– Odpowiedz mi. Przyznaj, że je zabiłeś.

– Co zrobisz, jeśli powiem, że tak?

– Zadzwoń na policję – odparłam. – A potem dopilnuję, żebyś trafił do więzienia i nigdy stamtąd nie wyszedł.

Nagle Len zaczął płakać. Nie z poczucia winy ani ze skruchy. To były samolubne łzy; wybuchnął płaczem, bo ktoś go przyłapał i czekała go kara. Szlochał jak dziecko i nachylał się ku mnie, wyciągając ręce, jakby szukał pociechy.

– Proszę, nie wydaj mnie, Cee – jęczał. – Proszę. Nie mogłem się opanować. Próbowałem. Naprawdę. Ale się poprawię. Przysięgam.

I nagle, kiedy tak patrzyłam na męża błagającego mnie o litość, której sam nigdy nie okazał innym, coś mną owładnęło. Poczułam, że jestem wydrażona z wszelkich uczuć poza jednym, które płonie w tej próżni niczym świeca w halloweenowej dyni.

To była nienawiść.

Pałaca, nieposkromiona.

Nienawidziłam Lena – za to, co zrobił, za to, że tak totalnie mnie oszukał.

Nienawidziłam go za zniszczenie życia, które razem zbudowaliśmy, za wymazanie tych pięciu cudownych lat i zastąpienie ich tą chwilą, w której szlochał i błagał, i próbował mnie obejmować, mimo że się wzdrygałam i odsuwałam od niego.

Nienawidziłam go za to, że mnie zranił.

Ale nie byłam jego jedyną ofiarą. Trzy inne ucierpiały znacznie bardziej niż ja. Żywiłam nadzieję, że przynajmniej próbowały się bronić i zadały Lenowi choć trochę bólu. A jeśli tego nie zrobiły, to cóż, ja mogłam to zrobić w ich imieniu.

Bo ktoś musiał dopilnować, żeby Len za wszystko zapłacił.

A jako wściekła, oszukana i zdruzgotana żona byłam najwłaściwszą osobą do tego zadania.

– Tak mi przykro, Cee – kajał się Len. – Proszę, proszę, wybacz mi. Proszę, nie wydaj mnie.

Wreszcie dałam się ubłagać i go przytuliłam. Len zdawał się topnieć w moich ramionach. Położył mi głowę na piersi, nie przestając szlochać, a mnie przez myśl przelatywały tysiące małżeńskich wspomnień.

– Tak bardzo cię kocham – powiedział Len. – A ty mnie kochasz?

– Już nie – odparłam.

A potem wypchnęłam go z łodzi i patrzyłam, jak znika w mrocznej toni.

Zabiłaś mnie – powtarza Katherine, jakby jej poprzednie słowa do mnie nie dotarły.

Dotarły, choć z ledwością. Wstrząśnięta, dygoczę na całym ciele. Wzbiera we mnie jakiś pomruk, stopniowo narasta od szeptu do krzyku.

To właśnie chcę robić.

Krzyczeć.

I może cały czas krzyczę, bezwiednie, bo przecież czuję, jak przepełnia mnie wrzask tak głośny, że zagłusza wszystkie dźwięki wokoło.

Podnoszę dłoń do ust i sprawdzam. Są zamknięte. Mocno zaciskam wargi, a bezużyteczny język ani drgnie. Wnętrze ust wyschło na wiór i zdrętwiało ze zdumienia, strachu i szoku do tego stopnia, że zaczynam się zastanawiać, czy jeszcze kiedyś będę w stanie wykrztusić choć słowo.

Bo to niemożliwe, aby Katherine wiedziała, co zrobiłam Lenowi.

Nikt nie wie.

Nikt oprócz mnie.

I niego.

Co oznacza, że Tom ma rację i to, co Eli opowiadał przy ognisku, jest prawdą. Nawet jeśli jego opowieść wydaje się kompletnym absurdem, stanowi jedyne wytłumaczenie tego, co w tej chwili przeżywam. Dusza, duch czy co tam, kurwa, innego zostało po Lenie, kiedy z jego ciała uszło życie, zagnieździło się w jeziorze Greene i czaiło w mrocznych odmętach, aby w dogodnej chwili zająć miejsce następnej osoby, która tam utonie.

A tą osobą okazała się Katherine.

Już nie żyła, kiedy tamtego popołudnia popłynęłam jej na ratunek. Teraz jestem tego pewna. Nie dotarłam do niej na czas, o czym jej stan – ten bezruch, te martwe oczy, sine usta i lodowate ciało – świadczył wyraźnie.

Sama byłam przekonana, że jest martwa.

Dopóki nagle nie ożyła.

Gdy Katherine oprzytomniała, zaczęła się rzucać, kaszleć i wypluwać wodę – miałam wrażenie, że stał się cud.

Mroczny.

Taki, w który wierzyli wyłącznie ludzie, o których opowiadał Eli.

Jakimś sposobem Len wniknął w Katherine i przywrócił ją do życia. Zarazem wskrzesił siebie, choć w innym ciele. Gdzie jest Katherine, ta prawdziwa, wszystko, co czyni ją nią – nie mam pojęcia.

– Len... – Urywam, zaskoczona, jak łatwo nazywać go jego imieniem, choć to nie jego widzę.

To Katherine. Jej ciało. Jej twarz. Wszystko jest jej – z wyjątkiem głosu, który z każdym słowem bardziej przypomina głos Lena, i z wyjątkiem jej zachowania.

To cały Len. Do tego stopnia, że w mózgu coś mi się przełącza i myślę o niej jak o nim.

– Wreszcie rozumiesz – mówi. – Założę się: myślałaś, że już nigdy mnie nie zobaczysz.

Nie wiem, o kim on właściwie teraz mówi. Może o obojgu. Myślałam tak i o nim, i o niej.

– Wcale nie – odpowiadam.

– Na szczęśliwą nie wyglądasz.

– Nie jestem.

Bo to jakiś koszmar. Spełnienie moich najgorszych lęków. Poczucie winy w fizycznej postaci. Ze wszystkich sił staram się nie zemdleć. A mimo to niebieskie plamki krążą mi przed oczami jak natrętne muchy.

Dosłownie nie mogę uwierzyć, że to się dzieje.

To nie powinno się dziać.

Jak to jest, kurwa, możliwe?

Przez ogłupiały od szoku mózg przelatuje mi ze sto odpowiedzi, wśród których szukam jednej, choć trochę logicznej. Że to przez prochy Lena, które wysypałam do jeziora Greene. Że znajdujące się w wodzie minerały utrzymały jego duszę przy

życiu. Że umarł przed swoim czasem i musiał się błąkać w głębinach. Że to jezioro jest po prostu przeklęte i nawiedzone, tak jak twierdzą Eli i Marnie.

Ale żadna z tych opcji nie jest możliwa.

Nie może być prawdą.

A zatem nią nie jest. Nie ma szans, żeby była.

Moje ciało i mózg zaczyna ogarniać ulga, kiedy dociera do mnie, że to tylko sen. Wywołany przez burbona koszmar, nic więcej. Bardzo możliwe, że wciąż siedzę na werandzie, zalana w trupa na bujanym krześle, na łasce i niełasce podświadomości.

Przesuwam dłonią po policzku, zastanawiając się, czy powinnam dać sobie w twarz, żeby się obudzić. Obawiam się, że tylko się rozczaruję. Bo to wcale nie wygląda na sen. Wszystko jest zbyt wyraźne, zbyt realne – od tej nieskładnej zbieraniny staroci stojących w kątach niczym gapie poprzez skrzywienie łóżka aż do mieszanki zapaszku ciała Lena i fetoru moczu unoszącego się znad pobliskiego wiadra.

Do głowy przychodzi mi inna myśl.

Że może to nie sen, może tak naprawdę umarłam i dopiero teraz zaczynam to sobie uświadamiać. Bóg jeden wie, jak to się stało. Zatrucie alkoholowe. Atak serca. Może utonęłam w jeziorze i dlatego widzę Lena w ciele Katherine. To mój osobisty przedsionek piekła, w którym ścierają się moje dobre i złe uczynki.

To jednak nie wyjaśnia obecności Toma. Ani dlaczego moje serce wciąż bije. Ani dlaczego tak się pocę w tej dusznej piwnicy. Ani dlaczego na zewnątrz wciąż szaleje burza.

– Po tym, co mi zrobiłaś, to jasne, że nie jesteś szczęśliwa – mówi Len. – Ale nie martw się. Nie mówiłem o tym Tomowi.

Wypowiedziałam dokładnie pięć słów do swego dawno nieżyjącego męża, czyli o pięć za dużo. A jednak nie mogę się oprzeć, by nie dołożyć jeszcze dwóch.

– Dlaczego nie?

– Bo nasze sekrety są ze sobą związane tak samo jak my. Mój zły uczynek sprawił, że ty też popełniłaś zły uczynek.

– Twój był znacznie gorszy niż mój, Len.

– Morderstwo to morderstwo.

– Nie zamordowałam cię. Utonąłeś.

– Semantyka – mówi Len. – Nie żyję przez ciebie.

Ta część jest prawdą, ale to tylko połowa całej historii. Reszta – wspomnienia, do których nie chcę wracać, a jednak wracam nieustannie – uderza we mnie niczym tysiąc fal rozbijających się o brzeg. Wszystkie te szczegóły, które próbowałam przepędzić każdym alkoholem, jaki wpadł mi w ręce. Teraz wróciły.

Co.

Do.

Jednego.

I zaczynam w nich tonąć.

Pamiętam, jak przechylałam się przez burtę łodzi i parę chwil, które zdawały mi się godzinami, patrzyłam, jak Len bije rękami w wodę i się dławi. Pamiętam, jak przez cały ten czas myślałam, że jeszcze nie jest za późno, że mogę wskoczyć do jeziora, uratować go, wyciągnąć na brzeg i zadzwonić na policję, a jednocześnie zdawałam sobie sprawę, że tego nie chcę.

Bo zrobił coś straszego i zasługiwał na karę.

Bo kiedyś go kochałam, ufałam mu i go uwielbiałam, a teraz znienawidziłam za to, że nie jest człowiekiem, za jakiego go uważałam.

Więc nie wskoczyłam do wody. Nie uratowałam go. Nie wyciągnęłam na brzeg. Nie zadzwoniłam na policję.

Niczego nie zrobiłam – patrzyłam tylko, jak tonie.

Potem, kiedy już byłam pewna, że nie żyje, podniosłam kotwicę i powiosłowałam z powrotem do brzegu. Pierwsze, co zrobiłam po wejściu do domu, to nalałam sobie burbona, rozpoczynając zwyczaj, który trwa do dziś. Wyszłam z drinkiem na werandę i siedząc na jednym z bujanych krzeseł,

wpatrywałam się w wodę z obawą, że Len jednak nie utonął i zaraz zobaczę, jak płynie w stronę przystani.

Gdy minęła godzina, a lód w pustej szklance prawie całkiem się roztopił, postanowiłam zadzwonić do kogoś i się przyznać.

Wybór padł na Marnie. Zawsze miała głowę na karku. Będzie wiedziała, co robić. Ale nie mogłam się zmusić, aby stuknąć palcem w jej numer telefonu. Nie z uwagi na siebie samą. Z uwagi na Marnie. Nie chciałam jej wciągać w swoje ciemne sprawy, czynić współwinną czegoś, co jej nie dotyczy. Ale był jeszcze inny powód, dla którego do niej nie zadzwoniłam, powód, który uświadomiłam sobie dopiero z perspektywy czasu.

Nie chciałam, żeby mnie wsypała.

A zrobiłaby to. Marnie jest dobrą osobą, znacznie lepszą ode mnie, i nie zawahałaby się pójść na policję. Nie po to, by mnie ukarać, ale dlatego, że właśnie tak należałoby postąpić.

A ja, która nie zrobiłam tego, co należało, nie chciałam ryzykować.

Bo to nie był bezdyskusyjny przypadek samoobrony. Len nie próbował mnie zranić fizycznie. Może by to zrobił, gdyby nie ta potężna mieszanka alkoholu i leków przeciwhistaminowych w jego organizmie. Ale był pijany i naćpany, a ja mogłam sto razy uciec.

Nawet gdybym twierdziła, że się broniłam, policja widziałaby to inaczej. W świetle prawa byłabym tylko kobietą, która odurzyła męża, wywiozła go na środek jeziora, wypchnęła za burtę i patrzyła, jak tonie. Nie miałoby znaczenia, że był seryjnym mordercą. Ani że te kosmyki włosów i skradzione prawa jazdy dowodziły jego zbrodni. I tak oskarżono by mnie o zabicie męża, chociaż wcale tego nie zrobiłam.

On utonął.

Po prostu go nie uratowałam.

Policja dopilnowałaby jednak, żebym poniosła karę. A ja nie chciałam zostać ukarana za ukaranie Lena.

On na to zasłużył.

Ja nie.

Więc zatarłam ślady.

Przede wszystkim wyjęłam włosy i prawa jazdy z szuflady komody, dokładnie wytarłam dokumenty tą samą chusteczką, w której je znalazłam, i ukryłam wszystko za obluzowaną deską w piwnicznej ścianie.

Potem zaparzyłam dzbanek kawy, przelałam ją do sfatygowanego termosu i wróciłam do piwnicy. Przygotowałam wszystkie rzeczy, które Len zabierał ze sobą, wypływając na ryby. Okłapy zielony kapelusz, wędkę, skrzynkę z narzędziami.

Wychodząc przez niebieskie drzwi, zostawiłam je lekko uchylone, aby wyglądało, że Len wyszedł właśnie tamtędy. Następnie zaniósłam wszystko do łodzi, co nie było łatwe. Panowały ciemności, a ja nie mogłam używać latarki, bo miałam zajęte ręce, a przede wszystkim się bałam, że ktoś na przeciwległym brzegu zauważy światło.

Wsiadłam do łodzi i powiosłowałam na środek jeziora. Tam wrzuciłam kapelusz do wody, a potem sama się zanurzyłam i wróciłam do brzegu wpław. W domu zrzuciłam z siebie mokre ciuchy, włożyłam je do suszarki, przebrałam się w koszulę nocną i wczołgałam do łóżka.

Nie zmrużyłam oka.

Całą noc spędziłam, czuwając i podskakując przy każdym skrzypnięciu w domu, szeleście liści za oknem, plusku wodnego ptactwa na jeziorze. Słyszając najdrobniejszy hałas, myślałam, że albo policja przyjechała mnie aresztować, albo Len, jakimś cudem wciąż żywy, wraca do domu.

Wiedziałam, co z tego jest gorsze.

Dopiero kiedy wstał świt, zrozumiałam, że zrobiłam coś strasznego.

Nie Lenowi.

Z jego powodu nie dokucza mi poczucie winy. Nie dokuczało wtedy i nie dokucza teraz.

I nie tęsknię za nim.

Tęsknię za osobą, za jaką go uważałam.

Za moim mężem.

Za człowiekiem, którego kochałam.

To nie był ten sam człowiek, na którego patrzyłam, gdy tonął. To był ktoś inny. Ktoś zły. Zasłużył na to, co go spotkało.

A jednak żałuję tego, co zrobiłam. Zżera mnie to w każdej sekundzie każdej minuty każdej godziny, kiedy jestem trzeźwa. Bo byłam samolubna. Czułam się tak wściekła, tak zraniona, tak cholernie zdradzona, że prawie wcale nie myślałam o tych dziewczynach, które zabił Len. To one są prawdziwymi ofiarami moich działań. One, ich rodziny oraz gliniarze, którzy wciąż usiłują odkryć, co się stało.

Zabijając Lena, zamiast oddać go w ręce policji, odebrałam im wszystkim możliwość uzyskania odpowiedzi. Megan Keene, Toni Burnett i Sue Ellen Stryker pozostają zaginione, a przeze mnie nikt się nie dowie, gdzie są. Ich rodziny wciąż żyją w strasznym stanie zawieszenia, trzymając się niewielkiej szansy, że dziewczyny kiedyś powrócą.

Ja mogłam opłakiwać Lena – a przynajmniej człowieka, za którego go uważałam – podczas dwóch nabożeństw żałobnych, po jednym na każdym wybrzeżu. Każde z nich przesiedziałam dręczona poczuciem winy, że mogę pograżać się w żalu, w przeciwieństwie do rodzin ofiar, które tego luksusu nie miały. Nie mogły urządzać nabożeństwa żałobnego, nie mówiąc nawet o dwóch. Nie było im dane w pełni przeżyć żałoby.

Pożegnanie.

To właśnie zamordowałam tamtej nocy.

To dlatego piję, aż kręci mi się w głowie, żołądek wywraca mi się na drugą stronę, a umysł ogarnia błoga pustka. I to dlatego przez cały czas przesiaduję na tej werandzie, wpatrując się w wodę z nadzieją, że jeśli będę to robić wystarczająco intensywnie, przynajmniej jedna z tych biednych duszyczek mi się objawi.

Moja jedyna próba zadośćuczynienia polegała na tym, że włożywszy rękawiczki, wygrzebałam skądś pocztówkę znad jeziora Greene, którą kupiłam wiele lat temu z powodu, którego już nie pamiętam. Na odwrocie nabazgrałam trzy imiona i nazwiska, a pod nimi cztery słowa.

„Myślę, że są tutaj”.

Napisałam to lewą ręką. Grafolog Wilmy trafnie to zauważył. Na odwrocie kartki nakleiłam samoprzylepny znaczek i wrzuciłam ją do przypadkowej skrzynki pocztowej w drodze do najbliższego baru. Wypiłam tyle, że gdy się zjawiłam w teatrze, gdzie grałam w *Strzępie wątpliwości*, ledwo trzymałam się na nogach.

Była środa, godzina trzynasta.

Zanim zdążyłam wytrzeźwieć, nie miałam już pracy.

Jak na ironię wysłanie tej kartki okazało się bezcelowe. Nie tylko niczego nie wyjaśniło, ale jeszcze bardziej zagmatwało sprawę, bo przekonało Wilmę i Boone'a, że nadała ją Katherine Royce, a Tom jest winien zbrodni popełnionych przez Lena.

A ja musiałam udawać, że też tak myślę. W przeciwnym razie pozostałoby mi przyznanie się do tego, co zrobiłam.

Teraz jednak, patrząc na kogoś, kto zdecydowanie nie jest moim mężem, a jednocześnie na pewno nim jest, zaczynam dostrzegać szansę na naprawienie poważnego błędu, który popełniłam.

Len wrócił. Może mi powiedzieć, co zrobił swoim ofiarom, a ja wreszcie zdołam zapewnić ich bliskim pożegnanie, którego możliwość im odebrałam.

Wciąż nie pojmuję, jak ani dlaczego sprawy przyjęły tak surrealistyczny obrót. Wątpię, czy kiedykolwiek poznam siły, naturalne bądź nadprzyrodzone, które za tym stoją. Jeśli to jakiś popieprzony cud, to nie zamierzam tracić czasu na jego kwestionowanie. Wolę w pełni go wykorzystać.

Robię krok w kierunku łóżka, przyciągając zaintrygowane spojrzenie Lena. Dziwne, z jaką łatwością zastąpił w moim umyśle Katherine. Choć mam

świadomość, że patrzę na nią, nie mogę się powstrzymać od wyobrażania sobie jego.

– Ty coś kombinujesz, Cee – mówi, kiedy się do niego zbliżam. – Masz w oczach ten błysk.

Teraz stoję już z boku łóżka, wystarczająco blisko, aby go dotknąć. Drżącą rękę kładę na jego prawej nodze, ale zaraz odsuwam się tak gwałtownie, jakbym się sparzyła o gorący piecyk.

– Nie bój się – mówi Len. – Nigdy bym cię nie skrzywdził, Cee.

– Już to zrobiłeś.

Wydaje z siebie gorzki chichot.

– Powiedziała kobieta, która patrzyła, jak się topię.

Nie mogę zaprzeczyć. Tak właśnie zrobiłam, w rezultacie skazując niezliczone osoby na życie w niepewności. A one potrzebują odpowiedzi. Tak samo jak ja pragnę ulgi i wyzwolenia się z poczucia winy, które przytłacza mnie od ponad roku.

Moja dłoń wraca na nogę Lena, sunie przez wybrzuszenie jego kolana i goleń aż do sznura wokół kostki. Sięgam do jego drugiego końca, ciasno owiniętego wokół ramy łóżka i zwieńczonego wielkim, niechlujnym węzłem.

– Co robisz? – pyta Len.

Szarpię za węzeł.

– Zabieram cię stąd.

Poluzowanie węzła zajmuje mi dobrą chwilę. Aż dziw, że Tom się nie pojawia, zanim kończę. Sznura wokół kostki Lena nie ruszam. Jeszcze mi się przyda, tak jak więzy przy pozostałych kończynach.

Zamiast uwolnić drugą nogę, zajmuję się jego rękami. Najpierw odwiązuję lewą – teraz idzie mi lepiej, widać nabrałam wprawy. Gdy tylko ją uwalniam, Len wyciąga ją w moim kierunku, a mnie przebiega przez umysł spanikowana myśl, że zaraz mnie uderzy. On jednak głaszcze mój policzek delikatnymi jak piórko muśnięciami, tak jak robił to kiedyś, po seksie.

– Chryste, stęskniłem się za tobą.

Odsuwam się i zaczynam rozwiązywać sznur, którym przywiązana jest jego prawa ręka.

– Nie mogę powiedzieć, że ja też.

– Zmieniłaś się – dodaje. – Jesteś kaśliwsza. Twardsza.

– Przez ciebie.

Odwiązuję sznur od ramy łóżka i ciągnę za niego, szybko odskakując, a Len, chcąc nie chcąc, nieco się rozciąga niczym szarpnięta za sznurek marionetka. Wciąż napinając sznur, obchodzę przód łóżka i chwytam za koniec przywiązany do jego lewej ręki.

– Zapomniałaś o drugiej nodze – mówi Len.

– Nie zapominałam – odpowiadam. – Przesuń się do przodu, żebyśmy mogła związać ci ręce za plecami. Nie utrudniaj mi tego, to odwiążę ci drugą nogę.

– A dostanę przedtem całusa?

Mruga kokieteryjnie, od czego zbiera mi się na wymioty.

– Mówię poważnie – dodaje. – Tom może wrócić w każdej chwili.

Len przytakuje, więc poluzowuję sznur. Kiedy zakłada ręce za plecy, przyciskam jedną do drugiej i kilkakrotnie obwiązuję nadgarstki, po czym zaciskam węzeł najmocniej, jak potrafię. Zadowolona, że się nie uwolni, przechodzę do stóp łóżka, żeby zająć się sznurem wokół lewej kostki Lena.

Tom wraca, akurat kiedy kończę; sznur zwisa z ramy łóżka, gdy od strony schodów dobiega odgłos jego kroków.

Len zsuwa się z łóżka, a ja szukam czegoś, czym w razie konieczności mogłabym się bronić przed Tomem. Przypuszczam, że nie pozwoli nam tak łatwo odejść. Wybieram odłamaną nogę od stołu opartą o kufer. Chwytam ją i nagle uświadamiam sobie, że nie mamy żadnego planu. Nie było czasu niczego wymyślić. Mogę mieć tylko nadzieję, że Len jest tak samo zdeterminowany jak ja, żeby wydostać się z tej piwnicy.

I że nie będzie próbował mnie skrzywdzić.

Tom zatrzymuje się na dole schodów, rzuca spojrzenie na łóżko i aż wytrzeszcza oczy.

– Co, do jasnej...

Len naciera na niego, zanim Tom zdąży dokończyć zdanie, i wali go barkiem jak taranem.

Wzięty z zaskoczenia Tom przewraca się na podłogę.

Len rzuca się w kierunku schodów, wlokąc za sobą przywiązane do kostek sznury. Tom wyciąga rękę, chwyta za jeden, ciągnie. Zanim zdąży szarpnąć dość mocno, żeby Len się wywrócił, przywalam mu w ramię nogą od stołu. Tom wyje z bólu i puszcza sznur, pozwalając Lenowi czmychnąć.

Stoję między nimi, wciąż wywijając kawałkiem drewna, którym właśnie posłużyłam się jako bronią, żeby duch mężczyzny, którego śmierć spowodowałam, mógł uciec w ciele kobiety, którą – jak sądziłam – zabił Tom, a w mojej głowie kołacze się jedna myśl.

Co ja, do cholery, wyprawiam?

Odpowiedź jest prosta: nie wiem. Nie byłam przygotowana na coś takiego. Bo niby jak miałabym to przewidzieć? Teraz więc, kiedy to się dzieje – naprawdę, bezsprzecznie, na moich oczach – działam instynktownie, napędzana pragnieniem odnalezienia tych dziewczyn, które zabił Len, i strachem, że Tom się dowie, że

jestem winna dokładnie tego, o co sama go oskarżałam. W tej chwili rozdzielanie ich wydaje się najlepszym, co mogę zrobić.

Biegnę więc na górę za Lenem, popędzając go, żeby Tom nas nie dopadł. Co prawie mu się udaje. Dogania nas w połowie schodów i muszę zamachnąć się na niego nogą od stołu, jakby to był kij bejsbolowy. Drewno uderza w jedną ścianę klatki schodowej, odbija się rykoszetem i trafia w drugą.

Tom robi unik, potyka się i opada na czworaki. Przez cały czas wykrzykuje:

– Casey, przestań! Proszę, nie rób tego!

Nie zatrzymuję się, doganiam Lena u szczytu schodów i wypycham go przez drzwi. Kiedy oboje jesteśmy za progiem, odwracam się i widzę Toma, który gramoli się za nami, wołając:

– Nie! Zaczekaj!

Zatrzaszukuję drzwi i ledwie blokuję je łańcuchem, kiedy Tom zaczyna w nie walić. Uchylają się tylko na tyle, na ile pozwala zabezpieczenie. Pięciocentymetrową szczelinę między drzwiami a futryną wypełnia twarz Toma.

– Posłuchaj mnie, Casey! – syczy. – Nie ufaj jej!

Napieram na drzwi, próbując je zatrzaskać, a Len usiłuje przepchnąć stojący w pobliżu kredens. Mebel ani drgnie. Len stęka i pcha, zapominając, że teraz jest w ciele o połowę mniejszym i słabszym niż kiedyś. Muszę mu pomóc, więc zaczynam ciągnąć kredens ku sobie. Wspólnymi siłami udaje nam się przesunąć go o parę centymetrów przed drzwi, zanim Tom odchyła się do tyłu, aby znów je zaatakować.

Wymierza w nie kopniaka.

Łańcuch pęka.

Drzwi się otwierają, ale uderzają w tył kredensu.

Ciągnąc i pchając z całych sił, wspólnie z Lenem dosuwamy do nich mebel, aż się zatrzaszukują i Tom zostaje uwięziony w piwnicy. Wali w drzwi i kopie, błagając mnie, żeby go wypuścić.

Zamierzam to zrobić. Po wszystkim.

Teraz jednak muszę zabrać Lena do domu nad jeziorem, gdzie będę mogła przepytąć go w spokoju.

Wychodzimy kuchennymi drzwiami. Burza na dworze tłumi głuchoe odgłosy walenia i krzyki Toma. Wyjący wiatr mocno wygina drzewa, aż jestem zdziwiona, że się nie łamią. Ściana deszczu jest oślepiająca, a nad głową przetaczają się grzmoty. W świetle błyskawicy widzę, że Len zaczyna biec.

Zanim zdąży uciec, chwytam za sznury, które wciąż oplatają mu kostki, i szarpie nimi jak lejcami. Len pada jak długi. Nie wiedząc, co robić, rzucam się na niego i przyciskam go do ziemi, a deszcz siecze nas oboje po plecach.

– Myślałem, że mnie uwolniłaś – mamrocze Len pode mną.

– Nic z tego. – Zsuwam się z niego. – Wstawaj.

Posłusznie wstaje – co nie jest łatwe, bo ręce ma wciąż związane za plecami, a wokół kostek sznury, których końce ściskam w garści, jakby był niesfornym psem na smyczy. Kiedy się wreszcie podnosi, ponagliam go szturchnięciem.

– Idziemy na pomost. Powoli. Do łodzi.

– A, do łodzi – mówi Len, powłócząc nogami w kierunku jeziora. – To mi coś przypomina.

Brnąc przez burzę, zastanawiam się, ile pamięta z tej nocy, kiedy zginął. Sądząc po jego sarkazmie, przypuszczam, że większość. Ciekawa jestem, czy wie coś na temat tych czternastu miesięcy, które upłynęły od tamtej chwili. Trudno sobie wyobrazić, aby jego unoszący się w wodzie duch miał poczucie upływu czasu. Z drugiej strony nigdy też nie wyobrażałam sobie, że kiedykolwiek będzie nieźbornie truchtał pomostem w ciele byłej supermodelki, a tu proszę.

I znowu myślę: to się nie dzieje. To jakiś koszmar. To nie może być prawda.

Niestety to wszystko wydaje się aż nadto realne, tak samo jak wiatr, deszcz i fale na wzburzonym jeziorze, które rozbijają się o pomost. Gdyby to był sen, nie przemokłabym do suchej nitki. Nie byłabym przerażona jak jasna cholera. Ani nie bałabym się, że ta rozbryzgująca się o kostki niespokojna toń zmyje mnie z przystani.

Idący przede mną Len faktycznie się poślizguje i przez chwilę się boję, że wpadnie do wody.

Ze związanymi z tyłu rękami poszedłby na dno jak kamień. Nie martwię się tym, że by utonął. To jasne. Ale nie chcę, żeby się utopił, zanim mi powie, gdzie ukrył ciała swoich ofiar.

Lenowi udaje się utrzymać równowagę i wejść do łodzi, gdy ta akurat wspina się na grzbiet fali na końcu pomostu. Gramolę się za nim i szybko zaczynam przywiązywać sznury zwisające z jego kostek do siedzenia przytwierdzonego do dna motorówki.

– To zupełnie niepotrzebne – mówi, kiedy kończę.

– Śmiem się nie zgodzić.

Po przywiązaniu Lena przechodzę na tył łodzi i uruchamiam silnik. Na tak wzburzonym jeziorze wiosłowanie nie wchodzi w grę. Trudno płynąć, nawet gdy silnik zaburtowy pracuje na pełnych obrotach. Przepawa, która zazwyczaj trwa dwie minuty, tym razem zajmuje prawie kwadrans. Gdy w końcu docieramy do brzegu, dopiero przy trzeciej próbie – po dwóch potężnych uderzeniach w pomost – udaje mi się zacumować.

Powtarzam piruety, które przed chwilą wykonywałam na przystani Fitzgeraldów. Odwiązuję nogi Lena, każę mu wyjść z podskakującej na falach łodzi i prowadzę go przez pomost zalewany wzburzoną wodą.

Dochodząc do domu, Len pochmurnieje i milknie. Nie odzywa się ani słowem, gdy każę mu wspiąć się po stopniach na werandę, a potem wejść do środka. Wydaje tylko niezadowolone westchnienie, kiedy go szturcham, zmuszając do wdrapania się aż na drugie piętro.

U szczytu schodów wybieram pierwszą sypialnię z brzegu.

Mój stary pokój.

Nie tylko jest blisko klatki schodowej, gdyby coś poszło nie tak i musiałabym prysnąć, ale też dwa łóżka w środku mają mosiężne ramy, jak tamto w piwnicy Fitzgeraldów.

Przywiązując Lena, robię wszystko w odwrotnej kolejności niż poprzednio. Najpierw lewa kostka, żeby go unieruchomić, potem lewy nadgarstek.

Jako że łóżko stoi w kącie, jestem zmuszona pochylić się całym ciałem nad Lenem, aby móc zabezpieczyć jego prawy nadgarstek. To bardzo intymna pozycja. Jednocześnie znajoma i obca. Wspomnienie długich, leniwych nocy z Lenem zderza się z realnością jego nowego ciała: miękkiej skóry, długich włosów i pełnych piersi Katherine.

Pospiesznie przywiązuję jego nadgarstek, szarpiąc się ze sznurem, w obawie, że Len wykorzysta tę chwilę, aby mnie obezwładnić. Zamiast to zrobić, wpatruje się we mnie wzrokiem zauroczonego Romea. Rozchyła wargi w głębokim westchnieniu tęsknoty, owiewa moją twarz gorącym oddechem.

Czuję okropny zapach, a jego dotyk jest jeszcze gorszy.

Jak inwazja.

Krzywiąc się, kończę ten chaotyczny węzeł, odsuwam się od Lena i podchodzę do nóg łóżka. Przywiązuję jego prawą kostkę do ramy, po czym opadam na drugie łóżko i mówię:

– Teraz odpowiesz mi na parę pytań.

Len wciąż milczy i unika mojego wzroku. Z przesadnym wyrazem znudzenia na twarzy wbija spojrzenie w sufit.

– Opowiedz mi o Katherine – żądam.

Milczy.

– W końcu będziesz musiał się odezwać.

Wciąż cisza.

– Jak chcesz. – Wstaję, przeciągam się, podchodzę do drzwi. – Ponieważ do niczego nie dojdziemy, dopóki nie zaczniesz mówić, to chyba zrobię sobie kawę.

Przystaję w progu, dając Lenowi szansę na odpowiedź. Po kolejnych trzydziestu sekundach milczenia schodzę do kuchni i włączam ekspres. Słucham jego syczenia i kapania, opierając się o blat kuchenny, kiedy nagle dociera do mnie cały ciężar wydarzeń dzisiejszego wieczoru.

Len wrócił.

Katherine jest nie wiadomo gdzie.

Tom siedzi zamknięty w piwnicy Fitzgeraldów.

A ja? Chyba zaraz zwymiotuję.

Mdłości atakują znienacka. W jednej chwili stoję wyprostowana, w następnej padam na podłogę, zgięta wpół, a kuchnia wiruje wokół mnie. Próbuję się podnieść, ale moje nogi nagle odmawiają posłuszeństwa. Muszę doczołgać się do łazienki dla gości, gdzie wymiotuję do sedesu.

Gdy kończę, opieram się o ścianę i siedzę, szlochając, oddychając gwałtownie i krzycząc w ręcznik zerwany z wieszaka obok. Już nie chcę wierzyć, że to wszystko się nie dzieje – teraz chcę wiedzieć, jak to powstrzymać.

Bo nie dam rady zachować równowagi.

Nie żebym teraz choć trochę nad sobą panowała.

Ale wiem, że będzie tylko gorzej, jeśli Len nie zacznie mówić. Człowiek może znieść ograniczoną dawkę stresu, lęku i kompletnego rozjebania, zanim w końcu zeświruje.

Do tego punktu jeszcze nie doszłam, choć może mi wiele nie brakować. Dopóki to nie nastąpi, mam coś do zrobienia. Wstaję więc, poniekąd zaskoczona, że potrafię, i ochlapuję twarz zimną wodą. Kiedy wycieram się ręcznikiem, w który przed chwilą krzyczałam, uderza mnie pewna myśl.

Że przynajmniej nie będzie już gorzej.

Pocieszam się nią – niestety do czasu.

Bylaam zbyt zajęta wymiotowaniem, dyszeniem, krzyczeniem w ręcznik czy ochlapywaniem twarzy wodą, żeby usłyszeć zajeżdżający pod dom samochód.

Albo odgłos otwieranych i zatraskiwanych przez wysiadającego kierowcę drzwi.

Albo zbliżające się do domu kroki.

Świadomość czyjejś obecności dociera do mnie dopiero, kiedy słyszę pukanie do drzwi. Dwa stuknięcia, tak głośne i nieoczekiwane jak nagłe wystrzały z broni palnej. Kiedy się rozlegają, akurat patrzę w lustro, a mój zastygły grymas przywodzi na myśl spanikowaną sarnę w blasku reflektorów samochodowych. Rozchylone wargi. Oczy wielkie jak spodki, rozszerzone zdumieniem. Z twarzy, przed sekundą różowej i opuchniętej, nagle odpływa krew.

Dwa kolejne stuknięcia wyrywają mnie z odrętwienia. Pod wpływem pierwotnego instynktu przetrwania wyskakuję z łazienki z ręcznikiem w dłoni, w pełni świadoma tego, co muszę zrobić, nawet się nad tym nie zastanawiając. Pędzę na górę i wpadam do sypialni – zaskakuję Lena, który wreszcie próbuje coś powiedzieć.

Nie daję mu szansy się odezwać.

Wpycham mu do ust ręcznik i zawiązuję jego końce z tyłu głowy.

Potem zbiegam ze schodów, ale zatrzymuję się w połowie, żeby złapać oddech. Resztę drogi pokonuję powoli, czując, jak gorączkowe bicie serca zmienia się w miarowy rytm.

– Kto tam?! – wołam już z przedpokoju.

– Wilma Anson.

Serce podskakuje mi do gardła – jak na sprężynie – po czym wraca na swoje miejsce. Ocieram pot z czoła, przyklejam na twarz uśmiech tak szeroki, że mógłby dotrzeć do najdalszych miejsc w teatrze, i wreszcie otwieram drzwi. Za progiem stoi Wilma, otrząsając się z deszczu, który przemoczył ją do suchej nitki, zanim dotarła z samochodu na werandę.

– Pani detektyw – witam ją radośnie. – Co panią sprowadza w taką pogodę?

– Byłam w okolicy. Mogę wejść?

– Oczywiście. – Otwieram szeroko drzwi i wprowadzam ją do przedpokoju, gdzie Wilma taksuje mnie przez sekundę chłodnym i badawczym spojrzeniem.

– Dlaczego jest pani taka mokra? – pyta.

– Wyszłam, żeby rzucić okiem na łódź – odpowiadam kłamstwem, które przychodzi mi do głowy jak na zawołanie. – A teraz zamierzam napić się kawy.

– O tej porze?

– Kofeina mnie nie pobudza.

– Ma pani szczęście – mówi Wilma. – Gdybym ja wypła teraz filiżankę, nie zmrużyłabym oka do świtu.

Ponieważ wciąż mnie lustruje w poszukiwaniu oznak, że coś jest nie tak, zapraszam ją gestem w głąb domu. Gdybym tego nie zrobiła, nabrałaby jeszcze większych podejrzeń. Prowadzę ją do kuchni, gdzie nalewam kawy do kubka, z którym następnie przechodzę do jadalni.

Wilma idzie tam za mną. Kiedy zajmuje miejsce przy stole, szukam wzrokiem kabury z bronią ukrytej pod jej kurtką. Jest tam, z czego wnioskuję, że policjantka przybyła w sprawie służbowej.

– Zaryzykuję twierdzenie, że to nie jest wizyta towarzyska – odzywam się, siadając naprzeciwko niej.

– Słusznie – potwierdza Wilma. – Myślę, że pani wie, o co chodzi.

Szczerze mówiąc, nie wiem. Zbyt wiele wydarzeń z ostatnich dwudziestu czterech godzin mogłoby się stać przyczyną wizyty policji stanowej.

– Jeśli o mój dzisiejszy telefon, to bardzo przepraszam. Oskarżenie Boone’a było zupełnie nieprzemyślane.

– Racja – przytakuje Wilma.

– I nie wierzę, żeby miał coś wspólnego z tym, co się tu dzieje.

– Bo nie ma.

– Cieszę się, że się zgadzamy.

– Jasne – odpowiada Wilma tonem wyraźnie wskazującym, że ma gdzieś, czy się zgadzamy, czy nie. – Niestety nie przyszedłam tu, żeby rozmawiać o Boonie Conradzie.

– W takim razie po co?

Zerkam na nią przez parę unoszącą się znad mojego kubka kawy, próbując odgadnąć, o czym myśli. Bez skutku.

– Obserwowała pani dom Royce'ów dziś wieczorem? – pyta Wilma.

Teraz



U pijam łyczek burbona, wpatrując się w przywiązaną do łóżka osobę, przepełnioną lękiem i fascynacją, że ktoś tak zły może znajdować się w kimś tak pięknym. Coś takiego nie powinno być w ogóle możliwe. A jednak się dzieje. I to na moich oczach. Dlatego co chwila podnoszę do ust szklaneczkę burbona.

Tym razem biorę porządny łyk.

– Pamiętam czasy, kiedy upijałaś się jednym kieliszkiem wina – mówi Len, przyglądając się, jak piję. – Widzę, że to się zmieniło. Przypuszczam, że miałem z tym co nieco wspólnego.

Przełykam drinka.

– Więcej niż co nieco.

– Czy wolno mi powiedzieć, że się o ciebie martwię? – pyta Len. – Bo tak jest. To niepodobne do ciebie, Cee. Bardzo się różnisz od osoby, w której się zakochałem.

– I nawzajem.

– To dlatego postanowiłaś się zapić na śmierć?

– Kto jak kto, ale ty nie masz prawa mnie pouczać – mówię. – Nie życzę sobie twojej jebanej troski. Bo to – unoszę szklaneczkę burbona, którą wciąż ściskam w dłoni – twoja wina. Od a do zet. Możemy sobie jeszcze pogadać o tym, dlaczego piję, ale najpierw opowiesz mi więcej o tych dziewczynach, które zabiłeś.

– Chcesz wiedzieć, jak to zrobiłem?

Uśmiecha się. Jego chory, makabryczny grymas wygląda wulgarnie na miłej i pięknej twarzy Katherine. Powstrzymuję się z całych sił, żeby mu go nie zmazać.

– Nie – odpowiadam. – Chcę wiedzieć, dlaczego to zrobiłeś. Bo nie chodziło o samą przyjemność. Coś cię do tego zmusiło.

Za oknem słychać hałas.

Wiatr nad jeziorem wyje jak potępieniec.

Potężny podmuch uderza w dom, który aż się trzęsie w posadach, a wszystkie szyby w oknach drżą. Lampka na szafce nocnej znowu zaczyna migotać.

Tym razem nie przestaje.

– Wcale nie chcesz tego wiedzieć, Cee – mówi Len. – Tak ci się tylko wydaje. Bo żeby naprawdę zrozumieć moje postępowanie, musiałabyś zmierzyć się ze wszystkim, co mnie dotyczy, a czego wolałaś nie widzieć, zbyt zajęta lizaniem ran z własnego gównianego dzieciństwa. Ale ciebie nie porzuciła matka kurwa. Nie miałaś ojca, który cię bił. Nie dorastałaś, tułając się od jednej rodziny zastępczej do drugiej jak niechciany kundel.

Len chce, żebym mu współczuła, i faktycznie współczuję. Żadne dziecko nie powinno przeżywać tego, przez co przeszedł. Wiem jednak, że wiele dzieci doświadcza takiego koszmaru, a mimo to potrafią przejść przez życie, nie raniąc innych.

– Te dziewczyny, które zabiłeś, nie były temu winne – rzucam.

– Miałem to gdzieś. Chciałem kogoś zranić. Potrzebowałem tego.

A ja potrzebowałam, żeby był człowiekiem, którym mi się wydawał. Dobrym, przyzwoitym, czarującym facetem, którego jak niesłusznie sądziłam, poślubiłam. Myśl, że nie umiał – lub nie chciał – spełnić tej potrzeby, napełnia mnie paskudnym zlepkim gniewu, smutku i żalu.

– Skoro tak się czułeś, to dlaczego uparłeś się mnie w to wciągnąć? – W moim głosie czuć drżenie. Sama nie wiem, która emocja je powoduje: wściekłość czy rozpacz. – Trzeba było dać mi spokój. A ty pozwoliłeś mi się w sobie zakochać. Pozwoliłeś, żebym za ciebie wyszła i budowała z tobą wspólne życie. Choć od początku wiedziałeś, że je zniszczysz.

Len kręci głową.

– Nie sądziłem, że sprawy zajdą tak daleko. Myślałem, że nad tym panuję.

– Powinieneś się opanować ze względu na nasze małżeństwo – mówię, a drżenie głosu przeradza się w dygot. – Ze względu na mnie!

– Staralem się – zapewnia Len. – Ale ta żądza nie chciała się poddać. Czasami nocą, kiedy spałaś, leżałem bezsennie, rozmyślając, jakie to uczucie patrzeć, jak w czyichś oczach gaśnie życie, i wiedzieć, że sam to spowodowałem. Im częściej

o tym myślałem, tym bardziej się opierałem. A im bardziej się opierałem, tym silniejsze stawało się to pragnienie.

– Ale potem przyjechałeś tutaj i to zrobiłeś.

– To nie był początek – zaznacza Len, a mnie aż ściska w dołku na myśl, że zabijał gdzieś jeszcze. – W LA. Czasem, kiedy wyjeżdżałem tam do pracy, szwendałem się po ulicach, znajdowałem jakąś prostytutkę i zabierałem ją do pokoju.

Nawet się nie wzdrygam. Gdy wiesz, że twój mąż zamordował przynajmniej trzy osoby, odkrycie, że cię zdradzał, nie robi na tobie takiego wrażenia jak w normalnych okolicznościach.

– Pewnej nocy nie chciało mi się kombinować z pokojem. Wsiedliśmy do samochodu, zaparkowałem w spokojnym miejscu, dogadaliśmy się co do zapłaty. Rozłożyłem przednie siedzenie, a ona uklękła przede mną i robiła mi loda niewartego pieniędzy, które za niego zapłaciłem. Pomyślałem wtedy, jak łatwo byłoby ją w takiej chwili zabić.

Wstrząsa mną dreszcz odrazy. Nie potrafię uwierzyć, że ten człowiek był moim mężem, że sypiałam u jego boku, że kochałam go każdą cząstką swego jestestwa. Co gorsza, nie umiem pogodzić się z tym, jak bardzo mnie oszukał. Przez cały czas trwania naszego małżeństwa nigdy nawet nie podejrzewałam – ani razu – że jest aż tak okrutny i zepsuty.

– I zrobiłeś to? – pytam, nie chcąc znać odpowiedzi, ale jej potrzebując.

– Nie – odpowiada Len. – To było zbyt ryzykowne. Ale wiedziałem, że pewnego dnia to zrobię.

– Dlaczego tutaj?

– A dlaczego nie? To spokojne, odludne miejsce. No i mogłem wynająć samochód, przyjechać tu w weekend, wrócić i udawać, że byłem w LA. Nigdy niczego nie podejrzewałaś.

– W końcu się dowiedziałam.

– Za późno dla Megan, Toni i Sue Ellen.

Moje wnętrzości przeszywa ból tak ostry i skręcający, jakbym chwyciła ten leżący na łóżku nóż i wbiła go sobie w bok.

– Powiedz, gdzie ukryłeś ich ciała.

– Żeby odkupić swoje grzechy?

Kręcę głową i biorę kolejny łyk burbona.

– Żeby odkupić moje.

– Rozumiem – mówi Len. – A co potem? I nie udawaj, że tego nie przemyślałaś. Doskonale wiem, co planujesz. Jak tylko się dowiesz, gdzie są te ciała, zabijesz mnie po raz drugi.

Kiedy Len żył, jego zdolność czytania w moich myślach wydawała mi się niesamowita. Czasem miałam wrażenie, że zna każdy mój nastrój, kaprys i potrzebę, co wręcz uwielbiałam. Cudownie było mieć męża, który zna mnie tak dobrze. Z perspektywy czasu stanowiło to jednak raczej przekleństwo niż błogosławieństwo. Podejrzewam, że to dzięki tej umiejętności Len tak długo i skutecznie ukrywał przede mną swą prawdziwą naturę. A teraz dzięki niej wie dokładnie, jaki mam plan.

– Tak – potwierdzam, nie widząc sensu w okłamywaniu go. I tak by mi nie uwierzył. – Właśnie to zamierzam zrobić.

– A jeśli odmówię?

Odstawiam szklaneczkę na szafkę nocną obok lampki, która wciąż migocze, pogrążając pokój w mikrowybuchach światła i mroku, gdy moja dłoń znowu sunie w kierunku noża.

– Wtedy i tak cię zabiję.

– Raczej nie chcesz mieć tyle krwi na rękach, Cee. – Len wymawia mój przydomek, przesadnie sycząc. – Wiem z doświadczenia, że nie zawahasz się zabić mnie. Ale już druga ofiara powinna cię przystopować.

– Jaka druga ofiara?

– Katherine, rzecz jasna.

Nie musi dodawać nic więcej. Doskonale rozumiem, co chce powiedzieć.

Że zabijając jego, zabiłabym również Katherine Royce.

Ta informacja co nieco rozjaśnia. Nie ułatwia sytuacji, ale budzi nadzieję.

– Ona wciąż tam jest – mówię.

Zanim Len zdąży odpowiedzieć, za oknem znów wyje wiatr.

Jest coraz bliżej.

Atakuje z góry.

Uderza w dom i wszystko się trzęsie, łącznie ze mną. Chwytam się szafki nocnej, żeby nie upaść. W korytarzu coś spada na podłogę i się roztrzaskuje.

Lampka nocna przestaje mrugać na dość długo, żebym zobaczyła, jak podryguje szklaneczka z burbonem, a Len napina więzy, uśmiechając się z zadowoleniem.

Potem lampka gaśnie, a pokój i cały dom spowija nieprzenikniony mrok.

Ciemność zapada tak nagle, że aż się zachłystuję, a odgłos wciągane powietrza rozpryskuje się po pokoju, spotęgowany wszechogarniającą czernią. Oto co jest mroczniejsze niż zamknięta trumna.

Nie ruszam się z łóżka w nadziei, że to tylko chwilowa awaria i prąd wróci za kilka sekund. Kiedy mija minuta, a światła wciąż nie ma, wiem, co mnie czeka – muszę znaleźć latarki i świece, żeby rozjaśnić dom, jak tylko się da.

Nie ufam Lenowi, kiedy jest jasno, a co dopiero po ciemku.

Wstaję i wychodzę z pokoju. Moje ciało pamięta, jak przejść nocą między łózkami i trafić do drzwi – robiło to tysiące razy.

Na korytarzu coś chrzęści pod tenisówkami.

Rozbite szkło.

Cała podłoga z twardego drewna jest zasłana odłamkami. Staram się je omijać i przypadkowo natrafiam na źródło tego bałaganu – ramkę fotografii, która spadła ze ściany, kiedy zatrzęsł się dom.

Docieram do schodów. Zamiast zejść normalnie, siadam na najwyższym stopniu i powoli zsuwam się na dół. Oczy na tyle przyzwyczyły się do ciemności, że jestem w stanie trafić do pokoju wypoczynkowego, gdzie przechowywane są latarki i świece na sytuacje awaryjne. Znajduję latarenkę ledową, latarkę i kilka grubych świec, które mogą się palić przez wiele godzin.

Biorę też zapalniczkę.

Która prawdopodobnie jest tu od wieków.

A przynajmniej od zeszłego lata.

Ponieważ to Len odpowiadał za gromadzenie i kontrolowanie stanu zapasów, na pewno o niej wiedział.

Sukinsyn.

Włączam latarenkę i przechodząc z pokoju do pokoju, w każdym zostawiam zapaloną świecę. Niektóre pochodzą z zapasów na czarną godzinę. Inne to świece dekoracyjne w szklanych słojach, zachowane w nietkniętym stanie aż do tej chwili.

Ich zapachy mieszają się ze sobą, gdy robię obchód całego domu. Świerk z cynamonem, lawenda z kwiatem pomarańczy. Takie piękne wonie w tak koszmarnej sytuacji.

Na górze zapalam świecę w głównej sypialni, zanim w końcu wracam do pokoju, gdzie leży przywiązany Len.

Stawiam latarenkę na łóżku, a świecę na szafce nocnej. Pstrykam zapalniczką i przytykam ją do knotu, który lekko skwierczy, zanim się zajmuje.

– Chciałeś, żebym znalazła te prawa jazdy, prawda? – pytam. – Po to wysłałeś mnie na dół do skrzynki z narzędziami zamiast do zapasów. Chciałeś, żebym odkryła, co zrobiłeś.

Len wierci się na łóżku, a jego wielki cień drga na ścianie obok. Światło świecy maluje mu twarz w coraz to inne wzory z blasków i cieni. Mam wrażenie, że w każdej plamie mroku, która miga mi przed oczami, widzę Lena w jego prawdziwej postaci, prawie tak, jakby Katherine się w niego przepoczwarzała. Okrutne złudzenie optyczne.

– To była raczej gra – odpowiada. – Wiedziałem, że możesz je znaleźć, ale równie dobrze mogłaś je przeoczyć. Próbowałem odgadnąć, czy już wiesz, czy nie. Co to były za emocje! No i w końcu się dowiedziałem.

– Wtedy było już dla ciebie za późno. – Unoszę szklaneczkę burbona do ust i wychylam triumfalny łyk. – Ale nie jest za późno dla Katherine, prawda? Ona wciąż tu jest.

– Owszem – przytakuje Len. – Gdzieś tam w głębi. Myślałem, że to rozumiesz.

Myli się. Nadal niczego nie rozumiem. Ani wybryku natury, który umożliwił zaistnienie tej sytuacji, ani tego, jak to wszystko działa.

– Czy ona ma świadomość, co się dzieje?

– Musiałabyś ją zapytać.

– To możliwe?

– Już nie. Było, kiedy jeszcze miała przewagę.

Myślami wracam do swoich nielicznych kontaktów z Katherine. Do naszej rozmowy, gdy wyciągnęłam ją z jeziora. Do wyżłopania butelki wina za pięć patyków. Do wspólnej kawy następnego ranka, kiedy lamentowała nad stanem swojego małżeństwa. To była prawdziwa Katherine. Przynajmniej w większości. Przypuszczam, że czasem Len się przebijał, jak wtedy, kiedy wypatrzył swoją lornetkę leżącą na werandzie albo napisał do mnie esemesa, choć Katherine nie znała mojego numeru telefonu.

– Kiedy przejąłeś kontrolę? – pytam.

– To następowało stopniowo – wyjaśnia Len. – Trochę potrwało, zanim ogarnąłem nową sytuację, zrozumiałem, jak to wszystko działa, i zacząłem to kontrolować. A możesz mi wierzyć, że Katherine się opierała. Nie poddała się bez walki.

I chwala jej za to, myślę, po czym coś jeszcze przychodzi mi do głowy.

– Można sprowadzić ją z powrotem?

Len nie odpowiada.

– Czyli można – konstatuję. – Bo inaczej byś zaprzeczył.

– Być może istnieje pewien sposób, tak – przyznaje Len. – Ale nie zamierzam się nim z tobą dzielić.

– To nie może trwać bez końca. Jesteś w pułapce. Nie tylko tu, w tym pokoju, ale w ciele innej osoby.

– I to jakże pięknym ciele. Podejrzewam, że dzięki temu będzie mi łatwiej.

Len patrzy na piersi Katherine przesadnie pożądlivym spojrzeniem. Ten widok wyzwała we mnie gniew, który tłumiałam w sobie chyba przez całe życie. Nie tylko na niego, choć on sam dał mi mnóstwo powodów do gniewu, ale na wszystkich facetów, którym się wydaje, że kobietom – zwłaszcza tym ładnym – żyje się łatwiej.

– Łatwiej? – powtarzam. – Nie masz pojęcia, jak trudno być kobietą. Ani jakie to wkurzające ciągle czuć się zagrożoną tylko dlatego, że takie jest nasze popaprane społeczeństwo. Wierz mi, nie jesteś na to gotowy. Poczekaj, aż będziesz

musiał samotnie zapuścić się nocą w jakąś uliczkę albo stać na peronie metra, zastanawiając się, czy któryś z facetów wokoło zacznie cię zaczepiać. Albo cię napadnie. Albo zabije, tak jak ty zabiłeś te trzy dziewczyny, które teraz leżą gdzieś na dnie jeziora.

W rękę trzymam nóż, choć nie pamiętam, żebym po niego sięgała. Uzbrojona, rzucam się przez pokój, kipiąc dławioną dotąd wściekłością, i przyciskam ostrze do szyi Lena. Z trudem przełyka ślinę, gdy stal ociera się o fałdki skóry.

– Może powinnam to zrobić już teraz – syczę. – Żebyś wiedział, jak to jest.

– Pamiętaj, co ci powiedziałem – wykrztusza. – Zabijesz mnie, zabijesz Katherine. Dźgnij mnie, a zranisz też ją. Moja krew to teraz jej krew.

Nie od razu odsuwam nóż. Gniew bulgoczący we mnie jak gorąca smoła każe mi przyciskać ostrze jeszcze przez kolejną minutę, prawie kalecząc skórę. Przez te sześćdziesiąt sekund jest we mnie ogień i dzikość życia, wreszcie mam poczucie kontroli nad sytuacją. Właśnie tak, przebiega mi przez myśl, muszą czuć się faceci. Ale wtedy dostrzegam spojrzenie Lena i w tych szarzielonych oczach, które kiedyś należały do Katherine Royce, a teraz są jego, widzę wyraz aprobaty.

– Zawsze wiedziałem, że do siebie pasujemy – mówi, choć ostrze noża wciąż ociera się o jego ciało.

Odskakuję z przerażeniem i osuwam się na drugie łóżko, a nóż wyślizguje mi się z dłoni.

Stałam się nim. Tylko przez minutę.

Ale to dość długo, żeby poczuć coś, co na pewno nie było częścią mnie.

To był Len.

Wił się wśród moich wnętrzności, przemykał między żebrami, szarpał za mięśnie i rósł w moim mózgu niczym guz.

– Co mi przed chwilą zrobiłeś? – wykrztuszam zszokowana.

Len nie przestaje się szczerzyć.

– Tom cię ostrzegał, że potrafisz być podstępny.

To prawda, ale nie przyszło mi do głowy, że miał na myśli coś takiego.

– Jak to zrobiłeś? – pytam, choć wydaje mi się, że znam odpowiedź. Zrobił to już wcześniej, gdy westchnął mi w twarz, kiedy przywiązywałam jego prawy nadgarstek. Tamten okropny oddech przypominał inwazję, bo nią był.

Len zaszczeplił we mnie cząstkę siebie.

– Sprytna sztuczka, co? – przechwała się.

Odsuwam się na łóżku coraz dalej, dopóki nie poczuję ściany za plecami; teraz jeszcze bardziej niż kiedykolwiek nie chcę być zbyt blisko niego. Jest zaraźliwy.

– Jak to możliwe? Jak cokolwiek z tego wszystkiego jest w ogóle możliwe?

Len wbija wzrok w linię oddzielającą ścianę od sufitu i w ten fragment własnego długiego cienia, który przez tę linię przechodzi.

– Za życia nigdy nie myślałem o tym, co się dzieje po śmierci. Zakładałem, że gdy umieramy, następuje koniec. Teraz wiem, że jest inaczej. Wiem, że coś po nas pozostaje. Dusza, jak sądzę. Jeśli ktoś umiera na lądzie, to podejrzewam, że jego dusza ulatuje z ostatnim tchnieniem i w końcu rozwiewa się w powietrzu. Ale kiedy utonąłem, moja dusza...

– Wniknęła do jeziora – wtrącam.

– Właśnie. Nie wiem, czy tak się dzieje we wszystkich akwenach, czy to szczególna właściwość jeziora Greene. Wiem tylko, że w nim utknąłem.

– A co z Megan, Toni i Sue Ellen? – pytam. – Ich dusze też utknęły w jeziorze?

– Żeby tak się stało, trzeba umrzeć w tej wodzie. – Len urywa. Wie, że dał mi wskazówkę na temat tego, co się z nimi stało. Zrobił to celowo, tego jestem pewna.

– Więc nie, obawiam się, że jestem wyjątkiem.

Choć nie znam historii jeziora Greene tak dobrze jak na przykład Eli, doskonale wiem, że nikt w nim nie utonął, odkąd mój prapradziadek wybudował ten dom. Len był pierwszy przynajmniej od tysiąc osiemset siedemdziesiątego ósmego roku.

A po nim utonęła Katherine.

– Jak ci się udało wniknąć w Katherine? Albo we mnie, skoro już o tym mowa?

– Bo dusza... o ile o nią tu chodzi... nie musi zniknąć w eterze. To jakby połączenie powietrza, płynu i cienia. Jest śliska. Zwiewna. Bezkształtna. Aby

pozostać, potrzebuje tylko naczynia. Było nim jezioro. Teraz jest nim ciało Katherine. Jestem jak woda, mogę przelewać się ze szklanki do szklanki. A to, czego doświadczyłaś ty, kochanie, było zaledwie kropelką. Więc co poczułaś?

Przerażenie.

I władzę.

Ta świadomość sprawia, że sięgam po burbona w rozpaczliwej potrzebie napicia się. Szklaneczka jest pusta. Nie miałam pojęcia, że już ją opróżniłam.

Ogarnięta nagłą potrzebą kolejnego drinka i pragnieniem oddalenia się od Lena, zanim znów zdąży się we mnie wśliznąć, zeskakuję z łóżka, chwytam za latarenkę i wychodzę z pokoju. Przystaję w drzwiach i obrzucam Lena ostrzegawczym spojrzeniem.

– Zrób to jeszcze raz, a naprawdę cię zabiję – mówię.

Na dole nalewam kapkę burbona do pustej szklaneczki i wzdrygam się na wspomnienie słów Lena.

Zaledwie kropelka.

Tyle wystarczyło.

Zmieniłam się w niego i do teraz czuję się zbezczeszczona, brudna, zbrukana.

Uzupełniam szklankę, napełniając ją tak, jak Len mógłby napełnić mnie, przelewając się z jednego naczynia w drugie. Zdaje się, że tym właśnie jest jezioro Greene. Wielkim naczyniem, w którym jego zły duch plenił się niczym wirus na szalce Petriego, czekając na pojawienie się odpowiedniego żywiciela.

Teraz, gdy zagnieździł się w ciele Katherine Royce, widzę tylko dwa sposoby, aby go powstrzymać.

Pierwszy to zabić go na łądzie z nadzieją, że jego dusza rozwieje się w powietrzu. Ale to wykluczone, dopóki Len znajduje się w Katherine. Nie mylił się. Nie chcę mieć więcej krwi na rękach.

Drugi to przelać go w inne naczynie.

Kieruję wzrok w stronę drzwi francuskich, które wychodzą na werandę. Światło latarenki w połączeniu z blaskiem palącej się w kuchni świecy przekształciły szybę w prowizoryczne lustro. Ruszam w jego stronę, a moje odbicie z każdym krokiem staje się coraz wyraźniejsze. Patrząc na siebie, kładę dłoń na sercu, po czym przesuwam ją nad piersiami i niżej, nad brzuch. Potem dotykam głowy, twarzy, szyi, ramion – każdego z miejsc, w których przez krótką chwilę czułam Lena – aby się upewnić, że już je opuścił.

Myślę, że tak.

Znów czuję się jak moje własne udęczone, autodestrukcyjne, wykolejone ja.

Zbliżam się do drzwi tak bardzo, że prawie dotykam ich nosem, i wbijam wzrok w swoje odbicie, a ono odwzajemnia spojrzenie. Patrzymy sobie w oczy i wiemy, co trzeba zrobić.

Odstępuję od drzwi, chwytam za latarenkę i wychodzę z kuchni, zupełnie zapominając o burbonie.

Wspinam się po schodach i przystaję na najwyższym stopniu, żeby wziąć głęboki oddech i zebrać się w sobie, aby ponownie stawić czoło Lenowi. Potem wchodzę na podest i ruszam korytarzem, gdzie znowu chrzęszczą mi pod nogami odłamki szkła z rozbitej ramki. Popycham drzwi i wchodzę do sypialni oświetlonej migotliwym blaskiem świecy.

– Jeśli powiesz mi, gdzie są te dziewczyny, to... – Głos więźnie mi w gardle.

Łóżko jest puste.

Tam, gdzie powinny być ręce Lena, ze słupków zwisają dwa kawałki sznura. W nogach łóżka kawałki są krótsze, a ich końce poszarpane, najwyraźniej przepiłowane. Ich odcięte połówki leżą zwinięte na podłodze w miejscu, w którym zostawiłam nóż.

Nóż, podobnie jak Len, zniknął.

Zamieram na środku pokoju, nasłuchując odgłosów, które mogłyby mi zdradzić, gdzie jest Len. Gdy byłam na dole, nie słyszałam otwieranych ani zamykanych drzwi, co można uznać zarówno za dobry, jak i zły znak.

Dobry: nie wyszedł z domu.

Zły: wciąż jest gdzieś w środku, ma nóż i żywi do mnie urazę.

Unoszę latarenkę i obracam się powoli; przebiegam wzrokiem po całym pomieszczeniu, wypatrując potencjalnych kryjówek. Pod łózkami na przykład. Te ciemne czeluście każą mi się spodziewać, że zaraz wystrzeli z nich wymachująca nożem ręka Lena. Wskakuję na łóżko, na którym wciąż powinien leżeć mój więzień, i z trudem łapiąc oddech, wynajduję kolejny możliwy schowek.

Szafy.

Są dwie, obie wąskie, przeznaczone na małe ubranka dla małych dziewczynek, którymi Marnie i ja kiedyś byłyśmy. Żadna nie pomieściłaby kogoś rozmiarów Lena.

Co innego Katherine Royce.

Jej smukłe ciało z łatwością zmieściłoby się w środku.

Przesuwam się do nogi łóżka, przeklinając w duchu skrzywienie sprężyn materaca. Przytrzymując się lepkimi rękami ramy łóżka, zsuwam stopy na podłogę, najpierw jedną, potem drugą. I szybko niczym balerina podchodzę na palcach do pierwszej szafy.

Wstrzymując oddech, wyciągam rękę.

Chwytam za gałkę.

Przekręcam.

Serce zamiera mi w piersi, kiedy słyszę kliknięcie.

Ciągnę powoli, a nieużywane od lat zawiasy wydają niezadowolony jęk.

Szafa jest pusta.

Przesuwam się w stronę drugiej, gotowa powtórzyć wszystkie ruchy od początku. Wstrzymuję oddech. Chwytam i przekręcam gałkę. Zawiasy protestują.

Wynik taki sam jak poprzednio.

W szafie pustka, w mojej głowie natłok myśli.

Len uciekł w inne rejony domu.

To duży budynek z mnóstwem zakamarków, w których można się ukryć i czyhać.

Z każdą chwilą spędzoną w środku jestem tu o chwilę za długo. Powinnam wyjść.

Natychmiast.

Wypadam z pokoju, na korytarzu biorę ostry zakręt w lewo i przez rozbite szkło biegnę ku schodom. Pokonuję je tak szybko, że moje stopy prawie ich nie dotykają. Zatrzymuję się z poślizgiem w salonie, który okazuje się morzem cieni falujących w blasku świecy. Przeskakuję wzrokiem z kąta w kąt, od drzwi do drzwi, zastanawiając się, czy właśnie nie wpakowałam się w pułapkę.

Len może być wszędzie.

Może się czaić w jakimś ciemnym kącie. W mrocznym zakamarku przy kominku. W ponurej wnęce pod schodami.

Trudno powiedzieć, bo wszędzie panują mrok, cisza i bezruch. Jedyne dźwięki, jakie słyszę, to deszcz za oknem i zegar szafkowy, którego tykanie przypomina mi, że każda sekunda spędzona w tym domu naraża mnie na niebezpieczeństwo.

Wraca mi zdolność ruchu i najchętniej bym stąd uciekła, ale nie wiem, jaką wybrać drogę. Przez drzwi francuskie wyjdę na werandę, skąd zbiegnę po schodkach i dotrę na pomost. Tam mogę wsiąść do łodzi i popłynąć przez wzburzone jezioro na przystań Boone'a, zakładając, że udzieli mi schronienia. Nie jest to pewnik po moich oskarżeniach.

Pozostają mi drzwi wejściowe, za którymi jest podjazd i droga, a dalej autostrada, gdzie na pewno ktoś się zatrzyma, żeby mi pomóc. Dotarcie tam w taką pogodę nie będzie łatwe, ale chyba nie mam innego wyboru. Podejmuję decyzję i ruszam w stronę przedpokoju, odhaczając w myślach każdy mijany bezpiecznie pokój.

Salon.

Łazienkę dla gości.

Bibliotekę.

Pokój wypoczynkowy.

Kiedy docieram do przedpokoju, wraca prąd. Światło zalewa dom równie nagle i niepokojąco, jak zgasło. Cienie, które przed sekundą czaiły się wokół mnie, znikają niczym duchy. Zatrzymuję się jak wryta w tej niespodziewanej jasności, wyczuwając za plecami obecność – przed chwilą ukrytą, a teraz ujawnioną.

Len.

Wyskakuje z kąta i rzuca się ku mnie z uniesionym nożem. Upuszczam latarenkę i przewracam się na podłogę, raczej wskutek zaskoczenia niż strategii. Nie spodziewając się tego, rozpedzony Len nie potrafi się zatrzymać, a mnie udaje się chwycić go za kostkę. Jest mniejszy jako Katherine i łatwiej go przewrócić, niż kiedy był we własnym ciele.

Szybko zwala się na podłogę.

Wypuszcza nóż.

Oboje rzucamy się, żeby go złapać, przepychając się w kłębowisku kończyn. Wyciągam rękę i koniuszkami palców dotykam rękojeści. Len wbija palce w moje ramię i odsuwa je szarpnięciem. Teraz on leży na mnie, przyciskając mnie do podłogi. Ciało Katherine jest szokująco ciężkie. Unieruchomiona, widzę, jak wyciąga rękę, chwyta nóż i zaciska na nim palce.

Potem przetaczamy się po podłodze przedpokoju.

Przewracam się na plecy. Len znów jest nade mną, siada okrakiem na mojej talii i unosi nóż.

Całe moje jestestwo kurczy się w sobie, kiedy ostrze zawisa w powietrzu, a ja czekam, aż opadnie, mając nadzieję, że to nigdy nie nastąpi, ale wiedząc, że nastąpi wkrótce. Strach przykuwa mnie do podłogi, jakbym już była martwa. Leżę jak trup, ciężki i nieruchomy.

Nagle Lenem coś szarpie do tyłu.

Jego ramiona trzepoczą.

Ciężar ustępuje.

Ktoś wyrywa mu z ręki nóż.

Odciąga go ode mnie i wtedy widzę mojego wybawcę.

Eli.

Widoczne za nim drzwi wejściowe stoją otworem, wpuszczając do środka gwałtowny podmuch nocnego powietrza i krople lodowatego deszczu. Eli zamyka je kopniakiem i przytrzymując wijącego się w jego uścisku Lena, spogląda na mnie z góry.

– Dostałem twoją wiadomość. Nic ci nie jest?

Kiwam głową, leżąc na podłodze bez sił, jak nieżywa.

– To dobrze – mówi Eli. – Więc może mi powiesz, co tu się, do cholery, wyprawia?

Zgadzam się wszystko wyjaśnić, pod warunkiem, że Eli pomoże mi przywiązać Lena do krzesła w salonie. Ponieważ w jego oczach to wciąż jest Katherine, nie od razu daje się do tego pomysłu przekonać. W końcu ulega, ale tylko dlatego, że widział, jak siedziała na mnie okrakiem, wymachując nożem.

Teraz Len jest unieruchomiony więzami zaciśniętymi zbyt mocno, by mógł się uwolnić, jak zrobił to wcześniej w sypialni, a ja siedzę naprzeciwko Elia w pokoju wypoczynkowym pod czujnym okiem łosia obserwującego nas ze ściany.

– Ile dzisiaj wypić? – pyta Eli.

– Od cholery. – Wbijam w niego spojrzenie, czekając, aż pierwszy mrugnie. – Co nie znaczy, że to, co zaraz ci powiem, jest kłamstwem.

– Mam taką nadzieję.

I wtedy mówię mu wszystko.

Zaczynam od zbrodni Lena, a jako dowód pokazuję mu prawa jazdy i kosmyki włosów wydobyte z za luźnej deski w piwnicy. Leżą teraz między nami na stoliku do kawy. Eli rzuca na nie jedno spojrzenie i oznajmia, że nie chce ich dłużej oglądać, ale jego wzrok co chwila wędruje ku zdjęciom Megan Keene, Toni Burnett i Sue Ellen Stryker, gdy opowiadam, jak się dowiedziałam, co zrobił Len.

– A potem go zabiłam – dodaję.

Eli, który znowu zerka ukradkiem na prawa jazdy, nagle podnosi na mnie zszokowany wzrok.

– On utonął – mówi.

– Bo się o to postarałam.

Nie odrywa ode mnie spojrzenia, kiedy opisuję wydarzenia tamtej nocy, szczegółowo relacjonując własną zbrodnię.

– Dlaczego mówisz mi o tym właśnie teraz? – pyta Eli.

– Bo to nadaje sens całej reszcie.

A cała reszta to wszystkie ostatnie wydarzenia nad jeziorem Greene. I znowu niczego nie pomijam, także własnych przewinień. Miałam nadzieję, że kiedy

przyznam się do wszystkiego, poczuję się oczyszczona jak grzesznica po spowiedzi. Zamiast tego jest mi wstyd. Mam na sumieniu zbyt wiele grzechów, żeby całą winę zrzucić na Lena.

Eli słucha z otwartym umysłem. Kiedy przechodzę do części, w której Len opętuje ciało Katherine, dodaję:

– Miałeś rację. W tej wodzie coś się czaiło. Nie wiem, czy to dotyczy każdego zbiornika, czy tylko jeziora Greene, czy może to Len jest taki wyjątkowy. Ale to prawda, Eli. To się naprawdę dzieje. Teraz.

Nie odzywa się, kiedy kończę. Po prostu wstaje z miejsca, wychodzi z pokoju wypoczynkowego i idzie do salonu, gdzie zostawiliśmy związanego Lena. Dobiegają mnie stamtąd ich głosy, zbyt ciche i wzburzone, żeby dało się je zrozumieć.

Mija dziesięć minut.

Potem piętnaście.

Ostatecznie rozmowa kończy się po dwudziestu minutach. To tylko ułamek czasu, jaki trwała moja relacja, ale wystarczy, abym się zaniepokoiła, że Eli mi nie wierzy. Albo co gorsza, że wierzy w kłamstwa, które wmawia mu Len.

Wstrzymuję oddech, kiedy w końcu wraca do pokoju wypoczynkowego i siada.

– Wierzę ci – mówi.

– Eee... – wykrztuszam, czując jednocześnie zaskoczenie i ulgę. – Dlaczego? To znaczy co cię przekonało?

Eli wyciąga szyję, posyłając spojrzenie w stronę odległego salonu.

– Ona... wybacz, on... się przyznał.

To słowo – „on” – znaczy, że Eli mówi poważnie. I mogłabym już odetchnąć z ulgą, wiedząc, że mi wierzy, gdyby nie jeszcze jedna rzecz, o której muszę mu powiedzieć.

Mój plan.

Przybliżam więc każdy jego szczegół, odpowiadam na każde pytanie Elia i rozwiewam każdą jego wątpliwość.

– To jedyny sposób – podsumowuję.

– Zdaje się, że tak – przytakuje w końcu Eli. – Kiedy zamierzasz to zrobić?

Odwracam się do okna i z zaskoczeniem uświadamiam sobie, że gdy rozmawiałam z Eliem, a potem on z Lenem, burza minęła. Wiatr już nie trzęsie oknami, deszcz nie bębni w dach. Na dworze panuje głuchy bezruch, który zawsze następuje po dzikiej burzy, jakby pogoda musiała złapać oddech i wyciszyć się po swoim wybuchu wściekłości. Niebo, jeszcze niedawno ponure i ciemne, teraz rozjaśniło się do szarości.

Nadchodzi świt.

– Teraz – odpowiadam.

Wsalonie stoimy z Eliem przed Lenem, który wciąż usiłuje udawać znudzenie tym wszystkim. Staremu Lenowi mogłoby się to udać. Nowy, skazany na niezwykle wyrazistą twarz Katherine, nie ma szans. Zza fasady jego zniecierpliwienia wyziera ciekawość.

– Powiedz, gdzie ukryłeś te dziewczyny – mówię – a puszcze cię wolno.

Len natychmiast się ożywia; jego symulowane znudzenie wyparowuje w jednej chwili.

– Tak po prostu? A gdzie haczyk? Bo musi być.

– Nie ma. To jedyne rozwiązanie. Nie mogę cię zabić, bo to by oznaczało zabicie Katherine. I nie będę cię tu trzymać bez końca, choć mogłabym spróbować, jak Tom. Skuć cię w piwnicy. Karmić i myć. Ale coraz więcej osób zacznie szukać Katherine i znalezienie cię będzie tylko kwestią czasu.

– I będę mógł odejść, dokąd zechcę?

– Oby jak najdalej stąd – odpowiadam. – Możesz spróbować żyć życiem Katherine, ale podejrzewam, że będzie to bardzo trudne. Ona jest sławna. Ktoś z jej czterech milionów obserwujących na Instagramie zawsze wyłowi cię z tłumu. Radzę ci zmienić wygląd i wyjechać jak najszybciej i jak najdalej.

Len przez chwilę zastanawia się nad trudnościami związanymi z rozpoczęciem nowego życia w nowym miejscu – w bardzo rozpoznawalnym ciele.

– I jesteś skłonna mi pomóc?

– Jestem skłonna podrzucić cię na przystań Royce'ów – koryguję. – Potem radź sobie sam. To już nie będzie moje zmartwienie.

– A powinno być – mówi Len. – Pozostawiony sam sobie, mógłbym narobić sporo kłopotów. Właściwie mógłbym ich narobić także tutaj. Wiesz, do czego jestem zdolny.

Jeśli usiłuje mnie zdenerwować, to nic z tego. Przewidziałam, że rzuci taką groźbę. Szczerze mówiąc, byłabym zdumiona, gdyby tego nie zrobił.

– Muszę zaryzykować – odpowiadam. – To nie jest rozwiązanie idealne. Ale jedyne. Dla nas obojga.

Len spogląda na Elia.

– On zostaje tutaj.

– Już mu to powiedziałam.

Choć bardzo bym chciała, żeby Eli był przy mnie, musi pójść do sąsiedniego domu i odwrócić uwagę Boone'a. Ostatnie, czego mi trzeba, to żeby Boone zobaczył mnie na jeziorze z kimś, kogo uważa za Katherine.

Na pewno próbowałby mnie powstrzymać.

Eli też, gdyby wiedział, co naprawdę zamierzam zrobić.

– Będziemy tylko we dwoje – zapewniam Lena.

Posyła mi promienny uśmiech.

– Zawsze tego chciałem.

Zanim wychodzimy, zawijam prawa jazdy i kosmyki włosów Megan, Toni i Sue Ellen z powrotem w chusteczkę i każę Eliowi je wziąć.

– Jeśli nie wrócę, oddaj je detektyw Wilmie Anson – mówię, zapisując jej nazwisko i numer telefonu. – Powiedz, że to ode mnie. Będzie wiedziała, co z tym zrobić. I co to oznacza.

– Ale zamierzasz wrócić, prawda? – pyta Eli.

– Oczywiście – odpowiadam i mam nadzieję, że brzmi to wiarygodnie.

Z pomocą Elia odwiązuję Lena od krzesła. Kiedy wstaje, siłą przytrzymujemy mu ręce z przodu i związujemy nadgarstki, choć głośno protestuje.

– Miałaś mnie uwolnić!

– Zrobię to – obiecuję. – Ale dopiero kiedy pokażesz mi, gdzie ukryłeś ciała tych dziewczyn. Do tej pory sznury zostają na miejscu.

Len milknie i nie odzywa się, kiedy wyprowadzamy go na tylną werandę. Koc z łodzi leży skotłowany na jednym z bujanych krzeseł. Podnoszę go i zarzucam Lenowi na ramiona. Choć to marne przebranie, mam nadzieję, że trochę utrudni

Boone'owi rozpoznanie osoby znajdującej się ze mną w łodzi, jeśli Eliowi nie uda się odwrócić jego uwagi.

Wszyscy troje schodzimy ze schodków, przecinamy trawnik i wkraczamy na pomost. Wszędzie widać ślady po minionej burzy. Drzewa są odarte z jesiennych liści, które teraz walają się na ziemi w postaci plam pomarańczów i brązów. O jedno z krzeseł otaczających palenisko opiera się wielka gałąź, złamana wichurą.

Samo jezioro wezbrało, zalewając trawiasty brzeg i pokrywając pomost kałużami. Len idzie sprężystym krokiem, rozchlapując wodę. Wygląda jak zakładnik, który wie, że wkrótce zostanie uwolniony.

Nie mogę się doczekać chwili, w której sobie uświadomi, że to nie nastąpi.

– Na pewno wolisz popłynąć sama? – pyta Eli.

– Nie – odpowiadam. – Ale na pewno muszę to zrobić sama.

Eli koniecznie chce mnie przytulić, zanim wsiądę do łodzi. Obejmuje mnie tak mocno, jakby już nigdy nie zamierzał wypuścić mnie z uścisku. Wtedy szepczę mu do ucha:

– Powiedz Marnie i mojej matce, co zechcesz, o tym, co się stało. Cokolwiek będzie im łatwiej znieść.

Odsuwa się, bacznie mi się przygląda i nagle zmienia się na twarzy, bo dociera do niego, że nie mam zamiaru wykonać planu, który mu przedstawiłam.

– Casey, co ty chcesz zrobić?

Nie mogę mu powiedzieć. Wiem, że będzie próbował wybić mi to z głowy – i że prawdopodobnie mu się uda. A tego nie mogę ryzykować. Za długo unikałam odpowiedzialności za swoje grzechy. Nadszedł czas na pokutę.

– Powiedz im, że przepraszam za wciągnięcie ich w to bagno – dodaję. – I że je kocham i mam nadzieję, że mi wybaczą.

Zanim Eli zdąży zaprotestować, cmokam go w policzek, wysuwam się z jego objęć i wchodzę do łodzi.

Ostatnią rzeczą, jaką robię przed odepchnięciem motorówki od pomostu i uruchomieniem silnika, jest odwiązanie kawałka liny od knagi na burcie. Do jej

drugiego końca przytwierdzona jest kotwica.

Przyda się na później.

Wypływamy tuż przed wschodem słońca, gdy nad wezbrany po deszczu jeziorem unosi się mgła. Tak gęsta, że wydaje mi się, jakbyśmy znaleźli się w chmurach, a nie na wodzie. W górze szarość przedświt zaczyna różowieć. Jest tak pięknie i spokojnie, że na krótką chwilę pozwalam sobie zapomnieć o tym, co planuję. Zwracam twarz ku niebu, żeby poczuć na policzkach chłód nowego dnia i odetchnąć jesiennym powietrzem. Kiedy jestem gotowa, przenoszę wzrok na Lena siedzącego z przodu łodzi.

– Dokąd? – pytam.

Wskazuje na południowy kraniec jeziora, a ja ożywiam silnik szarpnięciem linki. Zostawiam go na wolnych obrotach i motorówka rusza z powolnym ślizgiem, wywołując u mnie uczucie *déjà vu*, które przyprawia mnie o zawrót głowy. Ta sytuacja przypomina mi moje pierwsze spotkanie z Katherine, nawet koc ma na ramionach tak samo jak wtedy. Tym, co przydaje tej chwili surrealizmu, jest świadomość, że nic, włącznie z samą Katherine, nie jest jednak takie samo.

Ja też się zmieniłam.

Zacznijmy od tego, że jestem trzeźwa.

A to pokrzepiająca niespodzianka.

Do tego przestałam się bać. Już nie ma tamtej kobiety, która – zbyt przerażona, że jej mroczny sekret się wyda – nie mogła zasnąć bez drinka albo trzech.

A czasem czterech. Wyznawszy prawdę, w końcu doznałam upragnionego poczucia wyzwolenia. Wraz z nim nadeszła świadomość nieuchronności.

Wiem, co się zaraz wydarzy.

I jestem na to gotowa.

– Dziwne, że dotąd mnie nie spytałaś – mówi Len, podnosząc głos, żeby przekrzyczeć bulgoczący szum silnika.

– O co?

– O to, co chodzi ci po głowie. Od początku się zastanawiasz, czy zamierzałem cię zabić, kiedy żyłem. A odpowiedź na to pytanie brzmi: nie, Cee. Za bardzo cię

kochałem, żeby w ogóle brać to pod uwagę.

Wierzę mu.

I napawa mnie to obrzydzeniem.

Czuję wstręt na myśl, że kochał mnie ktoś taki jak Len – człowiek zdolny do zabicia trzech dziewczyn bez żadnych wyrzutów sumienia i do wrzucenia ich zwłok do jeziora, po którym teraz płyniemy. Co gorsza, odwzajemniałam jego uczucie. Kochałam go głupią, pełną nadziei, naiwną miłością, której nie chcę ulec już nigdy więcej.

– Gdybyś mnie choć trochę kochał – mówię – sam byś się zabił, zanim zabiłeś kogoś innego.

Był na to zbyt wielkim tchórzem. Wciąż nim jest, pod wieloma względami, skoro wykorzystuje Katherine jako swoją tarczę i kartę przetargową. Zna mnie na tyle dobrze, by móc założyć, że nie poświęcę jej, aby go dopaść.

Prawda jest taka, że nie ma pojęcia, jak wiele jestem w stanie poświęcić.

Kiedy zbliżamy się do południowego krańca jeziora, Len unosi rękę.

– Jesteśmy na miejscu! – woła.

Wyłączam silnik i zapada cisza. Jedynym dźwiękiem, jaki słychać, jest plusk wody w jeziorze, wprawianej w ruch łodzią i rozbijającej się o kadłub coraz spokojniej, łagodniej, ciszej. Z mgły przed nami, niczym maszt statku widma, wyłania się martwe drzewo wystające z jeziora Greene.

Stary Uparciuch.

– To tutaj – mówi Len.

Oczywiście, że wybrał właśnie to miejsce. Jedno z nielicznych punktów na jeziorze niewidocznych z któregokolwiek domu. Teraz ten wyblakły od słońca pień sterczy nad powierzchnią jak nagrobek wskazujący wodny grobowiec trzech dziewczyn.

– Są tam wszystkie? – pytam.

– Tak.

Wychylam się przez burtę i wpatruję w toń z naiwną nadzieją, że uda mi się dojrzeć coś w głębinie. Ale widzę jedynie własną twarz, która spogląda na mnie oczami rozszerzonymi złęknionym zaciekawieniem. Wyciągam rękę i muskam palcami wodę, żeby rozproszyć odbicie, jakbym mogła w ten sposób przepędzić je na dobre. Zanim powierzchnia wody się uspokaja i moje rysy twarzy wracają na swoje miejsce niczym kawałki upiornej układanki, udaje mi się uchwycić mignięcie kryjących się tuż pod nią mrocznych odmętów.

Są tam, na dole.

Megan, Toni i Sue Ellen.

– Zadowolona? – pyta Len.

Kręcę głową i ocieram łzę. Nie czuję zadowolenia. Czuję ulgę, wiedząc już, że te trzy dziewczyny nie przepadły na zawsze i że ich bliscy w końcu będą mogli odbyć należytą żałobę, żeby zamknąć ten rozdział.

Wyciągam telefon, robię zdjęcie wystającego z wody Starego Uparciucha i wysyłam je Eliowi.

Czeka na tę wiadomość.

To ostatnia część planu, o której wie.

Resztę znam tylko ja.

Przede wszystkim wkładam komórkę do woreczka strunowego, który wzięłam z kuchni, i szczelnie go zamykam, a potem rzucam na puste siedzenie, gdzie jak mam nadzieję, ktoś go znajdzie, gdyby Eli nie dostał mojego ememesa. Wstaję z miejsca, a łódź lekko się kołysze. Z trudem utrzymuję równowagę, podchodząc do Lena.

– Zrobiłem, co chciałaś – mówi. – Teraz musisz mnie uwolnić.

– Oczywiście. – Urywam. – A dostanę przedtem całusa?

Pochylam się szybko, przyciągam go do siebie i przyciskam usta do jego ust. W pierwszej chwili różnica jest szokująca. Myślałam, że poczuję się tak, jakbym całowała Lena. Ale wargi Katherine są węższe, bardziej kobiece, delikatniejsze.

Dzięki tej drobnej różnicy łatwiej mi całować mężczyznę, którego kiedyś kochałam, a który teraz napawa mnie odrazą.

Jeżeli Len tę odrazę wyczuwa, nie daje tego po sobie poznać.

Przeciwnie, oddaje mi pocałunek.

Na początku całuje delikatnie, potem intensywniej, wręcz brutalnie.

Pałące powietrze wpycha się z jego ust do moich, a ja wiem, co Len właśnie robi.

To, co chcę, żeby zrobił.

– Nie przerywaj – szepczę mu prosto w usta. – Zostaw ją i weź mnie.

Przyciskam się do niego, oplatom go ramionami, trzymam mocno. Jęk, który wydobywa się z jego ust, wnika w moje, razem z tym czymś, co wlewa się we mnie jak burbon prosto z butelki. Jest jedwabiste. Dokładnie takie, jak opisał to Len. Jak połączenie powietrza i wody. Zwiewne, a jednak takie ciężkie.

Im więcej tego we mnie, tym ociężalsza się czuję. Po chwili kręci mi się w głowie. Robi mi się słabo. Brakuje mi tchu. A potem – o Boże – tonę w przerażającej mieszance wody, powietrza i samego Lena, gdy jego esencja wypełnia mi płuca, aż tracę wzrok i zaczynam się krztusić, a w końcu osuwam się na dno łodzi.

Na sekundę wszystko znika. Nie czuję niczego.

Wreszcie ogarnia mnie pełne zapomnienie, którego tak pragnę od czternastu miesięcy.

A potem zniemacka odzyskuję przytomność, przerażona jak ktoś nagle przywrócony do życia. Moim ciałem targają skurcze, kiedy wciągam i wypuszczam powietrze z płuc. Przez chwilę mrugam, zanim otwieram oczy i widzę niebo, które wschód słońca barwi różem waty cukrowej.

Obok mnie siedzi Len.

Tyle że to już nie jest Len.

To Katherine Royce.

Wiem, bo wbija we mnie ten sam przerażony wzrok jak wtedy, kiedy wróciła do życia w dniu, w którym ją poznałam.

– Co się stało? – pyta bez wątpienia swoim własnym głosem.

– Wyszedł z ciebie – odpowiadam.

Widać wyraźnie, że Katherine wie o całej sytuacji wystarczająco dużo, żeby zrozumieć moje słowa. Dotyka swojej twarzy, szyi i ust, zanim zadaje następne pytanie:

– Jesteś pewna?

Jestem. Teraz Len jest we mnie. Czuję go w sobie jak wirusa. Być może z wierzchu wyglądam normalnie, ale wewnątrz nie jestem już w pełni sobą.

Zmieniam się. Szybko.

– Musisz coś zrobić – mówię pospiesznie, bojąc się, że za chwilę stracę kontrolę nad głosem. Len zaczyna panoszyć się w moim organizmie. Dobrze wie, jak to robić i co kontrolować. – Płyn do Boone’a. Będzie tam Eli. Powiedz im, że zabłądziłaś w lesie. Boone pewnie ci nie uwierzy, ale Eli pomoże ci go przekonać. Mów, że pokłóciłaś się z Tomem i chciałaś się przejść, ale się zgubiłaś, a Tom uznał, że postanowiłaś go zostawić. – Wyrywa mi się kaszel szorstki jak papier ścierny.

– Dobrze się czujesz? – niepokoje się Katherine.

– Nic mi nie jest. – Zauważam zmianę w swoim głosie. To ja, ale inna. Jak nagranie, które lekko spowolniono. – Tom jest w piwnicy Fitzgeraldów. Nie wiem na pewno, czy zgodzi się poprzeć twoją wersję, ale myślę, że tak. Teraz cię rozwiążę.

Rozplątanie sznura pętającego nadgarstki Katherine wymaga przerażająco dużego wysiłku, a Len już zaczyna ze mną walczyć. Ręce mi drętwieją, ruchy stają się niezgrabne, a do mózgu wpychają się nie moje myśli.

„Nie rób tego, Cee”.

„Proszę, nie”.

Udaje mi się poluzować węzeł na tyle, żeby Katherine mogła zrobić resztę. Kiedy ona uwalnia ręce z więzów, ja zaczynam związywać siebie. Nie jest to łatwe. Nie kiedy głos Lena staje się coraz głośniejszy.

„Nie, Cee”.

„Obiecałaś”.

Tracę ostrość widzenia i percepcję głębi.

Czuję się, jakbym była pijana.

Tyle że to nie ma nic wspólnego z alkoholem. To sprawka Lena.

Krępuje każdy mój ruch, więc dopiero przy trzeciej próbie udaje mi się chwycić linę przyczepioną do kotwicy. Zawiązanie jej sobie wokół kostek trwa jeszcze dłużej.

– Pamiętaj... – Muszę na chwilę umilknąć. Wykrztuszenie tego jednego słowa odebrało mi dech. – Powiedz im, że zablądziłaś. Że nie wiesz, co się ze mną stało.

– Zaraz – wtrąca Katherine. – A co się z tobą stanie?

– To ja będę tą zaginioną.

Podnoszę kotwicę i zanim Katherine – albo Len – zdąży mnie powstrzymać, wskakuję w chłodną toń jeziora Greene.

O tacza mnie woda.

Zimna. Wzburzona. Ciemna.

Bardzo ciemna.

Mroczna jak śmierć. Byłam głupia, myśląc, że łagodnie opadnę na dno jeziora – powoli, nieubłagane, jakbym zapadała w wieczny sen. W rzeczywistości to sam chaos. Koziołkuję w czarnej wodzie, wciąż przyciskając kotwicę do piersi. Parę sekund później uderzam w dno, a pokrywający je wielowiekowy osad ani trochę nie łagodzi upadku.

Łąduję na boku wśród eksplozji mułu, a kotwica wyskakuje mi z objęć. Wyciągam ku niej ręce, oślepla w mrocznych odmętach, a moje ciało próbuje wzbić się w górę. Domaga się powietrza i muszę walczyć, aby powstrzymać gwałtowne ruchy rąk i nóg.

Ale wciąż nimi wymachuję.

A raczej robi to Len.

Jego obecność jest jak gorączka, jednocześnie chłodny i gorący dreszcz, który wstrząsa moimi kończynami wbrew mojej woli. Wiję się w ciemnościach, nie mając pojęcia, czy się wznoszę, czy opadam. Moje ręce wciąż błądzą po omacku, aż wreszcie trafiają na linę napiętą między moją kostką a kotwicą.

Zaciskam wokół niej palce, choć Len stara się je od niej oderwać, rycząc mi w głowie z wściekłością.

„Puszczaj, Cee!”

„Nie mogę tu znów utknąć, jebana suko!”

Trzymając się liny, schodzę coraz niżej, a kiedy docieram na dno, chwytam kotwicę, przyciskam ją do piersi i przetaczam się na plecy. Teraz, kiedy tu jestem, czuję, że zbliża się to co nieuchronne.

To co słuszne.

W tym samym miejscu, gdzie spoczęły Megan Keene, Toni Burnet i Sue Ellen Stryker.

Nie czuję kończyn, choć nie wiem, czy to ze strachu, czy z zimna, czy może Len przejmuję nad nimi kontrolę. Wciąż desperacko próbuje wydostać się na powierzchnię. Moje ciało rzuca się spazmatycznie na dnie jeziora. Len robi, co może.

Ale nie ma szans.

Tym razem jestem silniejsza.

Bo dam mu to, czego chciał za życia.

Zostaniemy tu razem, tylko we dwoje.

Na zawsze.

Len dość szybko się poddaje. Musi, bo ciało, które w tej chwili dzielimy, słabnie. Serce spowalnia. Myśli gasną.

A kiedy ostatnie siły mnie opuszczają, otwieram usta i pozwalam, żeby zalała je mroczna toń.

Ruch.
W mroku.

Wyczuwam go gdzieś na obrzeżach świadomości. Właściwie to dwa ruchy po dwóch przeciwnych stronach. Coś się zbliża, a coś innego ulatuje w dal.

To, co przy pływa, dosięga mojej kostki; czuję lekki dotyk, kiedy odwiązuje linkę.

I unosi mnie.

Coraz wyżej.

Wkrótce wypływam na powierzchnię i moje płuca zaczynają pracować na dwa fronty: wykasłując wodę i łapczywie chwytając powietrze. Kaszel, wdech, kaszel, wdech. Kiedy jest po wszystkim, nie ma już wody, tylko słodkie, błogosławione powietrze.

Wyczuwam kolejny ruch. Ktoś zarzuca mi na ramiona coś, co zaciska się wokół klatki piersiowej, i po chwili zaczynam się unosić.

Otwieram oczy i widzę olśniewająco różowe niebo.

Moje oczy.

Nie jego.

To moje ciało, a w nim tylko moje myśli, moje serce, moja dusza.

Len zniknął.

Czuję to tak samo, jak chory czuje, że gorączka ustąpiła.

Len przelał się z jednego naczynia – mnie – do innego.

Do jeziora Greene.

Tam, skąd przyszedł i gdzie, miejmy nadzieję, pozostanie.

Przenoszę wzrok z nieba na osobę płynącą obok mnie. Katherine promienieje, a jej uśmiech jest radośniejszy i piękniejszy niż na jakimkolwiek zdjęciu.

– Nie wpadaj w panikę – mówi. – Ale zdaje się, że prawie utonęłaś.

Co powiemy ludziom? – zwraca się Tom do Katherine. – Próbowałem utrzymać to w tajemnicy, ale i tak wyszło na jaw, że zaginęłaś. Zawiadomiono policję.

Patrzy w moją stronę, nie całkiem oskarżycielsko, ale na tyle ostro, abym wiedziała, że wciąż się gniewa, mimo że powrót Katherine – w jej prawdziwej postaci – to moja zasługa. Dał mi to do zrozumienia, gdy tylko obie wróciłyśmy do piwnicy Fitzgeraldów. W pierwszej chwili wyglądał tak, jakby chciał zabić nas obie. Ale kiedy Katherine zaczęła recytować fakty, które znała tylko ona, nie posiadał się z radości, że znów jest sobą. Moja obecność ucieszyła go mniej.

Teraz cała nasza trójka siedzi razem z Eliem w salonie Royce'ów. Tom i Katherine zdążyli już wziąć prysznic i się przebrać. Ja mam na sobie sportowe ciuchy od Versace, które pożyczyła mi Katherine, nieprawdopodobnie wręcz wygodne.

– Powiemy coś maksymalnie zbliżonego do prawdy – odpowiadam. – Że się pokłóciliście.

Katherine patrzy na męża z zaskoczeniem.

– Serio?

– Przywaliałaś mi. – Tom nachyla się ku niej, żeby dobrze się przyjrzała jeszcze widocznemu siniakowi pod okiem. – A właściwie on to zrobił.

Od naszego powrotu imię Lena nie padło ani razu. Podejrzewam, że niezręcznie im wspominać o kimś, kto, praktycznie rzecz biorąc, opętał Katherine.

To mi nie przeszkadza. Mogę już nigdy więcej nie usłyszeć jego imienia.

– Policja uwierzy, że po kłótni Katherine wybiegła wzburzona – ciągnę. – Poszła w góry na długi spacer, niczego ze sobą nie zabierając.

– I zabłądziła w lesie – dodaje Tom.

Potwierdzam skinieniem głowy.

– Ty pomyślałeś, że cię zostawiła, dlatego nie zgłosiłeś jej zaginięcia i opublikowałeś tamto zdjęcie na Instagramie. Było ci wstyd przyznać, że wasze małżeństwo się rozpada.

Katherine dotyka siniaka na twarzy męża.

– Biedny Tom. To musiało być dla ciebie strasznie trudne.

– Myślałem, że straciłem cię na zawsze – odpowiada drżącym głosem i ze łzami w oczach. – Nie miałem pojęcia, jak sprowadzić cię z powrotem.

– Próbowałam – mówi Katherine. – Opierałam się ze wszystkich sił.

– Więc wiedziałaś, co się dzieje? – pyta Eli.

– Do pewnego stopnia. – Katherine obejmuje się ramionami, jakby na samo wspomnienie poczuła chłód. – Oczywiście czasami urywał mi się film. W jednej chwili byłam przytomna, a w następnej budziłam się gdzieś, nie pamiętając, jak się tam znalazłam. I jeszcze ten dziwaczny szósty zmysł. Wiedziałam o rzeczach, o których nie miałam prawa wiedzieć. Na przykład znałam twój numer telefonu, Casey. Albo ta lornetka na twojej werandzie... Nigdy nie miałam czegoś takiego. Nie pociągało mnie obserwowanie ptaków. A mimo to kiedy ją ujrzałam, nagle przypomniałam sobie, jak ją kupowałam, trzymałam w rękę, przyglądałam się drzewom po drugiej stronie jeziora, stojąc właśnie na tej werandzie. Potem wszystkie te wspomnienia znikły.

Mnie też zdejmuję chłód, kiedy Katherine opowiada nam, co się czuje, gdy ktoś inny powoli przejmuje nad tobą kontrolę. Mimo że sama tego doświadczyłam, ja przynajmniej byłam świadoma, co mnie spotyka. Ona musiała uznać, że traci rozum.

– Nie wiedziałam, co się ze mną dzieje, dopóki pewnego wieczoru nie sprawdziłam tego w internecie. Głupio się czułam, szukając artykułów o nawiedzonych jeziorach i duchach w lustrze. Ale znalazłam historie ludzi, którzy przeżywali to samo co ja. Miewali dziwne wspomnienia o zdarzeniach, w których nie uczestniczyli, dopadała ich nagła słabość, odnosili wrażenie, że powoli tracą kontrolę. Wtedy odkryłam, co się ze mną dzieje.

A ja byłam tego świadkiem, gdy podglądałam ją z przeciwległego brzegu jeziora. Widziałam, jak Katherine z wielkim skupieniem wpatruje się w ekran komputera i jak na jej twarzy pojawia się wyraz ogromnego szoku.

– Powinnaś była mi o tym powiedzieć – mówi Tom.

– Uznałbyś, że oszalałam. Sama tak się czułam. Więc pocałowałam cię w policzek i zaproponowałam, żebyśmy wrócili do łóżka. Wiem, że to brzmi głupio, ale miałam nadzieję, że to chwilowe. Że pójdę spać, a rano znów poczuje się sobą.

– Ale stało się coś odwrotnego – wtrąca Eli.

– Tak – potwierdza Katherine z ponurym skinieniem głowy. – Ostatnie, co pamiętam, to że Tom poszedł spać, a ja weszłam do łazienki. Spojrzałam w lustro i wpadłam w panikę, bo moje odbicie zaczęło się zacierać. Wszystko inne też. Dopóki nie zostało nic prócz ciemności. Od tamtej chwili niczego nie pamiętam, do czasu aż ocknęłam się dziś rano w łodzi. Ale ledwo odzyskałam przytomność, wiedziałam, że to już koniec i jego nie ma. Dzięki tobie, Casey. Zupełnie jakbym się zgubiła, a ty mnie odnalazłaś.

– I tak właśnie powiemy policji – podsumowuję. – Nie mogłam zasnąć, więc wypłynęłam, żeby sprawdzić, czy burza wyrządziła jakieś szkody na brzegu, i wtedy ujrzałam, jak chwiejnym krokiem wychodzisz z lasu, kompletnie oszołomiona.

Ogólnie rzecz biorąc, to dobra historia. Nie wykracza zaledwie poza granice prawdopodobieństwa, jeśli pominąć kwestię opętania przez topielca. Myślę, że ludzie w nią uwierzą.

Nawet Wilma.

Po uzgodnieniu wspólnej wersji szykuję się do powrotu do domu. Rzucam na niego okiem przez gigantyczne okna w salonie Royce'ów – jest ciepły i przytulny niczym gniazdko. Chcę się w nim znaleźć jak najszybciej.

Przed wyjściem Tom ściska moją rękę i mówi:

– Rozumiem, dlaczego zrobiłaś to, co zrobiłaś. Co nie znaczy, że podobało mi się zamknięcie w piwnicy na dwanaście godzin. Albo nasłanie na mnie policji.

– A oberwanie nogą od stołu? – pytam, krzywiąc się na myśl o tym, jak stuknięta musiałam mu się wtedy wydawać.

– To w szczególności. – Jego wyraz twarzy łagodnieje, podobnie jak głos. – Ale warto było, bo sprowadziłaś Katherine z powrotem. Więc dziękuję ci.

– Zapominasz, że Katherine też sprowadziła mnie z powrotem – mówię. – To chyba znaczy, że jesteśmy kwita.

Tom zostaje w domu, kiedy Eli, Katherine i ja wychodzimy na patio. Na dworze jest jasno, a dzień napawa optymizmem. Czując słońce na twarzy i wietrzyk muskający moje wciąż wilgotne włosy, nie mogę uwierzyć, że zaledwie przed dwiema godzinami leżałam na dnie jeziora, gotowa pozostać tam na zawsze.

Nie żałuję tamtej decyzji.

Ale ktoś inny zdecydował inaczej. Katherine uznała, że powinnam żyć, a kimże jestem, by się nie zgodzić? Zwłaszcza że wciąż mam pewną sprawę do załatwienia.

Oczywiście to Eli mi o niej przypomina. Zanim odchodzi do swojego domu, wsuwa mi do rąk złożoną chusteczkę.

– Lepiej ode mnie wiesz, co z tym zrobić – mówi. – Mam nadzieję, że nie wpakujesz się przez to w kłopoty.

– To całkiem możliwe – odpowiadam. – Ale jestem gotowa zmierzyć się z konsekwencjami.

Eli obejmuje nas na pożegnanie i odchodzi, a my dwie idziemy w stronę pomostu i mojej łodzi zacumowanej na jego końcu. Katherine ujmuję mnie pod rękę i stykamy się ramionami – wciąż jest wylewna, nawet bez wpływu Lena.

– Muszę ci coś powiedzieć – zaczyna. – Chodzi o tamte wspomnienia. Te, które miałam, chociaż nie były moje. Niektóre się pojawiły, zanim zdążył nade mną zapanować. Inne przyszły później, kiedy straciłam świadomość, a on całkiem przejął kontrolę. Ale wciąż mam je wszystkie.

Przyspieszam kroku. Nie chcę wiedzieć, co pamiętał Len.

– Był z tobą szczęśliwy, Casey. Wiem, że pewnie nie chcesz tego słuchać, ale to prawda. Naprawdę cię kochał, a to, co zrobił... to nie miało z tobą nic wspólnego. Nie możesz się o to obwiniać. Prędzej czy później i tak by to zrobił. Szczerze

mówiąc, miałam poczucie, że twoja obecność w jego życiu powstrzymywała go przed wcześniejszymi próbami. Uważał, że ma zbyt wiele do stracenia.

– A jednak w końcu to zrobił.

Katherine przystaje i obraca mnie tak, że stoimy twarzą w twarz.

– I dlatego nie osądzam cię za to, co ty zrobiłaś jemu.

Oczywiście o tym wie. Len nazaczył ją niczym tatuaż. Dopomóż jej Boże.

– Prawdopodobnie sama postąpiłabym tak samo – ciągnie. – Łatwo się mówi o sprawiedliwości, odpowiedzialności i braniu spraw w swoje ręce, kiedy coś takiego nie przytrafia się tobie. Ale tobie się to przytrafiło, Casey. A ty zrobiłaś to, co wiele kobiet zrobiłoby na twoim miejscu.

– Obawiam się, że dla policji nie będzie to miało znaczenia.

– Może nie – mówi Katherine. – Ale nie zamierzam ich o tym informować. To zostanie między nami.

Rozpaczliwie pragnę, żeby to było możliwe, ale ta sprawa nie dotyczy tylko mnie i Katherine. Trzeba wziąć pod uwagę innych – przyjaciół i rodziny tych trzech dziewczyn wciąż zatopionych w chłodnym mroku jeziora Greene. To o nich myślę przede wszystkim, wchodząc do łodzi i płynąc na drugi brzeg. Nie spuszczam oka ze swojego telefonu wciąż w woreczku strunowym, gotowa zadzwonić do Wilmy Anson, gdy tylko znów znajdę się w domu.

Ktoś, kto stoi na moim pomoście, nieco ten plan opóźnia.

– Hej – mówi Boone, machając do mnie z lekką rezerwą, kiedy gaszę silnik i podpływam do przystani.

– Hej – odpowiadam.

Pozwalam Boone'owi zacumować łódź, bo po pierwsze, widzę, że aż się do tego rwie, a po drugie, jestem wyczerpana. Zdecydowanie zbyt zmęczona na rozmowę z nim w tej chwili, choć dobrze wiem, że jej nie uniknę.

– Eli mówił, że znalazłaś Katherine. – Rzuca mi spojrzenie nad wodą. – Dobrze się czuje?

– Nic jej nie jest.

W drodze między pomostem a werandą serwuję mu oficjalną wersję w skrócie. Opadam na bujane krzesło. Boone woli stać.

– Cieszę się, że jest cała i zdrowa – mówi. – Także ze względu na Toma.

Po tych słowach milknie, czekając, żebym przejęła pałeczkę.

– Dlatego przyszedłeś?

– Tak. I żeby ci powiedzieć, że wyjeżdżam. Skończyłem wszystkie naprawy u Mitchellów, więc znalazłem sobie przyjemną kawalerkę kilka miejscowości stąd. Już nie będziesz musiała się martwić, że masz mordercę za płotem. – Choć w głosie Boone’a ciągle pobrzmiwa nuta złości, którą słyszałam podczas naszej ostatniej rozmowy, w jego słowach wyczuwam już inny nastrój. Jakby smutek. – Przepraszam, że nie byłem z tobą całkiem szczery. Ale chyba teraz już wiesz, że nie miałem nic wspólnego z tym, co przytrafiło się Katherine czy tamtym zaginionym dziewczynom – mówi Boone, co mi przypomina, że on wciąż nie ma pojęcia, co zrobił Len. Ani jak mu za to odpłaciłam.

Dwa razy.

– A co do mojej żony – ciągnie Boone – to owszem, byłem podejrzany w sprawie jej śmierci. I tak, przez jakiś czas uważano, że ją zabiłem. Nie było na to dowodu, ale nie było też dowodu, że tego nie zrobiłem. A przynajmniej takiego, który chciałem ujawnić.

Podnoszę na niego wzrok, zaskoczona i nagle żywo zaciekawiona.

– Więc nie powiedziałaś wszystkiego policji?

– Śmierć mojej żony nie była wypadkiem. – Boone urywa, nabiera powietrza. – To było samobójstwo.

Wzdrygam się zszokowana.

– Wiem, bo zostawiła list, w którym mnie przeprosza i wyjaśnia, że od dawna nie była szczęśliwa. Myślałem, że to wiem, ale się myliłem. Nie wiedziałem wszystkiego. Była bardziej niż nieszczęśliwa. Pogrzyżyła się w mroku i winię się za to, że nie dostrzegłem, jak było z nią źle, aż stało się za późno. – W końcu Boone siada. – Jak tylko znalazłem ten pożegnalny list, zadzwoniłem do Wilmy.

Przyjechała, przeczytała go i powiedziała, że muszę go ujawnić. Wtedy oboje już wiedzieliśmy, że jestem podejrzany. To było oczywiste. Ale i tak nie mogłem tego zrobić. Ta informacja zniszczyłaby jej rodzinę. Uznałem, że łatwiej im będzie znieść myśl o wypadku niż o samobójstwie. Inaczej podobnie jak ja obwinialiby siebie, że nie widzieli, jak bardzo cierpi, i nie zapewnili jej pomocy, której potrzebuje. Wolałem im tego wszystkiego oszczędzić. I nie chciałem, żeby inni osądzali Marię za to, co sobie zrobiła. Żeby to zatręło ich pamięć o niej. Chciałem uchronić wszystkich przed poczuciem winy i bólem, których sam doświadczałem. Wilma zgodziła się na to niechętnie i wspólnie spaliliśmy ten list.

Nic dziwnego, że była tak bardzo przekonana o jego niewinności. W przeciwieństwie do mnie znała całą historię. I to, co wydawało się ślepym zaufaniem, było w istocie pięknym przykładem lojalności.

– Jest dobrą przyjaciółką – stwierdzam.

– To prawda. To ona przekonała wszystkich naszych kolegów i koleżanki o mojej niewinności. Mam nadzieję, że w końcu i ty mi uwierzysz.

Myślę, że to już się stało.

Za mało wiem o małżeństwie Boone’a, żeby go osądzać – choć wcale mi to nie przeszkadzało, kiedy w moich żyłach płynęło więcej burbona niż krwi. Teraz wiem tylko, że w głębi ducha Boone wydaje mi się dobrą osobą, która próbuje ujarzmić swoje demony – jak każdy z nas. A ja, jako ktoś, komu ujarzmianie własnych demonów nie wychodzi najlepiej, tym bardziej powinnam udzielić mu kredytu zaufania.

– Dziękuję, że mi to wyjaśniłeś – mówię. – I wierzę ci.

– Serio?

– Serio.

– Więc lepiej już sobie pójdę, zanim zmienisz zdanie – rzuca Boone, błyskając na odchodne tym swoim zabójczym uśmiechem. Zanim schodzi z werandy, wręcza mi jakąś wizytówkę. Wydrukowano na niej nazwę miejscowego kościoła, dzień tygodnia i dokładną godzinę. – To cotygodniowe spotkania AA, na których bywam

– dodaje. – Na wypadek, gdybyś kiedyś chciała spróbować. Początki mogą być onieśmielające. Będzie ci łatwiej, jeśli zobaczysz tam znajomą twarz.

I odchodzi, zanim zdążę zareagować, z góry przekonany, że moja odpowiedź brzmi „nie”. Oczywiście ma rację. Nie mam zamiaru narażać się na upokorzenie przed grupą nieznajomych, którym miałabym zdradzać swe niezliczone ułomności.

Na razie.

Ale może wkrótce.

Wszystko zależy od tego, czy powiedzie się to, co zaraz zamierzam zrobić.

Jeszcze wczoraj golnęłabym sobie kilka drinków przed telefonem do Wilmy Anson. Ale teraz już się nie waham, chociaż wiem, że będzie na mnie wściekła, a jej koledzy zapewne postawią mi zarzut morderstwa.

Zbyt długo tego unikałam.

Już dawno temu powinnam była wyznać prawdę.

Wilmie wyraźnie nie podoba się kamizelka ratunkowa, do której włożenia ją nakłoniłam przed odbiciem od przystani. Skubie ją z niezadowoleniem dziecka skrzepowanego w foteliku samochodowym.

– To naprawdę nie jest konieczne – narzeka. – Cholernie dobrze pływam.

– Bezpieczeństwo przede wszystkim – odpowiadam z tyłu motorówki, gdzie w podobnej kamizelce obsługuję silnik.

Nie pozwolę na powtórkę tego, co przydarzyło się Katherine Royce. Jezioro Greene może wydawać się niegroźne, zwłaszcza teraz, kiedy woda połyskująca refleksami zachodzącego słońca wygląda niczym różowy szampan, ale ja wiem, że to pozory.

Len wciąż tam jest.

Jestem tego pewna.

Opuścił moje ciało i wrócił do wody. Teraz czai się tuż pod powierzchnią, czekając na właściwy moment, by dopaść nową ofiarę.

Nie pozwolę na to.

Wilma również bacznie wpatruje się w wodę, choć robi to z zupełnie innego powodu. Na zachodnim krańcu jeziora, dokąd nie docierają promienie zachodzącego słońca, zapada zmierzch. Brzeg i powierzchnię wody zasnuwają cienie.

– Czy to nie może poczekać do jutra? – pyta policjantka.

– Obawiam się, że nie.

Rozumiem, że jest zmęczona. To był długi, męczący dzień. Po moim telefonie i wyjaśnieniu, że Katherine się odnalazła, Wilma przez całe popołudnie przesłuchiwała nas wszystkich. Zaczęła od Katherine i Toma, którzy przedstawili jej ustaloną wersję wydarzeń. Katherine przysięgała, że zabłądziła w lesie. Tom był przekonany, że żona go zostawiła. Na pytanie, gdzie był zeszłego wieczoru, kiedy Wilma do niego zajrzała, odparł, że zaniepokoiła go gwałtowność burzy i postanowił ją przeczekać w piwnicy Fitzgeraldów.

Dowiedziałam się tego wszystkiego od samej Wilmy, kiedy przyszła przesłuchać mnie. Uraczyłam ją moją częścią historii, która całkowicie pokrywała się z tym, co usłyszała od Royce'ów. Jeśli nadal żywiła podejrzenia wobec któregokolwiek nas, nie dała tego po sobie poznać. Żadna niespodzianka.

– Muszę pani powiedzieć o czymś jeszcze – dodałam. – Ale nie tutaj. Na jeziorze.

No i jesteśmy na miejscu; powierzchnia wody dzieli się tu na dwie połowy. Po lewej niebiański róż. Po prawej połyskująca czern. Płynę wzłuż linii podziału, a światło i mrok mieszają się w kilwaterze.

– Rozmawiałam z Boone'em – mówię, kiedy tak suniemy przed siebie. – Powiedział mi prawdę o tym, co się stało jego żonie.

– Och. – W głosie Wilmy nie słychać zaskoczenia. Podejrzewam, że już to wie. – Czy wobec tego zmieniła pani o nim zdanie?

– Tak. I o pani. Myślałam, że jest pani typem policjantki działającej zawsze zgodnie z przepisami.

– Bo jestem – oświadcza Wilma. – Ale czasem zdarza mi się zrobić wyjątek od reguły. A co do Boone'a, to on jest z tych dobrych. Może mi pani wierzyć.

Dopływamy do Starego Uparciucha, który znajduje się po ciemnej stronie jeziora. Wyłączam silnik, wyjmuję chusteczkę z kieszeni i wręczam ją Wilmie. Kiedy ją rozwija, aż wytrzeszcza oczy ze zdumienia. Wreszcie jakaś niedwuznaczna reakcja.

– Znalazłam to w piwnicy – wyjaśniam. – W mojej piwnicy.

Wilma nie odrywa wzroku od praw jazdy i kosmyków włosów. Wie, co to wszystko oznacza.

– Wszystkie trzy dziewczyny są w jeziorze. – Wskazuję na Starego Uparciucha, którego zarys widoczny jest na tle coraz szybciej zapadającego zmierzchu. – Tam.

– Skąd pani wie?

– Bo to jedyne miejsce, w którym mój mąż by je ukrył.

Nie mogę powiedzieć jej prawdy z bardzo wielu powodów, ale głównie dlatego, że po prostu by mi nie uwierzyła. Mam zatem nadzieję, że właśnie takie wyznanie – między nami żonami – wystarczy, żeby ją przekonać.

– Jutro sprowadzę tu nurków i zobaczymy, czy ma pani rację – mówi. – A jeśli tak, to cóż... pani życie bardzo się skomplikuje. Ludzie się dowiedzą, że pani mąż był zabójcą, i będą panią za to osądzać.

– Wiem.

– Czyżby? To coś znacznie bardziej potępiającego niż nagłówek w brukowcu – ostrzega Wilma. – Przez resztę życia będą panią łączyć z tym człowiekiem. Może pani spróbować odciąć się od tego, co zrobił, ale to będzie trudne. Być może przez długi czas nie będzie pani mogła pokazywać się publicznie.

Przypominam sobie tamto zdjęcie, na którym wznoszę toast ku paparazzim i które zrobiło furorę na okładce „New York Post”.

– To dla mnie nic nowego. Poza tym chcę sprawiedliwości. Żeby wszyscy, którzy znali i kochali Megan, Toni i Sue Ellen, wiedzieli, co się z nimi stało. I że ten, kto im to zrobił, nie skrzywdzi już nikogo więcej.

W łodzi zapada milczenie – chwila ciszy dla uczczenia pamięci trzech dziewczyn, których ciała spoczywają na dnie jeziora. Ostatnie promienie zachodzącego słońca kryją się za górami, pozostawiając nas w pomroce wczesnego wieczoru.

– Od dawna pani wie? – przerywa milczenie Wilma.

– Wystarczająco długo.

– Wystarczająco, żeby wziąć sprawy w swoje ręce?

– Gdybym to zrobiła – odpowiadam – bardzo trudno byłoby to teraz udowodnić.

Ze zdenerwowania ani drgnę, czekając na reakcję Wilmy. Nie ułatwia mi tego, bo milczy przez całą minutę, zanim odpowiada:

– Przypuszczam, że ma pani rację.

Rozkwita we mnie nadzieja. Może to jeden z tych rzadkich wyjątków, o których wcześniej wspominała Wilma.

– Bądź co bądź Len został skremowany – mówię. – Nie ma zwłok, które można by zbadać.

– Rzeczywiście to niemożliwe – podsumowuje Wilma. – Zresztą nie widzę powodu do wznowiania tamtej sprawy, zwłaszcza że wtedy nie wykryto żadnych znamion przestępstwa.

Oddycham z ulgą, a wraz z powietrzem ulatują strach i napięcie, które tak długo we mnie wzbierały. Widać to mój szczęśliwy dzień. Dzięki Katherine Royce dostałam drugą szansę na życie. Teraz Wilma Anson oferuje mi trzecią.

Mam dość samoświadomości, by wiedzieć, że nie zasługuję na nie.

Ale i tak je przyjmę.

Pozostał jeden drobiazg, który mnie niepokoi.

– A co z tą pocztówką?

– A co ma być? – pyta Wilma. – Zbadano ją na wszystkie możliwe sposoby. Nigdy się nie dowiemy, kto ją przysłał. W sumie nie zdziwiłoby mnie, gdyby zniknęła z magazynu dowodów. Takie rzeczy ciągle giną.

– Ale...

Powstrzymuje mnie spojrzeniem nietypowo czytelnym pod każdym względem.

– Serio będziemy się o to kłócić? Ułatwiam pani wyjście z sytuacji. Niech pani korzysta.

Korzystam.

Chętnie.

– Dziękuję – mówię.

– Nie ma za co. – Mijają dwie sekundy. – I proszę do tego więcej nie wracać, bo zmienię zdanie. – Kolejne dwie sekundy. – A teraz do brzegu. Jest późno, a pani właśnie zwała mi na głowę kupę papierkowej roboty.

Gdy Wilma odjeżdża, zapada już noc. Przechodzę przez ciemny dom, zapalając światła, a potem idę do kuchni, żeby się zastanowić, co przygotować na kolację. Szklaneczka burbona, którą nalałam wczoraj wieczorem, wciąż stoi na blacie. Na jej widok aż mnie trzęsie, żeby się napić.

Biorę ją do ręki.

Podnoszę do ust.

I po zastanowieniu wylewam burbona do zlewu.

To samo robię z resztą butelki.

Potem opróżniam drugą.

A potem wszystkie pozostałe.

Kiedy pozbywam się z domu całego alkoholu, mój nastrój zmienia się jak w kalejdoskopie. Czuję furję – jak ktoś, kto wyrzuca rzeczy po byłym kochanku. Ogarnia mnie śmiech z gatunku „sama nie wierzę, że to robię”. Później ekscytacja, dzika i chaotyczna, a po niej katharsis, desperacja i duma. I smutek – co mnie zaskakuje. Nie spodziewałam się, że będę żałować picia, które przyniosło mi same kłopoty. A jednak kiedy zawartość jednej butelki po drugiej znika w odpływie, przytłacza mnie uczucie żalu.

Jakbym traciła przyjaciela.

Strasznego, owszem.

Ale nie zawsze.

Czasami picie naprawdę dawało mi radość i będzie mi tego brakowało.

Po godzinie drzwiczki szafki na alkohole stoją otworem, odsłaniając jedynie puste wnętrza. Wszystkie butelki, które kiedyś je zapełniały, stoją teraz na blacie kuchennym, starannie opróżnione. Niektóre były starsze niż milenialsi; inne kupiono w tym tygodniu.

Została już tylko jedna, na stole w jadalni – czerwone wino za pięć tysięcy dolców od Toma Royce’a. Wiedząc, ile kosztowało, nie mogłam się zmusić do wylania go do zlewu. Przez okno w jadalni widzę dom Royce’ów rozświetlający

październikową noc. Oddałabym to wino w tej chwili, gdyby pora nie była tak późna, a ja tak zmęczona.

Opróżnienie tych wszystkich butelek naprawdę mnie wyczerpało. A może to tylko objaw odstawienia. Już teraz boję się ogromu skutków ubocznych, które mnie czekają.

Nadchodzi nowa Casey.

Dziwne uczucie. Jestem sobą, ale i nie jestem. Tak pewnie czuła się Katherine, zanim Len całkowicie przejął nad nią kontrolę.

„Po prostu ostatnio nie jestem sobą – powiedziała mi. – Od wielu dni nie czuję się dobrze”.

To wspomnienie uderza we mnie z siłą pioruna. Z hukiem. Elektryzująco. Paralizująco.

Bo to, co tamtego dnia usłyszałam od Katherine, nie pasuje do całej reszty. Gdy się dowiedziałam, że Len wrócił i kontroluje ją niczym marionetkę, uznałam, że to dlatego czuła się tak dziwnie i słabo.

Częściowo był temu winny, to jasne. Sama się o tym przekonałam przez ten krótki czas, kiedy był we mnie.

Ale Len nie był główną przyczyną złego samopoczucia Katherine.

Wiem, bo to, że nie czuje się sobą, wyznała tego ranka, kiedy piłyśmy kawę na werandzie. Dzień po tym, jak wyciągnęłam ją z jeziora. A powiedziała przecież, że czuła się nieswojo już wcześniej – zanim na scenie pojawił się Len.

„Jakby moje ciało przestało działać”.

Odwracam wzrok od okna i spoglądam na butelkę wina stojącą na stole.

A potem chwytam za telefon i dzwonię do Wilmy Anson.

Odzywa się poczta głosowa. Po sygnale nie zostawiam swojego nazwiska ani numeru. Po prostu wykrzykuję to, co muszę jej powiedzieć, z nadzieją, że Wilma usłyszy to na czas.

– Ten odłamek kieliszka, który pani dałam! Czy już przyszły wyniki z laboratorium? Bo myślę, że miałam rację. Myślę, że Tom Royce próbował...

próbuję zamordować żonę.

Rozłączam się, wybiegam na werandę i chwytam za lornetkę. Wystarczy mi sekunda, żeby wyregulować przybliżenie i ostrość. Dom Royce'ów na przemian się rozmazuje i wyostrza, zanim nabiera krystalicznej czystości.

Uważnie przepatruję każde pomieszczenie.

Kuchnia jest pusta.

Tak jak gabinet nad nią i główna sypialnia na prawo.

W końcu namierzam Katherine w salonie. Leży na sofie, przykryta kocem i wsparta na ozdobnych poduszkach. Na pobliskim stoliku stoi wielki kieliszek czerwonego wina.

Wciąż przytrzymując lornetkę przy oczach jedną ręką, drugą chwytam telefon. Lekko podskakuje mi w dłoni, kiedy przewijam ekran kciukiem, szukając numeru Katherine.

Widzę, jak właśnie sięga po wino i jej palce oplatają kieliszek.

Ściskam telefon mocniej i stukam w przycisk „zadzwoń”.

Katherine podnosi kieliszek do ust, zaraz upije łyk.

Rozlega się pierwszy sygnał.

Wzdryga się na ten dźwięk, ręka z kieliszkiem zastyga w powietrzu.

Drugi sygnał.

Katherine rozgląda się po pokoju, próbując zlokalizować swój telefon.

Trzeci sygnał.

Dostrzega go na pobliskiej otomanie, odstawia kieliszek z powrotem na stolik.

Czwarty sygnał.

Katherine sięga po telefon, koc ześlizguje się z jej kolan. Przytrzymuje go jedną ręką, a drugą wyciąga po komórkę.

Piąty sygnał.

– Odłóż telefon, Casey.

Opuszczam lornetkę i odwracam się na pięcie, by ujrzeć Toma wychodzącego z mojego domu na werandę. Niesie butelkę wina, trzymając ją za szyjkę, jakby to

był kij bejsbolowy. Uderzając jej dolną częścią o otwartą dłoń drugiej ręki, zbliża się do mnie.

Katherine w końcu odbiera i w głośniku rozlega się jej głos.

– Halo?

Tom wyrywa mi telefon i rozłącza rozmowę, a potem wyrzuca go przez balustradę. Komórka ląduje z trzaskiem na ziemi w ciemnościach, po czym wykrztusza z siebie sygnał dzwonka. Katherine oddzwania.

– Założę się, że teraz żałujesz swojego wścibstwa – mówi Tom. – Nic z tego wszystkiego by się nie wydarzyło, gdybyś się nie wtrącała. Katherine byłaby trupem, ty zapijałabyś się tu do nieprzytomności, a ja miałbym dość pieniędzy na uratowanie firmy. Ale musiałaś ją uratować, a potem bez przerwy nas podglądać, jakby nasze życie było jakimś pieprzonym reality show. A później wciągnęłaś w to policję i wszystko zepsułaś. I już nie mogę powoli podtruwać Katherine. Teraz muszę być bardzo ostrożny, zacierać ślady, żeby to naprawdę wyglądało na wypadek. Dlatego trzymałem ją związaną w piwnicy, zamiast od razu zabić. Na szczęście twój mąż miał sporo ciekawych rzeczy do powiedzenia na ten temat.

Wzdrygam się – tej reakcji nie mogę powstrzymać, bo jestem za mocno skupiona na ciężkiej butelce raz po raz opadającej z pacnięciem na dłoń Toma.

– Sporo gadaliśmy, kiedy leżał w tej piwnicy – ciągnie. – Całymi godzinami. Niewiele więcej mogłem zrobić, odkąd ta twoja policjantka zaczęła deptać mi po piętach. Wiesz, co było najbardziej zaskakujące z tego, co mi powiedział?

Butelka się wznosi, opada.

Pac.

– Że go zabiłam – zgaduję.

– Nie tylko. Fascynujące było to, jak to zrobiłaś.

Pac.

– Morderstwo doskonałe. Znacznie lepsze niż w tym twoim przedstawieniu. Pierwotny pomysł wzięłem z niego, ale tyle już wiesz. Powolutku podtruwać żonę, żeby umarła na coś innego, i odziedziczyć wszystko.

Pac.

– Ale twój mąż, stary dobry gaduła Len, podsunął mi znacznie lepszą myśl. Leki przeciwhistaminowe w winie. Zrobi się senna i ociężała. Wepchnąć ją do wody i niech utonie. W tej okolicy utonięcie nie budzi podejrzeń policji. Jak sama dobrze wiesz.

Pac.

Dobiegający gdzieś z dołu dźwięk telefonu milknie. Katherine dała za wygraną.

– Prawdopodobnie właśnie sączy winko. – Tom wskazuje gestem na lornetkę, którą wciąż ściskam w dłoniach. – No dalej, popatrz. Wiem, że to lubisz.

Unoszę lornetkę. Żeby się nie trzęsła, muszę użyć obu rąk. Dom Royce'ów i tak podryguje, jakby było trzęsienie ziemi. Przez te dygoczące soczewki widzę, że Katherine podeszła do okna salonu. Wygląda na zewnątrz, znowu trzymając w ręku kieliszek wina.

Podnosi go do ust i upija łyk.

– Katherine, nie!

Nie wiem, czy mój krzyk dociera na drugą stronę jeziora, bo Tom przyskakuje do mnie w okamgnieniu. Zamierzam się lornetką na jego głowę. Blokuję cios i uderza mnie butelką w ramię.

Czuję przeszywający ból i lornetka wypada mi z ręki.

Z krzykiem zataczam się do tyłu, potykam o bujane krzesło i upadam na werandę.

– Teraz wiesz, jak to jest – mówi Tom.

Robi kolejny zamach butelką, która o kilka centymetrów mija ze świstem moją twarz. Gramolę się do tyłu wzdłuż werandy, prawe ramię pulsuje mi bólem, a Tom wciąż wymachuje butelką, tnąc powietrze coraz bliżej mnie.

Coraz bliżej.

I bliżej.

– Wiem, jak się ciebie pozbyć – dodaje Tom. – To też pomysł Lena. Wystarczy trochę sznurka, parę kamieni i głęboka woda. Znikniesz jak tamte dziewczyny,

które zabił. Nikt się nie dowie, co się z tobą stało.

Znowu zamierza się butelką, a ja uskakuję przed ciosem, aż na skraj schodów.

Kolejne machnięcie, mój unik, próba utrzymania równowagi. Potem chwila nieważkości – okrutna, bo daje złudzenie, że mogę się oprzeć sile grawitacji. Kończy się twardym lądowaniem na następnym stopniu.

A potem koziołkuję z kolejnych schodków, a krawędź każdego z nich jest jak cios.

W biodro.

W plecy.

W twarz.

Na samym dole ląduję na wznak, poobijana i otumaniona upadkiem. Wzrok mi się mąci. Na przemian tracę i odzyskuję ostrość widzenia, patrząc, jak Tom schodzi za mną.

Powoli.

Stopień za stopniem.

Butelka znowu opada na jego dłoń.

Pac.

Próbuję krzyczeć, ale z moich ust nie wydobywa się żaden dźwięk. Jestem zbyt obolała i przestraszona, brakuje mi tchu. Jedyne, co mogę zrobić, to spróbować się podnieść i jakoś dowlec do wody z nadzieją, że ktoś mnie zobaczy.

Tom dogania mnie na samym brzegu. Wchodzę do jeziora, rozchlapując wodę, kiedy chwyta mnie za koszulę i ciągnie do siebie, zamierzając się butelką.

Uchylam się w lewo i obrywam w prawe ramię.

Czuję przeszywający ból. Cios powala mnie na kolana. Brnę głębiej w jezioro, woda sięga mi już do bioder, zimna jak lód. Chłód stawia mnie na nogi na tyle, żeby się odwrócić, objąć ramionami kolana Toma i pociągnąć go ze sobą w dół.

Przewracamy się, złączeni w kotłujące się i wijące kłębowisko rąk i nóg. Butelka wyslizguje się Tomowi z ręki i znika w wodzie, a on wywleka mnie na powierzchnię. Chwyta mnie za szyję, ścisza i wpycha z powrotem pod wodę.

Natychmiast zaczyna brakować mi powietrza. Jezioro jest lodowate, dłonie Toma mocno zaciskają się na mojej szyi i nic nie widzę w tej ciemnej wodzie. Wepchnięta na dno, kopię, wiję się i miotam, a w płucach mam coraz mniej tchu i czuję, że zaraz eksplodują.

Jednak przez cały czas myślę tylko o Lenie.

Właśnie w tym jeziorze.

Czeka na moją śmierć w tej mrocznej toni, żeby raz jeszcze mógł się odrodzić.

Nie mogę na to pozwolić.

Nie ma, kurwa, mowy.

Gorączkowo obmacuję dno, szukając jakiegoś kamienia, którym mogłabym ogłuszyć Toma. Może wtedy przestanie ścisnąć mnie za gardło. Może w ogóle mnie puści. Może uda mi się uciec.

Zamiast o kamień moje palce ocierają się o szkło.

Butelka wina.

Wyciągam rękę, chwytam ją za szyjkę, robię zamach.

Butelka wyskakuje nad powierzchnię, przecina powietrze i trafia Toma w bok czaszki.

Jego dłonie zsuwają się z mojej szyi, a on sam się chwieje i z głuchym charkotem zwala bezwładnie. Wynurzam się i widzę, jak leży bez ruchu, twarzą do dołu.

Po drugiej stronie jeziora, przed rezydencją Royce'ów, zaczynają się zjeżdżać samochody policyjne. Ich wirujące czerwono-biało-niebieskie światła odbijają się od wody, kiedy chmara policjantów zalewa tylne patio i wparowuje do wnętrza domu.

Wilma dostała moją wiadomość.

Dzięki Bogu.

Próbuję wstać, ale udaje mi się podnieść jedynie na klęczki. Kiedy usiłuję coś krzyknąć do policjantów, wydaję z siebie tylko niemy skrzek. Gardło mam zbyt zmaltretowane.

Obok mnie Tom wciąż leży twarzą w wodzie. Tuż nad jego lewym uchem widać niewielkie wgłębienie w miejscu, gdzie butelka spotkała się z jego czaszką. Wypływająca z niej krew miesza się z wodą i tworzy czarną chmurę, która się rozrasta.

Wiem, że nie żyje, gdy tylko go odwracam. Oczy ma matowe jak stare pięciocentówki, a ciało upiornie znieruchomiałe. Dotykam jego szyi, nie wyczuwam pulsu. Z wgniecenia w czaszce cały czas sączy się krew.

W końcu nakłaniam nogi do współpracy i wstaję. Przez cały czas zaciskam palce na butelce wina, wciąż nienaruszonej. Wychodzę na brzeg i odkładam ją na pas kamieni między jeziorem a trawą.

Za moimi plecami Tom gwałtownie wciąga powietrze i wraca do życia.

To żaden szok.

Nie w tym jeziorze.

Wmaszerowuję z powrotem do wody i chwytam go za ramiona. Staram się na niego nie patrzeć, ale trudno tego uniknąć, kiedy wywlekam go na brzeg i upewniam się, że żadna część jego ciała nie styka się już z wodą. Napotyka mój wzrok i się uśmiecha.

– Musimy przestać tak się spotykać – mówi, po czym cedzi moją ksywkę, którą jednocześnie spodziewam się i obawiam usłyszeć. – Cee.

– Przystaniemy – obiecuję.

Chwytam butelkę, roztrzaskuję ją o kamienie, a wyszczerbioną krawędź wbijam mu w gardło i przekręcam, dopóki nie mam pewności, że już nigdy nie wyda z siebie ani słowa.

Później



Budzę się ostatnia.
Oczywiście.

Łatwo jest przysypiać, kiedy wraz z porą roku słońce zmieniło swój podniebny szlak i teraz zagląda w okna pod takim kątem, że jego promienie skrzętnie omijają moje łóżko. Gdy w końcu wstaję, zapach kawy i odgłosy gotowania już prześlizgują się pod drzwiami do sypialni. Zdaje się, że wszyscy od dawna są na nogach.

W kuchni na dole wrze jak w ulu. Marnie i moja matka tłoczą się przy kuchence, debatując o tym, jak się powinno przyrządzać grzankę francuską. Obu daję całusa w policzek, a potem nalewam sobie kawy, pozwalając im wrócić do sprzeczki.

Eli i Boone nakrywają w jadalni do stołu. W sumie sześć nakryć.

– Dzień dobry, śpiochu – mówi Boone. – Już myśleliśmy, że nigdy nie wstaniesz.

Upijam łyk kawy.

– Byłam zmęczona. Niewiele spałam.

– Tak to już jest w sylwestra.

Wszyscy świętowaliśmy Nowy Rok na tylnej werandzie, a gdy wybiła północ, wznieśliśmy toast napojem imbirowym.

To był dobry wieczór.

A potem było jeszcze lepiej.

– Casey mogłaby się od ciebie nauczyć wczesnego wstawania! – woła do Boone’a moja matka z kuchni. – Kiedy ja wstałam rano, ty już byłeś na nogach i nawet zdążyłeś posłać łóżko.

Boone rzuca mi z drugiego końca jadalni ukradkowe spojrzenie, od którego o mało nie wybucham śmiechem. Wciąż nie mamy pewności, czy moja matka jeszcze się nie połapała, że jesteśmy ze sobą, czy też zorientowała się dawno temu,

a teraz sobie z nami pogrywa. Tak czy inaczej wszyscy tę gierkę lubimy. W przeciwieństwie do *Monopoly*, w który Boone ogrywa mnie za każdym razem.

Nie powiedziałam mu prawdy o tym, co przytrafiło się Katherine ani skąd wiedziałam, że Len zamordował trzy dziewczyny. Marnie ani mojej matce też nie. Jak cała Ameryka wciąż są przekonani, że Katherine zablądziła w lesie – oszołomiona niewielkimi dawkami trucizny, które serwował jej Tom – i że znalazłam włosy oraz prawa jazdy tych trzech zaginionych, gdy porządkowałam rzeczy Lena.

Zamierzam opowiedzieć o wszystkim Boone’owi, Marnie i mojej matce – kiedyś. Serio. Potrzebuję tylko więcej czasu. Wystarczająco trudno było mi się przyznać przed Boone’em, że podglądałam go z werandy, kiedy stał nago na pomoście Mitchellów.

Odparł, że się tego domyślał.

I zaproponował, że to powtórzymy, gdy tylko zrobi się cieplej.

Jeśli chodzi o całą resztę, sprawa jest nieco trudniejsza. No i nie chcę jeszcze kończyć fazy zakochania w związku, który – jakkolwiek go nazwać – łączy mnie z Boone’em. Poza tym, przynajmniej na razie, potrzebuję choć jednej rzeczy nieskażonej wydarzeniami z października.

Dzień po ataku Toma oddział ratowniczy policji stanowej zaczął przeczesywać jezioro. Ciało Megan Keene, Toni Burnett i Sue Ellen Stryker znaleziono wszystkie w jednym miejscu, dokładnie tam, gdzie wskazał Len.

Prasa o mało nie oszalała. Mogę sobie tylko wyobrazić, ilu redaktorów potrzebowało soli trzeźwiących, usłyszawszy, że założyciel Mixera Tom Royce próbował otruć ikonę mody Katherine Royce, a powstrzymała go Narwana Casey Fletcher, która niedawno odkryła, że jej zmarły mąż był seryjnym zabójcą.

Niezły nagłówek.

Nad jeziorem Greene przez ponad tydzień panowało istne szaleństwo. Tak wiele pojazdów prasowych przetoczyło się zwirową drogą okalającą jezioro, że policja musiała ustawić zapory, by odciąć im dojazd. Wtedy pojawiły się

helikoptery, które zawisały nad wodą, a fotografowie wychylali się z nich niczym komandosi Navy SEALs gotowi wyskoczyć i rzucić się w wir walk. Pewna reporterka przebyła ponad trzy kilometry w szpilkach, żeby zadzwonić do drzwi i zadać kilka pytań. Eli wręczył jej kompres lodowy na obolałe stopy i odesłał z kwitkiem.

Od tamtej pory rzadko opuszczam dom nad jeziorem. W przeciwieństwie do dawnej Casey, która potrafiła wyjść po pijaku do paparazzich czatujących przed barem i wnieść do nich toast, wiem, że każde moje pojawienie się gdziekolwiek tylko doleje oliwy do medialnego ognia. Choć zaskarbiłam sobie sporo sympatii za uratowanie życia Katherine, Wilma Anson miała rację, że opinia publiczna będzie mnie osądzać za zbrodnię Lena. Mimo że większość ludzi nie uważa, że pomogłam mu zamordować te trzy dziewczyny, wszyscy winią mnie za to, że nie dostrzegłam, kim jest, kiedy żył. Nie przeszkadza mi to z dwóch powodów.

Po pierwsze, znam prawdę.

Po drugie, sama też się o to obwiniam.

Kiedy wychodzę, jestem incognito. Byłam na pogrzebach wszystkich trzech ofiar Lena – jako anonimowa kobieta w za dużych okularach przeciwsłonecznych i kapeluszu z opadającym rondem siedząca w tylnej części słabo zapełnionych kościołów. Katherine chciała mi towarzyszyć, ale odwiodłam ją od tego zamiaru, tłumacząc, że przyciągnęłaby do nas zbyt wiele uwagi. W rzeczywistości jednak chciałam być sama, żeby móc wyszeptać kilka słów do Megan, Toni i Sue Ellen.

Przeprosiłam je za to, że nie pomogłam w ich odnalezieniu wcześniej, i prosiłam o wybaczenie.

Mam wielką nadzieję, że mnie wysłuchały.

– Śniadanie będzie gotowe za pięć minut – oznajmia Marnie. – Zawołaj Katherine. Jest na werandzie.

Wkładam jedną z wielu parok wiszących teraz w przedpokoju i wychodzę na tylną werandę. Katherine popija kawę, siedząc na bujanym krześle, ubrana

w designerski płaszcz, w którym wygląda, jakby właśnie przyleciała z Sankt Moritz.

– Szczęśliwego Nowego Roku – mówi, posyłając mi radosny uśmiech spod kaptura obszytego sztucznym futrem.

– Nawzajem.

Katherine wystawiła swój szklany pałac na sprzedaż i przeniosła się do naszego domu nad jeziorem, gdy tylko obie opuściłyśmy szpital. Po październikowych wydarzeniach jej reputacja, w przeciwieństwie do mojej, tylko się poprawiła. Tak się dzieje, kiedy twój mąż próbuje cię zabić, a policja ma dowód w postaci odłamka kieliszka po winie ze śladem trucizny.

Również w przeciwieństwie do mnie Katherine chętnie pojawia się we wszystkich mediach. Trafiła na okładkę magazynu „People”, opowiedziała swoją historię w porannym programie *Good Morning America*, napisała o sobie dla „Vanity Fair”. Za każdym razem podkreślała, jak dobrą byłąm przyjaciółką i że mam za sobą tyle samo dramatycznych przeżyć co ona. Z tego powodu – a także dlatego, że ci nieustraszeni fotografowie przyłapali nas, kiedy śmiałyśmy się na werandzie – media okrzyknęły nas „Wesołymi Wdówkami”.

Nie będę kłamać. To mi się całkiem podoba.

– Nie czułaś się dziwnie, nie pijąc szampana o północy? – pyta Katherine.

Minęło dziesięć tygodni, odkąd wypięłam ostatniego prawdziwego drinka. Dziesięć długich, powolnych i trudnych tygodni. Ale czuję się lepiej niż w zeszłym tygodniu, który był lepszy od poprzedniego. Mój głód alkoholowy osłabł. To mi dodaje otuchy, choć wiem, że nałóg nigdy mnie nie opuści. Ten głód będzie mnie dręczył jak ból fantomowy kończyny – niby jej nie ma, a jednak ją czujesz.

Ale dam sobie radę.

Spotkania są bardzo pomocne.

Podobnie jak system wsparcia, który obecnie wypełnia każdy pokój gościnny w tym niegdyś pustym domu.

– Szczerze mówiąc, dobrze mi to zrobiło – odpowiadam.

– Wypijmy za to.

Stukamy się kubkami, a potem patrzymy na jezioro. Zamarzło w połowie listopada, co prawdopodobnie nie zmieni się do marca. Dwa dni przed świętami w dolinie spadło trzydzieści centymetrów śniegu, zmieniając wszystko wokół w lśniącą białą oazę jak z obrazka. Parę dni temu Marnie i ja wsunęliśmy stopy w zbyt ciasne łyżwy i jeździliśmy po jeziorze jak w dzieciństwie.

– Myślisz, że naprawdę odeszli? – pyta Katherine.

Patrzę na nią, zaskoczona. Mimo wszystkiego, przez co obie przeszłyśmy, prawie o tym ze sobą nie rozmawiamy. Chyba dlatego, że boimy się zapeszyć teraźniejszość, wspominając o przeszłości.

Jednak tego poranka początek nowego roku przynosi nadzieję zdolną rozświetlić mrok, który mogłoby przywołać mówienie o nim.

– Myślę, że tak – odpowiadam. – Mam nadzieję, że tak.

– A jeśli nie? Co, jeśli obaj wciąż gdzieś tam są i czekają?

Sporo o tym myślę, zwłaszcza w te noce, kiedy mam wielką ochotę się napić i błąkam się po domu jak niespokojny duch. Patrzę wtedy na wodę i zastanawiam się, czy Len jakimś cudem zdołał tam wrócić i znowu czeka, aż ktoś inny padnie ofiarą jeziora, czy może Tom zajął jego miejsce w mrocznej głębinie. Trudno przestać o tym myśleć, skoro nadal nie mamy pojęcia, jak i dlaczego to wszystko się wydarzyło. Może wody jeziora Greene są dotknięte jakąś magiczną i złowrogą siłą. A może przyczyną był sam Len, przeklęty za sprawą swoich złych uczynków.

Tak czy inaczej wiem, że istnieje szansa – choć niewielka – że historia może się powtórzyć.

Jeśli ten dzień nadejdzie, będę czekała.

I będę gotowa.

PODZIĘKOWANIA

Ta książka nie powstałaby bez pomocy i wsparcia wielu wspaniałych osób. Najważniejszymi z nich są moja redaktorka Maya Ziv i moja agentka Michelle Brower, które dopingowały mnie od chwili, kiedy po raz pierwszy opowiedziałem im tę zwariowaną historię. Bez ich zachęty nie byłoby Casey, Katherine ani domu po drugiej stronie jeziora Greene.

Dziękuję Emily Canders, Katie Taylor, Stephanie Cooper, Lexy Cassoli, Christine Ball, Ivanowi Heldowi, Johnowi Parsleyowi i wszystkim innym w Dutton i Penguin Random House za ciężką pracę i wsparcie. Od strony biznesowej jestem zobowiązany Erin Files, Arlie Johansen, Seanowi Daily'emu, Shenel Ekici-Moling, Kate Mack i Maggie Cooper.

Sarah Dutton zasługuje na miejsce w Galerii Sław Pierwszych Czytelniczek za wskakiwanie w niepewne wody każdej kolejnej książki. Jej celne spostrzeżenia i szczere opinie są nieocenione.

Dziękuję wszystkim członkom rodziny i przyjaciołom, którzy nieustannie mi kibicują. Choć w ciągu ostatnich dwóch lat widywaliśmy się znacznie rzadziej, zawsze jesteście obecni w moich myślach.

Wreszcie ogromne podziękowania kieruję do Michaela Livia, którego miłość i cierpliwość pomogły mi dokończyć pisanie kolejnej książki podczas pandemii. Bez Ciebie naprawdę nie dałbym rady.

O AUTORZE

Riley Sager to autor sześciu bestsellerowych powieści, z których dwie najnowsze to *Wróc przed zmrokiem* i *Tylko przetrwaj noc*. Urodził się w Pensylwanii, obecnie mieszka w Princeton w stanie New Jersey.

TYTUŁ ORYGINAŁU:
The House Across the Lake

Redaktorka prowadząca: Ewa Pustelnik
Wydawczyni: Agata Garbowska-Karolczuk
Redakcja: Adrian Kyć / Rytm pisania
Korekta: Ida Świerkocka
Projekt okładki: Łukasz Werpachowski
Zdjęcia na okładce: © Ankor light; © belyaaa; © kalichka / Stock.Adobe.com

Copyright © 2022 by Todd Ritter

Copyright © 2023 for the Polish edition by Mova an imprint of Wydawnictwo Kobiectwo Agnieszka
Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Ryszard Oślizło, 2023

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne
Białystok 2023
ISBN 978-83-8321-278-4

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl



Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotował Karol Ossowski

Spis treści

Karta tytułowa

Teraz

Wcześniej

Teraz

Wcześniej

Teraz

Wcześniej

Teraz

Wcześniej

Teraz

Wcześniej

Teraz

Później

Podziękowania

O autorze

Karta redakcyjna